

Steel Danielle

Samotny Orzeł

PROLOG

Grudzień 1974

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy najmniej się go spodziewała, śnieżnego grudniowego popołudnia, niemal dokładnie trzydzieści cztery lata po ich pierwszym spotkaniu. Trzydzieści cztery lata, niezwykle lata. Spędziła z nim dwie trzecie swojego życia. Kair miała pięćdziesiąt jeden lat, Joe — sześćdziesiąt trzy. I mimo wszystkich swoich doświadczeń i dokonań wciąż wydawał się jej młody, był witalny, energiczny, pełen niespożytych sił. Przypominał kometę uwięzioną w ludzkim ciele, ciągle pędzącą przed siebie, przebijającą kosmos w drodze ku niewidzialnym celom. Nikt nie był tak ekscytujący i olśniewający jak on, pojęła to w momencie, kiedy się spotkali i nigdy później nie zmieniła zdania, chociaż nie zawsze rozumiała powody takiego stanu rzeczy. Ale już wtedy, trzydzieści cztery lata temu, stało się dla niej oczywiste, że jest kimś odmiennym od wszystkich, kimś ważnym, szczególnym, kimś jedynym w swoim rodzaju.

Wszedł jej w krew, stał się częścią jej duszy. Nie zawsze naj
będziesz przyjemniejszą, ale niezmiennie bardzo ważną.

Zdarzały się w tych latach konflikty i wybuchy, bywały wloty i upadki, wschody i zachody słońca, burze i cisza, zawsze jednak był dla niej Everestem, Szczytem Świata, punktem wszelkich odniesień, miejscem, które za wszelką cenę pragnęła osiągnąć. Był też wciąż nie do końca spełnionym marzeniem, piekłem i niebem rozdzielanymi czasem męczarnią w czyszceniu. Był geniuszem, człowiekiem pełnym skrajności.

Wzajemnie nadawali sens swojemu życiu, nadawali mu barwę głębię, niekiedy zaś budzili w sobie bezgraniczny lęk, jednakże z czasem i z wiekiem przychodziły spokój, akceptacja i wyrozumiałość miłość. Zapłacili za nie wysoką cenę.

Stanowili dla siebie największe wyzwanie, a jedno było, pod wieloma względami, ucieleśnieniem największych obaw drugiego, lecz w końcu uzdrowili się wzajem, dopasowali niczym dwa elementy układanki, które położone obok siebie sprawiają pozór jedności.

Przez trzydzieści cztery wspólnie przeżyte lata znaleźli coś, co stało się udziałem niewielu... po burzach, wybuchach i uniesieniach znaleźli więź jedyną w swoim rodzaju: nauczyli się magicznego tańca o krokach tak trudnych, że tylko wybrani mogą je opanować.

Joe był człowiekiem wyjątkowym, odmiennym od reszty ludzi

— widział sprawy niedostrzegalne dla innych, przedkładał samotność nad czyjeś towarzystwo i zdołał wykreować wokół siebie niezwykle świat. Z rozmachem wizjonera stworzył nowy przemysł, imperium, rozepchnął granice świata, poszerzył jego horyzonty w takim stopniu, jaki uważano za niemożliwy. Coś gnało go nieustannie, by tworzyć, łamać bariery, nieprzerwanie iść coraz dalej i dalej.

Kiedy zadzwonił telefon, od trzech tygodni przebywał w Kalifornii i miał wrócić za dwa dni. Kate już od dawna nie obawiała się o niego, bo choć odchodził czasem, zawsze wracał, jak pory roku i słońce. Gdziekolwiek był — pozostawał blisko niej, ponieważ jedynym, co prócz Kate miało znaczenie dla Joego, były jego samoloty. Jak ona, stanowiły nierozdzieloną część jego istoty. Były mu niezbędne, w pewnym sensie nawet bardziej niż ona. Rozumiała to i akceptowała, widząc w samolotach równie ważną część osobowości Joego jak jego dusza i oczy. Nauczyła się je kochać, bo w jakimś sensie były nim, elementem cudownej mozaiki, której na imię Joe.

Rada z ciszy panującej w domu i urody świata otulonego za oknami pierzyną świeżego śniegu, pisała dziennik. Najwyraźniej straciła poczucie czasu, bo kiedy zadzwonił telefon, odruchowo zerknęła na zegarek i stwierdziła ze zdumieniem, że już szósta. Odgarnęła z czoła pukiel ciemnorudych włosów i z uśmiechem podniosła słuchawkę. Była pewna, że dzwoni Joe, że za chwilę usłyszy głęboki aksamitny głos, który z ożywieniem zacznie relacjonować wydarzenia dnia.

— Halo? — odezwała się, wyglądając przez okno. Rozciągał się za nim bajeczny widok. Święta będą cudowne, kiedy tylko ściągną do domu dzieci. Dzieci... mają domy, kariery, nowych najbliższych... Jej świat kręcił się teraz tylko wokół Joego. Tylko Joe w nim pozostał, tylko on zajmował to uprzywilejowane miejsce w samym centrum duszy.

— Pani Allbright? — Głos nie należał do Joego. W pierwszej chwili była rozczarowana, ale zaraz powiedziała sobie, że to nic, że Joe zadzwoni za parę minut. Bo przecież zawsze dzwonił. Nastąpiła dłuższa pauza, jak gdyby mężczyzna o znajomym skądinąd głosie zakładał, iż domyśli się powodów jego telefonu. Tak, był nowym asystentem Joego, kiedyś z nim rozmawiała. — Tu biuro pana Allbrighta. — Znów pauza i Kate, bez żadnego konkretnego powodu, pomyślała, że to Joe kazał swojemu pracownikowi zadzwonić, chociaż duchem obecny jest przy niej, stoi tuż obok.

— Ja... jest mi bardzo przykro. Był wypadek.

Stężała, jak gdyby nagą wyrzucono ją na śnieg.

Zrozumiała, zanim dotarł do niej sens wypowiedzianych słów. Wypadek... był wypadek... nastąpił wypadek... długo czekała na dzień, w którym zabrzmiały te słowa, potem o nich zapomniała, ponieważ Joe był na ten swój czarnoksiężski sposób nieśmiertelny.

Niezniszczalny, niepokonany, nieugięty. Gdy się poznali, oświadczył, że ma do dyspozycji sto żywotów i wykorzystał zaledwie dziewięćdziesiąt dziewięć, tak więc w zapasie pozostaje jeszcze jeden.

— Po południu poleciał do Albuquerque — kontynuował głos i nagle Kate usłyszała, że w pokoju donośnie tyka zegar, tyka tak samo jak czterdzieści lat temu, kiedy przyszła matka, żeby powiedzieć jej o śmierci ojca. Tykanie było dźwiękiem, jaki wydaje uciekający czas, było spadaniem w bezdenną otchłań... wierzyła, że nigdy więcej nie stoczy się w tę otchłań, że Joe jej na to nie pozwoli. — Oblatywał prototyp. — Głos w słuchawce wydał się Kate chłopięcy. Dlaczego to Joe nie dzwoni? Po raz pierwszy od wielu lat przerażenie ścisnęło ją swymi szponami. — Samolot eksplodował.

Te ostatnie słowa poraziły ją jak bomba.

— Nie..., ja... to nie mogło się wydarzyć... to niemożliwe... wykrztusiła, a potem zastygła z przerażenia. Wiedziała już wszystko, nie musiał niczego dodawać. Wokół niej obracały się w ruinę ściany jej bezpiecznego świata. — Tylko proszę nie mówić, że...

Zapadła długa chwila ciszy, potem młody asystent Joego, który jako jedyny znalazł w sobie dość odwagi, aby zadzwonić do Kate, dodał:

— Rozbił się nad pustynią.

Kate zamknęła oczy. Nie było żadnego wypadku, pomyślała. Ten telefon to urojenie. Joe by tego nie zrobił. Był za młody, żeby mogło mu się przydarzyć coś takiego. Ona była za młoda,

żeby zostać wdową. A przecież знаła tyle kobiet oplakujących stratę swych mężów oblatywaczy. Joe je zawsze odwiedzał... A oto teraz dzwoni ten rlokos... ten dzieciak... który nie ma pojęcia, kim był dla niej, lub też kim ona była dla niego. Skąd jednak mógłby wiedzieć? Znał tylko budownicze imperium. Człowieka-legendę. Nigdy nie dowie się o nim tego wszystkiego, czego ona uczyła się przez pół życia.

— Czy zbadano wrak? — zapytała drżącym głosem, dochodząc do wniosku, że chyba nie, bo gdyby ktoś to zrobił, z pewnością znalazłby Joego, ten zaś otrząsnąłby się z kurzu, roześmiał i kazał się zawieźć do najbliższego telefonu, z którego mógłby do niej zadzwonić.

Młody człowiek na drugim końcu linii nie chciał mówić, że eksplozja w powietrzu rozświetliła niebo jak erupcja wulkanu czy też

— by posłużyć się porównaniem użytym przez pilota, który lecąc znacznie wyżej, obserwował próbę — jak zrzucona na Hiroszimę bomba atomowa. Po Joem pozostało tylko nazwisko.

— Nie mamy złudzeń, pani Allbright... Najserdeczniejsze wyrazy współczucia. Czy mógłbym coś dla pani zrobić?

Milczała, niezdolna znaleźć właściwe słowa. A pragnęła tylko powiedzieć, że Joe jest tu, przy niej, i zawsze będzie. Nikt i nic nie zdoła go jej odebrać.

— Ktoś z biura zadzwoni do pani później w... w... mhm... sprawach organizacyjnych — rzekł z zakłopotaniem młody człowiek. Kate w milczeniu skinęła głową i odłożyła słuchawkę. Nie miała nic więcej do powiedzenia, nie mogła powiedzieć nic więcej. Spojrzała na śnieg za oknem i zobaczyła Joego, stał tuż obok niej, jak zawsze. Wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy się poznali, bardzo dawno temu.

Chociaż ogarniała ją panika, wiedziała, że musi być silna, musi pozostać tą kobietą, którą stała się dzięki niemu. Tego by po niej oczekiwał. Nie mogła dopuścić, by znowu ogarnęły ją mroki, by

zawładnął nią lęk, z którego wyleczyła ją miłość do niego. Zamknęła oczy i kilkakrotnie wymówiła jego imię.

Joe... Joe... nie odchodź... jesteś mi potrzebny — wyszeptała czując, jak po policzkach spływają jej łzy.

„Jestem tutaj, Kate. Nigdzie nie idę, przecież wiesz.”

Głos był mocny, spokojny i tak rzeczywisty, iż ogarnęła ją pewność, że słyszy go naprawdę. Joe nigdy jej nie opuści, chociaż robi to, co musi zrobić, jest tam, gdzie pragnie być, w jakichś swoich własnych niebiosach, które mu były pisane... tak samo, jak były mu pisane wszystkie te lata jej miłości.

Mocarny. Niezwyciężony. Wolny.

Nie mogła tego zmienić żadna eksplozja, nic nie mogło go jej odebrać. Był ponad takie błahostki, był zbyt wielki, żeby umrzeć. Musiała raz jeszcze dać mu wolność, aby mógł wypełnić swoje przeznaczenie. Miał to być — ze strony ich dwojga ostateczny dowód odwagi.

Nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez Joego, ale kiedy spojrzała w mrok, zobaczyła, że Joe oddala się od niej, potem przystaje, śle jej uśmiech... Był tym samym mężczyzną co zawsze, tym samym mężczyzną, którego obdarzyła miłością i którego kochała od tylu lat. I który od tylu lat ją kochał.

Dom wypełniła otchłanna cisza, Kate zaś długo w noc wspominała chwilę, kiedy się poznali. Miała wtedy siedemnaście lat, a on był młody, olśniewający i pełen mocy. Ta chwila odmieniła jej życie, właśnie wtedy — kiedy spojrzała nań po raz pierwszy — rozpoczął się taniec...

ROZDZIAŁ I

Kate Jamison pierwszy raz spotkała Joego na balu debutantek w grudniu 1940 roku, trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Razem z rodzicami przyjechała na tydzień z Bostonu do Nowego Jorku — mieli zrobić zakupy świąteczne, spotkać się z przyjaciółmi, a przede wszystkim wziąć udział w owym balu, Kate bowiem była przyjaciółką młodszej siostry debutantki. Udział siedemnastoletniej panny w podobnej imprezie nie był rzeczą zwykłą, ponieważ jednak Kate była nad wiek dojrzała i oszałamiająco piękna, gospodarze nie zawahali się z wystosowaniem zaproszenia.

Salę, do której wkroczyła Kate pod ramię z ojcem, wypełniali niezwykle doprawdy ludzie: głowy państw, osobistości ze świata polityki, damy i matrony, a poza tym tak wielu przystojnych młodzieńców, że można by z nich wystawić armię. Zawitali wszyscy liczący się przedstawiciele nowojorskiej socjety, prócz tego zaś pojawiło się sporo gości z Bostonu i Filadelfii, w sumie siedemset osób, obsługiwanych w sali balowej i ogrodzie — przez ponad stu wyfraczonych kelnerów. Wszystko to składało się na olśniewający kalejdoskop pięknych kobiet i przystojnych mężczyzn, wytwornych sukien, klejnotów i fraków.

Gość honorowy — drobna jasnowłosa dziewczyna w kreacji od Schiaparellego — stojąc w towarzystwie rodziców witała przybywających, a czyniła to z ogromnym przejęciem, ponieważ ten dzień, dzień, w którym oficjalnie rozpoczynała życie towarzyskie, był w jej przekonaniu najważniejszym z wszystkich dotychczasowych. Wyglądała jak porcelanowa laleczka.

Kate była znacznie bardziej uderzającej urody: wysoka i szczupła, miała ciemnokasztanowe włosy wdzięczną falą spływające na ramiona, kremową cerę i nienaganną figurę, a podczas gdy debutantka witała gości z dystynkcją i powściągliwością, Kate zdawała się emanować siłą witalną, wręcz tryskać energią. Przedstawiana przez rodziców znajomym, patrzyła im prosto w oczy z promiennym uśmiechem. Było w jej wyglądzie, kształcie ust coś, co sygnalizowało, że lada chwila zażartuje albo też powie jakąś rzecz ważną i godną zapamiętania. Odnosiło się wrażenie, iż pragnie obdarzyć wszystkich cząstką swej triumfującej młodości, że pochodzi z innego świata i jest jej pisana wielkość. W każdym, nawet najlepszym towarzystwie wyróżniała ją uroda, inteligencja i dowcip. W domu zawsze skora do figlów i snucia najbardziej szaleńczych planów, stanowiła dla rodziców niewyczerpane źródło radości i rozrywki. Przyszła na świat dopiero po dwudziestu latach ich małżeństwa, ale ojciec zwykł mawiać, że długie oczekiwanie opłaciło się z nawiązką, matka zaś oburącz podpisywała się pod jego opinią. Uwielbiali Kate, była centrum ich świata. Dzieciństwo upływało jej beztrudnie; pochodząc z bardzo zamożnej rodziny, znała tylko dostatek i zabawę. Jej ojciec, dziedzic znamienitego bostońskiego rodu, poślubił jeszcze od siebie bogatszą Elizabeth Palmer, a obje familie uznały mariaż za idealny. Ojca Kate wielce poważano w kręgach finansjery za trzeźwe sądy i mądre inwestycje, ale podczas krachu w 1929 roku i jego straciła w otchłań niepowstrzymana lawina bankructw, rozpaczy i beznadziei. Na szczęście, z inicjatywy rodziny Elizabeth, w intercyzie został zawarty zapis o odrębności majątkowej, dzięki czemu ostrożnie zarządzana przez krewnych Elizabeth fortuna nie doznała podczas krachu prawie żadnego uszczerbku.

John Barrett natomiast swoją stracił w całości. Elizabeth robiła wszystko co w ludzkiej mocy, aby pomóc mu otrząsnąć się z szoku i ponownie stanąć na nogi, lecz uczucie hańby doszczętnie zburzyło fundamenty jego świata. Trzech z jego najpoważniejszych klientów i najbliższych przyjaciół popełniło samobójstwo kilka miesięcy po bankructwie; założony

przezeń bank upadł jeszcze wcześniej; John aby stoczyć się na samo dno rozpaczy, potrzebował dwóch lat.

Kate rzadko widywała go w tym okresie. Oszańcował się w sypialni na górze, z nikim nie spotykał, prawie nigdy nie wychodził. Żyjąc jak nieprzystępny, opryskliwy pustelnik rozchmurzał twarz tylko wtedy, kiedy sześciolatka podówczas Kate przynosiła mu cukierka lub swój rys nek. Jak gdyby Wyczuwając intuicyjnie, że zagubił się w labiryncie Własnej rozpaczy, usiłowała wywabić go na światło dzienne, jej próby jednak kończyły się fiaskiem i w końcu nawet przed nią drzwi pokoju ojca zamknęły się na klucz, a matka przypieczętowała sprawę kategorycznym zakazem wchodzenia na górę. Nie chciała, by choćby przypadkiem Kate ujrzała pijanego, nieogolonego i zaniedbanego ojca, który potrafił przesypiać całe dni. John Barrett odebrał sobie życie we wrześniu 1931 roku, niemal dwa lata po krachu; jedynym pocieszeniem dla jego żony i córki mogło być to, że należą do niewielkiego grona szczęśliwców, którzy w tych latach niepewności nie muszą się martwić o swoje bezpieczeństwo finansowe.

Kate na zawsze zapamiętała tę chwilę, gdy dowiedziała się o śmierci ojca. Z ulubioną lalką w ręku siedziała wówczas w pokoju dziecinnym pijąc czekoladę. Kiedy tylko weszła matka, dla Kate natychmiast stało się jasne, że nastąpiło coś strasznego. A potem Elizabeth, bez płaczu ani hysterii, oznajmiła spokojnie i rzeczowo, że tata Kate poszedł do nieba i będzie teraz mieszkać blisko Pana Boga. Kate poczuła, że wali się na nią cały świat: upuściła lalkę, z przechylonej w bezwładnej dłoni filiżanki pociekła na podłogę gorąca czekolada. Zrozumiała, iż w jej Życiu zaszła nieodwracalna zmiana.

Podczas pogrzebu Kate stała spokojnie i uroczyście, a z dobiegających jej uszu strzępków rozmów rozumiała jedynie to, że tata odszedł, bo był zbyt smumy... zrozpaczony..., nigdy nie doszedł do siebie..., zastrzelił się... zaprzepaścił majątki kilku klientów..., dobrze się stało, że nie zarządził również fortuną Elizabeth,...

Z pozoru dla Kate i Elizabeth niewiele się od tego momentu Zmieniło — mieszkały w tym samym domu, widywały tych samych jzdz, Kate chodziła do tej samej szkoły, a tuż po śmierci ojca tflzpoczęła naukę w trzeciej klasie.

Ale przez wiele miesięcy towarzyszyło jej uczucie oszołomienia. Oto bowiem człowiek, którego tak kochała, starała się naśladować, któremu bezgranicznej ufała, człowiek, który poza nią nie widział SWlata, oto ten człowiek odszedł — bez uprzedzenia, wyjaśnienia, bez jakiegokolwiek zrozumiałego dla niej powodu. Ponieważ zaś zrozpaczona Elizabeth na kilka miesięcy niemal całkowicie zniknęła z życia córki, Kate miewała wrażenie, iż straciła nie tylko ojca, lecz oboje rodziców.

Zarządzanie tym, co pozostało z majątku Johna, Elizabeth powierzyła bliskiemu przyjacielowi rodziny, bankierowi Clarke”owi Jamisonowi. On też wyszedł z krachu bez szwanku. Był spokojnym, miłym i solidnym człowiekiem, jego żona umarła na gruźlicę dwa lata wcześniej, nie miał dzieci. Dziewięć miesięcy po śmierci Johna oświadczył się Elizabeth, został przyjęty, a niespełna pół roku później poślubił ją podczas kameralnej uroczystości, której zaokrąglonymi poważnymi oczyma przypatrywała się Kate.

Lata pokazały, że wychodząc za Clarke”a, Elizabeth podjęła mądrą decyzję. Powodowana szacunkiem dla pamięci zmarłego męża, nigdy nie wyznała tego w gronie osób trzecich, ale była z Clarkiem bodaj jeszcze szczęśliwsza niż z Johnem. Pasowali do siebie, mieli podobne zainteresowania, poza tym zaś Clarke rychło zaczął darzyć Kate prawdziwym uwielbieniem, niemal religijną czcią, usiłując z całego serca zastąpić jej utraconego ojca. Był najszcześniejszym człowiekiem na świecie, kiedy zdołał tego dokonać, a w oczach Kate znowu zapłonęły figlarne ogniki. Potem, po przedyskutowaniu sprawy w ro— dzinnym gronie, oficjalnie zaadoptował dziesięcioletnią wówczas Kate. Dziewczynka zrazu żywiła obawę, że godząc się na to, uchybi pamięci ojca, jednakże w dniu kiedy miano dopełnić formalności, wyznała Clarke”owi, iż o niczym innym nie marzyła tak mocno. Rodzony ojciec

zaczął wymykać się z życia Kate, kiedy miała zaledwie sześć lat, i to właśnie Clarke zagwarantował przybranej córce niezbędną do prawidłowego rozwoju emocjonalną stabilność. Niczego jej nie odmawiał, mogła na nim polegać w każdej wyobrażalnej i niewyobrażalnej sytuacji.

Stopniowo zapominała, że nie jest jej biologicznym rodzicem, a o prawdziwym ojcu, który odsuwał się coraz dalej z tych obszarów pamięci, gdzie wszystko jest wyraźne, myślała tylko w nieczęstych chwilach poważnej zadumy. I robiła co w jej mocy, żeby jak najrzadziej myśleć o tym strasznym momencie, gdy usłyszała o jego śmierci. Wolą, by drzwi do tego wspomnienia pozostawały zamknięte.

Charakter jej to ułatwiał. Nie należała do osób samobiczujących się rozpaczą, skłonnych do smętnego rozpamiętywania przeszłości. Wolą cieszyć się życiem i dawać radość innym, przede wszystkim nowemu ojcu, który w ciągu dziewięciu lat stał się prawdziwym i jedynym tak naturalnie i bezboleśnie, że Kate całkowicie przestała o tym myśleć. Ona zaś w każdym możliwym sensie już dawno temu stała się jego córką.

Clarke Jamison był szanowanym bostońskim bankierem, pochodził z dobrej rodziny, studiował w Harvardzie i był niezmiernie rad ze swojego życia, w szczególności zaś z tego, że poślubił Elizabeth i adoptował Kate. Uważał — a wszyscy znajomi podzielali tę opinię — że do szczęścia nie brakuje mu niczego. Dokładnie to samo mogła o sobie powiedzieć Elizabeth. Wydając w czterdziestym roku życia córkę na świat, spełniła swe największe marzenie i od tego momentu wszystkie nadzieje wiązała z Kate. Baczyła, by mimo swego aż nadto czasem żywego usposobienia, Kate nabierała nienaganych manier, aby umiejętnie potrafiła wykorzystywać to wszystko, czym obdarował ją los. Potem, po ślubie z Clarkiem, oboje traktowali Kate jak małą dorosłą kobietę, włączali ją w swe życie i zabierali w rozliczne podróże za granicę: każdego lata bywała w Europie, a jako szesnastolatka odwiedziła Singapur i Hongkong.

Zgromadziła zatem znacznie więcej doświadczeń niż jej rówieśnice i gdy teraz sunęła pomiędzy gośćmi, sprawiała wrażenie prawdziwej młodej damy, nie zaś podfruwajki, za jaką należałoby ją uważać z racji wieku. Dostrzegało się natychmiast naturalność jej zachowania, całkowitą swobodę, z jaką podejmowała rozmowy na wszystkie możliwe tematy. Nic jej nie peszyło i nic nie zbijało z tropu. Delektowała się życiem.

Większość dziewcząt wyglądała prześlicznie w pastelowych lub jaskrawych sukniach balowych — kolor biały był bowiem zarezerwowany dla gościa honorowego — Kate jednak wyróżniała się i pod tym względem. Lodowoniebieska atlasowa suknia kupiona w Paryżu poprzedniego roku, nie przyozdobiona żadnymi falbankami czy koronkami, trzymająca się na ramiączkach cienkich jak pajęczyna, zdawała się spływać z niej nizym woda, podkreślając jej nienaganną figurę. Spod kunsztownych pukli przebłyskiwały co chwila kolczyki z akwamarynów i brylancików, leciutko przypudrowana skóra zachowywała swą naturalną bladą różaną barwę, z którą olśniewająco kontrastowała czerwień warg. Elegancja Kate była równie kobieca jak jej zachowanie.

Powoli sunąc pod rękę z ojcem śmiała się z jego żarcików, Elizabeth zaś, idąca tuż za nimi, przystawała co pięć sekund, żeby pogwarzyć z przyjaciółmi. Kilka minut później w grupie młodych ludzi płci obojga Kate dostrzegła siostrę debutantki, przyjaciółkę, która zaprosiła ją na bal, odbiegła więc od ojca, rzucając na pożegnanie, że zobaczą się później. Clarke Jamison odprowadzał córkę spojrzeniem wyrażającym bezgraniczną dumę: zapewne sama nie zwróciła na to uwagi, kiedy jednak przeciskała się przez tłum, wszystkie głowy odwracały się w jej stronę. Kilka sekund później rozprawiała żywo z nowym towarzystwem, a każdy chłopiec na sali wpatrywał się w nią cielecym spojrzeniem. Clarke pomyślał, że pragnienie żony, aby za parę lat Kate znalazła godnego siebie kandydata, zostanie zrealizowane bez najmniejszego trudu.

Elizabeth zaś, szczęśliwa z Clarkiem w każdej chwili ich dziesięcioletniego małżeństwa, takiego samego szczęścia pragnęła dla córki, ale Clarke łatwo ją przekonał, że najpierw Kate musi zdobyć odpowiednie wykształcenie. Szkoda, oświadczył, marnować jej wrodzoną inteligencję, choć, rzecz oczywista, studia wcale nie muszą oznaczać, że po ich ukończeniu podejmie pracę. Niemniej dyplom to dyplom. Przez całą zimę zatem Kate, niezmiernie podekscytowana perspektywą pójścia w przyszłym roku na studia, wysyłała papiery do Wellesley, Radcliffe, Vassar, Barnard i innych, znacznie — z jej punktu widzenia — mniej pociągających college'ów. Z racji harwardzkich studiów ojca numerem jeden było Radcliffe. Wraz z całym towarzystwem Kate przepłynęła z sal recepcyjnych do balowej; zamieniała po parę słów ze znajomymi dziewczętami, była przedstawiana tuzinom młodzieńców, z których wielu dołączało do orszaku ciągnącego się za nią niczym welon panny młodej. Gdy rozpoczęły się tańce, młodzieńcy owi odbijali sobie Kate z takim zapalem, że niekiedy podczas jednego trzykrotnie zmieniała partnerów. Bawiło ją to, lecz zachowywała się powściągliwie.

Stała przy bufecie, rozmawiając ze znajomą, która opowiadała jej o pierwszym roku swej nauki w Wellesley, gdy podniosła głowę, by po sekundzie stwierdzić ze zdumieniem, że się na niego gapi. Był bardzo wysoki, miał szerokie bary, płowe włosy i rzeźbione rysy... i... tak, był znacznie starszy niż większość młodzieńców z towarzystwa, chyba zbliżał się do trzydziestki. Przestała słuchać dziewczyny z Wellesley, patrząc niczym osoba w hipnotycznym transie, jak Joe Allbright nakłada sobie na talerz dwa kotleciki jagnięce. Nosił frak wzorem innych panów, miało się jednak wrażenie, że czuje się w nim nieswojo, a w ogóle to wolałby być w tym momencie gdzie indziej. Przesuwając się wzdłuż bufetu, przypominał olbrzymiego ptaka, który pragnie odlecieć, ale nie może tego uczynić, ponieważ podcięto mu skrzydła. Dzieliły ich cale, gdy spotkali się wzrokiem. Zastygł na moment, a gdy się do niego uśmiechnęła — omal nie wypuścił z rąk zapełnionego do połowy talerza. Nigdy dotąd nie widział dziewczyny tak pięknej, tak pełnej życia... miał wrażenie, że patrzy z bliska w źródło oślepiającego światła, które hipnotyzuje go i zniewala. Parę sekund później opuścił oczy, ale nie odszedł; nie mógł, stał jak przykuty, zamieniony w słup soli. Ostrożnie podniósł głowę.

— Skromniutki posiłek jak na mężczyznę tak rosnącego — stwierdziła uśmiechnięta, a on westchnął z ulgą, że nie należy do kobiet, które paraliżuje nieśmiałość. Sam od dzieciństwa miał problemy z nawiązywaniem kontaktów i wyrósł na człowieka małomównego. Zjadłem solidną kolację przed balem — wyjaśnił. Istotnie, lekceważąc kawior, kilkanaście gatunków ostryg, poprzestał na kotlecikach jagnięcych, bułce z masłem i kilku krewetkach. Kate zauważyła, że jest bardzo szczupły, a frak nie leży na nim idealnie, wyciągając stąd słuszny wniosek, że wypożyczył go na dzisiejszy Wieczór. Miała rację — frak należał do jego przyjaciela, a ów nie tyle zrobił Joemu przysługę, ile wytrącił mu z ręki oręż w postaci wymówki, że nie może wziąć udziału w balu z braku odpowiedniego stroju. Skoro frak się znalazł, Joe poczuł się w obowiązku iść Zprzyjacielem na imprezę, która nie budziła entuzjazmu ani w jednym, ani w drugim. Jeśli chodzi o Joego, jedynym jasnym punktem balu było jak dotąd spotkanie z Kate.

— Nie wygiada pan na człowieka, który szampańsko się bawi — zauważyła Kate. Powiedziała to tak cicho, żeby tylko on usłyszał słowa, którym towarzyszył uśmiech współczucia.

— Jak pani zgadła? — zapytał wesoło.

— Odnoszę wrażenie, że chciałby pan tylko odstawić gdzieś talerz i umknąć. Nie lubi pan przyjąć?

Dziewczyna z Wellesley oddaliła się, dostrzegłszy jakichś znajomych, i zdawało się, że tkwią jak para rozbitków na morzu opływającym ich ze wszystkich stron ludzkimi falami.

— Nie lubię. Chyba nie lubię. Bo na takim jak to nie byłem nigdy

— wyznał.

— Ja też nie — odrzekła, choć w jej przypadku jedynym powodem takiego stanu rzeczy był wiek. Joe wszakże nie mógł o tym wiedzieć:

wyglądała tak dorośle i zachowywała się tak swobodnie, że skłonny był sądzić, iż ma co najmniej dwadzieścia parę lat. — Ładnie, prawda?

— zapytała, zerkając dokoła.

Uśmiechnął się na znak, że podziela jej zdanie, chociaż patrzył na bal raczej przez pryzmat panującego tu tłoku i rzeczy, które wolałby robić w tej chwili. A przecież, uświadomił sobie spoglądając na Kate, impreza nie okazała się tak całkowitą stratą czasu, jak sądził z początku.

Jest ładnie — odparł, a ona spostrzegła, że ma takie same jak ona ciemnoniebieskie, niemal szafirowe oczy. — Pani też jest ładna

— dorzucił niespodziewanie, dla Kate zaś ten komplement znaczył o wiele więcej niż wszystkie dusery prawione jej przez młodszych od niego, choć towarzysko bardziej wyrobionych panów. — Ma pani prześliczne oczy.

Fascynowały go; były czyste, otwarte, pełne życia, śmiałe. Ich posiadaczka sprawiała wrażenie kogoś, kto niczego się nie lęka. Pod tym względem mieli ze sobą wiele wspólnego, choć ich odwaga manifestowała się w zupełnie innych sytuacjach. Jego na przykład przerażał ten wieczór. Wolałby ryzykować życie, co zresztą czynił nader często, aniżeli przez kilka godzin obracać się w takim towarzystwie. Wystarczyło parę kwadransów obecności na balu, by zaczął z nadzieją oczekiwać, że jego przyjaciel da hasło odwrotu. To się zmieniło, kiedy ją poznał.

— Dziękuję, jestem Kate Jamison — powiedziała, on zaś przełożył talerz do lewej ręki i uścisnął jej dłoń.

— Joe Allbright. Wsunie coś pani?

Zawsze przechodził prosto do rzeczy, krążenie ogródkami nie leżało w jego naturze — dotyczyło to spraw zarówno ważnych, jak i zupełnie błahych. Kiedy skinęła głową, podał jej talerz, Kate zaś nałożyła sobie zaledwie trochę jarzyn i mikroskopijny kawałek kurczęcia; była zbyt podekscytowana, żeby odczuwać głód.

Bez słowa usiedli przy jednym z wolnych stolików. Joe zachodził w głowę, dlaczego ta piękna dziewczyna obdarzyła sympatią właśnie jego.

— Czy zna pani wielu obecnych? — zapytał po chwili, nie spuszczać oczu z Kate.

— Trochę. Rodzice mają tu znacznie więcej znajomych — wyjaśniła zaskoczona zakłopotaniem, w jakie wprawiał ją ten mężczyzna. Wydawało się, że każde z wypowiedzianych przez nią słów ma swoją wagę, że Joe wychwytuje wszelkie niuanse w tonie jej głosu. Że samą swą obecnością obnaża wszelkie ozdobniki i maski, sprawiając, iż wszystko rysuje się w swej rzeczywistej postaci.

— Są więc na balu? — zapytał, przełykając krewetkę.

— Tak, gdzieś tam. Zginęli mi z oczu wieki temu — odparła przekonana, że nie odnajdą się szybko, matka bowiem miała zwyczaj zaszywać się w jakimś kącie z grupką przyjaciół i gawędzić z nimi do późna. Ojciec z reguły dotrzymywał jej towarzystwa. — Przyjechaliśmy na tę imprezę z Bostonu. — dodała.

Skinął głową.

— A więc mieszkają państwo w Bostonie? — zapytał, omiatając Kate uważnym spojrzeniem. Miała w sobie coś magnetycznego

— w sposobie mówienia, w tym, jak na niego patrzyła. Sprawiała wrażenie opanowanej, inteligentnej, zainteresowanej jego osobą — co zresztą wpędzało go w zakłopotanie — lecz przede wszystkim była piękna. Po prostu jej widok sprawiał człowiekowi przyjemność.

— Tak. A pan zapewne pochodzi z Nowego Jorku? — spytała, dając ostatecznie spokój swojemu kawalkowi kurczenia. Nie była głodna, tego wieczoru działo się zbyt wiele ekscytujących rzeczy, aby mogła myśleć o jedzeniu. Wołała rozmawiać. Z nim.

- Otóż nie, jestem z Minnesoty, choć przez ostatni rok mieszkałem w Nowym Jorku. Ale właściwie nosi mnie to tu, to tam. New Jersey, Chicago... Dwa lata spędziłem w Niemczech, a na początku przyszłego roku jadę do Kalifornii. Zawsze jestem tam, gdzie mają lotnisko.

Spojrzała nań ze wzmożonym zainteresowaniem.

— A więc pan lata?

Wydał się szczerze rozbawiony jej pytaniem, które poza tym sprawiło, że wyraźnie się rozluźnił.

— Chyba można to tak ująć. Czy kiedykolwiek była pani w samolocie, Kate?

Po raz pierwszy wymówił jej imię, a sposób, w jaki to uczynił, był dla Kate przyjemny, bardzo osobisty. No i przede wszystkim je zapamiętał, chociaż sprawiał wrażenie kogoś, kto niezmiernie łatwo wyrzuca z pamięci nie tylko imiona i nazwiska, lecz również wszystko, co nie przyciąga jego uwagi. Kate go jednak zafascynowała, jeszcze zanim poznali się osobiście.

— Raz, w zeszłym roku, kiedy poleciliśmy do Kalifornii, skąd mieliśmy odpłynąć statkiem do Hongkongu. Zwykle podróżujemy koleją albo właśnie statkiem.

— Najwyraźniej podróżuje pani niemało. Co zawiadło panią do Hongkongu?

— Byłam z rodzicami. W Hongkongu i Singapurze. To pierwsza nasza taka wyprawa, dotąd odwiedzaliśmy tylko Europę — odparła nie wyjaśniając, iż podróże te miały w znacznej mierze cel edukacyjny i służyły szlifowaniu znajomości języków obcych. Kate mówiła po francusku i włosku, mogła dogadać się po niemiecku. Rodzice uważali to za ważny element wykształcenia panny z dobrego domu, ojciec zaś, wyobrażając ją sobie czasem w roli żony ambasadora, podświadomie sprzyjał wszystkiemu, co mogłoby jej pomóc w sprostaniu takiej właśnie roli. — Czy jest pan pilotem?

Po dziecięcemu zaokrąglone oczy po raz pierwszy zdradziły jej prawdziwy wiek i Joe znowu się uśmiechnął.

— Tak, jestem.

— W liniach lotniczych?

Uznała, że jest niezmiernie interesujący, a zarazem tajemniczy. Nie miał poluru wszystkich jej znajomych chłopców, lecz zarazem wydawał się bardzo obyty; jego nieśmiałość nie była w stanie zamaskować głębokiej pewności siebie i Kate żywiła przekonanie, że potrafi dać sobie radę w każdej sytuacji, w każdych okolicznościach. Łatwo było sobie wyobrazić, że siedzi za sterami samolotu. Uważała to za ogromnie romantyczne.

— Nie, nie w liniach lotniczych — odrzekł. — Oblatuję samoloty i projektuję je, tak by były szybsze i wytrzymalsze od dotychczasowych.

Upraszczał problem, w tej chwili jednak wołał nie wdawać się w szczegóły.

Czy poznał pan Charlesa Lindbergha? zapytała z zainteresowaniem.

Przemilczał, że ma na sobie jego frak, że przyszedł na przyjęcie w jego towarzystwie, że zgubili się w tłumie i że Charles — zmuszony do udziału w imprezie przez żonę, która nie mogąc przyjść osobiście z powodu choroby dziecka, wymogła na mężu przyrzeczenie, iż będzie godnie reprezentował rodzinę Lindberghów — kryje się zapewne przed nienawistnym mu tłumem w jakimś ciemnym zakątku.

— Poznałem. Współpracowaliśmy trochę ze sobą, a w Niemczech razem lataliśmy.

Właśnie za sprawą Lindbergha Joe był w Nowym Jorku i to on załatwił mu pracę w Kalifornii. Poznali się na lotnisku w Illinois wiele lat temu, kiedy sława Lindbergha sięgała szczytu, natomiast Joe był zaledwie młokosem. Teraz, chociaż mniej znany szerokim kręgom, bił regularnie rekordy i uchodził wśród wtajemniczonych za pilota równie znokornitego jak jego mentor i przyjaciel, a może nawet lepszego. Joe był wniebowzięty, gdy taką opinię

wyraził pewnego razu sam Lindbergh. Tak czy inaczej, przyjaźnili się i podziwiali wzajemnie.

— Jest zapewne niezmiernie interesującym człowiekiem... i jak słyszałam, bardzo sympatycznym. To straszne, co przydarzyło się ich dziecku.

— Mają kilkoro innych — wypalił Joe, pragnąc uniknąć w rozmowie żalobnych tonów, ale trafił jak kulą w plot. Dla Kate nie miało to żadnego znaczenia, tragedia pozostawała tragedią i nawet nie próbowała wyobrazić sobie cierpień, przez jakie przeszli rodzice. W chwili* Porwania miała dziewięć lat i wciąż pamiętała, jak zapłakana matka Wyjaśniała jej sens doniesień prasowych. Charles Lindbergh stał się w jej oczach nie tyle ucieleśnieniem sukcesu, ile bolesnego dramatu.

— Musi być kimś zupełnie niezwykłym — stwierdziła PO prostu, a Joe tylko skinął głową, uznawszy, że niewiele do takiej opinii mógłby dodać. — Cóż pan sądzi o wojnie w Europie?

— zapytała po krótkiej pauzie.

Zasepił się; oboje wiedzieli, iż nie sposób ignorować podjętej przez Kongres dwa miesiące temu uchwały o mobilizacji.

— Jest niebezpieczna. Uważam, że wymknie się spod kontroli, jeżeli szybko nie zostanie doprowadzona do końca — odparł, mając w pamięci swój niedawny pobyt w bombardowanej przez hitlerowców Anglii, gdzie zaproszono go jako konsultanta do spraw lotniczych. Siły powietrzne, szybkość i sprawność bojowa samolotów miały dla przetrwania lub upadku Wielkiej Brytanii krytyczne znaczenie.

— Prezydent Roosevelt twierdzi jednak, że się w nią nie zaangażujemy — stwierdziła z przekonaniem Kate, powtarzając opinię, którą dzielali również jej rodzice.

— Wierzy w to pani, skoro już rozpoczęła się mobilizacja? Proszę nie ufać tak bezkrytycznie prasie. Moim zdaniem wcześniej czy później nie będziemy mieli żadnego wyboru — powiedział. Miał ochotę wstąpić do RAF-u, praca jednak, jaką wykonywał z Charlesem, miała dla amerykańskiej awiacji ogromne znaczenie, które by jeszcze wzrosło, gdyby Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Kiedy we dwóch omawiali tę kwestię, Charles, zasadniczo przeciwny udziałowi Stanów w wojnie, wyraził jednak obawę, iż stanie się on nieuchronny, jeśli zaistnieje poważne niebezpieczeństwo, że Anglia zacznie ulegać naporowi Niemców.

— Mam nadzieję, że jest pan w błędzie — szepnęła, uświadamiając sobie, że gdyby jednak w przyszłości jego słowa miały się ziścić, większości obecnych na balu przystojnych młodych mężczyzn zagroziłoby śmiertelne niebezpieczeństwo. Zagroziłoby całemu ich światu i nieodwracalnie go zmieniło. — Naprawdę pan sądzi, że do tego dojdzie?

— Tak właśnie sądzę, Kate.

Znów przez ułamek sekundy mogła rozkoszować się sposobem, w jaki wymawia jej imię.

— A ja nadal mam nadzieję, że się pan myli.

— Ja też.

I wtedy zrobiła coś, czego nie robiła nigdy dotąd, ale też nigdy dotąd nie czuła się tak dobrze w towarzystwie mężczyzny. Miała wrażenie, że odnalazła prawdziwego przyjaciela.

— Czy miałby pan ochotę przejść do sali balowej i zatańczyć?

— spytała cicho.

Zakłopotany Joe wbił spojrzenie w talerz i podniósł głowę dopiero po dłuższej chwili.

— Nie umiem — wyznał zawstydzony, a potem westchnął z ulgą, widząc, że się nie śmieje, lecz raczej wygląda na zaskoczoną.

— Naprawdę? Nauczę pana. To błahostka, trzeba tylko szurać nogami i udawać, że świetnie się pan bawi.

Pomyślał, że z nią niczego nie musiałby udawać, ale gorzej było z tym szuraniem nogami.

— Chyba jednak nie — odparł, zerkając na jej bladoniebieskie balowe pantofelki z atlasu. — Zapewne deptałbym pani po nogach. Poza tym... chyba nie powinienem zatrzymywać pani tak długo z dala od jej towarzystwa.

— Nudzę pana? — zapytała bez ogródek, pełna obawy, że uraziła go swoim niewczesnym zaproszeniem do tańca.

— Do diabła, nie — zaprzeczył ze śmiechem, a potem znów zrobił zakłopotaną minę, żałując wypowiedzianych przed chwilą słów. Prawda, znacznie lepiej czuł się w hangarze niż na sali balowej, ale przecież biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, bawił się w towarzystwie Kate nadspodziewanie dobrze. — Nuda jest czymś, co przy pani naprawdę mi nie grozi. Nie... pomyślałem tylko, że może miałyby pani ochotę potańczyć z kimś, kto urnie to robić.

— Wytańczyłam się dziś do upadłego — stwierdziła. Istotnie, do bufetu wybrała się dopiero około północy. — Co pan lubi robić w wolnym czasie? — zapytała, zmieniając temat.

— Latać — odrzekł z nieśmiałym uśmiechem. — A pani?

— Czytać, podróżować, grać w tenisa. Zimą jeździć na nartach. Czasem grywam z ojcem w golfa, ale idzie mi kiepsko. W dzieciństwie UWielbiałam jazdę figurową na łyżwach. Chętnie grałabym w hokeja, mama mi jednak nie pozwalała, utrzymując, że nie wypada.

— To bardzo mądrze, bo skończyłyby pani bez jednego zęba — stwierdził, wnosząc z olśniewającego uśmiechu Kate, że ani razu nie złamała zakazu matki. — Prowadzi pani auto? — zapytał. Przez jeden szaleńczy moment się zastanawiał, czy miałyby ochotę nauczyć się pilotażu.

— Zrobiłam prawo jazdy, kiedy skończyłam szesnaście lat — odparła Kate z uśmiechem — ale tata nie lubi, jak prowadzę, chociaż latem sam uczył mnie jeździć na Cape Cod. Tam nie ma prawie żadnego ruchu.

Joe był zaszokowany.

— Ile właściwie ma pani lat? — zapytał. Aż do tej chwili żywił przekonanie, że dwadzieścia parę. Wyglądała tak dojrzała, zachowywała się tak swobodnie.

— Siedemnaście. Za kilka miesięcy skończę osiemnaście. A ile mi pan dawał? — spytała, połączona jego zaskoczeniem.

— Nie wiem... może dwadzieścia trzy... dwadzieścia pięć. Nie powinno się pozwalać dziewczynom w twoim wieku na noszenie takich sukien, bo wprowadza to w błąd rozmaitych starszych panów. Na przykład mnie.

Wcale nie sprawiał na niej wrażenia starszego pana, szczególnie gdy okazywał zakłopotanie lub ogarniało go onieśmienie. Był wtedy wręcz chłopięcy. Odwracał wzrok, wiercił się niepewnie, a potem znów odzyskiwał równowagę i patrzył Kate prosto w oczy. Podobała się jej ta cecha, tak pozornie sprzeczna z tym wszystkim, czego potrzeba do pilotowania samolotów. Sugerowała skromność.

— A ile ty masz lat, Joe?

— Dwadzieścia dziewięć, niemal trzydzieści. Latam od szesnastego roku życia.

Zastanawiałem się, czy nie miałybyś ochoty przelecieć się kiedyś ze mną. Ale chyba twoi rodzice nie byliby tym zachwyceni.

— Matka na pewno nie, ojciec jednak uznałby pomysł za wspaniały. Nieustannie mówi o Lindberghu.

— Więc może pewnego dnia nauczę cię pilotażu — powiedział rozmarzony. Nigdy nie uczył latania żadnej dziewczyny, chociaż znał sporo lotniczek: przyjaźnił się z zaginioną przed trzema laty Amelią Earhart, latał wspólnie z przyjaciółką Charlesa, Edną Gardner Whyte. W jego przekonaniu niemal dorównywała Charlesowi, wygrywała wyścigi już siedem lat temu, a obecnie szkoliła pilotów wojskowych. Darzyła zresztą Joego ogromną sympatią.

— Bywasz niekiedy w Bostonie? — zapytała z nadzieją Kate.

— Raz na jakiś czas. Mam przyjaciół na Cape, odwiedziłem ich w zeszłym roku. Teraz przez kilka miesięcy będę w Kalifornii, ale

mógłbym zadzwonić do ciebie po powrocie. Może twój ojciec zechce z nami polatać.

— Będzie zachwycony — z ożywieniem powiedziała Kate, zastanawiając się już, jak urobić matkę, ażeby wyraziła zgodę. Bóg jednak wie, pomyślała po chwili, czy Joe w ogóle zadzwoni. Pewnie zapomni.

— Uczysz się? — zapytał, mając przy tym dziwny wyraz twarzy, którego powodem było to, iż sam zakończył naukę w dwudziestym roku życia, a reszta jego edukacji odbywała się w samolotach, pod kuratelą Lindbergha.

— Jesienią wstępuję do college'u — odparła.

— Wiesz już którego?

— Czekam na odpowiedzi. Najchętniej poszłabym do Radcliffe, bo to prawie to samo co Harvard, gdzie studiował ojciec. Mama optuje za Vassar, szkołą, którą skończyła. Mam na nią znacznie mniejszą ochotę, ale też złożyłam papiery. No i w grę wchodzi jeszcze Barnard w Nowym Jorku. Lubię Nowy Jork. A ty?

— Trudno powiedzieć. Chyba raczej jestem chłopakiem z małego miasteczka — odparł.

Kate miała wątpliwości, czy z przekonaniem mogłaby się pod tym podpisać. Zapewne korzenie Joego tkwiły w prowincjonalnej Ameryce, wiele jednak wskazywało, iż sam Joe już dawno z niej wyrósł, stając się częścią większego świata. Chociaż jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

Wciąż gawędzili o Nowym Jorku i Bostonie — upływała zresztą już druga godzina ich rozmowy — gdy zjawił się ojciec Kate. Dziewczyna dokonała prezentacji.

Obawiam się, że całkowicie zawłaszczylem pańską córkę — powiedział z niepokojem Joe, z racji młodego wieku Kate obawiając się reakcji Clarke'a Jamisona.

— I trudno mieć to panu za złe — odrzekł pogodnie Ciarke.

— Zastanawiałem się, gdzie przepadła, ale widzę, że trafiła w dobre ręce.

Na pierwszy rzut oka uznał Joego za mężczyznę inteligentnego i dobrze wychowanego, kiedy zaś usłyszał jego nazwisko, nie potrafił ukryć zaskoczenia, wiedział bowiem z prasy, iż Joe jest asem lotnictwa pierwszej wody, porównywalnym pod względem umiejętności z Lindberghiem, chociaż nie tak sławnym. Ostatnio wygrał wyścig lotniczy przez kontynent, pilotując słynnego mustanga P-51 projektu Dutcha Kindelbergera. Ciekawe, zastanawiał się Clarke, w jakich okolicznościach zawarł znajomość z Kate.

— Joe zaproponował, że zabierze nas na wycieczkę powietrzną. Sądzisz, że mama dostanie apopleksji?

— Najkrócej mówiąc, tak — odrzekł ze śmiechem Ciarke — ale spróbuję ją oswoić. —

Zwrócił się do Joego: — To miłe z pańskiej strony, panie Allbright. Należę do pańskich zagorzałych wielbicieli, a rekord, który pan niedawno pobił, wydawał się bardzo wyśrubowany.

Joe przyjął komplement z zakłopotaniem; w przeciwieństwie do Charlesa unikał blasku reflektorów, chociaż po jego najnowszych sukcesach było to coraz trudniejsze.

— Udał mi się ten lot. Usiłowałem namówić Charlesa, żeby poleciał ze mną, ale był zajęty w Waszyngtonie, uczestnicząc w pracach Krajowego Komitetu Doradczego do spraw Aeronautyki.

Clarke ze zrozumieniem skinął głową. Po chwili zjawiła się Elizabeth, Clarke dopełnił prezentacji, a następnie, kierując się ze swoimi paniami w stronę wyjścia, wręczył Joemu swą kartę wizytową.

— Proszę zadzwonić, kiedy zabłądzi pan do Bostonu — powiedział serdecznie. —

Zobaczymy, czy uda się nam skorzystać z pańskiej wspaniałomyślnej propozycji. W ostateczności, jeśli nie będzie innego wyjścia, ja pozwolę sobie zostać jej jedynym beneficjentem.

Puścił do Joego oko, ten zaś pożegnał Elizabeth, apotem zwrócił się do Kate:

— Dziękuję za wspólną kolację. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

Odniosła wrażenie, iż mówi szczerze, a jego oczy utkwione były w jej oczach niczym rozjarzone błękitne węgle.

— Powodzenia w Kalifornii — odpowiedziała cicho, zastanawiając się, czy ich drogi rzeczywiście jeszcze kiedyś się przetną. Wcale nie miała pewności, że Joe zadzwoni, nie wyglądał na mężczyznę, który dotrzymuje takich obietnic. Miał własny świat, namiętność swego życia, sukcesy zawodowe..., mało więc prawdopodobne, że zechce podtrzymywać znajomość z siedenmastoletnią dziewczyną. Była niemal pewna, że nie zechce.

— Dziękuję, Kate — odparł. — Mam nadzieję... pewność..., że zostaniesz przyjęta do Radcliffe. I to nie ty, lecz władze uczelni będą mogły mówić o szczęściu.

Uścisnęła dłoń Kate, wpatrując się w nią z taką mocą, że opuściła wzrok. Było tak, jakby pragnął wyrzeźbić w pamięci jej rysy, odnotować najdrobniejsze szczegóły twarzy, sylwetki, zachowania. I wtedy Kate doznała osobliwego uczucia, że coś z nieodpartą siłą popycha ją w jego stronę.

— I ja dziękuję — szepnęła, on zaś, skłoniwszy się niezgrabnie, zniknął w tłumie, udając się na poszukiwanie Charlesa.

— Niezwykły człowiek — stwierdził z podziwem Ciarke, kiedy przy drzwiach odbierali okrycia. — Wiecie właściwie, kim jest?

— A potem, nie czekając na odpowiedź, zaczął opiewać dokonania Joego i wyliczać rekordy pobite przezeń w ciągu ostatnich kilku lat. Znał je jak pacierz.

W drodze powrotnej do hotelu Kate wyglądała przez okno samochodu, rozmyślając o Joem — nie o jego rekordach, bo te mówiły jej tylko tyle, że osiągnął w swej trudnej specjalności wiele sukcesów, lecz raczej o tym wszystkim, co składało się na jego osobowość: o sile, wyrazistości, dobroci, wzruszającym zakłopotaniu. Pojęła, że zabrał ze sobą jakąś część jej samej, ważną część. I odczuwała lęk, że już nigdy się nie spotkają.

2

Obawy Kate potwierdziły się w całej rozciągłości: po wspaniałym nowojorskim balu nie miała żadnych wieści od Joego Allbrighta. Czytywała o nim w prasie, dowiadywała się z kronik filmowych, że pobił kolejny rekord, że zyskał ogromne uznanie za najnowszy samolot, który zaprojektował przy pomocy Dutcha Kindelbergera i Johna Lelanda Atwooda. Joe, uznana, legendarna as pilotażu, wróciwszy do swojego świata, bez wątpienia o niej zapomniał. Dzielą ich w tej chwili lata świetlne — tego była pewna — i nigdy się już nie spotkają.

ROZDZIAŁ II

W kwietniu, co jej rodzice przyjęli z nie mniejszym entuzjazmem niż ona sama, dostała pozytywną odpowiedź z Radcliffe.

Wojna w Europie — główny temat rodzinnych dyskusji — nie zmierzała ku końcowi.

Chociaż Clarke utrzymywał z uporem, że Stany nie dadzą się w nią wciągnąć, wiadomości były coraz bardziej niepokojące, a dwóch znajomych Kate wstąpiło ochotniczo do brytyjskich sił powietrznych. W Afryce generał Rommel wygrywał bitwę za bitwą, Niemcy dokonały

inwazji na Jugosławię i Grecję, w Londynie oflarą nalotów padały codziennie dwa tysiące osób.

Skoro z powodu wojny już drugi rok z rzędu nie mogli odwiedzić Europy, całe lato spędzili na Cape Cod, w swoim domu letnim, do którego Clarke — jak to miał w zwyczaju — dojeżdżał na weekendy. Czas wypełniały im przyjęcia, gra w tenisa i długie spacery plażą. Kate poznała dwóch miłych chłopców: jeden z nich jesienią zaczynał naukę w Dartmouth, drugi — w Yale. Byli inteligentni, atrakcyjni i rozsądni, w czym nie różnili się zresztą od całej grupy młodzieży spędzającej czas na grze w golfa, krykieta i badmintona.

Jedynymi czarnymi chmurami przesłaniającymi nieboskłon owego beztroskiego lata były doniesienia z coraz liczniejszych frontów wojny. Niemcy zajęli Krete, ciężkie walki toczyły się w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Brytyjczycy bili się z Włochami o Maltę, w czerwcu Rzesza zaatakowała kompletnie zaskoczony Związek Radziecki, miesiąc później Japończycy wdarli się na Półwysep Indochiński.

Nic więc dziwnego, że jedynym, co odwracało uwagę Kate od spraw globalnych, był coraz bliższy dzień rozpoczęcia nauki w college'u, ekscytujący ją znacznie bardziej, niż po sobie pokazywała. Wiele licealnych koleżanek Kate zrezygnowało z dalszego kształcenia: kilka wyszło za mąż zaraz po szkole, kilka zaręczyło się w wakacje. Kate, stanowiąc wyjątek raczej niżli potwierdzając regułę, miewała czasem wrażenie, że zapędza się w staropanieństwo, nie minie bowiem rok, a większość jej koleżanek wyjdzie za mąż i urodzi dzieci. Podzielała jednak pogląd ojca, że musi skończyć studia, chociaż nie miała jeszcze jasności, na jakim kierunku.

Gdyby jej świat rządził się nieco innymi zasadami, miałyby ochotę na prawo, studia prawnicze wszakże stawiały kobietę w sytuacji praktycznie bez wyjścia: myśląc o karierze, musiała zrezygnować tak z zamążpójścia, jak z dzieci. Kate zatem skłaniała się ku literaturze bądź historii, z dodatkową specjalizacją we włoskim lub francuskim, co w ostateczności stwarzało możliwość uprawiania zawodu nauczycielki. Choć w istocie żadna kariera prócz prawniczej szczególnie jej nie fascynowała. College, zarówno w rozumieniu obojga rodziców, jak i jej, miał być interesującym i użytecznym wypełnieniem czasu poprzedzającego małżeństwo.

Imię Joego przewinęło się kilka razy w rozmowach w ciągu owych miesięcy, jakie upłynęły od balu, ani razu jednak w kontekście matrymonialnych planów Kate — zawsze miało to związek z jego nowymi sukcesami lotniczymi, na które Clarke, od chwili osobistego poznania Joego, zwracał znacznie większą uwagę niż kiedyś. Ale nikt nie musiał przypominać Kate o Joem, bo nigdy go nie zapomniała, chociaż fascynacja, którą w niej swego czasu obudził, zaczynała blednąć w obliczu spraw znacznie bardziej realnych, takich choćby jak studia. W ostatni weekend wakacji — było to Święto Pracy — poszli całą trójką na barbecue urządzone tradycyjnie przez ich sąsiadów z Cape Cod, imprezę ściągającą dorocznie wszystkich mieszkańców kwartału. Otoczona wielbicielami Kate stała przy roznieconym na plaży ogromnym ognisku, opiekając hot dogi i kiełbaski, gdy nagle cofnęła się przed jęzorem płomienia i wpadła na kogoś, kto stał tuż za nią. Zaczęła się odwracać, bąkając przeprosiny, i raptem zastygła jak słup soli, kurczowo ściskając w dłoni rozenek z płonącymi kiełbaskami. Miała przed sobą Joego Allbrighta.

— Lepiej uważaj, zanim kogoś podpalisz — powiedział.

— Co tu robisz?

— Czekam na kiełbaski — odparł — ale twoje chyba zanadto się przypiekły.

Rzeczywiście, bezpowrotnie obracały się w popiół, kiedy Kate z niedowierzaniem gapiła się na Joego. Był najwyraźniej rad ze spotkania, a gdy tak stał przed nią w spodniach khaki, swetrze, bez butów, wyglądał jak beztroski młokos.

— Kiedy wróciłeś z Kalifornii? — spytała, czując się nagle tak, jak gdyby zniknęli wszyscy otaczający ich ludzie.

— Wcale nie wróciłem z Kalifornii — odrzekł uśmiechnięty.

— Wciąż tam jestem i będę do końca roku. Wpadłem na kilka dni. Miałem zamiar zadzwonić we wtorek do twojego ojca, żeby wywiązać się z obietnicy. Jak studia?

— Zaczynam w przyszłym tygodniu — powiedziała, chociaż sens słów Joego docierał do niej jak przez mgłę. Joe był opalony i przystojny, włosy mu pojaśniały, a bary prezentowały się pod swetrem znacznie bardziej imponująco niż pod tkaniną pożyczonego fraka. W ogóle wydawał się o wiele przystojniejszy niż w jej wspomnieniach., lecz nadal, z tymi swoimi długimi rękoma i nerwowo szurającymi stopami, przywodził jej na myśl ogromnego ptaka, który daremnie próbuje zerwać się do lotu. Zachowywał się jednak swobodniej, może dlatego, że bardziej odpowiadało mu dzisiejsze nieformalne otoczenie. Delikatnie wyjął z dłoni Kate kijek z przypalonymi kiełbaskami i wrzucił go do ogniska.

— Jadłś już coś? — zapytał, przejmując inicjatywę.

— Tylko kiełbaski — odparła z nieśmiałym uśmiechem. Stali tak blisko siebie, że ich ręce mimowolnie się dotykały.

— Przed kolacją? Wstyd. Co powiesz na hot doga? — Skinęła głową, a on wziął z tacy dwie kiełbaski, nadział je na rożen i zaczął piec.

— A w ogóle co porabiałś od Bożego Narodzenia?

— Skończyłam szkołę. Dostałam się do Radcliffe. To mniej więcej wszystko.

— Świetnie. Wiedziałem, że cię przyjmą do Radcliffe. Jestem z ciebie dumny — stwierdził. Kate oblała się rumieńcem, którego na szczęście nie mógł zobaczyć w zapadającym mroku. Spostrzegła, że zachowuje się w jej towarzystwie znacznie swobodniej niż wtedy, na balu, nie mogła jednak wiedzieć, iż w głębi serca uważa ją za bliską przyjaciółkę, myślał bowiem o Kate tak często, że jej portret wyrzył się w jego duszy z wyrazistością, jaką w innych okolicznościach dają tylko długotrwałe i zażyłe kontakty.

— Prowadzisz auto? — zapytał z szerokim uśmiechem.

— Ojciec twierdzi, że jako kierowca jestem do kitu, chociaż ja sędzę, że prowadzę lepiej niż mama, która nieustannie powoduje stłuczki.

— Może więc jesteś gotowa na kurs pilotażu. Zajmiemy się tym, kiedy wrócę na wschód. Pod koniec roku przenoszę się do New Jersey, będziemy z Charlesem Lindberghiem pracować jako konsultanci przy pewnym projekcie. Ale najpierw muszę doprowadzić do końca swoje sprawy w Kalifornii — oświadczył, a Kate ogarnęło radosne podniecenie, choć jednocześnie mówiła sobie, że nadzieja, iż Joe zechce się spotykać z osiemnastoletnią smarkulą, jest kompletną niedorzecznością. Miał trzydzieści lat, odnosił na polu zawodowym ogromne sukcesy, a ona jeszcze nawet nie zaczęła nauki w college'u. Jakby czytając w jej myślach, zapytał: — Kiedy zaczynasz studia?

Powiedział to zresztą takim tonem, jak gdyby zwracał się do młodszej siostry, chociaż — podobnie jak Kate — był jedynakiem, a osierocony w niemowlęctwie, nie darzył szczególnym uczuciem krewnych, którzy go wychowywali.

— W przyszłym tygodniu. Mam zameldować się we wtorek

— odparła.

— To musi być szalenie ekscytujące — zauważył i podał jej hot doga.

— Nawet w połowie nie tak ekscytujące jak to, czym ty się zajmujesz. Pilnie śledziłam w prasie twoje poczynania, a już takich fanów jak mój tata masz zapewne niewielu. Poczul się mile polectany, że o nim nie zapomniła i że w przeciwieństwie do Clarke'a widząc w nim nie tyle człowieka sukcesu, ile po prostu sympatycznego faceta, okazuje tak żywe zainteresowanie jego karierą.

Dojedli kiełbaski, a potem usiedli na pniu, żeby wypić kawę i podelektować się lodami. Podawano je w rozkach; Kate pałaszowała swojego z takim zapałem, że szybko umorusała sobie twarz i palce. Joe przyglądał się jej z zachwytem — młoda, piękna, pełna energii, przypominała rozhasanego żrebca pełnej krwi, który nie może ustać na miejscu i bez przerwy

potrząsa gęstą kasztanową grzywą. Była jak migocąca na firmamencie gwiazda; nawet na moment nie spuszczał z niej oczu w obawie, że nagle zniknie.

— Masz ochotę na spacer? — zapytał, kiedy skończyła lada i doprowadziła się trochę do porządku.

Z uśmiechem skinęła głową.

Dłuższy czas szli milcząc w świetle księżyca w pełni, radzi ze swojego towarzystwa, wreszcie jednak Joe spojrział w niebo i powiedział do Kate:

— Uwielbiam latać w takie noce jak dzisiejsza. Tobie pewnie też by się to spodobało.

Człowiek ma wtedy wrażenie, że na krótką chwilę znalazł się blisko Boga.

Raz czy dwa razy podczas nocnych lotów fantazjował, że towarzyszy mu Kate, ale natychmiast gromił się za takie marzenia. Była niemal dzieckiem, na pewno już dawno zapomniała o ich spotkaniu. Nie zapomniała jednak i odnosił w tej chwili wrażenie, iż są starymi przyjaciółmi. To, że teraz ich ścieżki znów się przecięły, było darem losu, bo wbrew swoim deklaracjom Joe wcale nie miał pewności, czy znajdzie w sobie dość odwagi, by zadzwonić do ojca Kate. Grał więc na zwłokę, a dzisiejsze spotkanie na plaży bezboleśnie ucięło jego rozterki.

— Co sprawiło, że pokochałeś latanie? — zapytała Kate.

Zwolnili kroku. Noc była ciepła i piękna, piasek pieścił ich stopy jak aksamit.

— Nie wiem... Zawsze, jeszcze jako dzieciak, uwielbiałem samoloty. Może chciałem uciec... albo znaleźć się tak wysoko nad ziemią, by nikt nie zdołał mnie skrzywdzić.

— Przed czym uciekałeś? — spytała cicho.

— Przed ludźmi. Przed złem, które mnie spotkało, i przed gniewem, który się we mnie budził.

— Joe nie znał swoich rodziców, krewni zaś, co zajęli się nim, kiedy został sierotą, jasno dawali mu do zrozumienia, że jest piątym kołem u wozu. Na niechęć reagował niechęcią i odszedł od nich w pierwszym nadarzącym się momencie, kiedy miał szesnaście lat. — Zawsze lubiłem samotność i zawsze lubiłem maszyny, te drobne elementy i części, które sprawiają, że są zdolne funkcjonować. Latanie to magia: nagle wszystkie ogniwa zaczynają współpracować i oto człowiek szybuje ku niebu.

Pięknie o tym mówisz — szepnęła.

Uszli już spory kawałek drogi, przysiedli więc na piasku, żeby odpocząć.

— Bo to jest piękne, Kate. Zawsze marzyłem, że tym właśnie będę się zajmować, kiedy dorosnę, a teraz nie mogę się otrząsnąć ze zdumienia, że latam, w dodatku za pieniądze.

— Najwyraźniej jesteś w tym dobry — stwierdziła, a on z zakłopotaniem pochylił głowę.

— Chciałbym, żebyś pewnego dnia poleciała ze mną. Nie wystraszę cię, daję słowo.

— Nie budzisz we mnie żadnego lęku — powiedziała spokojnie.

Istotnie, z nich dwojga to on bał się bardziej, bał się swoich uczuć, bał się, że Kate będąc blisko niego, przyciąga go jak magnes. Dwanaście lat młodsza, pochodziła z zamożnej szanowanej rodziny, rozpoczęła naukę w elitarnym college'u ... Nie należał do jej świata, zdawał sobie z tego sprawę. Ale też nie jej świat stanowił o atrakcyjności Kate, lecz ona sama, to, kim naprawdę była i jak się zachowywała. Nigdy nie znał nikogo takiego jak ona, chociaż spotykał się w życiu z wieloma kobietami — dziewczętami krążącymi jak ćmy w pobliżu lotnisk, siostrami innych pilotów. Prawdziwie zaangażował się tylko raz, jednakże kobieta, którą pokochał, wyszła za mąż za innego, ponieważ — jak stwierdziła — Joe nigdy nie ma dla niej czasu, jest więc bez przerwy samotna. Nie potrafił wyobrazić sobie Kate cierpiącej z powodu samotności, była na to zbyt pełna życia, zbyt niezależna. Mimo swoich osiemnastu zaledwie lat miała do końca ukształtowany charakter i nie dostrzegał w nim żadnych luk, żadnych potrzeb, których zaspokojenie zależałoby tylko od niego, żadnych szczególnych oczekiwań czy roszczeń. Niczym kometa podążała własnym szlakiem i chciał ją tylko pochwycić w tym locie.

Wspomniała mu o pragnieniu studiowania prawa i o tym, że nie mogła go zrealizować, ponieważ kariera adwokacka uchodzi za nieodpowiednią dla kobiety.

— Bzdura — zareplikował. — Jeśli tego naprawdę pragniesz, powinnaś to zrobić.

— Postąpiłabym wbrew woli rodziców, którzy chcą, abym po college'u jak najszybciej wyszła za mąż — odparła z rezygnacją, bo taka wizja drogi życiowej nie ekscytowała jej w najmniejszym stopniu.

— A czy jedno wyklucza drugie? Czy nie możesz być jednocześnie prawniczką i mężatką? — zapytał trzeźwo.

Zdecydowanie pokręciła głowę przy czym jej włosy zawirowały niczym czerwony welon. Dodało to Kate zmysłowości, której Joe ze wszystkich sił próbował się oprzeć. Dotąd szło mu nieźle, bo chociaż był dziewczyną zauroczony, ona uważała, że jest tylko sympatyczny i przyjacielski.

— Czy potrafisz wyobrazić sobie faceta, który pozwoli żonie praktykować prawo? Nie, będzie sobie życzył, żeby siedziała w domu, rodziła i wychowywała dzieci — powiedziała rozgoryczona.

— Czy jest ktoś, kogo chciałabyś poślubić, Kate? — zapytał bynajmniej nie zdawkowo. Przyszło mu nagle do głowy, że mogła kogoś poznać w ostatnich miesiącach albo też ma chłopaka z dawniejszych czasów.

— Nie — odparła krótko. — Nie ma nikogo takiego.

— Więc czym się zajmujesz? Dlaczego, czekając na odpowiedniego kandydata, nie realizujesz swoich marzeń? To tak, jakbyś przejmowała się pracą, której ci jeszcze nie zaproponowano. Może na studiach prawniczych poznałabyś kogoś interesującego. — Ich wyciągnięte na piasku nogi dotykały się lekko, ale Joe nie próbował objąć Kate czy choćby musnąć jej dłoni. — Czy małżeństwo jest aż tak ważne? — zapytał. Sam, mimo ukończonych trzydziestu lat, nawet o nim nie myślał. Kate,

z jej osiemnastoma, od męża i dzieci zdawała się dzielić przepaść. Dziwnie się czuł słuchając, jak mówi o małżeństwie w kategoriach kariery zawodowej raczej niżli przypieczętowania związku z kimś bliskim. Czy wyrażała własne przekonanie czy po prostu automatycznie przyjmowała punkt widzenia rodziców? Nader powszechny punkt widzenia.

— Chyba jest ważne — rzekła z namysłem. — Wszyscy tak twierdzą, a więc niewątpliwie pewnego dnia będzie ważne i dla mnie. Na razie jeszcze go sobie nie wyobrażam. Nic mnie nie popędza i cieszę się, że najpierw idę do college'u. To mi daje trzyletnie odroczenie, a potem... któż wie, co się wydarzy?

— Mogłabyś uciec i wstąpić do cyrku — zasugerował z udawaną powagą.

Ze śmiechem wyciągnęła się na miękkim piasku i Joe znowu pomyślał, że nigdy w życiu nie widział tak pięknej dziewczyny. Ale bardzo młodej... Chociaż w tej chwili wyglądała jak stuprocentowa kobieta. Na długą chwilę uciekł spojrzeniem w bok, żeby odegnąć pożądlive myśli. Kate wciąż nie miała pojęcia, co mu w duszy gra.

— Chyba podobałaby mi się praca w cyrku — powiedziała.

— W dzieciństwie zachwyciałam się kostiumami cyrkowców. I jeszcze koźmi. Bo lwy i tygrysy budziły we mnie strach.

— We mnie też, chociaż w cyrku byłem tylko raz, jeszcze w Minneapolis. Wydał mi się strasznie zgiełkliwy, a klauni wcale nie byli zabawni. Napawali mnie odrazą.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie poważnego chłopczyka przytłoczonego tłumem i wrzawą. Jej zresztą też nie zachwyciała ostentacyjna błazenada, wolała subtelniejsze rozrywki. To, mimo wszelkich dzielących ich różnic, mieli z Joem wspólne. No i jeszcze magnetyczne przyciąganie, które odczuwali oboje.

— Ja nigdy nie lubiłam smrodu panującego w cyrkach, ale życie z gromadą wędrownych cyrkowców byłoby chyba zabawne. Przynajmniej człowiek w każdej chwili miałby do kogo otworzyć usta.

Wciąż wiedział o niej niewiele, z tego jednak, co wiedział, wynikało jasno, że kocha ludzi i bez problemu nawiązuje kontakty. Podziwiał w niej tę zdolność, która jemu samemu nie była dana.

— Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl. Dlatego właśnie uwielbiam latanie: od chwili startu nie muszę do nikogo otwierać ust, na Ziemi natomiast albo ktoś ma mi coś do powiedzenia, albo oczekuje, że ja mu coś powiem. To człowieka wykańcza — stwierdził z udręczonym wyrazem twarzy, zastanawiając się jednocześnie, czy jego ułomność w tej kwestii nie jest przypadkiem wspólną cechą większości pilotów. Odbył z Charlesem kilka bardzo długich lotów, które ku obopólnemu zadowoleniu minęły prawie bez słowa. Ucinali sobie krótką pogawędkę dopiero po wylądowaniu i wyjściu z kabiny. Kate jednak, milczącej przez osiem godzin, nie potrafił sobie wyobrazić.

— Pod pewnymi względami ludzie przypominają pijawki. Mają wobec ciebie wygórowane oczekiwania albo opacznie pojmują to, co się do nich mówi, albo przekręcają to, co usłyszeli, komplikują sprawy, zamiast je upraszczać.

— A więc wolisz, Joe, żeby wszystko było jasne i proste, prawda?

— zapytała ostrożnie. — Ciche i spokojne?

Skinął głową. Nienawidził komplikacji, chociaż zdawał sobie sprawę, że dla wielu stanowią chleb powszedni.

— Ja też lubię proste sytuacje — powiedziała z namysłem — chociaż jeśli chodzi o ciszę, to... no, nie wiem. Przepadam za rozmowami z ludźmi, za muzyką... czasem nawet za hałasem. Dlatego w dzieciństwie nie znosiłam domu rodziców. Byli niemłodzi, raczej ściszeni, nieskłonni do paplaniny. Zawsze traktowali mnie jak małą kobietę, a ja chciałam być dzieckiem, chciałam się brudzić, tłuc co popadnie, czochrać włosy. A w naszym domu wszystko było uładzone, nienagannie wysprzątane. Trudno sprostać takiej sytuacji.

Z jego punktu widzenia, niewyobrażalnie trudno. W domu krewnych, którzy go przygarnęli, zawsze panował nieład, nikt nie zajmował się wiecznie i imorusanymi dzieciakami. Dopóki były małe, nieustannie płakały, kiedy nieco urosły, zaczęły się kłócić. Wrzawa była stanem chronicznym. Jemu samemu powtarzano w nieskończoność, jaki jest nieudany i jaki stanowi ciężar, grożono odesłaniem do dalszej rodziny. W akcie samoobrony otoczył się pancerzem, narzucił sobie powściągliwość w odczuwaniu i wyrażaniu uczuć. Ten pancerz przywarł doń jak druga skóra, a samotność stała się najbardziej pożądanym stanem.

— Narzucali ci styl życia, który z ich punktu widzenia był jedynym właściwym; ciebie mógł przytłaczać — stwierdził, dodając w myślach, że zapewne rodzice Kate dawali jej również miłość i poczucie

bezpieczeństwa. Niemniej jednak była w tej chwili gotowa do samodzielnej żeglugi. — A jak będziesz postępować wobec własnych dzieci? Co się wtedy zmieni?

Pytanie było interesujące, udzieliła więc odpowiedzi dopiero po chwili namysłu.

— Pewnie bardzo je będę kochać i pozwolę im być tym, kim same zechcą być, nie zaś tym, kim miałyby się stać, gdyby decyzja w tej kwestii zależała ode mnie. Będę chciała, żeby były sobą, anie replikami mojej osoby. Dam im swobodę realizowania pragnień. Jeśli zechcą latać, proszę bardzo. Nie będę się przejmować, że to niebezpieczne, zwariowane, że nie wypada. Moim zdaniem rodzice nie mają prawa zmuszać dzieci do podążania tymi samymi szlakami, które wybrali oni.

Ze słów Kate Joe wyczytał ogromne pragnienie wolności. Pragnienie, jakie sam odczuwał przez całe życie. Teraz nie istniały żadne więzy, które mogłyby go skrępować, zerwałby każde kajdany, każde okowy. Bo wolności nie tylko pragnął, lecz potrzebował, jak powietrza. Nie zrezygnowałby z niej za żadną cenę. I dla nikogo.

— Masz rację. Ja nie miałem tego problemu, bo jestem sierotą

— powiedział, a potem wyjaśnił, że jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miał sześć miesięcy, wskutek czego przez całe dzieciństwo opiekowali się nim krewni.

— Czy traktowali cię dobrze? — zapytała z troską Kate.

— Niespecjalnie. Traktowali jak popychadło, kazali niańczyć swoje dzieciaki. Byłem jeszcze jedną gębą do wyżywienia, kiedy więc nastąpił Wielki Kryzys, pożegnali mnie z radością. Nigdy zresztą nie wiodło się im zbyt dobrze — odparł. Kate, przyszło mu do głowy, znała w życiu tylko luksus, poczucie bezpieczeństwa i wygody, cóż więc może wiedzieć o jego życiu? Dla niego latanie oznaczało wolność, wolność w pojęciu Kate oznaczała natomiast nieco więcej swobody, nieco mniej nacisków ze strony rodziców. Były to rzeczy nieporównywalne.

— A ty? Chciałbyś mieć kiedyś dzieci? — zapytała ciekawa, czy w ogóle jego plany uwzględniają potomstwo, czy też jest to problem z punktu widzenia Joego zupełnie błahy.

— Nie wiem. Nigdy się nad tym zbyt głęboko nie zastanawiałem. Może zresztą nie zastanawiałem się w ogóle. Nie sądzę, bym stanowił odpowiedni materiał na ojca, bym przy swoim lataniu mógł poświęcać dzieciom dostatecznie wiele czasu. Chyba jednak lepiej, żebym ich nie miał. W przeciwnym wypadku nieustannie zdręczałbym się wyrzutami sumienia, że je zaniedbuję.

— A ślub? Chciałbyś się ożenić? — ciągnęła Kate, coraz bardziej zafascynowana ich rozmową, w której nie było tematów tabu, podczas której Joe okazywał absolutną, aż bolesną szczerość. Żył zresztą przeświadczenie, że nie zostawiał za sobą zgliszcz, że nikogo — przynajmniej świadomie — nie skrzywdził. Nawet z tą jedyną kobietą, na której mu zależało, rozstał się bez gniewu — swojego czy jej. Odeszła po prostu, gdy uzmysłowiła sobie, że Joe nigdy nie będzie należeć do niej, o czym zresztą uczciwie i bez ogródek ją uprzedził.

— Nigdy nie spotkałem kobiety, która bezboleśnie dla siebie mogłaby się wpasować w moje życie, w to wszystko, co robię. Moim zdaniem większość pilotów to urodzeni samotnicy... Nie mam pojęcia, jak Charles daje sobie radę z życiem rodzinnym. Bywa przecież w domu tak rzadko i dziećmi zajmuje się głównie Anne. To wspaniała kobieta. Może gdybym znalazł kogoś takiego jak ona... — uśmiechnął się do Kate. — Ale to mało prawdopodobne, Anne jest jedyna w swoim rodzaju. No więc nie wiem... Chyba, jak już mówiłem, nie jestem stworzony do małżeństwa. Człowiek powinien słuchać swoich pragnień, być sobą. Nie można się zmuszać do noszenia masek, bo to się nie sprawdza, a czasem innych dotkliwie rani. Nie chcę tego ani dla siebie, ani dla nikogo. Chcę być sobą, nie mam innego wyjścia.

Słuchając jego wywodu, Kate pomyślała, że powinna jednak pójść na studia prawnicze. Chociaż... chociaż boleśnie zawiodłaby wtedy rodziców. Joe od zawsze żył we własnym świecie, przed nikim poza sobą nie odpowiadał, nikomu poza sobą nie musiał sprawiać przyjemności. Ona dźwigała brzemień nadziei i marzeń rodziców. Nie mogła ich rozczarować. Długo trwali w milczeniu, rozmyślając o wszystkim, co z taką szczerością sobie wyjawili, i o owej tajemniczej sile, która popychała ich ku sobie, dawała obojgu poczucie, że pasują do siebie, jak rewers i awers monety, wreszcie jednak Joe, który nie wyciągnął się na piasku obok Kate z obawy, że nie zdoła utrzymać rąk przy sobie, powiedział cicho:

— Chyba powinniśmy już wracać. Jeśli twoi rodzice zaczną się niepokoić, mogą uznać, że cię uprowadziłem, i wyślą za nami policję.

Skinęła głową i usiadła. Nikomu wprawdzie nie mówiła, z kim i dokąd idzie, kilku uczestników imprezy widziało jednak z pewnością, jak oddalała się w towarzystwie Joego. Jeśli osoby te rozpoznały Joego i wspomniały o tym ojcu, Ciarke może za nimi pospieszyć — nie z powodu nieufności wobec Kate, lecz z chęci pogadania z Joem, którego darzył szczerą sympatią.

Joe pomógł jej wstać i ruszyli pomału w stronę ogniska migocącego w ciemnościach gdzieś daleko, bardzo daleko przed nimi. Mniej więcej w połowie drogi Kate wsunęła rękę pod ramię Joego, on zaś leciutko ją przycisnął, ubolewając w duszy, że tylko na tyle może sobie

pozwolić. Ale nie zamierzał ulec swoim odruchom i uczuciom, nie miał do tego prawa, a Kate zasługiwała na znacznie więcej, niż mógł jej ofiarować. Była poza jego zasięgiem.

Gdy po dwóch kwadransach marszu dotarli w pobliże ogniska, stwierdzili z zaskoczeniem, że nikt ich nie szuka, ba, nikt nie wie nawet, że się oddalili.

— Chyba mogliśmy powłóczyć się dłużej — zauważyła Kate, przyjmując od Joego kubek kawy. Sam Joe sięgnął po kieliszek wina; rzadko pił, bo nieustannie latał, tego wieczoru jednak nie miał najmniejszego zamiaru siadać za sterami samolotu. Nie miał również zamiaru dłużej pozostawać z Kate sam na sam, bo z każdą chwilą coraz mniej sobie ufał, niemal więc westchnął z ulgą na widok państwa Jamisonów, którzy szykując się do opuszczenia imprezy odnaleźli córkę. Clarke wyraźnie uradował się ze spotkania z Joem.

— Cóż za wspaniała niespodzianka, panie Allbright — powiedział.

— Kiedy wrócił pan z Kalifornii?

— Wczoraj — odparł z uśmiechem Joe. — Ale tylko na kilka dni. Zamierzałem zresztą do pana zadzwonić.

— Mam nadzieję. Wciąż liczę na obiecany lot. Może przy okazji pańskiej następnej wizyty.

— Umowa stoi — zapewnił go be.

Kiedy Jamisonowie oddalili się jeszcze na moment, żeby pożegnać gospodarzy i najbliższych przyjaciół, popatrzył na Kate, mając przy tym bardzo dziwny wyraz twarzy. Było coś, o co pragnął zapytać przez cały wieczór, chociaż nie wiedział, czy wypada. Powtarzał sobie, że to niezobowiązujące, że nic im nie grozi, skoro przynajmniej w sensie fizycznym rozdzieli ich setki mil. Nie chciał jej zwieść na manowce, a siebie narażać na niezdolne pokusy.

— Kate — wyrzucił wreszcie z siebie ogarnięty dawnym zakłopotaniem — co sądzisz o napisaniu do mnie listu od czasu do czasu? Chciałbym wiedzieć, co u ciebie słychać.

Naprawdę? — zapytała zdumiona. Z tego wszystkiego, co mówił jej o swojej niechęci do małżeństwa i dzieci, wysnuła jednoznaczny wniosek, że jej nie uwodzi, że zależy mu tylko na przyjaźni. Z jednej strony przyjęła to z pewną ulgą, z drugiej wszakże z uczuciem rozczarowania. Pociągał ją, ale nie dał po sobie poznać, czy to odwzajemnia. Był, jak zdążyła się zorientować, mistrzem w skrywaniu uczuć.

— No wiesz, co robisz i w ogóle — powiedział jowialnym tonem, usiłując zamaskować zakłopotanie, w które go wprowadzała. — A ja zrewanżuję ci się relacjami z moich lotów próbnych w Kalifornii. Jeśli oczywiście nie zanudzę cię w ten sposób na śmierć.

— Ależ skąd — odparła, dochodząc do wniosku, że takie listy mogłyby również dawać do przeczytania ojcu. Byłby wniebowzięty.

Joe podał Kate karteczkę, na której nagryzmoili swój adres.

— Kiepski ze mnie pisarz, ale stanę na głowie, by temu podołać. Ty natomiast pisz o wszystkim, co uznasz za interesujące. O nauce itak dalej.

Miał nadzieję, że powiedział to tonem starego przyjaciela albo wujaszka, nie zaś konkurenta czy kandydata na męża. Okazując wobec niej wielką szczerą, przemilczał jednak kilka spraw: że go nieodparcie pociąga i że to budzi w nim lęk. Nie chciał, i to za żadną cenę, ulec swoim uczuciom, doszedł więc do wniosku, że jeśli pokieruje ich znajomością tak, iż przerodzi się w przyjaźń, będą bezpieczni, wolni od wszelkiego ryzyka. Ale nie pod warunkiem całkowitego zerwania kontaktów.

— Masz wizytówkę ojca z naszym domowym adresem, a swoje zamiary w Radcliffe przysyłaj ci natychmiast, kiedy je poznam — obiecała.

— Trzymam cię za słowo.

Pomyślał z radością, że pierwszy jej list otrzyma tuż po powrocie do Kalifornii. Na tym mu właśnie zależało; jeszcze się nie rozstali, a już

tęsknił. To było okropne, nic jednak nie mógł poradzić... przyciągała go niczym światło w mroku, niczym ciepłe bezpieczne miejsce, w którym mógłby się skryć.

— Szczęśliwej podróży — powiedziała Kate, a jej spojrzenie wyraziło więcej niż całe tomy. Spojrzenie Joego zresztą też. Poza tym Joe nie potrafiłby w tej chwili znaleźć właściwych słów.

Kilka minut później, podążając w ślad za rodzicami, wspięła się na wydnię i pomachała do Joego. Odpowiedział w taki sam sposób, a potem, kiedy już zniknęła mu z oczu, znów samotny powędrował skrajem plaży.

ROZDZIAŁ III

Pierwsze tygodnie nauki były gorączkowym okresem w życiu Kate: musiała kupować podręczniki, uczestniczyć w zajęciach, spotykać się z wykładowcami, ustalać z opiekunką plan zajęć, zawierać nizinę nowych znajomości z dziewczętami, które mieszkaly w jej akademiku. Wystarczyło kilka dni, by doszła do wniosku, że uwielbia ten młyn

— ku rozpaczy matki nie wracała na weekendy do domu, ale starała się przynajmniej od czasu do czasu zadzwonić do rodziców.

Do Joego napisała dopiero po trzech tygodniach pobytu w Radcliffe; zwlekała z listem nie tyle z braku czasu, ile z chęci uzbierania większej liczby interesujących historyjek. Kiedy w niedzielne popołudnie zabrała się do pisania, miała ich już pod dostatkiem. Wspomniała o wszystkim — o koleżankach, profesorach, zajęciach i posiłkach, ale głównie pisała o swym zachwycie studiami w Radcliffe, pierwszym prawdziwym łukiem wolności.

Uznała, że nie wypada napomykać o chłopakach z Harvardu, których poznała tydzień wcześniej. Jednego z nich, studenta drugiego roku Andy”ego Scotta, od razu obdarzyła sympatią, ale przy Joem Andy wypadł blade, Joe bowiem stał się dla Kate wcieleniem męskiego ideału. Nikt nie był równie wysoki, przystojny, silny, interesujący, dojrzały i ekscytujący jak on, Andy nie był więc nawet marną namiastką Joego Allbrighta, chociaż miał miły sposób bycia, a jako kapitan harwardzkiej drużyny pływackiej, stanowił obiekt westchnień niejednej nowicjuszki z Radcliffe.

List Kate łączył w sobie wszystko, co tak bardzo podobało się Joemu w samej KEte — kipiał życiem, radosnym podnieceniem, optymizmem.

W rewanżu Joe zrelacjonował dziewczynie swoje ostatnie poczynania, opisał najnowszy prototyp i kolejny sukces w walce z nierozwiązalnymi dotąd problemami, tak samo jednak jak Kate to i owo pominął milczeniem. Nie wspomniał mianowicie o młodym oblatywaczu, który dzień wcześniej zginął nad Newadą podczas lotu próbnego... To on, Joe, miał wtedy lecieć, ale zmienił rozkład lotów ze względu na ważne spotkanie, i to on musiał powiadomić o wypadku żonę tragicznie zmarłego lotnika. Wciąż był przygnębiony, lecz uczynił wszystko, aby nadać swojemu listowi lekki ton. Listowi, który — jak doszedł do wniosku skończywszy pisanie — był w porównaniu z epistolą Kate nudnymi wypocinami. Niemniej jednak go wysłał, wielce nierad ze swych umiejętności pisarskich.

Kate otrzymała go dziesięć dni po wysłaniu swojego listu i natychmiast, wymówiwszy się Andy”emu, który chciał się z nią zobaczyć w weekend, przystąpiła do kreślenia długiej odpowiedzi. Koleżanki, które twierdziły, że Kate chyba zwariowała odpychając kogoś takiego jak Andy, nie mogły wiedzieć, iż jej serce należy już do pewnego lotnika z Kalifornii. O Joem powiedziała im tylko tyle, że jest jej przyjacielem, cały list zresztą też utzymała w przyjacielskiej tonacji, nie zdradzając prawdziwych uczuć. Uczelniane życie opisała z taką werwą i humorem, że podczas lektury Joe pokładał się ze śmiechu:

Kate miała szczególny dar dostrzegania i relacjonowania najzabawniejszych aspektów niemal każdej sytuacji.

Listy krążące pomiędzy nimi przez całą jesień coraz częściej jednak przybierały poważniejszy ton, sytuacja w Europie bowiem ulegała pogorszeniu. Joe trwał w przeświadczeniu, że Ameryka przystąpi do wojny, rozważał możliwość wyjazdu do Anglii i podjęcia współpracy z RAF-em, informował, że Charles odbył w Waszyngtonie naradę z Henrym Fordem, który podziela jego pogląd.

Kiedy dwa miesiące później, we wtorek przed weekendem Święta Dziękczynienia, ktoś zadzwonił do akademika, Kate była pewna, że to matka chce zapytać, o której nazajutrz ma się jej spodziewać—w Święto Dziękczynienia podejmowali goście, weekend zapowiadał się pracowicie. W poniedziałek Kate wyskoczyła z Andym na kawę; Andy oznajmił, że jedzie do Nowego Jorku i że zadzwoni do niej z domu. W ciągu dwóch minionych miesięcy byli parę razy na kolacji, ale nic z tego nie wyszło; korespondencja z Joem zajmowała Kate znacznie bardziej niż ewentualne randki ze studentem drugiego roku.

— Halo? — odezwała się do słuchawki, ale w odpowiedzi ku swemu bezgranicznemu zdumieniu nie usłyszała głosu mamy, lecz głos Joego dobiegający, jak na połączenie międzymiastowe, niezwykle wyraźnie. — Cóż za niespodzianka! — dodała po chwili szczęśliwa, że Joe nie może widzieć jej rumieńców. — Udanego święta, Joe.

— I wzajemnie, Kate. Jak tam na uczelni?

Jeszcze silniej niż samym telefonem Joego była zaskoczona swoim zdenerwowaniem podczas rozmowy. Być może w listach otworzyli się na siebie tak bardzo, że puścili ich ostatnie linie obronne.

— Doskonale. Jutro wracam do domu, spędzę tam cały weekend.

Już mu o tym pisała, ale musiała cokolwiek powiedzieć, żeby nie zapadła między nimi kłopotliwa cisza.

— Wiem — rzekł równie zdenerwowany Joe, który mimo udawanej pewności siebie czuł się w tej chwili jak młokos. — Dzwonię, żeby spytać, czy nie wybrałaś się ze mną na kolację. Oczekując odpowiedzi, wstrzymał oddech.

— Na kolację? — wyjąkała. Gdzie...? Kiedy...? Przylatujesz z Kalifornii?

— Właściwie już tu jestem. Ta podróż wynikła w ostatniej chwili. Charles jest w mieście, a muszę prosić go o pewną radę. Jemy dziś kolację. Mógłbym w weekend podskoczyć do ciebie z Nowego Jorku.

W istocie porada Lindbergha mogła poczekać, ale Joe potrzebował pretekstu, żeby wybrać się na wschód, i oto taki pretekst znalazł. Wmawiał sobie, że to nic nie znaczy, że chce się po prostu zobaczyć z przyjaciółką. Jeśli więc Kate nie znajdzie dla niego czasu — trudno, wróci do Kalifornii. Nie chciał się umawiać wcześniej, wolał postawić ją przed faktem dokonanym. Tylko że nie potrzebował tych gier, bo Kate oddałaby wszystko, żeby się z nim spotkać. Udzielając jednak odpowiedzi, siliła się na nonszalancję.

— Kiedy chcesz przyjechać? Zobaczę się z tobą z przyjemnością.

Grali swe role przyjaciół dobrze, choć nie bez pewnej szarży. Ją elektryzowało zainteresowanie dorosłego mężczyzny, a on nigdy wobec żadnej kobiety nie doznawał takich niepokojących, zupełnie nowych uczuć.

— Kiedy tylko zechcesz — odparł.

Zastanawiała się przez chwilę. Nie wiedziała, jak zareaguje matka, choć ojciec na pewno będzie zachwycony. Cóż, gra była warta świeczki.

— Miałbyś ochotę spędzić z nami Święto Dziękczynienia? — zapytała wstrzymując oddech. W telefonie na moment zapadła cisza, a potem rozległ się wyrażający bezgraniczne zaskoczenie głos Joego:

— Czy jesteś pewna, że rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu?

— Ależ jestem — odparła zuchowato, zanosząc modły, żeby matka nie wpadła w złość. Ale przecież mieli być inni goście, Joe z pewnością ubarwi towarzystwo. — No i co, piszesz się na taki pomysł?

— Jest doskonały. Mógłbym przylecieć w czwartek rano. O której siadacie do kolacji?

— O siódmej. Goście zostali zaproszeni na piątą, ale możesz przyjść wcześniej, jeśli masz ochotę — zaproponowała, nie chcąc, żeby przez kilka godzin pętał się po lotnisku.

— Piąta pasuje — odrzekł pogodnie. Przyszedłby o szóstej rano, gdyby mu kazała, nie miał jednak pojęcia, dlaczego tak bardzo pragnie zobaczyć Kate. Po latach pustki emocjonalnej był na swoje uczucia głuchy i ślepy. — Czy impreza będzie bardzo formalna? — zapytał nagle zaniepokojony. Bo jeśli tak, musiałby pożyczyć smoking od Charlesa, a potem go odesłać. Nie, chociaż ojciec, będąc człowiekiem starej daty, z reguły nakłada ciemny garnitur. Możesz przyjść w tym, co ze sobą zabrałeś.

— Bomba, nałożę kombinezon lotniczy — stwierdził ze śmiechem.

— Chętnie cię w nim zobaczę powiedziała zupełnie serio.

— Może podczas tego weekendu uda się nam zorganizować dla ciebie i twego ojca małą wycieczkę samolotową.

Tylko nie wspominaj o tym mojej mamie, bo albo zakrztusi się indykiem, albo wyrzuci cię w połowie kolacji.

— Nie pisnę słówkiem. Do zobaczenia w czwartek. Odpowiedziała równie lekkim tonem, kiedy jednak odłożyła słuchawkę, miała spocone dłonie. Joc zresztą też.

Temat wizyty Joego poruszyła ostrożnie nazajutrz, po przyjeździe do domu. Matka — znana z zamiłowania do wykwiintnej zastawy

i umiejętności układania kwiatów w piękne kompozycje — przeglądała w kuchni porcelanowy serwis.

— Cześć, mamó. Pomóc ci może? — zapytała Kate, otwierając drzwi.

Elizabeth spojrzała na nią zaskoczona: córka miała zwyczaj rozwiewać się jak dym, kiedy wchodziły w grę prace domowe, które uważała za nudne i przygnębiające.

— Jesteś na wagarach? — zapytała z rozbawieniem. — Musisz mieć na sumieniu jakieś straszne przestępstwo, skoro proponujesz mi pomoc w liczeniu porcelany. Jak straszne?

— A nie wystarczy ci wyjaśnienie, że od rozpoczęcia nauki w college'u trochę wydorostałam? — burknęła wyniośle Kate.

Elizabeth udała, że się zastanawia.

To możliwe, ale mało prawdopodobne. Studiujesz ledwo trzy miesiące, a według mnie człowiek zaczyna dojrzewać na drugim roku, dorośleje zaś dopiero na trzecim.

— Super. Chcesz mi więc powiedzieć, że po dyplomie będę przepadała za liczeniem porcelany?

Właśnie. Szczególnie jeśli ta porcelana będzie należeć do ciebie i twojego męża.

— Mamó... daj spokój, dobra? Otóż zrobiłam coś w duchu, jaki twoim zdaniem powinien towarzyszyć Świętu Dziękczynienia

— oznajmiła Kate z miną niewiniątka. Zabiłaś i oskubałaś indyka?

— Nie, zaprosiłam na obiad osobę zaprzyjaźnioną i bezdomną. No, nie tyle bezdomną, ile... bezrodzinną.

— To szlachetne z twojej strony, kochanie. Ktoś z Radcliffe?

— Nie, z Kalifornii.

— A więc oczywiście, że nie może na święto jechać do domu. Naturalnie możesz ją zaprosić. Mamy osiemnaścioro gości, jedna dziewczyna więcej nie robi żadnej różnicy.

— Dziękuję, mamó — powiedziała Kate, a potem, wstrzymując oddech, dodała: — Tylko że to nie jest dziewczyna.

— A więc chłopak? — Zdumiona Elizabeth uniosła brwi.

— Powiedzmy.

— Z Harvardu? dopytywała się szczerze zadowolona Elizabeth.

Wizja Kate spotykającej się ze studentem Harvardu była jak miód na jej serce... i to proszę, zaledwie po trzech miesiącach studiów.

— Nie z Harvardu — odparła Kate, rzucając się na głęboką wodę.

— To Joe Allbright.

Nastąpiła długa pauza, podczas której matka tylko wbijała w Kate pytające spojrzenie.

Ten pilot? Jakim cudem zdołaliście się umówić?

— Ni z tego, ni z owego zadzwonił do mnie wczoraj. Jest z wizytą u Lindberghów, ale w Święto Dziękczynienia nie ma co ze sobą zrobić.

— Czy to nie dziwne, że ot tak do ciebie zadzwonił? — zapytała podejrzliwie Elizabeth.

— Może. — Ponieważ Kate nie wspominała matce o korespondencji, trudno jej było teraz wyjaśnić, dlaczego zaprosiła Joego na kolację. Musiała jednak wymyślić jakiś wiarygodny powód.

— Dzwonił do ciebie wcześniej?

— Nie — odparła Kate uczciwie. — Myślę, że po prostu lubi tatę, a może również doskwiera mu samotność. Chyba w ogóle nie ma rodziny. Nie wiem, dlaczego zadzwonił, mam, ale kiedy powiedział, że nie ma żadnych planów na święto, zrobiło mi się go żal. Nie sądziłam, że ty albo tata będziecie mieć jakieś zastrzeżenia.

Sięgnęła po marchewkę i śmiało spojrzała matce w oczy. Elizabeth jednak nie dała się nabrać, coś niepokoiło ją w zachowaniu Kate. Poza tym mimo swoich pięćdziesięciu ośmiu lat nie zapomniała, jak to jest, kiedy starszy mężczyzna oczaruje młodą pannicę. Niepokoił ją też sam Joe, z pozoru tak nieprzystępny i wyniosły, a zarazem magnetycznie pociągający; łatwo było sobie wyobrazić, że kiedy naprawdę zainteresuje się kobietą, ta nie potrafi mu się oprzeć. Kate może tego nie rozumiała, rozumiała jednak jej matka i to przejmowało ją troską.

— Nie mam zastrzeżeń co do jego udziału w kolacji — oświadczyła bez ogródek Elizabeth — mam jednak zastrzeżenia, i to poważne, jeśli cię podrywa, Kate. Jest znacznie starszy od ciebie, nie jest natomiast typem mężczyzny, w którym, jak sądzę, powinnaś się zakochać. Któż ma prawo decydować za innych, w kim mogą się zakochać, a w kim nie?, pomyślała Kate, lecz tylko posłusznie skinęła głową.

— Nie jestem w nim zakochana, mam. A Joe przyjdzie tylko pojeść indyka.

— Czasem tak to się wszystko zaczyna: od przyjaźni i nadmiernej zażyłości.

— Ależ Joe mieszka daleko, w Kalifornii — zareplikowała Kate.

— Przyznaję, to mnie nieco pociesza. W porządku, powiem twojemu ojcu, chociaż z góry wiem, i stwierdzam to z prawdziwą przykrością, że będzie wniebowzięty. Przysięgam jednak, że jeśli ten człowiek zaproponuje Clarke'owi wycieczkę jakimś niebezpiecznym aeroplanem, uczęstuję go arsenikiem.

— Dzięki, mam — rzuciła nonszalancko Kate i wymaszerowała z kuchni.

— Sądziłam, że zamierzasz mi pomóc! — zawołała Elizabeth za córką.

— W poniedziałek muszę złożyć pracę, powinnam się za nią zabrać! — odkrzyknęła zza drzwi Kate.

Elizabeth i tym razem nie dała się zwieść: wyraz twarzy Kate w chwili, gdy usłyszała, że Joe może przyjść na kolację, już nie zaniepokoił jej, lecz przeraził... ona sama miewała taki wyraz twarzy, kiedy dawno temu potajemnie uwodził ją jeden z przyjaciół ojca. Szczęściem rodzice dowiedzieli się o wszystkim i doprowadzili do zerwania niefortunnego romansu, zanim doszło do czegoś strasznego. Wieczorem w sypialni podzieliła się obawami z mężem. Ale Clarke je zbagatelizował.

— Po prostu przychodzi na kolację, Elizabeth. Jest interesującym człowiekiem i z pewnością na tyle rozsądnym, żeby nie uganiać się za osiemnastoletnią dzierlatką. Mężczyzna tak przystojny może mieć każdą kobietę, której zapragnie.

— Przemawia przez ciebie naiwność — odparła pobłaźliwie Elizabeth. — Kate to bardzo piękna dziewczyna i niestety, myślę, oczarowana Joem Allbrightem, postacią przecież wielce romantyczną. Połowa kobiet w Stanach oddałaby wszystko za romans z Charlesem Lindberghiem, podejrzewam zresztą, że niejedna próbowała nawiązać taki romans. Otóż pan Allbright ma w sobie ten sam rodzaj magii i wdzięku co Lindbergh.

— A więc uważasz, że to Kate go podrywa? — zapytał ze zdumieniem Clarke. Był zdania, że Kate ma głowę na karku, a Elizabeth nie przyjmuje tego do wiadomości.

— Może, choć w istocie bardziej przejmuję się tym, że jest na odwrót. Dlaczego zadzwonił do niej, a nie do ciebie?

— W porządku, muszę się z tobą zgodzić, że Kate jest o wiele ładniejsza niż ja. Ale równocześnie to rozsądna dziewczyna, Allbright zaś sprawia wrażenie dżentelmena.

— A jeśli się w sobie zakochają?

— Zdarzają się większe tragedie. Allbright jest kawalerem, człowiekiem szanowanym, i to bardzo szanowanym. Ma pracę. Chociaż

— zgoda! — nie w bostońskim banku. Ale czyż możemy wykluczyć, że Kate pozna kogoś, kto nie jest lekarzem, prawnikiem czy finansistą? Może związać się w Harvardzie z jakimś arabskim lub hinduskim księciem, z jakimś Francuzem czy co gorsza, Niemcem i w rezultacie wylądować na drugim końcu świata. A mimo to nie możemy trzymać jej wiecznie pod kluczem. Jeśli więc Joe Allbright okaże się tym wybranym, jeśli ją uszczęśliwi i będzie dla niej dobry, cóż, jakoś to przełknę. To przyzwoity człowiek, Elizabeth. Lecz powtarzam: moim zdaniem nic nie uzasadnia twoich obaw.

— A jeśli zginie w katastrofie lotniczej, pozostawiając Kate z całą gromadą dzieci? Clarke się uśmiechnął.

— A jeśli Kate wyjdzie za pracownika banku, ten zaś zginie pod kolan-ii tramwaju... albo nie daj Boże, będzie traktował ją źle, albo ona będzie nieszczęśliwa, bo poślubiła go tylko po to, żeby nam sprawić przyjemność? Już wolę, żeby na męża wybrała kogoś, kto ją naprawdę kocha.

Jego wypowiedziane tonem perswazji słowa nie uspokoiły jednak Elizabeth, która wyszeptwała trwożnie:

— A więc myślisz, że on ją kocha?

— Wcale nie myślę. Sądzę, że jest po prostu samotnym facetem, który nie ma gdzie spędzić Święta Dziękczynienia. A Kate, jak ją znam, ulitowała się nad nim. Ani on jej nie kocha, ani ona jego.

— Tak właśnie twierdzi Kate: że się nad nim ulitowała.

— A nie mówiłem? — Otoczył żonę ramieniem. — Zamartwiasz się bez powodu. Kate jest dobrą dziewczyną i jak jej matka ma miękkie serce.

Elizabeth westchnęła, usiłując przekonać samą siebie, że Ciarke ma słuszość, nazajutrz jednak, kiedy pojawił się Joe, znów ogarnęły ją wątpliwości, Kate bowiem wcale nie sprawiała wrażenia dobrej samarytanki, która po prostu ulitowała się nad bezdomnym— promieniała i była radośnie podniecona. A Joe podążał za nią do jadalni jak zaczarowany. Potem, kiedy Ciarke wciągnął go w rozmowę, uwadze Elizabeth nie mogły umknąć spojrzenia wymieniane przez Joego i jej córkę — spojrzenia porozumiewawcze albo wyrażające zachwyt czy uwielbienie. Nic więc dziwnego, iż doszła do wniosku, że tych dwoje zna się lepiej, niż którekolwiek z nich oficjalnie przyznaje. Kate zresztą niczego nie starała się ukryć, wiedząc, że takie próby zakończyłyby się fiaskiem: korespondencja połączyła ich aż nazbyt widoczną więzią. Jedynym zatem pocieszeniem dla Elizabeth była konstatacja, że przynajmniej Joe jest inteligentny, dobrze wychowany, czarujący i że traktuje Kate z wielką życzliwością i szacunkiem; ale z drugiej strony uderzał w nim jakiś chłód, dystans wobec otoczenia, a nawet coś na kształt lęku. Mogło się zdawać, że doznany przezeń w którymś momencie życia ciężki uraz nieodwracalnie coś w nim

unicestwił. O samolotach zaś mówił z taką pasją, że w Elizabeth obudziło się podejrzenie, czy mogłaby z nimi konkurować w sercu Joego jakakolwiek kobieta. Skłonna zatem przyjąć do wiadomości, że Joe jest przyzwoitym człowiekiem, nie widziała w nim odpowiedniego materiału na męża dla swojej córki. Poza wszystkim zbyt często ryzykował życie, a Elizabeth życzyła sobie, by największe ryzyko, jakie będzie podejmował przyszły mąż Kate, wiązało się ze schodzeniem do furtki po poranną gazetę. Przez całe życie chroniła Kate przed zagrożeniem, krzywdą, chorobą, bólem, nie mogła natomiast obronić jej przed rozpaczą, a tej Kate zaznała aż za wiele po śmierci ojca; miłość do Joego niosła niebezpieczeństwo dramatu. Mogła się skończyć złamanym sercem. Elizabeth zdawała sobie sprawę, jak groźnie fascynujący i pociągający jest Joe. Nawet powściągliwość stawała się jego atutem, nietrudno było bowiem wyobrazić sobie kobietę pragnącą przebić się przez mury, które wznosił wokół siebie. Tak właśnie podczas kolacji zachowywała się Kate: robiła wszystko, aby poczuł się swobodnie i odsłonił. Chociaż czyniła to podświadomie.

Tak czy inaczej, obserwując ich Elizabeth uznała, że najgorsze już się stało, że Kate — choć jeszcze tego nie wie pokochała Joego. Trudno było jednak wyczuć, czy z wzajemnością, jakkolwiek bez

wątpienia Kate pociągała Joego z nieprzepartą siłą. Co wszakże kryło się pod tym zauroczeniem — nie wiedziała ani Elizabeth, ani na tym etapie sam Joe. Ale zapewne toczył wewnętrzną walkę z tym nienazwanym uczuciem. I przegrywał ją.

Ciarke nie okazał się równie przenikliwy jak jego żona, kiedy bowiem wstawali od stołu, otoczył ją ramieniem i wyszeptał do ucha:

— Widzisz? Są tylko przyjaciółmi..., przecież mówiłem.

— Z czego wyciągasz taki wniosek? — zapytała smutno.

— Popatrz, zachowują się niczym starzy kumpie, a Joe odnosi się do Kate jak do dziecka, jak na przykład do młodszej siostry.

— A ja sądzę, że się kochają.

Wychodzili z jadalni ostatni, puszczając przodem wszystkich gości. Clarke pocałował żonę i powiedział:

— Jesteś nieuleczalną romantyczką, najdroższa.

— Niestety nie jestem — zaoponowała. — Jestem cyniczką, a w najlepszym razie realistką. Nie chcę, żeby ją zranił. Bo może to zrobić, bardzo boleśnie. A tego naprawdę nie chcę.

— Ja też nie chcę. Ale jej nie zrani, jest dżentelmenem.

— Lecz przede wszystkim mężczyzną, pociągającym przez swą romantyczną aurę. Moim zdaniem zresztą zauroczenie jest wzajemne. Niepokoi mnie jednak coś jeszcze... Odnoszę wrażenie, że Joe ma w sobie głęboki uraz psychiczny. Wiemy, że został osierocony w niemowlęctwie. Bóg jeden wie, co spotkało go w dzieciństwie, jakie rany mu wtedy zadano. Nie chce o tym mówić. I dlaczego jeszcze się nie ożenił?

Clarke znów był gotów zbagatelizować te zupełnie u matki zrozumiałe obawy.

— Bo jest bez przerwy zajęty — zareplikował.

Kiedy dołączyli do przebywających w salonie gości, Kate i Joe siedzieli w rogu pogrążeni w rozmowie. Elizabeth nie potrzebowała kolejnych dowodów: niepomi na obecność wokół siebie kilkunastu osób wyglądali tak, jakby jedno gotowe było oddać życie za drugie.

Elizabeth rozumiała, że zostaje jej tylko modlitwa.

ROZDZIAŁ IV

Nazajutrz, w piątek, Joe przyjechał po Kate i Zabrał ją na całe popołudnie: najpierw spacerowali po Boston Garden, potem zjedli podwieczorek w Ritzu. Kate przez cały czas zabawiła Joego opowieściami o swych podróżach po Europie i Azji, Joe zaś — w co zapewne nie uwierzyłby nikt, kto miał okazję z nim latać — odpłacał równą monetą, a poza tym nieustannie wybuchał śmiechem. Wieczorem po wspólnej kolacji poszli do kina na „Obywatela Kane’a”, który w obojgu wzbudził zachwyt, kiedy jednak koło północy zegnali się pod domem Jamisonów, Kate z trudem tłumiła ziewanie.

— To był cudowny wieczór — rzekła z uśmiechem.

— Dla mnie też, Kate — odparł Joe wyraźnie zadowolony. Wyglądało na to, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

W domu Kate natychmiast natknęła się na matkę.

— Dobrze się bawiłaś? — zapytała Elizabeth z nieskrywanym niepokojem. W gruncie rzeczy wolałaby zapytać, jak zachowywał się i co mówił Joe, czy ją pocałował lub zrobił coś równie nieodpowiedniego, ale nakłoniona do tego przez męża, zaniechała zbyt szczegółowych pytań.

— Naprawdę świetnie, marno — odpowiedziała spokojnie Kate. Była to prawda, niczyje towarzystwo nie sprawiło jej tyle przyjemności. Zdumiewające: widzieli się dopiero czwarty raz, a mieli wrażenie, że są parą najlepszych przyjaciół na świecie. Zapewne przyczyniła się do tego trwająca trzy miesiące wymiana listów. Co więcej, Kate straciła poczucie, że dzieli ich tak znaczna różnica wieku, Joe bowiem zachowywał się chwilami jak młokos.

— Umówiliście się na jutro? — zapytała Elizabeth. Kate, nie chcąc kłamać, skinęła głową. — Ale nie zabierze cię na wycieczkę samolotów prawda?

— Oczywiście, że nie — odparła szczerze Kate. Joe nawet nie wspomniał o takiej możliwości, a poj utrze wracał już do Kalifornii.

Kate szła do swojej sypialni pogrążona w zadumie: musiała uporządkować uczucia, jakie wzbudził w niej Joe. Może zresztą nie było to ważne, skoro ani razu nie dał do zrozumienia, iż darzy ją czymś więcej niż przyjaźni ani razu nie zasugerował możliwości romansu. Lecz z drugiej strony oboje jasno widzieli, że przyciągają się jak magnes.

Nazajutrz, kiedy o ósmej rano Kate schodziła do kuchni, w holu zadzwonił telefon. Był przepiękny jesienny dzień, rodzice jeszcze spał. Kate, która nie miała pojęcia, kto mógłby dzwonić o tak wczesnej porze, podniosła słuchawkę i zaskoczona usłyszała głos Joego. Lekko zakłopotany i wyrażający niepokój, co wynikało z obawy, iż telefon odbierze Elizabeth.

— Obudziłem cię?

— Nie, już wstałam. Szłam akurat na dół, żeby coś zjeść — odparła Kate.

Byli tego dnia umówieni z Joem na lunch, sądziła więc, że — być może nieco za wcześnie — Joe chce ją poinformować, kiedy po nią przyjedzie.

— Piękny dzionek, nieprawdaż? — zapytał lekkim tonem.

— Otóż... zaplanowałem dla ciebie coś w rodzaju niespodzianki... Sądzę, że może ci sprawić przyjemność... a raczej mam nadzieję.

Uśmiechnęła się, dochodząc do wniosku, że przypomina chłopca, który chce się pochwalić nowym rowerem.

— Wezmiesz tę niespodziankę ze sobą kiedy po mnie przyjedziesz?

Odpowiedział dopiero po chwili wahania.

— Pomyślałem sobie, że to raczej ciebie wezmę do niespodzianki. Bo jest trochę nieporęczna. No i co ty na to, Kate?

Wstrzymał oddech: niczego nie pragnął bardziej, niż złożyć jej ten dar, swój największy i jedyny dar. Clarke by pewnie odgadł, Kate wszakże niczego się nie domyślała.

— Brzmi intrygująco — odparła, przeczesując dłonią swe długie włosy. — Kiedy mi ją zademonstrujesz?

Z głosu Joego przebij ało to szczególne podniecenie, jakie mężczyźni rezerwują dla swych nowych zabawek, Kate więc uznała w pierwszej chwili, że chodzi o samochód. Jakież jednak sens miałyby dla Joego kupowanie auta na wschodzie, skoro wciąż mieszkał w Kalifornii?

— A gdybym tak wpadł po ciebie za godzinę? — wyrzucił bez tchu.

— Zdążysz się przygotować?

— Jasne.

Rodzice, być może, będą jeszcze spać, ale w takim wypadku zostawi im wiadomość. Matka zresztą wie, że umówiła się z Joem na lunch.

No to będę o dziewiątej — postawił kropkę nad i. — Tylko, Kate... ubierz się ciepło.

Odgadując, że chodzi o wycieczkę, zapewniła go, iż nałoży ciepły płaszcz.

Godzinę później, kiedy taksówką przyjechał po nią Joe, czekała już przed domem ubrana w bajowy płaszcz, wełnianą czapeczkę i szalik, pod tym zaś — spódnicę w szkocką kratę i stary, nieźle znoszony sweter. Na nogach miała pantofle.

— Ładnie wyglądasz — stwierdził, a potem zapytał z troską:

— Myślisz, że nie zmarzniesz?

Roześmiana pokręciła głową.

Zrazu myślała, że pojedą na ślizgawkę, była więc zaskoczona, gdy Joc podał taksówkarzowi adres na dalekim przedmieściu.

— Co tam jest? — spytała.

— Sama się przekonasz — odrzekł.

Dopiero wtedy odgadła, że chce jej pokazać swój samolot i że jest to z jego strony bodaj najhojniejszy gest. Wiedziała z listów, jaką dumą napawa go ta maszyna, w całości przezeń zaprojektowana, zbudowana zaś z pomocą Charlesa Lindbergha. Szkoda tylko, pomyślała, że nie jedzie z nimi ojciec.

Po jakimś czasie dotarli na Hanscom Field, małe prywatne lotnisko pod Bostonem; było tam kilka niewielkich hangarów i długi wąski pas startowy, na którym właśnie lądował czerwony lockheed Vega.

Joe, z miną dzieciaka przed gwiazdką, ujął Kate za rękę i poprowadził w stronę najbliższego hangaru. Kiedy weszli do niego przez boczne drzwi, Kate aż westchnęła na widok zgrabnego samolociku, który na twarz Joego przywołał wyraz ojcowskiej dumy. Kate nie знаła się na samolotach i wiedziała jedynie, że ten został zaprojektowany przez Joego, ale wystarczyło to, by wprawić ją w uniesienie.

— Joe, jest wspaniały! — wykrzyknęła.

Joe miłośnie poklepał poszycie kadłuba, otworzył drzwiczki, pomógł Kate wdrapać się do kabiny, a potem przez pół godziny wyjaśniał, jaką rolę pełnią poszczególne urządzenia i elementy konstrukcji. Nie mając dotąd żadnych okazji do pouczania laików, był mile zaskoczony entuzjazmem Kate i łatwością, z jaką pojmowała trudne szczegóły techniczne. Pomyliło jej się wprawdzie przeznaczenie dwóch liczników, ale był to błąd popełniany nawet przez początkujących pilotów. Joe miał wrażenie, że otwiera jedne po drugich drzwi i okna ukazując Kate świat, którego sobie nawet nie wyobrażała, dzięki czemu ten krótki wykład był dla niej jeszcze bardziej ekscytujący niż dla niej.

Ośmielony widocznym zaciekawieniem Kate, niepewnie zagadnął, zakończywszy wyjaśnienia, czy miałyby ochotę na króciutki lot, ot, wystarczająco długi, by zobaczyć, jak maszyna spisyje się w powietrzu. Kate nie wahała się ani sekundy.

— Teraz? — wyrzuciła bez tchu. Zwiedzanie samolotu ukazało jej Joego w nowym świetle: ten mężczyzna, tak często na ziemi zakłopotany czy strapiony, tu nagle rozwijał skrzydła,

wydając się zdolnym do samodzielnego lotu, jak ptak. — Ależ z przyjemnością..., no więc lecimy?

Zdumiewająco szybko zdołała zapomnieć o przestrożach i zastrzeżeniach matki.

Joe oddalił się na chwilę, żeby powiadomić kontrolę lotów o swoich zamiarach, kiedy zaś wrócił, miał na twarzy szeroki uśmiech zadowolenia.

Samolot z technicznego punktu widzenia zaliczany do małych, był w istocie zupełnie spory, a dzięki pewnym udoskonaleniom poczynionym przez Joego wspólnie z Lindberghiem mógł pokonywać znaczne odległości. Joe wyprowadził go z hangaru, sprawdził instrumenty — komentując na bieżąco swoje czynności — i zaczął kołować po pasie startowym. Chwilę później wzbili się w powietrze. I wtedy Joemu przyszło coś do głowy. Z początku zamierzał wznieść się z Kate zaledwie na kilka minut, skoro już jednak wystartowali...

— Chyba nie dostajesz w samolotach mdłości, co, Kate? — zapytał pro forma, bo dziewczyna nie sprawiała na nim wrażenia skłonnej do tego rodzaju słabości.

Parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

— Nigdy. Polecimy do góry nogami? — zapytała z taką nadzieją w głosie, że również się roześmiała.

— Chyba zostawimy to na następną okazję — odparł.

Nabierali wysokości.

Przez jakiś czas gawędzili przy wtórze silnika, potem zamilkli, a Kate to z podziwem rozglądała się dokoła, to śledziła wzrokiem poczynania Joego. Był w tej chwili taki jak w jej wyobrażeniach:

dumny, spokojny, silny, bezgranicznie kompetentny. Władca stworzonej przez siebie maszyny, pan dookolnych niebios. Najpotężniejszy mężczyzną, jakiego spotkała w życiu, najbardziej fascynujący. Urodzony, aby latać. Kate miała pewność, że nikt go w tym nie przerasta, nawet Charles Lindbergh. Jeżeli dotąd Joe ją po prostu pociągał, teraz, od chwili gdy zobaczyła, jak pilotuje, stał się nieodparcie pociągający, stał się ucieleśnieniem wszystkiego, o czym marzyła i co podziwiała

— siły, swobody i radości. Ptakiem szybującym pewnie wysoko nad ziemią.

Gdy wylądowali godzinę później, Kate pragnęła tylko jednego:

polecieć z nim ponownie. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa, nie miała tak przedniej zabawy, nie uwielbiała nikogo tak jak Joego. Było im widać pisane wspólne i w taki sposób spędzenie tej właśnie chwili. I była im przeznaczona więź, która się w owej chwili narodziła.

— Boże, to było cudowne... dziękuję! — wykrzyknęła, kiedy Joe zatrzymał samolot i wyłączył silnik. Oboje zresztą czuli, że ich udziałem stało się coś na kształt głębokiego doświadczenia religijnego.

Długą chwilę patrzył na nią w milczeniu.

— Cieszę się, że tak sądzisz, Kate — odparł wreszcie, czując, że kamień spada mu z serca.

Liczył na to, w przeciwnym razie byłby rozczarowany. A teraz... widział, jak nikną pomiędzy nimi ostatnie

bariery. Nigdy w życiu nie był tak silnie związany z drugim człowiekiem.

— Cudownie, to mało powiedziane. Było fantastycznie — uściśliła z powagą.

— Miałem taką nadzieję — powiedział. — Chciałabyś się nauczyć pilotażu?

— Z największą ochotą — odparła, a w jej oczach zamigotały iskierki. — Strasznie, strasznie ci dziękuję... — Nagle coś jej przyszło do głowy, dodała więc pospiesznie: — Tylko pod żadnym pozorem nie mów nic mojej mamie. Zabije mnie... ciebie... a najpewniej nas oboje.

Dałam jej słowo, że nie polecę.

Pokusa jednak okazała się zbyt silna i Kate nie żałowała ani przez moment, że jej uległa.

Przede wszystkim zobaczyła Joego w jego własnym świetle i wtedy zyskała ostateczną pewność, że nigdy nie spotka bardziej fascynującego mężczyzny. Pilotował z niesamowitą

wprawą i w niezrównanym stylu... co zresztą wywarło takie wrażenie na Charlesie Lindberghu, kiedy poznał Joego jako młodego chłopaka. Po prostu pilotaż miał we krwi, był jednym z niewielu wybranych.

— W roli drugiego pilota wypadłaś wspaniale — stwierdził z aprobatą, mając na myśli przede wszystkim to, że instynktownie wiedziała, o co pytać, co mówić, kiedy zaś w milczeniu rozkoszować się lotem i pięknem nieba. — A więc niebawem, kiedy tylko znajdziemy nieco czasu, nauczę cię pilotażu.

Słuchając go, można było odnieść wrażenie, że pilotaż jest czymś równie prostym jak jazda na hulajnodze, Joe miał jednak wrodzony talent i potrafił podobny talent wyczuć w innych. Teraz dostrzegł go u Kate.

— Miałabym ochotę spędzić w przestworzach cały dzień — marzycielsko powiedziała Kate, kiedy Joe pomagał jej wysiąść z samolotu.

— Ja też, ale twoja matka uciąłaby mi głowę, gdyby wiedziała, że zabrałem cię na godzinę. Latanie jest wprawdzie bezpieczniejsze niż jazda samochodem, wątpię jednak, czy podzieliłaby mój punkt widzenia.

W milczeniu wrócili do miasta, ale zaledwie usiedli w Oyster House do lunchu, Kate zaczęła rozprawiać z ożywieniem o ich krótkim locie, imponującym kunszcie Joego, pięknie jego samolotu. Joe natomiast był wyciszony, a nawet trochę zamknięty w sobie. Rzeczywiście przypominał ptaka, który w jednej chwili bez wysiłku i z wdziękiem szybuje po niebiosach, w drugiej zaś — niezgrabnie kusztyka po Ziemi. Poza samolotem zmieniał się w innego człowieka.

Ale stopniowo zaczął się rozluźniać, rozbawiony przez Kate historyjkami z jej studenckiego życia, aż wreszcie ostatecznie opuścił podwójną gardę, za którą zwykł się skrywać wręcz instynktownie. Był wdzięczny Kate za tę umiejętność, która jemu nie była dana; dzięki niej most zwodzony wiodący do zamku jego duszy opadał szybciej i bez zgrzytu.

Zresztą podobało mu się w Kate tyle cech, że zaczynał odczuwać strach i miał wrażenie, iż zapędza się w ślepy zaułek. Była zbyt młoda, aby mógł z nią nawiązać prawdziwy romans, miała rozsądnych troskliwych rodziców, którzy nie dopuszczają, aby coś jej się przydarzyło, i nie zamierzają dawać jej nadmiernej swobody. Wmawiał więc sobie, że nie chce od niej wiele — pragnie po prostu być blisko Kate, pławić się w blasku, który od niej bije, w ciepłe, które roztacza. Czasem, kiedy byli razem, miewał wrażenie, że jest jaszczurk która leżąc na skale wygrzewa się w słońcu... rozleniwion szczęśliwą. Ale nawet takie uczucia uznawał chwilami za niebezpieczne; nie chciał uzależnić się od niej zbyt mocno, byłby wtedy zanadto podatny na zranienie. Przy czym nie był to wniosek wynikły z trzeźwej analizy, lecz podsuwany przez instynkt. Może, zastanawiał się, sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby Kate była starsza. Nie była jednak, miała osiemnaście lat wobec jego trzydziestu i nic nie mogło tego zmienić.

Ostatni wspólnie spędzony dzień minął zdecydowanie za szybko. Joe odwiedził Kate w domu — grali w bibliotece w karty, a ona cieszyła się jak dziecko, kiedy dwukrotnie udało się jej Joego pokonać

— wieczorem zaś zabrał ją na kolację. Z ukłuciem bólu uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, kiedy zobaczy ją znowu. Powrót do Nowego Jorku planował wprawdzie na grudzień, ale natychmiast mieli z Charlesem Lindberghiem rozpocząć pracę nad nowym silnikiem, skoro jednak Charles będzie z pewnością udzielał się aktywnie w ruchu America First, Joe przeczuwał, że to na niego spadnie większość obowiązków. Tak więc przez kilka pierwszych miesięcy będzie miał niewielkie szanse na wyjazd do Bostonu, sugerowanie zaś Kate, by to ona odwiedziła go w Nowym Jorku, nie wydawało mu się stosowne. No i z pewnością jej rodzice nie zaaprobowaliby takiego wyjazdu.

Kiedy żegnali się tego wieczoru, stojąc na schodach wejściowych domu Jamisonów, Joe był znowu okropnie speszony i zakłopotany.

— Uważaj na siebie, Kate — powiedział, utkwivszy wzrok w czubki swoich butów.

Kate doznawała pokusy, by ująć go za podbródek, zmusić, żeby spojrzał jej w oczy, w końcu jednak Joe uczynił to z własnej inicjatywy.

— Dziękuję za lot — wyszeptwała. — Szczęśliwego powrotu do Kalifornii. Jak sądzisz, ile potrwa?

— Około osiemnastu godzin, zależnie od pogody. Nad środkowym zachodem szaleją burze, być może więc będę musiał lecieć nad Teksasem. Zadzwoń, kiedy dotrę na miejsce.

— Sprawisz mi przyjemność — rzekła cichutko. Jej spojrzenie wyrażało wszystko, czego nie wypowiedziała słowami, czego jeszcze do końca nie rozumiała; pieczętowało tę nową więź, jaka zrodziła się pomiędzy nimi podczas lotu. Ale wyrażało również niepewność, czy Joe darzy ją czymś więcej niż braterskim uczuciem, bo takie właśnie uczucie było jedynym, jakie manifestował. Kate nie wiedziała, czy to łączące ich głębokie i tajemnicze „coś” istnieje naprawdę czy jest tylko zwodniczym wytworem jej wyobraźni. — Będę do ciebie pisać — obiecała.

Rozpromienił się; uwielbiał jej dowcipne, a czasem poruszające listy, skomponowane niekiedy tak misternie, że sprawiały wrażenie opowiadań.

— Spróbuję zobaczyć się z tobą w okolicach Bożego Narodzenia, ale to nic pewnego, bo będziemy z Charlesem zawaleni robotą

— powiedział, znów bijąc się z myślą, czyby nie zaprosić Kate do Nowego Jorku. I znów doszedł do wniosku, że nie byłoby to rozsądne. Wyczuwał, iż matka Kate nie jest zbyt zadowolona, że w weekend Święta Dziękczynienia spędzili ze sobą tyle czasu, tak więc realizacja pomysłu przypominałaby wywoływanie wilka z lasu.

— Uważaj na siebie, Joe. Bezpiecznego lotu — rzekła z taką troską i czułością, że Joemu zrobiło się ciepło na sercu.

— Ty też uważaj. I nie chodź na wagary — odparł żartobliwie, a potem leciutko klepnął Kate w ramię, otworzył drzwi jej kluczem, zbiegł po schodkach i pomachał do niej z chodnika. Mogło się zdawać, że ucieka, zanim zrobi coś, czego robić nie powinien.

Kate z uśmiechem weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Spędziła z Joem trzy dni, niezwykle dni przepełnione ciepłem, beztrąską i przyjaźnią. Ukoronowane cudem, jakim był ich wspólny lot. Wspaniale, że się poznali, myślała wchodząc na górę. Pewnego dnia opowie o nim swoim dzieciom... które jednak, co do tego nie miała żadnych wątpliwości, nie będą jego dziećmi. Życie Joego było bez reszty wypełnione samolotami, silnikami, oblatywaniem prototypów; niewiele w nim było miejsca na kobiety, a już na pewno nie było miejsca na żonę i dzieci. Powiedział to zresztą bez ogródek na Cape Cod, powtórzył teraz. Na ołtarzu swej miłości do samolotów i latania był gotów złożyć miłość do ludzi. Miał na nią zbyt mało czasu. A przecież w jakiejś tajemnej części duszy Kate nie chciała ani przyjąć tych deklaracji do wiadomości, ani w nie uwierzyć, bo jakże można stawiać samolot wyżej niż człowieka? Nie zamierzała jednak podejmować z Joem dyskusji, musiała wierzyć mu na słowo.

Aby się pocieszyć, wmawiała sobie, że to, co do niego czuje i co on

— jak sądziła — czuje do niej, jest tylko złudzeniem. Mrzonką.

W niedzielę, przed powrotem Kate do akademika, jej matka ani słowem nie wspomniała o Joem: postanowiła usłuchać rady męża i pozwolić, by sprawy toczyły się własnym torem. Może Clarke ma rację i Joe przestanie się Kate interesować. Może istotnie zawiązała się po prostu niezwykła przyjaźń pomiędzy dorosłym mężczyzną i podfruwajką. Miała taką nadzieję. Nadziei tej jednak nie towarzyszyło głębokie przekonanie.

W akademiku Kate nie potrafiła się odnaleźć. Rozmawiała wprawdzie z dziewczętami, które jak najęte paplały o długim weekendzie, kolacji świątecznej z rodzinami, spotkaniach z przyjaciółmi, ale żadnej nie opowiedziała o wizycie Joego, bo ani jedna nie dałaby wówczas wiary, że Kate nie ma na jego punkcie kręcka. Zresztą ona sama przestawała już w to wierzyć.

Wreszcie Sally Tuttle nie wytrzymała i zapytała Kate o mężczyznę, który do niej dzwonił przez międzymiastową.

— Studiuj gdzie? Dawny chłopak?

Unikając jej wzroku, Kate odparła nonszalancko:

— Nie, po prostu kumpel. Pracuje w Kalifornii.

— Miał przez telefon miły głos.

Kate uznała to za niedopowiedzenie stulecia.

— Poznam was ze sobą, jeśli ściągnie do Bostonu — odparła żartobliwie.

Jedna z dziewcząt oznajmiła po powrocie z rodzinnego Connecticut, że zaręczyła się w Święto Dziękczynienia, co wprowadziło jeszcze większy zamęt w świat uczuć Kate. Oto zadurzyła się w facecie o dwanaście lat starszym, facecie, który powtarza, że nie w głowie mu małżeństwo, a w dodatku nie ma pojęcia, że ona, Kate, szaleje za nim. Idiotyczna sytuacja, bez dwóch zdań. Kładąc się tego wieczoru do łóżka, zdołała przekonać samą siebie, że jest nieuleczalną kretynką i jeśli nie będzie uważać, zirytuje Joego, bezpowrotnie tracąc jego przyjaźń.

Nie posiadała się ze zdziwienia, kiedy nazajutrz zadzwonił.

Dopiero co wylądował, po dwudziestoczerogodzinnym ciężkim locie. Trzykrotnie tankował paliwo, przebił się przez dwie burze śnieżne, w Waynoka w stanie Oklahoma musiał na ziemi przeczekać wichurę. Sprawiał wrażenie wyczerpanego.

— Ładnie z twojej strony, że zadzwoniłeś — powiedziała Kate, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z zaskoczenia, bo wbrew zapewnieniom Joego wcale nie spodziewała się jego telefonu. Uznała, że po prostu usiłuje zachować się grzecznie. Jego odpowiedź utwierdziła ją w tym przekonaniu, była bowiem nonszalancka i nieco oziębła:

— Nie chciałem, żebyś się martwiła. Co tam na uczelni?

— W porządku. — Nie martwiła się, lecz była smutna, a przede wszystkim tęskniła za Joem, chociaż mówiła sobie, że nie powinna, bo przecież Joe nie dał jej w żaden sposób do zrozumienia, że ma prawo do takiej j tęsknoty. Przypominała w swoim przekonaniu dziewczynę zakochaną w gubernatorze, prezydencie czy jakimkolwiek innym mężczyźnie z pierwszych stron gazet, który jest całkowicie poza jej zasięgiem. — Nie mogę doczekać się ferii zimowych — dodała takim tonem, jakby ekscytowała ją wyłącznie perspektywa przerwy w nauce, nie zaś powrót Joego. W głębi duszy hołubiła marzenie, że jeśli zostanie zaproszona przez którąś z przyjaciółek, rodzice może pozwolą jej pojechać do Nowego Jorku. Z obawy jednak, że spłoszy Joego, nie wspomniała o takiej ewentualności ani słowem.

— Zadzwonię za kilka dni — powiedział Joe ze znużeniem zupełnie naturalnym u człowieka, który ma za sobą całodobowy ciężki lot.

— Czy to przypadkiem nie jest strasznie drogie? Może powinniśmy poprzestać na listach.

— Mogę sobie pozwolić od czasu do czasu — odparł ostrożnie

— chyba że wolisz, bym nie dzwonił.

Odniosła wrażenie, że znów zamyka się jak ślimak w skorupie, że jest spięty znacznie bardziej niż podczas ich wspólnego weekendu. Nie mogła wiedzieć, jak wielkim krokiem w nieznaną jest dla Joego ten telefon.

— Ależ skąd — wypaliła pospiesznie. — Po prostu nie chcę narażać cię na koszty.

— Nie musisz się przejmować — odrzekł z przekonaniem. Jeszcze do niedawna każdy zarobiony grosz ładował w prototypy swoich silników i samolotów, a bywanie z kobietami w najdroższych restauracjach uważał za niepotrzebną ekstrawagancję. Dla Kate zrobił wyjątek, uważając, że zasługuje na bardzo szczególne traktowanie.

— Kate?

Jego ochrypli w tym momencie głos zabrzmiał tak, jakby Joe pragnął się upewnić, czy dziewczyna słucha go uważnie, ma jej bowiem do zakomunikowania coś niezmiernie

ważnego, coś, co tylko z najwyższym trudem przejdzie mu przez gardło. Kate wstrzymała oddech; nie wiedziała, co usłyszy za chwilę, ale wyczuwała w jego głosie ogromne napięcie.

— Tak?

— Czy mimo to będziesz nadal do mnie pisywać? Uwielbiam twoje listy.

Uśmiechnęła się rozdarta pomiędzy ulgą a rozczarowaniem.

— Oczywiście, że będę — zapewniła. — Chociaż w przyszłym tygodniu mam egzaminy.

— Ja też! — odparł wesoło, mając na myśli loty próbne, po części bardzo niebezpieczne, które chciał wykonać osobiście jeszcze przed wyjazdem z Kalifornii. — Będę dosyć zaganiany w ciągu kilku

najbliższych tygodni, ale spróbuję do ciebie zadzwonić przy pierwszej nadarzającej się okazji. Przez cały najbliższy weekend Kate zastanawiała się nad czymś, o czym dotąd Joemu nie wspominała: otóż krótko przed Bożym Narodzeniem rodzice zamierzali wydać w Copley Plaza wielkie przyjęcie z okazji jej osiemnastych urodzin, skromniejsze wprawdzie niż bal, na którym poznała Joego, niemniej jednak jak na warunki bostońskie nader imponujące. Kate nie poczyniła jeszcze wprawdzie żadnych kroków w tym kierunku, ale zamierzała nakłonić rodziców, by mimo swych zastrzeżeń i niepokojów wystosowali zaproszenie również do Joego: kiedy wróci z Kalifornii, jego kalendarz towarzyski nie będzie zapewne całkowicie wypełniony. Taką przynajmniej żywiła nadzieję. Na razie nie forsowała swojego pomysłu za wszelką cenę, miała jeszcze przeszło trzy tygodnie czasu.

Tydzień później, w niedzielę koło południa, Kate telefonicznie omawiała z matką szczegóły przyjęcia, gdy przez hol przebiegła z gwałtownym płaczem jedna z dziewcząt z jej akademika. Kate przyszło do głowy, że otrzymała z domu jakąś tragiczną wiadomość, może o śmierci któregoś z rodziców, ale nie była w stanie zrozumieć rozpaczliwie wykrzykiwanych przez koleżankę słów, bo Elizabeth zasypywała ją pytaniami dotyczącymi przystawek, ciast, rozmiaru parkiem, kreacji balowej, chociaż ta — cudo z atlasu i tiulu — była gotowa od października. Potem przestała rozumieć nawet matkę, wokół niej bowiem rozlegało się coraz więcej krzyków.

— Co mówiłaś, mamó? — niemal wrzasnęła do słuchawki, usiłując przebić się przez zgiełk.

— Mówiłam... o mój Boże... co?... naprawdę?... Ciarke...

Kate usłyszała, że matka wybuchnęła płaczem.

— Coś z tatą? Mamó, co się stało?

Kate poczuła, że jej serce bije jak młotem. Podniosła głowę, rozejrzała się dokoła i zobaczyła kilka szlochających dziewczyn. Wtedy zrozumiała, że nie chodzi tylko o jej ojca, że stało się coś strasznego.

— Twój ojciec słuchał właśnie radia — powiedziała oszołomiona Elizabeth. — Pół godziny temu Japończycy zbombardowali Pean Harbor. Zatopili wiele okrętów, zginęły lub odniosły rany tysiące ludzi. Mój Boże, to okropne!

W całym akademiku zapanował chaos: we wszystkich pokojach powłączano radioodbiorniki, dziewczyny zanosili się płaczem, rozumiejąc, że oto ich ojcom, braciom, narzeczonym i chłopakom nagle zagroziło straszliwe niebezpieczeństwo. Ameryka żadnym cudem nie mogła się teraz trzymać z dala od wojny, skoro Japończycy przynieśli ją pod jej próg. Prezydent Roosevelt mimo wcześniejszych deklaracji musiał poczynić radykalne kroki. Kate przerwała rozmowę z matką i pobiegła do swojego pokoju, żeby posłuchać wiadomości. Przypomniała sobie, że w akademiku mieszkają dziewczyny z Hawajów, a piętro wyżej dwie Japonki; trudno sobie było wyobrazić, co czują w tej chwili, uwięzione w kraju nagle wrogim.

Jamisonowie w pierwszym odruchu podziękowali Bogu, że nie mają syna, jak kraj długi i szeroki bowiem młodzi mężczyźni musieli stawić czoło faktowi, iż niebawem opuszczą rodziny, aby bronić ojczyzny. Przypuszczano, że Japończycy nie poprzestaną na zbombardowaniu Pean Harbor, a następnym celem ich ataku stanie się Kalifornia, w której już zaczynała się szerzyć panika, generał Joseph Stilweli przystąpił więc do organizowania

obrony zachodniego wybrzeża, budowy schronów przeciwlotniczych, mobilizowania służb medycznych. Nawet mieszkańców Bostonu ogarnął lęk; rodzice prosili Kate, by wróciła do domu, odparła jednak, że najpierw musi poczekać na decyzję władz uczelni. Te postanowiły zawiesić zajęcia aż do końca ferii zimowych. Nastąpiło wielkie pakowanie i właśnie w jego trakcie, nazajutrz po ataku japońskim, zadzwonił Joe. Na połączenie czekał całymi godzinami, bo wszystkie dziewczęta dzwoniły tego dnia do domów. Powszechnie wiadano, że stało się najgorsze: Stany wypowiedziały wojnę Japonii, Japonia — Stanom i Wielkiej Brytanii, Wielka Brytania natomiast — Japonii.

Kiepskie wieści, co, Kate? — zapytał zdumiewająco spokojnym głosem Joe, który nie chciał za żadną cenę wzmagać zdenerwowania Kate.

— Okropne. Co tam u was?

— Stan, który ktoś określił mianem skrywanej paniki. Ludzie są przerażeni, zapewne nie bez powodów, ale usiłują nie pokazywać tego po sobie. Trudno przewidzieć następny ruch Japońców. Mówi się o internowaniu wszystkich Japończyków mieszkających w zachodnich stanach. Nie mam pojęcia, co dobrego będzie z tego miała Kalifornia.

A co u ciebie, Joe? — zapytała z niepokojem. Był kilka razy w Anglii jako konsultant RAF-u, nietrudno więc było przewidzieć, że teraz, kiedy Ameryka zaistnieje militarnie również w Europie, tam właśnie zostanie wysłany Joe. Albo będzie walczyć z Japończykami... Lotnicy równie doświadczeni jak Joe byli w tym momencie na wagę złota, a on na pewno nie będzie wymigiwać się od wojska.

— Jutro wracam na wschód, muszę przerwać pracę w Kalifornii. Wzywają mnie do Waszyngtonu, tam dostanę rozkazy — odparł, potwierdzając najgorsze obawy Kate. — Nie wiem, ile czasu tam spędzę, ale jeśli przed wyjazdem dadzą mi przepustkę, spróbuję odwiedzić cię w Bostonie.

— Mogłabym przyjechać do Waszyngtonu, żeby się z tobą pożegnać — zaproponowała Kate, dochodząc nagle do wniosku, że to, co pomyślała rodzice, traci znaczenie. Jeśli be idzie na wojnę, musi się z nim zobaczyć. Tylkoo tym myślała, tocząc nierówny bój z uczuciami paniki i niepokoju.

— Nie rób jiiic, dopóki nie zadzwonię. Być może wyślą mnie na kilka dni do Nowego Jorku... to zależy od tego, czy szkolenie będę przechodzić tu czy dopiero w Anglii. — Urwała na chwilę, a potem dodał: — To znaczy, nie wiem, gdzie pojedę, ale wolałbym do Anglii niż na Pacyfik.

— A ja wolałabym, żebyś nigdzie nie jechał — westchnęła Kate. Nieustannie myślała teraz o wszystkich młodych mężczyznach, którzy kiedyś bawili się z nią i chodzili do szkoły, a także o ich siostrach, dziewczynach i żonach... Tyle życiowych dróg — bo przecież nie tylko jej i Joego — docierało nagle do przepaści, która, i trzeba było tej prawdzie spojrzeć w oczy, nie wszyscy zdołają przeskoczyć. Mogło się zdawać, że nad całym krajem zawisł całun żałobny, nie było końca rozmowom, poszeptywaniom, płaczom i lękom. Rozniosły się pogłoski, że miasta na wschodni wybrzeżu mogą paść ofiarą ataku niemieckich u-bootów, od chwili zbombardowania Pean Harbor nikt nie czuł się bezpiecznie.

— Nie przejmuj się tak bardzo, Kate. Gdzie w razie czego mam cię szukać? W akademiku czy u rodziców? — zapytał świadomy, iż może mieć zaledwie kilka godzin czasu.

— Po południu wracam do rodziców. Mamy wolne aż do końca ferii zimowych — odparła, myśląc jednocześnie, że tegoroczne święta nie będą wesołe.

— Startuję już za parę godzin, bo nie wiem, na jaką natrafię pogodę, a jutro muszę być w Waszyngtonie. Mam kaca moralnego, że zostawiam nieskończoną robotę, ale czy jest inne wyjście? — zapytał retorycznie. Nie było; wszyscy rzucali swoje zajęcia, aby iść na wojnę. A jaką pogodę masz w Kalifornii? — dopytywała się z troską, pojmując podświadomie, że uspokaja ją sama rozmowa z Joem, który nieporuszony jak skalista wyspa trwa w samym środku morza wszechogarniającej hysterii. Było to bardzo w jego stylu.

— Doskonałą — odrzekł — chociaż nie wiem, co mnie czeka dalej na wschodzie. Muszę już wracać do domu, żeby się spakować, Kate. Startujemy... bo zabieram ze sobą jeszcze dwóch facetów... za niespełna dwie godziny. Zadzwoń do ciebie przy pierwszej okazji.

— Będę czekać.

Dalsze gierki nie miały sensu. Bezwrotnie minął czas udawania, że nie zależy jej na Joem. Bo zależało, i to bardzo. Teraz chodziło tylko o to, żeby zobaczyć się z nim przed wyjazdem. Wśród płaczących pożegnań dziewczęta zaczęły rozjeżdżać się do swoich domów, rozrzuconych po całych Stanach. Studentka z Hawajów miała zatrzymać się u przyjaciółki w Kalifornii, bo rodzice w obawie przed następnym nalotem zabronili jej wracać do Honolulu. Dwie Japonki — pozbawione możliwości kontaktu z rodzinami, przerażone znacznie bardziej niż wszystkie ich koleżanki — zostały wezwane do konsulatu Japonii w Bostonie. Nie miały pojęcia, co je czeka.

Po powrocie do domu Kate stwierdziła, że jej rodzice sprawiają wrażenie przestraszonych i przygnębionych; nieustannie słuchali radia i najwyraźniej nie mogli się doczekać przyjazdu córki, po którą zresztą Ciarke — nie chcąc zostawić Elizabeth samej — wysłał szofera.

— Miałas wieści od Joego? — zapytał, ledwie postawiła w holu walizkę. Kate w porównaniu z bladą roztrzęsioną Elizabeth zaimponowała mu opanowaniem.

Skinęła głową.

— Leci do Waszyngtonu. Nie ma pojęcia, gdzie go wysła.

Elizabeth z niepokojem patrzyła na córkę, dochodząc do wniosku, że Kate i Joe komunikują się ze sobą zatrważająco regularnie. Obecne okoliczności były wprawdzie wyjątkowe, ale trudno wykluczyć, iż ich rozmowy telefoniczne czy listy stanowią regułę raczej niż wyjątek. Wieczorem zasiedli do kolacji w kuchni przy włączonym radioodbiorniku, ale apetyty im nie dopisywały, w rezultacie więc cały posiłek wylądował w koszu. W nocy Kate prawie nie spała; leżąc w łóżku zastanawiała się nieustannie, gdzie w tej chwili znajduje się Joe, ile lotu mu jeszcze pozostało.

Zadzwoił do niej nazajutrz tuż przed południem. Wylądował właśnie na lotnisku polowym Bolling pod Waszyngtonem.

— Dzwonię, żeby powiedzieć, że doleciałem bezpiecznie — oznajmił, choć tak samo jak Kate zdawał sobie sprawę, iż powody jego telefonu są znacznie głębsze. Łączyła ich jakaś tajemna więź, której na razie nie byli gotowi potwierdzić słowami. — Idę teraz do ministerstwa wojny. Odezwę się później.

— Będę czekać.

Telefon zaterkotał cztery godziny później. Odprawa Joego trwała całe wczesne popołudnie; otrzymał wszelkie niezbędne dokumenty, stopień kapitana i skierowanie do Anglii, gdzie miał pilotować myśliwce. Za dwa dni wylatywał do Londynu z Nowego Jorku. Postanowiono, że szkolenie przejdzie dopiero w Anglii, przy czym musiał opanować jedynie regulaminy i procedury wojskowe, ponieważ jeśli chodzi o loty samodzielne i w formacjach, był prawdziwym mistrzem z dziesiątkami najbardziej karkołonnych pokazów lotniczych na koncie.

Tego samego popołudnia prezydent Roosevelt obwieścił publicznie, że Stany Zjednoczone przystępują do wojny w Europie.

— I to mniej więcej wszystko, małeńka. Wyprowadzam się za dwa dni, ale do bardzo schludnego lokalu.

Miał na myśli wschodnią część Anglii, gdzie bywał już jako doradca Królewskich Sił Powietrznych. Zakładano, że za dwa tygodnie zacznie uczestniczyć w lotach bojowych. Na myśl o tym Kate przechodził deszcz, zdawała sobie bowiem sprawę, iż as lotnictwa równie sławny jak Joe musi się stać specjalnym celem wszystkich wrogich myśliwców, najbardziej pożądanym przeciwnikiem i — jeśli dopisze im szczęście — łupem. Narażał się na znacznie

większe niebezpieczeństwo niż jego towarzysze broni. Poza tym przypuszczała, że szanse, iż zadzwoni do niej od czasu do czasu, są praktycznie równe zeru, będzie więc skazana na niewiedzę o jego losach i ciągły niepokój.

Ale przynajmniej mieli do dyspozycji taką cząstkę dwóch ostatnich dni, jaką zdoła wygospodarować Joe. Kate nie wątpiła, że Joe zrobi wszystko, aby była to cząstka możliwie największa — oboje pojmowali, iż coś, co woleli nazywać przyjaźnią, stopniowo przeradza się w uczucie zupełnie inne.

W końcu okazało się, że Joe — który musiał wyfasować mundury i odebrać kolejną porcję dokumentów — może wyrwać się z Waszyngtonu dopiero następnego dnia. Wylatywał do Europy dzień później, o szóstej rano, aby więc nie spóźnić się na samolot, powinien być w Nowym Jorku koło północy.

Wyleciał z Waszyngtonu do Bostonu o dziesiątej rano, wylądował w Bostonie o pierwszej po południu; jego samolot do Nowego Jorku odlatywał o dziesiątej wieczorem. Mieli dla siebie dokładnie dziewięć godzin i stali w obliczu dylematu wspólnego wszystkim młodym parom w Stanach: jak je spędzić? Niektóre brały pośpieszny ślub, niektóre szły do hotelu, żeby nasycić się ostatnimi chwilami razem, inne wreszcie wysiadywały w poczekalniach dworcowych, kafejkach, na ławeczkach. Wszystkie pragnęły wykorzystać do końca każdą chwilę przed ostatecznym rozstaniem.

Kate czekała na Joego w East Boston Airport, kiedy poważny i sprężysty wysiadał z samolotu; w nowiutkim mundurze prezentował się jeszcze lepiej niż podczas Świąta Dziękczynienia. Z beztroskim uśmiechem przemierzył pas startowy, podszedł do Kate i natychmiast objął ją ramieniem. Dostrzegł, że jest śmiertelnie przerażona.

— Wszystko w porządku, Kate. Wszystko będzie w porządku

— powiedział. — Przypomnij sobie, że należę do nielicznych facetów, którzy wiedzą, na czym polega ta robota. — Tylko, pomyślała Kate, nikt dotąd nie próbował cię zestrzelić. — Co dziś robimy? — zapytał takim tonem, jakby to był najzwyczajniejszy dzień, a oni nie musieli się pożegnać za niespełna dziewięć godzin.

— Chcesz do nas wpaść? — spytała z roztargnieniem naturalnym u kogoś, kto wyobraża sobie, że słyszy tykanie zegara. Minuty już zaczęły uciekać, ich ostatni dzień razem dobiegnie końca, zanim się na dobre zacznie. Ta świadomość przejmowała ją zimnym dreszczem. Niezupełnie zdawała sobie z tego sprawę, ale takiego lęku i poczucia zagubienia nie odczuwała od śmierci ojca.

— Najpierw skoczmy na lunch, a do ciebie pójdziemy później. Chciałbym pożegnać twoich rodziców — odparł.

Pomyślała, że to bardzo miłe z jego strony. Ostatnimi czasy matka nie dawała otwarcie wyrazu swoim niepokojom związanym z intencjami Joego i zachowywała dla siebie wszelkie oceny jego osoby, jakiegokolwiek były. Teraz przede wszystkim współczuła jemu i milionom takich jak on.

Joe zabrał Kate do Locke-Ober's, chociaż jednak lokal był elegancki, a posiłek wyborny, dziewczyna prawie nic nie potrafiła przelknąć, nie mogąc skoncentrować się na chwili obecnej, lecz myśląc o tej, która nadejdzie za kilka godzin. Jeśli chodzi o nią, wykwinąłny pożegnalny lunch okazał się fiaskiem. Kiedy o trzeciej pojechali do domu Kate, Elizabeth, jak ostatnimi czasy czyniła to nieustannie, siedziała w salonie i słuchała radia; ojciec jeszcze nie wrócił z biura. Gdy zjawił się godzinę później, mocno uściśnął Joemu dłoń i ojcowskim gestem poklepał go po ramieniu, chwilę potem zaś zabrał Elizabetli na górę, wychodząc z założenia, że młodzi mają dość własnych problemów, aby jeszcze zawracać sobie głowę zabawianiem rozmową rodziców. Kate była mu wdzięczna za okazaną delikatność; wyobrażała sobie oburzenie matki, gdyby zaprosiła Joego do swojego pokoju, nawet więc nie usiłowała tego sugerować. Teraz zostali w salonie sami.

— Będę do ciebie pisać, Kate. Codziennie, jeśli zdołam — obiecał. Sprawiał wrażenie zasmuconego, miał dziwny wyraz twarzy, ale nie zdradzał swoich myśli, Kate zaś wolała nie pytać; chociaż wciąż nie wiedziała, czy to, co wobec niej odczuwa, jest przyjaźnią czy też czymś więcej. Znacznie większą jasność miała co do własnych uczuć, wreszcie bowiem uświadomiła sobie, że kochała Joego od miesiący i tylko nie znajdowała w sobie śmiałości, aby mu to wyznać. Jej miłość zrodziła się we wrześniu, kiedy wymienili listy; okrzepła podczas jego wizyty w Święto Dziękczynienia. Ale zwalczała w sobie tę miłość, ponieważ nie miała pojęcia, czy Joe ją odwzajemnia, a pytać go o to wprost najzwyczajniej w świecie nie wypadało. Nawet ona ze swoją odwagą i bezpośredniością nie potrafiłaby się na to zdobyć. Musiała zatem poprzestać na tym, co wie o sobie, a jednocześnie dziękować Opatrzności, że z takich czy innych powodów te ostatnie godziny Joe chce spędzić właśnie z nią. Jedna część jej duszy podpowiadała wprawdzie, że po prostu jest samotny i nie ma co z sobą począć, lecz druga kontrowała natychmiast, że przecież wcale nie musiał przylatywać do Bostonu, że jedynym celem tego przyjazdu była ona, Kate, a wreszcie że w ostatnim okresie, po ataku na Pearl Harbor, pozostawał z nią w stałym kontakcie.

Opowiedziała mu o swoim planowanym przyjęciu urodzinowym, chociaż ona, matka i ojciec postanowili jednogłośnie je odwołać, ponieważ w obecnej sytuacji byłoby czymś niestosownym, a poza tym męska obsada imprezy siłą rzeczy przedstawiałaby się nad wyraz skromnie. Ciarke obiecał, że wyprawi jej bal po wojnie.

— Ale w tej chwili to naprawdę nie ma żadnego znaczenia

— dodała Kate.

Joe skinął głową.

— Miało to być coś w rodzaju tego spędu, na którym poznaliśmy się w zeszłym roku? — zapytał dochodząc do wniosku, że jest to temat, który może oderwie Kate od czarnych myśli. Jednocześnie uświadomił sobie jaśniej niż kiedykolwiek dotąd, jak ogromne dopisało mu szczęście, że poznał Kate. A przecież tak niewiele brakowało, by wymówił się od towarzyszenia Lindberghowi! To musiało być zrzędzenie losu.

Kate uśmiechnęła się lekko.

— Nic równie wystrzałowego — odparła. — Zaledwie dwieście osób w Copley Plaza. Tam było siedemset i dość kawioru, żeby przez rok wyżywić sporą wioskę. Cieszę się, że rodzice odwołali to przyjęcie.

Kiedy następnie oznajmiła, że wraz z matką zgłosiły się ochotniczo do Czerwonego Krzyża, Joe zapytał z niepokojem:

— Ale wrócisz na uczelnię, prawda?

Przytaknęła.

Gawędzili długo; po jakimś czasie Elizabeth przyniosła im z kuchni posiłek, godząc się — wbrew sobie — z sugestią Clarke'a, żeby zostawić Kate i Joego sam na sam i nie obarczać ich powinnościami towarzyskimi, kiedy mają na głowach tyle poważnych spraw. Ale nie mogli jeść. W końcu Joe odstawił talerze na stół i ujął dłoń dziewczyny, do której oczu zaczynały napływać łzy.

— Nie płacz, Kate — powiedział miękko. — Nic mi nie grozi. Dopóki siedzę za sterami, mam do dyspozycji dziewięć żywotów.

Istotnie, w czasie swojej kariery lotniczej wyszedł bez większego szwanku z kilku straszliwych katastrof.

— A jeśli będziesz potrzebował dziesięciu? — zapytała przez łzy. Chciała być dzielna, lecz nagle po prostu nie umiała. Nie potrafiła znieść myśli, że Joemu mogłoby się coś stać.

— Będę miał dwadzieścia, jeśli okaże się to konieczne. Możesz być pewna oświadczył żarliwie.

Ale oboje wiedzieli, że to obietnica, której być może trudno mu będzie dotrzymać. I to dlatego Joe największym wysiłkiem woli powstrzymywał się od zrobienia przed pójściem na

wojnę czegoś niemądrego. Nie chciał, by Kate została osiemnastoletnią wdową. Zaslugiwała na lepszy los, a gdyby on nie mógł jej takiego losu zapewnić, powinna mieć szansę poszukania szczęścia z kimś innym. Pragnął, by pod jego nieobecność miała wolność wyboru. Kate jednak potrafiła myśleć tylko o Joem, nie chciała i nie mogła korzystać z żadnych dawanych przezeń szans. I właśnie dlatego, kiedy siedzieli obok siebie na sofie, a on otaczał ją ramieniem, powiedziała, że go kocha.

Nastąpiła długa chwila bolesnej ciszy. Joe spojrzął w oczy Kate i dostrzegł w nich bezmiar smutku... Nie mógł wiedzieć, bo nigdy mu o tym nie mówiła, o samobójczej śmierci jej ojca, o dziecięcej rozpacz i poczuciu utraty. Nie mógł wiedzieć, że oto teraz te dawne cierpienia ożyły, a w obliczu cierpień obecnych — stały się wręcz nieznośne.

— Nie chciałem, żebyś to powiedziała, Kate — wyrzucił z siebie.

— I ja nie chciałem mówić tego tobie. Nie chciałem, byś czuła się ze mną związana, gdyby cokolwiek miało mi się przytrafić. Znacysz dla mnie bardzo wiele., znaczyłaś bardzo wiele od momentu, kiedyśmy się spotkali po raz pierwszy. Nie znałem nikogo takiego jak ty. Ale nie postępowałbym uczciwie, skłaniając cię do składania obietnic, licząc na coś z twojej strony czy też prosząc, byś na mnie czekała. Trudno wykluczyć możliwość, że nie wrócę... a w takim wypadku nie powinnaś czuć, że jesteś mi cokolwiek winna. Bo nie jesteś. Chcę, byś pod moją nieobecność miała całkowitą swobodę, całkowitą wolność wyboru. Cokolwiek czuliśmy do siebie, nazywając to po imieniu albo nie nazywając, było dla mnie darem ponad wszelkie spodziewanie i dar ten zabieram ze sobą.

Przytulił ją tak mocno, że poczuła bicie jego serca. Ale jej nie pocałował. Na ułamek sekundy ogarnęło ją rozczarowanie. Pragnęła, by wyznał jej miłość, może długo nie będzie miał następnej okazji. A może nie będzie jej miał już nigdy.

— Kocham cię — powiedziała po prostu. — Chcę, żebyś wiedział o tym już teraz i żebyś tam, dokąd się udasz, miał to w pamięci. Bo w innym razie siedząc w okopach łamałbyś sobie głowę, jak to właściwie jest.

Z wyższością uniósł brew.

— Okopy? To dla piechociarzy. Ja będę latał po niebie i zestrzeliwał Niemców, a potem wracał do ciepłego łóżeczka. Nie będzie tak źle, jak myślisz, Kate. To znaczy, będzie, ale dla innych, nie dla mnie. Piloci myśliwców to dosyć elitarna grupa — zapewnił.

Czas pędził jak oszalały i zanim się zorientowali, trzeba było jechać na lotnisko. Ciarke zaproponował, że ich podrzuci, Joe jednak — przy pełnej aprobacie Kate, która wołała być z nim sam na sam — zdecydował się na taksówkę.

Po lotnisku kręciły się tłumy chłopców w mundurach, którzy ostatnimi czasy wyrastali jak grzyby po deszczu. Osiemnasto- i dziewiętnastoletni, sprawiali na Kate wrażenie dzieciuchów. Dla wielu był to pierwszy w życiu wyjazd poza rodzinne miasto.

Ostatnie wspólnie spędzone chwile były rozdzierające dla nich obojga: Kate daremnie usiłowała powstrzymać łzy, Joe sprawiał wrażenie spiętego. Żadne nie miało pojęcia, kiedy i czy w ogóle zobaczą się znowu. Wojna mogła trwać latami, a Kate pozostawało tylko zanosić modły, żeby jednak skończyła się wcześniej. Moment, w którym Joe nieodwołalnie musiał wejść na pokład samolotu, był w pew

nym sensie ciosem łaski, bo nic więcej nie mieli już sobie do powiedzenia. Kate rozpaczliwie przywarła do niego... Nie chciała, żeby odjeżdżał, nie chciała, by spotkało go coś złego, nie chciała utracić człowieka, którego obdarzyła pierwszą i jedyną miłością.

— Kocham cię — wyszeptała drugi raz tego dnia.

Twarz Joego wyrażała zakłopotanie. Umawiając się z Kate nie przypuszczał, że sprawy potoczą się takim torem, że Kate złamie ich milczące porozumienie, aby nie czynić takich wyznań. Ona jednak nie miała innego wyjścia, nie mogła pozwolić, by poszedł na wojnę

nieświadomy, że go kocha. Uważała, iż ma prawo wiedzieć, nie zdając sobie przy tym sprawy, jak bardzo swą deklaracją komplikuje mu życie. Aż do tej chwili — cokolwiek do niej czuł i obojętne, jak wielką moc miało ich wzajemne zauroczenie — mógł sobie wmawiać, że są jedynie przyjaciółmi; teraz nie mógł dłużej umykać przed prawdą, że jednak są dla siebie kimś więcej.

Pożegnalny i jedynie wartościowy dar Kate otworzył obojgu oczy na rzeczywistość, bo w chwili króciutkiej jak mgnienie Joe zdał sobie sprawę z własnej kruchości, przypuścił do głowy myśl, że być może nie otrzyma od losu nic więcej. I patrząc na Kate, dziękował w duchu za każdy moment, który mógł z nią spędzić. Już nigdy nie spotka nikogo podobnego, kobiety tak pełnej ognia, radości życia, tak spontanicznej; zawsze i wszędzie będzie o niej pamiętać.

Kiedy więc po raz ostatni wezwano pasażerów na pokład, mocno przytulił Kate i pocałował ją w usta. Było za późno, żeby zatamować przypływ, oszukiwał sam siebie, sądząc, że zdoła tego dokonać. Ich uczucia wobec siebie były równie niepowstrzymane jak uciekający czas. Połączyło ich — pojmowali to bez słów i obietnic — coś jedyne w swoim rodzaju, coś, czego za żadne skarby nie chcieliby zmienić. I czego już nigdy nie znajdą.

— Uważaj na siebie — wyszeptał ze ściśniętym gardłem.

— Kocham cię — powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy.

Skinął głowę brakło mu słów, aby wyrazić uczucie, przed którym uciekał przez trzydzieści lat. Przytulił ją, pocałował raz jeszcze, a potem mobilizując całą siłę woli, wyrwał się z jej ramion i ruszył w stronę wyjścia. Przy furtce zatrzymał się, popatrzył na zapłakaną Kate, zaczął odwracać głowę i wreszcie — w ostatniej chwili, kiedy było już niemal za późno

— krzyknął na cały głos:

— Kocham cię, Kate!

Usłyszała go, zobaczyła, jak macha dłonią... A kiedy zniknął w wyjściu, roześmiała się przez łzy.

ROZDZIAŁ V

Tego roku Boże Narodzenie upłynęło wszystkim w posępnej atmosferze. Zaledwie dwa i pół tygodnia po Pean Harbor ludzie wciąż nie zdołali otrząsnąć się z szoku. Synowie Ameryki ruszali na wojnę — do Europy i na Ocean Spokojny. Nagle na wszystkich ustach znalazły się nazwy miejsc, o których nikt dotąd nie słyszał, ale Kate nie czerpała wielkiej pociechy ani z faktu, że Joe jest w znajomej Anglii, ani z tego, że — jak wynikało z jego jedyne do tej pory listu — prowadzi nader unormowany tryb życia. Stacjonował w Swinderby, opisywał okolicę, życzliwość i gościnność Anglików, to, najkrócej mówiąc, na co zezwalała cenzura wojskowa. Podkreślał swą troskę o Kate. Ale nie wyznawał jej miłości. Uczynił to raz, osobiście; myśl, że mógłby wyznanie powtórzyć na piśmie, wprawiała go w zakłopotanie.

Na tym etapie rodzice Kate zdawali już sobie sawę, jak mocno kocha Joego ich córka, jedyną zaś pociechę upatrywali w tym, że jest to miłość odwzajemniona. Niemniej w prywatnych rozmowach Elizabeth wciąż zwracała się Clarke'owi ze swych obaw, a największa z nich polegała w tej chwili na tym, że jeśli Joe zginie, Kate nigdy nie przestanie go opłakiwać, trudno bowiem zapomnieć o takim mężczyźnie.

— Niech Bóg mi wybaczy, że mówię coś takiego — odpowiadał Clarke — ale jeżeli Joemu coś się stanie, Kate pogodzi się z tym wcześniej czy później. Podobne historie przydarzały się wielu kobietom. Miejmy tylko nadzieję, że nie staną się udziałem Kate.

Elizabeth jednak martwiły nie tylko wojenne losy Joego, lecz również coś, co wyczuła w nim już podczas pierwszego spotkania i czego nie potrafiła dokładnie zdefiniować. Otóż miała wrażenie, iż Joe nigdy nie otworzy się do końca, że nie jest zdolny ani bezgranicznie pokochać, ani dać z siebie wszystkiego, a jego namiętność do samolotów, które projektował i którymi latał, to sposób ucieczki przed prawdziwym życiem. Nie miała zatem pewności, czy jeśli nawet przeżyje wojnę, potrafi obdarzyć Kate szczęściem.

Oczywiście czuła także, iż tych dwoje łączy jakaś tajemna więź, że są sobą zafascynowani w sposób niemal hipnotyczny, chociaż różnią się jak światło od mroku, a wreszcie że — intuicja podpowiadała jej to wyraźnie, ale wszelkie próby zrozumienia spaliły na panewce — stwarzają dla siebie ogromne niebezpieczeństwo. Tak czy inaczej miłość Kate do Joego przepełniała Elizabeth lękiem.

Nadszedł dzień odwołanego przyjęcia urodzinowego, Kate jednak nie poczuła nawet najmniejszego ukłucia żalu, nie miało bowiem dla niej większego znaczenia, będąc raczej czymś, w czym miała zamiar wziąć udział, aby usatysfakcjonować rodziców. Tego wieczoru siedziała w domu czytając lekturę obowiązkową, kiedy zadzwonił do niej Andy Scott. Niemal wszyscy jej znajomi chłopcy albo przechodzili już w tej chwili unitarkę, albo wręcz szykowali się do wyjazdu na front, Andy jednak wyjaśnił jej kilka tygodni temu, że od dzieciństwa ma szmery w sercu — chociaż na co dzień wada nie przeszkadza mu w żaden sposób — i w związku z tym został uznany za niezdolnego do służby wojskowej. Protestował wprawdzie, ale komisja poborowa okazała się nieubłagana. Oznajmił Kate, że chciałby nosić tabliczkę wyjaśniającą światu, dlaczego siedzi w domu, wśród kobiet, bo wszyscy patrzą nań jak na dekownika. Teraz oczywiście też najpierw poruszył ten wątek, wkrótce jednak przeszedł do rzeczy i zaproponował Kate wspólną kolację, kiedy zaś kategorycznie odmówiła — uczciwie podając powód, a więc wspominając o Joem i jego pobycie w Anglii — próbował ją namówić chociażby na wypad do kina. Ich związek miał charakter wyłącznie kumpłowski, chociaż Kate wiedziała od wspólnych znajomych, że Andy szaleje na jej punkcie i próbuje ją poderwać, odkąd rozpoczęła naukę w Radcliffe.

— Sądzę, że powinnaś pójść — stwierdziła Elizabeth, kiedy Kate poinformowała ją o przyczynie telefonu Andy’ego. — Nie możesz wiecznie tkwić w domu. Kto wie, jak długo potrwa wojna?

Pomyślała przy tym, że przecież Joe nie oświadczył się Kate, nie zaręczył z nią, nie złożył żadnych przyrzeczeń. Po prostu się kochali. Tak, Elizabeth byłaby znacznie szczęśliwsza, gdyby Kate zaczęła się spotykać z Andym Scottem.

— Uważam, że byłoby to nie w porządku — ucięła Kate i wróciła do swojego pokoju. Będzie tkwić w domu tak długo, jak to się okaże konieczne. Nawet po wieczne czasy.

Kiedy później Elizabeth zwierzyła się ze swych przemyśleń mężowi, podkreślając w szczególności, że skoro Joe do niczego się nie zobowiązał, trudno mówić o jakimkolwiek związku pomiędzy nim a Kate, Clarke, który nie dzieląc podejrzeń żony uważał Joego za wspaniałego, uczciwego człowieka, odparł krótko: — Z tego, co widzę, mamy tu do czynienia ze związkiem dwóch serc.

— Nie jestem pewna, czy Joe kiedykolwiek zdecyduje się na coś poważniejszego — stwierdziła z przekąsem Elizabeth.

— A ja sądzą, że daje dowód swej odpowiedzialności, skoro nie chce, by Kate została młodą wdową. Pochwalam jego postępowanie.

— Moim natomiast zdaniem mężczyźni jego pokroju są organicznie niezdolni do trwałych związków — upierała się Elizabeth. — Ma zbyt emocjonalny stosunek do latania, które w związku z tym zawsze będzie w jego życiu na pierwszym miejscu. Nigdy nie da naszej córce tego, czego Kate potrzebuje, bo prawdziwie kocha tylko swoje samoloty.

Clarke uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Niekoniecznie masz rację. Spójrz na Lindbergha: ma przecież żonę i dzieci.

— A skąd wiesz, czy jego żona jest szczęśliwa? — zapytała Elizabeth sceptycznie.

Kate nie przejmowała się dysputami rodziców i dalej robiła swoje, to znaczy siedziała w domu. Kiedy w styczniu wróciła na uczelnię, przekonała się, że takich jak ona nieszczęśliwych dziewczyn jest znacznie więcej. Pięć jej koleżanek wzięło ślub, a zaraz potem ich mężowie pojechali na front, dwanaście zaręczyło się w podobnych okolicznościach, wiele miało chłopaków czekających na wyjazd. Życie akademika kręciło się wokół fotografii i listów; jeśli chodzi o fotografie, Kate nie miała ani jednej, plik listów jednak grubiał z dnia na dzień.

Uczyła się pilnie, od czasu do czasu spotykała się z Andym. Nie były to żadne randki, lecz wspólne spacerunki po kampusie albo wykpiwane przezeń niemiłosiernie wspólne posiłki w uniwersyteckiej kafeterii.

Dlaczego nie pozwolisz się zaprosić do jakiegoś przyzwoitego lokalu? jęknął pewnego razu Andy, kiedy w udręce przeżuwali suchą pieczeń rzymską i wyschniętego na wiór kurczaka. Kafeteria słynęła szeroko z katastrofalnej jakości serwowanych dań.

— Bo to nie byłoby uczciwe. A tak jest w porządku — odrzekła z uporem.

— W porządku? To jest twoim zdaniem w porządku? — zagłębił widelec w piure z ziemniaków, które wyglądało i smakowało jak pulpa z papieru pakowego. — Po każdej naszej kolacji mam przez dwa dni rozstrój żołądka.

Skąd mógł wiedzieć, że Kate uznawała kolacje w eleganckich restauracjach za wysoce niestosowne, skoro Joe jadał w Anglii raczej polowe?

Fiasko umizgów do Kate w niczym nie przeszkadzało Andy'emu prowadzić nader bogatego życia towarzyskiego. Był wysoki, opalony i przystojny, a jako jeden z niewielu mężczyzn do wzięcia, cieszył się ogromnym powodzeniem wśród dziewcząt, które praktycznie ustawiały się do niego w kolejce. Mógł mieć każdą, ale naprawdę pragnął tylko Kate.

Ona zaś obdarzyła go w końcu serdeczną przyjaźnią, lecz w żadnym momencie nie poczuła, iż budzi w niej coś takiego jak Joe. W najlepszym wypadku stał się dla niej kimś w rodzaju brata; kilka razy w tygodniu grywali w tenisa, a wreszcie około Wielkiejnocy — stoczywszy uprzednio długą walkę z wyrzutami sumienia — pozwoliła mu się zaprosić do kina na „Panią Miniyer” z Greer Garson. Kate pochłipywała przez cały seans.

Każdego tygodnia dostawała od Joego kilka listów; domyślała się tylko — bo o tym nie pisał — że lata na spitfire”ach, dopóki jednak listy przychodziły, miała dowód, że Joe żyje i jest zdrowy. Niemniej każdą poranną gazetę otwierała z drżeniem serca. Joe był sławny, niemal równie sławny jak Lindbergh, zakładała więc nie bez podstaw, że gdyby został zestrzelony, prasa dowie się o tym w pierwszej kolejności,

zanim ona sama otrzyma tę wiadomość z innych źródeł. Ale na razie wszystko było w porządku i Joe uskarżał się tylko na „paskudną angielską zimę” i „paskudne angielskie żarcie”. W maju jednak wzbudziła w nim zachwyt angielska wiosna, pełna zieleni i kwiatów. Przy każdym, nawet najuboższym domu, pisał Joe, jest pięknie utrzymany ogródek. W końcu maja doniesiono, że RAF przeprowadził potężny nalot na Kolonię... Kate była pewna, że Joe wziął w nim udział, chociaż nie wspomniał o tym ani słowem. Ani razu też nie wyznał jej w listach miłości.

W czerwcu Andy przyspieszonym trybem ukończył college i jesienią zamierzał rozpocząć studia prawnicze. Kate po pierwszym roku w Radcliffe podjęła letnią pracę w Czerwonym Krzyżu: wraz z innymi wolontariuszkami związała bandaż, składała ciepłą odzież, wysyłała paczki z lekarstwami i robiła dziesiątki innych niezbyt ekscytujących, lecz użytecznych rzeczy. Mocno przeżywała tragedie, które dotknęły znajomych z jej najbliższego kręgu: dwie dziewczyny z akademika straciły braci na okrętach storpedowanych przez niemieckie u-booty, jedna zaś aż dwóch. Zginęło kilku narzeczonych jej koleżanek, z pięciu współmieszkanek, które wyszły za mąż podczas ferii zimowych, jedna została wdową. Kate

widziała wokół siebie zatroskane twarze i smutne oczy, lęk przed otrzymaniem listu z ministerstwa wojny mroził wszystkie serca.

Andy, pragnąc odkupić jakoś swoją niezdolność do służby, przez całe lato pracował w szpitalu wojskowym, a jego relacje z tego, co widział i słyszał, bywały wręcz koszmarnie. Miał do czynienia z ludźmi bez kończyn, oczu czy twarzy; cały oddział wypełniali mężczyźni, którym doznany uraz zabrał również dusze... Andy nie przyznałby się przed nikim — wyjąwszy może Kate — że zdarzały się chwile, kiedy skrycie dziękował Bogu, że stan zdrowia nie pozwolił mu iść na front.

Ostatnie dwa tygodnie wakacji Kate wraz z rodzicami spędzała na Cape Cod, jedynym miejscu, gdzie z pozoru nic nie uległo zmianie. Z pozoru, o ile bowiem większość niewielkiej społeczności stanowili ludzie starsi, o tyle w tym roku odwiedziło ich znacznie mniej wnuków, chłopców znanych Kate od dzieciństwa. Niemniej jednak w Święto Pracy sąsiedzi Jamisonów urządzili tradycyjne barbecue, a Kate poszła na nie w towarzystwie rodziców.

Mijał tydzień, odkąd

nie miała od Joego żadnych wieści, ale nie odczuwała jeszcze niepokoju, bo listy z Anglii podróżowały długo, czasami przychodziły całymi plikami. Mogło się nawet zdarzyć tak, myślała niekiedy ze zgrozą, że będzie czytać list, którego nadawca już nie żyje. Z Andym natomiast odbyła po przyjeździe na Cape Cod kilka rozmów telefonicznych, stwierdzając z satysfakcją, że bardzo wydorósł podczas tych wakacji. Trzy miesiące przepracował w szpitalu wojskowym, teraz był u dziadków w Maine; w październiku zaczynał studia prawnicze w Harvardzie, zamierzał je skończyć jak najszybciej, a potem od razu podjąć pracę. Jego ojciec był szefem najbardziej prestiżowej kancelarii adwokackiej w Nowym Jorku, do której bez wątplenia Andy zostanie przyjęty z otwartymi ramionami.

Opiekając kielbaski nad ogniskiem Kate po prostu nie mogła nie myśleć o Joem, o spotkaniu sprzed roku, które stało się prawdziwym początkiem ich romansu. Zaraz potem zaczęli korespondować, później zaprosiła go na kolację w Święto Dziękczynienia. Ale z rozmowy podczas tamtego spaceru plażą pamiętała każde słowo. Stała pogrążona w myślach, nieobecna duchem, gdy nagle do rzeczywistości przywołał ją czyjś głos:

— Zawsze je przypalasz?

Wzdrygnęła się i odwróciła gwałtownie. Tuż za nią stał Joe

— wysoki, wychudzony, blady, wyraźnie starszy, lecz uśmiechnięty.

Pochwycił ją w ramiona, ledwie zdążyła cisnąć na piasek patyk z przypalonymi kielbaskami.

— O mój Boże... o mój Boże... — powtarzała, nie wierząc własnym oczom. Ale to naprawdę był Joe... w dodatku cały i zdrowy, jak przekonała się, omiötiszy go od stóp po głowę niespokojnym spojrzeniem. — Co tu robisz?

— Dostałem dwa tygodnie urlopu. We wtorek muszę się zameldować w ministerstwie wojny. Przypuszczalnie odstrzeliłem już swoją normę szkopów, więc wysłali mnie do domu, żebym mógł sprawdzić, jak się sprawujesz. Wyglądasz całkiem, całkiem. No i jak się miewasz, maleńka?

Teraz, kiedy miała go przy sobie, zdecydowanie lepiej niż zaledwie kilka minut temu. Nie posiadała się ze szczęścia, a Joe sprawiał wrażenie równie rozradowanego. Przytulał ją jak odzyskany skarb,

gładził po głowie, co chwila całował. Nie przejmowali się, że na nich patrzą.

Kilka minut później dostrzegł ich Clarke. Zrazu nie zorientował się, kim jest wysoki blondyn obok Kate, kiedy jednak zobaczył, że się całują, rozpoznał Joego. Pospiesznie ruszył w ich stronę.

Potęźnie uściskał Joego i promieniejąc, poklepał go po ramieniu.

— Jakże miło pana widzieć, Joe. Niepokoiłiśmy się o pana.

— Niepotrzebnie. Powinniście raczej niepokoić się o Niemców, bo solidnie dajemy im w kość.

— Zasłużyli na to — stwierdził bezkompromisowo Clarke.

— Ja osobiście wojuję z nimi tylko po to, żeby wreszcie wrócić do domu — odparł beztrząsco Joe.

Stanowili w tej chwili z Kate parę najszczęśliwszych ludzi na świecie, którym darowano oto dwa tygodnie w raju. Kate należała się taka nagroda za miesiące czekania i modłów o bezpieczeństwo Joego, który teraz nie odstępował dziewczyny na krok, odczuwając jej bliskość wszystkimi zmysłami.

Kiedy oderwała się od niego na chwilę, żeby odszukać matkę i powiadomić ją o przyjeździe Joego, Clarke zapytał poważnym tonem:

— No i jak wygląda sytuacja, synu?

— Brytyjczykom nie ma czego zazdrościć — odparł Joe nie owijając w bawełnę. — Niemcy nie dają im odetchnąć, bez przerwy bombardują miasta. To prawdziwe piekło. W końcu, jak sądzę, załatwimy szkopów, ale nie będzie to łatwe.

W istocie wieści z frontu były w ciągu ostatnich dwóch miesięcy nader przygnębiające.

Niemcy zajęli Sewastopol, przypuścili nieubłagany, brutalny atak na Stalingrad. Rommel nadal spuszczał Brytyjczykom srogie ciągi w Afryce Północnej, na Nowej Gwinei zaś Australijczycy zaciekle walczyli z Japończykami.

— Cieszę się, że u pana wszystko w porządku, synu — powiedział szczerze Ciarke, stopniowo zaczynając traktować Joego jak członka rodziny, choć przecież żadna ze stron nie złożyła dotąd ani jednej wiążącej deklaracji. Wyraźnie cieplej odnosiła się do Joego nawet Elizabeth, która na powitanie wyściskała go i ucałowała.

— Bardzo pan schudł, Joe — stwierdziła ze współczuciem. Kate знаła z listów powody tego stanu rzeczy: ciężka służba, częste

loty bojowe, kiepskie i coraz gorsze wyżywienie. — Dobrze się pan czuje?

— Teraz, mając w perspektywie dwa tygodnie urlopu, doskonale. Muszę wprawdzie jutro jechać na dwa dni do Waszyngtonu, ale wrócę w czwartek. W ciągu pozostałych dziesięciu dni chciałbym wpaść do Bostonu.

Kate rozpromieniła się jak jutrzienka.

— To świetny pomysł — powiedział szybko Clarke, zerkając na żonę, która nie mogła nie dostrzec wyrazu szczęścia na buzi Kate.

— Czy miałby pan ochotę zatrzymać się u nas? — spytała uprzejmie Elizabeth. Zaczynała wreszcie pojmować, że walka z żywiołem nie ma sensu i że lepiej pozwolić mu się unieść. Przede wszystkim zaś nie chciała, by w wypadku gdyby Joemu przydarzyło się coś złego, Kate miała uczucie, iż rodzice stali ich miłości na zawadzie. Byle tylko Kate nie popełniła jakiegoś głupstwa... Elizabeth zresztą zamierzała odbyć z nią na ten temat zasadniczą rozmowę. Koniec końców Joe był trzydziesto jednoletnim mężczyzną mającym zapewne określone potrzeby, ich zaspokojenie zaś na tym etapie bez wątpienia nie wyszłoby Kate na dobre. Elizabeth pozostawało liczyć na rozsądek córki.

Było grubo po północy, kiedy Joe oświadczył, że czas mu ruszać:

musiał autem dojechać do Bostonu, a stamtąd porannym pociągiem do Waszyngtonu. Na pożegnanie całował Kate długo i mocno, powtarzając obietnicę, że zobaczą się za trzy dni. Kate oczywiście nie miała najmniejszej ochoty wracać na uczelnię, w tej kwestii wszakże rodzice okazali się nieustępliwi, godząc się jedynie na to, aby w czasie pobytu Joego mieszkała w domu — lecz pod warunkiem iż ani razu nie spóźni się na zajęcia.

— Będę odwozić ją osobiście i pilnować, żeby nie wagarowała

— przyrzekł solennie Joe, a Kate odniosła przez moment wrażenie, że ma dwóch ojców zamiast jednego; zresztą to właśnie szczególna opiekuńczość, jaką przejawiał Joe, sprawiała

między innymi, że czuła się z nim nadzwyczaj dobrze i bezpiecznie. Już dawno zaś nie było jej tak cudownie jak teraz, gdy po kolejnym pocałunku wyznał, że ją kocha.

— Ja też cię kocham, Joe — odparła ubolewając, że zwykłe słowa nie mogą oddać ogromu jej miłości. — I tak się o ciebie bałam.

Jakoś przez to przejdziemy, maleńka, obiecuję. A kiedy już będzie po wszystkim, zabawimy się na sto dwa, zobaczysz.

Nie było to przyrzeczenie, na jakie liczyła Elizabeth, Kate jednak satysfakcjonowało w zupełności.

Joe wrócił z Waszyngtonu wcześniej, niż go oczekiwali, bo po dwóch dniach, i zgodnie z ustaleniami wprowadził się do Jamisonów. Był uprzedzająco grzeczny, delikatny, kulturalny i pełen ostentacyjnego wręcz szacunku wobec Kate, co jej rodzicom sprawiało wielką przyjemność. Nawet Elizabeth była pod wrażeniem i bardziej niż zachowanie Joego uszczęśliwiłyby ją tylko oświadczenia.

Clarke delikatnie poruszył tę kwestię, kiedy wróciwszy z pracy, zastał w kuchni Joego zajętego szkicowaniem planów nowego samolotu. Miał to być, wyjaśnił Joe, samolot jego marzeń, choć do budowy, co rozumiałe, będzie się mógł wziąć dopiero po wojnie. Kilka notesów wypełnił już danymi technicznymi i rysunkami szczegółów konstrukcji. Po dłuższej wymianie myśli na temat Lindbergha — Clarke bowiem jak większość Amerykanów najpierw stracił nieco szacunku dla słynnego pilota, kiedy ten wygłaszał przed wojną opinie, które mogły zostać odczytane jako germanofilskie, później natomiast, gdy Lindbergh włączył się z pełnym zaangażowaniem w organizowaną przez Henry'ego Forda produkcję bombowców, spojrzął nań łaskawszym okiem — rozmowa naturalną kolejną rzeczą zdryfowała na temat Kate. Ciarke nie nazwał rzeczy po imieniu, dał jednak nader wyraźnie do zrozumienia, że interesują go, nawet niepokoją intencje Joego względem Kate. Wtedy stropiony Joe na dłuższą chwilę opuścił głowę, wbijając wzrok w swoje dłonie, ale zaraz potem spojrzął Clarke'owi w oczy i nie owijając w bawełnę wypalił, że ją kocha. Nie rozczarował Clarke'a, który uznał, że skoro tak, wszystko jest w porządku, a Joe należy po prostu do mężczyzn, którym podejmowanie pewnych decyzji nie przychodzi łatwo. Jeśli jednak on i Kate kochają się tak mocno, jak wszystko na to wskazuje, wcześniej czy później odnajdą właściwą drogę.

— Ale teraz jej nie poślubię — dodał zaraz Joe, wierząc się w wąskiej kuchni jak ogromny ptak, któremu pręty klatki nie pozwalają rozwinąć skrzydeł. — To by nie było uczciwe, bo Kate zostałaby wdową, gdybym zginął.

Ciarke nie musiał mówić, że zamężna czy nie, popadłaby w bezgraniczną rozpacz, obaj bowiem zdawali sobie z tego sprawę. Była bardzo młodą, zaledwie dziewiętnastoletnią dziewczyną kochającą pierwszego i — jeśli Elizabeth zdoła przeforsować swoją wolę — ostatniego mężczyznę w życiu.

— Na tym etapie nie rusimy się pobierać — podjął Joe. — Nie mam nikogo innego ani tu, ani w Anglii i nie zamierzam mieć.

Poruszona przez niego kwestia nie istniała wprawdzie dla bezgranicznie ufnej Kate, istniała jednak dla Elizabeth, która nie mogła odpędzić od siebie podejrzeń, że znacznie starszy od jej córki Joe może się okazać dostatecznie wyrachowany i ostrożny, by chociaż mimochodem wieść coś na kształt drugiego życia. Byłby to dla Kate zabójczy cios; ona wprawdzie też mogłaby zranić Joego, ale Elizabeth miała stuprocentową pewność, że nie uczyni tego pod żadnym pozorem.

— Czy w ogóle myśli pan o stabilizacji życiowej? — zapytał ostrożnie Clarke świadom, że po raz pierwszy ma szansę dowiedzieć się czegoś o wewnętrznym świecie Joego.

— Chyba tak, cokolwiek ten termin oznacza. Pod warunkiem że nadal będę mógł latać i konstruować samoloty. Bo po prostu muszę to robić. Jeśli więc nie dojdzie tu do konfliktu interesów, stabilizacja życiowa jest zapewne możliwa. Nigdy zresztą się nad tym głębiej nie

zastanawiałem. — Trudno było to nazwać oświadczeniami, a nawet deklaracją zamiarów: Joe najwyraźniej nie dojrzał jeszcze do małżeństwa, nie odczuwał silnej emocjonalnej potrzeby zakładania rodziny. Już wcześniej zresztą wyznał Kate, że nie ma wielkiego nabożeństwa do dzieci. Wystarczyły mu samoloty. — Trudno zresztą myśleć o przyszłości, kiedy człowiek bez przerwy ryzykuje życie, czasem kilka razy dziennie. — Istotnie, odbywał do trzech lotów bojowych dziennie, a każdy z nich mógł okazać się ostatnim. W powietrzu wszystko, nawet Kate, traciło znacznie wobec konieczności stoczenia kolejnej walki z nieprzyjacielem. Miłość była w oczach Joego luksusem, na który będzie mógł sobie pozwolić dopiero wtedy, kiedy załatwi wszystkie istotne sprawy; ten pogląd zresztą rządził nie tylko chwilą obecną, lecz całym życiem Joego. — Kocham Kate, panie Jamison

— ciągnął, przyjmując od Clarke'a szklaneczkę bourbona. — Ale czy sądzi pan, że mogłaby być szczęśliwa z takim facetem jak ja? Czy

którkolwiek kobieta mogłaby być szczęśliwa? Latanie jest i zawsze będzie na pierwszym miejscu w moim życiu. Kate musi zdawać sobie z tego sprawę.

W pewnym sensie był geniuszem, zarówno pod względem swoich zdolności konstruktorskich, jak i lotniczych: znał na pamięć najdrobniejsze elementy samolotów, wiedział wszystko o aerodynamice, potrafił pilotować w najtrudniejszych warunkach. Kobiety jednak rozumiał znacznie gorzej — pojmował to sam i zaczynał to pojmować Clarke.

Elizabeth wiedziała wszystko, ponieważ słuchała podpowiedzi własnej intuicji.

— Sądzę, że będzie szczęśliwa, dopóki będzie ją pan kochał i gwarantował jej bezpieczne życie. Zapewne zapagnie w końcu tego wszystkiego, czego pragną inne kobiety: męża, na którym będzie mogła polegać, wygodnego domu, dzieci. To sprawy fundamentalne.

O bezpieczeństwo materialne Kate nie musiała się martwić, zapewniał je bowiem majątek rodziców, źródłem bezpieczeństwa uczuciowego jednak mógł być tylko Joe.

— Nie wygląda mi to na zbyt skomplikowane — stwierdził z przekonaniem Joe, pociągając długi haust bourbona.

— Czasem bywa bardziej skomplikowane, niż pan sądzi — odparł z pobłażliwością człowieka doświadczonego Clarke. — Kobiety potrafią się pieklić z najbanalniejszych powodów. Nie można ich wrzucić do bagażnika auta jak walizki. Jeśli zostaną sprowokowane, nie będą zaspokojone w sensie emocjonalnym czy jakimkolwiek innym, zaczną się schody.

— Zapewne ma pan rację. Nad tym też się dotąd nie zastanawiałem. Nie było zresztą takiej potrzeby. — Joe opuścił wzrok i wciąż wpatrywał się w szklaneczkę, kiedy po chwili milczenia podjął:

— I chyba nie jest to najwłaściwszy moment, żeby się zastanawiać. Po pierwsze, znamy się z Kate zbyt krótko i zbyt powierzchownie, a po drugie, w tej chwili potrafię myśleć tylko o walce z Niemcami. Dopiero kiedy skończy się wojna, będziemy mogli rozważać, jakie kupić wykładziny, a jakie, i czy w ogóle, zasłony. Teraz nie mamy nawet domu. Chyba na razie żadne z nas nie dojrzało do podjęcia tak ważkiej decyzji.

W danych okolicznościach była to zupełnie rozsądna odpowiedź, Claike jednak, który miał nadzieję, że Joe poprosi go o rękę Kate, doznał rozczarowania. Może zresztą dobrze się stało, iż okazał szczerość, przyznał się do własnej niedojrzałości. Dotąd istotnie tryb jego życia nie sprzyjał myślom o stabilizacji. Joe miotał się po całym świecie od lotniska do lotniska, przejęty tylko swoimi samolotami i przyszłością awiacji. Miał bezkresne marzenia, ale dotyczyły one jedynie latania; na prozę życia nie było w nich miejsca. Ciarke dochodził do wniosku, że po wojnie Joe, zamiast gapić się nieustannie w niebo, będzie musiał od czasu do czasu popatrzeć na ziemię. Był wizjonerem, ale czy w jego wizje mogła się wpisać Kate?

— No i co powiedział? — zapytała niespokojnie Elizabeth, kiedy wieczorem zamknęły się za nim drzwi sypialni. W rzeczy samej to właśnie matka Kate nakłoniła Clarke'a do rozmowy z

Joem i w właśnie za jej podszeptem Clarke wcześniej wrócił z biura, żeby mieć stosowną okazję.

— W paru słowach? Ze nie jest gotowy. Czy raczej, jak się dokładnie wyraził, „nie są gotowi” — odparł Clarke, usiłując ukryć rozczarowanie.

— A ja sądzę, że Kate byłaby gotowa, gdyby tylko on okazał gotowość — stwierdziła smutno Elizabeth.

— Podzielam twoje zdanie. Ale nie możemy niczego forsować. Joe walczy na wojnie, codziennie ryzykuje życie i trudno go będzie w tej chwili przekonać, że czymś, czego najbardziej potrzebuje do szczęścia, są zaręczyny. Zresztą w mojej opinii nie jest typem faceta, dla którego rodzina przedstawiałaby szczególną wartość, choć dostrzegam w nim pewien potencjał. Nie wątpię, że kocha Kate: powiedział to jednoznacznie, a ja mu wierzę. Nie sziaja się z innymi kobietami, ma kręcka na punkcie Kate. Ale też na punkcie swoich samolotów.

Tego właśnie Elizabeth obawiała się od samego początku.

— A co będzie, jeśli po wojnie Joe dojdzie do wniosku, że jednak nie ma ochoty zakładać rodziny? Kate zmarnuje tylko ileś tam lat, na domiar złego będzie miała złamane serce. W dodatku był to tylko jeden z kilku czarnych scenariuszy, niemal równie prawdopodobnych. Przecież nawet gdyby Kate i Joe wzięli ślub, Joe mógł zginąć, a Kate zostałaby wtedy wdową... ewentualne dziecko niosłoby jej tylko częściową pociechę. Nie, nie takiego życia pragnęli Jamisonowie dla swojej córki: marzyli dla niej o kochającym, zawsze obecnym mężu, bezpiecznym wygodnym domu i stabilnym życiu. Ciarke powoli godził się z myślą, iż pewien ekscentryzm jest nieuleczalną cechą Joego, ale też cechą możliwą do zaakceptowania u człowieka tak wybitnego, cechą niekoniecznie naganną, choć bez wątpienia utrudniającą porozumienie w pozornie najprostszych sprawach. Prywatnie optował tedy za cierpliwością i cierpliwość właśnie zalecił żonie, relacjonując jej rozmowę z Joem.

— Uważasz więc, że chciał ci dać do zrozumienia, iż nigdy nie zamierza się ożenić? — zapytała z narastającą paniką w głosie Elizabeth.

— Wcale tak nie uważam, sądzę wręcz, że poślubi ją wcześniej czy później. Znałem podobnych facetów... po prostu potrzebują nieco więcej czasu, żeby trafić przed ołtarz — zaoponował z uśmiechem Clarke. — Nie wszystkie konie mają jednakowy temperament. Ten, moim zdaniem, jest trochę narowisty. Cierpliwości, Liz. Kate nie podziela twoich obaw.

— I to mnie właśnie martwi. Przecież poleciałaby z nim na Księżyc, kocha go do szaleństwa i zgodzi się na każdą jego propozycję. A ja nie chcę, żeby moja córka mieszkała w namiocie na jakimś lotnisku.

— Do tego raczej nie dojdzie. Możemy kupić im dom, jeśli okaże się to konieczne.

— Dom to sprawa bez znaczenia, ważne jest to, kto w nim zamieszka, a kto nie.

— Joe znajdzie do niego drogę — z przekonaniem zapewnił ją Ciarke.

— Mam nadzieję, że dożyję tej chwili — odparła zrezygnowana Elizabeth.

Clarke ją pocałował.

— Jeszcze wiele przed tobą, najdroższa, bez dwóch zdań.

Elizabeth jednak odczuwała ostatnio znużenie, poza tym dobiegając sześćdziesiątki, rozpaczliwie pragnęła zobaczyć, że życie jej córki ułożyło się szczęśliwie. Ale okoliczności nie były sprzyjające, toczyła się wojna, a zdaniem Elizabeth postępowanie Joego po jej zakończeniu stało pod znakiem zapytania. Wcale nie podzielała pewności męża, iż Joe poślubi Kate.

Również Joe nie zachował rozmowy z Ciarciem tylko dla siebie, lecz zrelacjonował ją ukochanej.

— To niesmaczne — prychnęła. — Dlaczego ojciec to zrobił? Zachował się tak, jakby pragnął cię zmusić do małżeństwa ze mną.

— Po prostu rodzice przejmują się twoim losem — wyjaśnił Joe spokojnie, choć również wytrąciła go z równowagi rozmowa, podczas której po raz pierwszy w życiu musiał się tłumaczyć ze swej hierarchii wartości, intencji i zamierzeń. — Nie mają na myśli nic złego. Chcą dla ciebie, a może również dla mnie, tylko dobra. Właściwie czuję się połączony, bo przecież nie wyrzucili mnie ze swojego domu i nie oznajmili, że nie jestem godzien ich córki. A mogli. Pragną wiedzieć, czy nie jestem tylko ptakiem przelotnym i czy naprawdę cię kocham. I dla twojej wiadomości: powiedziałem twojemu ojcu, że tak. Resztę poukładamy sobie po moim powrocie z Anglii, chociaż Bóg jeden wie, kiedy to nastąpi i gdzie później rzuci mnie los.

Nie była zachwycona jego słowami, bo dotąd los rzucał go najchętniej w najbardziej zakazane zakątki kuli ziemskiej, wszędzie tam, gdzie były jakiegokolwiek lotniska. Wolała wszakże nie pytać, jej ojciec zadał Joemu dość pytań jak na jedno popołudnie. I chociaż sam Joe odniósł się do przesłuchania wyrozumiale, a nawet wielkodusznie, ona była nim mocno poirytowana, bo poza wszystkim zdawała sobie sprawę, iż niemiłe rodzicom odpowiedzi Joego długo jeszcze będą uderzać w nią rykoszetem.

Dni, które spędzili razem we wrześniu 1942 roku, były isticie magiczne: Joe odbierał Kate ze szkoły, potem całymi godzinami spacerowali, przesiadywali w parkach i wiedli niekończące się rozmowy o wszelkich ważnych dla siebie sprawach. Ciągłe wprawdzie trzymali się za ręce i całowali, ale za obopólnym porozumieniem nie posuwali się ani kroku dalej, chociaż dotrzymanie warunków owego „paktu” z każdą chwilą było dla nich trudniejsze. Joe nie chciał ciąży Kate tak samo, jak nie chciał jej wdowieństwa, pragnął, by ich ewentualne małżeństwo było wynikiem decyzji, nie zaś przymusu; Kate zgadzała się z nim, chociaż chwilami niemal marzyła o tym, aby mieć z nim dziecko, które byłoby wiecznie przy niej obecną częścią Joego, gdyby sam Joe, nie daj Boże, zginął. W tej chwili mogli tylko oboje ufać, że przyszłość okaże się dla nich łaskawa, bo Zamiast obietnic, gwarancji i pewników mieli jedynie nadzieje, marzenia i wspólnie spędzone chwile. Reszta pozostawała niewiadomą.

Rozstawali się zakochani mocniej niż kiedykolwiek dotąd, znający siebie wzajem lepiej i intymniej, dopasowani jak uzupełniające się elementy mozaiki. Byli odmienni, ale dobrani tak idealnie, że Kate żywiła przekonanie, iż urodzili się po to, aby być razem — a Joe nie oponował. Nadal bywał chwilami szorstki, zakłopotany, onieśmielony, milkliwy, zagubiony we własnych myślach, ale Kate, rozumiejąc teraz źródła jego drobnych dziwactw, zapisywała mu je na plus.

Tym razem zegnał ją ze łzami w oczach, całował bez opamiętania i wyznając miłość, obiecywał, że napisze natychmiast po przyjeździe do Anglii.

Była to zresztą jego jedyna, lecz dla Kate zupełnie wystarczająca obietnica.

ROZDZIAŁ VI

Wojna przybrała pomyślny dla aliantów obrót w październiku, z frontu nadeszły pierwsze doniesienia nieco bardziej optymistyczne niż dotąd. Australijczycy ze sprzymierzeńcami zaczęli wypierać z Nowej Gwinei Japończyków, którzy — jak się zdawało — słabli również

na Guadalcanalu; Brytyjczycy zyskali w końcu przewagę nad niemieckimi siłami w Afryce Północnej; Stalingrad wciąż się bronił, choć jego przetrwanie ciągle wisiało na włosku. Joe latał nieustannie, a jego misja nad Gibraltarem przeszła do historii, kiedy wspólnie z trzema innymi pilotami Spitfire'ów zestrzelił podczas rozpoznania przed inwazją aliancką, znaną jako Operacja Żagiew, dwanaście niemieckich bombowców nurkujących Stuka.

Nagrodzony przez Anglików Lotniczym Krzyżem Walecznych, miał takie samo odznaczenie odebrać w Waszyngtonie z rąk prezydenta Stanów Zjednoczonych. Uprzedzona tym razem zawczasu Kate trzy dni przed Bożym Narodzeniem wsiadła w Bostonie do pociągu, żeby spędzić z Joem czterdzieści osiem godzin, jakie miał do dyspozycji przed powrotem do Anglii. Znowu trafił się obojgu cudowny niespodziewany dar. Ministerstwo wojny załatwiło Joemu hotel, Kate zdołała zarezerwować pokój na tym samym piętrze, a co najważniejsze, towarzyszyła Joemu na ceremonii wręczenia odznaczeń. Prezydent uściśnął jej dłoń, pozowali do zdjęć i to wszystko wydawało się dziewczynie odrobinę nierzeczywiste.

Po uroczystości Joe zaprosił ją na kolację. W mundurze galowym, z krzyżem na piersi, był jeszcze przystojniejszy niż zwykle.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś — powiedziała Kate. W trakcie ceremonii, radosnej przecież i podniosłej, uświadomiła sobie nagle, że podczas owej akcji, która zakończyła się tak szczęśliwie, Joe mógł łatwo zginąć, że wszystko w ich życiu jest osobliwą mieszanką rozkoszy i goryczy, że każdy nowy dzień jest dla Joego bezcennym darem. Pomyślała o wszystkich chłopcach, którzy zginęli w Europie czy Azji... ileż koleżanek ze studiów straciło już najbliższych? Jej na razie dopisywało szczęście. Zaciskała kciuki i codziennie modliła się za Joego.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jestem — odparł Joe, pociągając łyżeczek wina. — Ale nawet się nie obejrzę, a znowu będę odmrażał zadek w Anglii.

Ameryka, tak daleka geograficznie od wojny, wydawała mu się rajem. Wszędzie stały choinki, śpiewali kolędnicy, radośnie podniecone dzieciaki oczekiwały świętego Mikołaja. Tu wciąż widywało się szczęśliwe twarze, jakże inne niż udręczone, głodne, przerażone nalotami oblicza, jakie otaczały go w Anglii. Tam nawet dzieci były nieustannie smutne, tam w okamgnieniu znikwały domy, ginęli ludzie. W Anglii trudno było być szczęśliwym. Można natomiast i trzeba było być odważnym.

Po kolacji przyjechali do hotelu i usiedli w saloniku wygospodarowanym we foyer; rozmawiali wiele godzin, ponieważ nie mieli najmniejszej ochoty się rozstawać i wracać do pokoi, w miarę upływu czasu jednak przeciągi dawały im się we znaki coraz bardziej, aż wreszcie Joe zaproponował, żeby poszli do niego, obiecując przy tym, że będzie się zachowywał naleźycie. Kate przyjechała do Waszyngtonu sama, bo chociaż rodzice zamierzali jej towarzyszyć — nie w roli przyzwoitek, jak zapewniali, lecz by nacieszyć się sukcesem Joego — ojcu wypadło w ostatniej chwili spotkanie z ważnym klientem, a Elizabeth postanowiła z nim pozostać. Jamisonowie bezgranicznie ufali Kate i wierzyli w odpowiedzialność Joego, sama Kate też miała najlepsze intencje, ale... miała też zgrabiałe dłonie i przeraźliwie szczękała zębami. Na dworze sypał śnieg i trzymał siarczysty mróz. Wąziutkimi schodami powędrowali więc na górę. Hotelik był mały i dosyć nędzny, skoro jednak personel wojskowy otrzymywał w nim

pokoje za grosze — chętnie wykorzystywało go dla swoich gości ministerstwo wojny. Atu Kate, ani Joemu nie przeszkadzały skromne warunki lokalowe — mieli siebie, dostali najwspanialsze na świecie prezenty gwiazdkowe. Kate zresztą, która od września umierała z tęsknoty za Joem, odczuwała lekkie wyrzuty sumienia, bo znała wiele kobiet, które swych braci, narzeczonych czy mężów nie widziały od czasu ataku na Pearl Harbor.

W pokoju — wyposażonym jak wszystkie inne w jedno łóżko, krzesło, komodę i umywalkę, lecz co najważniejsze, posiadającym prysznic i toaletę w pomieszczeniu służącym zapewne kiedyś jako garderoba — było nieco cieplej niż we foyer, niewątpliwie tylko z powodu

małego rozmiaru pomieszczenia. Joe usiadł na łóżku i otworzył butelkę szampana, którą kupił, żeby uczcić z ukochaną swój Krzyż Walecznych.

Sama Kate wciąż była pod wrażeniem wizyty w Białym Domu, pewna, że na zawsze zachowa w pamięci każdy jej szczegół. Zwróciła na przykład uwagę na dłonie pani Roosevelt...

Pierwsza dama, która odnosiła się do niej bardzo serdecznie, miała wyjątkowo piękne dłonie, przyciągające wzrok Kate z hipnotyczną mocą. Joe odniósł się do ceremonii ze znacznie mniejszym przejęciem, ale w końcu towarzysząc Charlesowi bywał już w wielu niezwykłych miejscach, poza tym imponowały mu zupełnie inne rzeczy i zupełnie inni ludzie — na przykład rekordy lotnicze czy sławni piloci. Dumny wprawdzie z odznaczenia, wołałby go jednak nie dostać, gdyby przywróciło to życie wszystkim jego kolegom i przyjaciołom poległym w trakcie wykonywania zadań. Pamięć o nich wisiała jak czarna chmura nad tym radosnym skądinąd dniem.

Widząc, że Kate nie potrafi znaleźć sobie miejsca na niewygodnym krześle, zaproponował, żeby usiadła obok niego. Świadoma, że kusi los, nie wątpiła, iż mogą sobie ufać. Nie popełniła przecież żadnego głupstwa tylko dlatego, że są w jednym pokoju hotelowym i siedzą na jednym łóżku... Usiadła. Wypiła pół kieliszka szampana, Joe nieco więcej, bo prawie dwa, rozmawiali, w końcu Kate oświadczyła, że musi wracać do siebie.

Zanim wstała, Joe ją pocałował; był to długi niespieszny pocałunek zawierający w sobie wszystko — smutek i tęsknotę odczuwane przez

nich od tak dawna, bezmierną radość, że są wreszcie razem. Kiedy w końcu oderwali się od siebie, byli bez tchu, ale wciąż spragnieni..., jak gdyby wyrzeczenia minionego roku nagle dały znać o sobie z przemożną siłą jakby nie znoszącym sprzeciwu tonem zażądały zapłaty.

Niepowstrzymaną falą opłynęło ich pożądanie. Joe nie zastanawiał się, co robi, kiedy całując Kate położył ją na wznak, a potem z wolna się na nią osunął; dziewczyna ku swojemu bezmiernemu zdziwieniu nie próbowała go pohamować, chociaż jak Joe zdawała sobie sprawę, że jeśli nie przestaną w tej chwili, zaraz będzie za późno. Joe raz za razem chrapliwie wyszeptywał jej do ucha słowa miłości.

— Ja też cię kocham — wydyszała, wiedząc tylko, że chce go całować, czuć na sobie... czuć, tak, pomyślała rozpinając guziki kurtki, czuć jego skórę, pieścić ją, dotykać.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał, ale w tym samym momencie rozpiął już bluzkę Kate, stanik, miał w dłoniach i ustach jej piersi, był nagi do pasa, narkotycznie oszołomiony zetknięciem ich ciał. — Maleńka..., chcesz przestać? — zapytał, daremnie usiłując opanować sytuację, która obojgu wymykała się z rąk.

— Wiem, że powinniśmy przestać — wyszeptała pomiędzy pocałunkami.

Ale nie chciała. I nie mogła. Pragnęła tylko tego... Hamowali się od tak dawna, że teraz pragnęła tylko tego... być z nim.

Najwyższym wysiłkiem woli oderwał się od niej, uniósł głowę.

— Kate, posłuchaj — powiedział z wysiłkiem — nie musimy tego robić, jeśli nie chcesz.

Próbował ją ocalić, lecz Kate nie chciała ratunku. Pragnęła tylko kochać Joego i być przezeń kochaną.

— Tak strasznie cię kocham... Pragnę cię, Joe...

Tego dnia podczas ceremonii zdała sobie sprawę z ulotności i kruchości życia. Pojęła, że być może widzi Joego po raz ostatni. Dlatego chciała — teraz, z nim. Pocałował ją znowu, ostrożnie zdjął najpierw z niej, a potem z siebie resztę odzieży, jął wodzić delikatnymi palcami i ustami po cudownym ciele Kate, smakując je i poznając. Potem wpili się w siebie wargami, Joe w nią wszedł... bolało tylko przez moment... i na długo, bardzo długo zatracili się w miłości. Joe nigdy nie kochał nikogo tak bardzo, nigdy nie dał z siebie tak wiele. W pewnej chwili jego mózg przewierciła przerażająca myśl, że zniknie w Kate, rozwieje się w niej jak dym, że jego dusza stopi się bezpowrotnie z jej duszą. Kate otworzyła w nim furtkę, której istnienia nawet nie podejrzewał.

Kiedy wreszcie ostrożnie zsunął się z niej i położył na boku, oboje byli tak wyczerpani, że mogli tylko na siebie patrzeć z bezgraniczną czułością.

— Kocham cię, Kate — wyszeptał wreszcie Joe w jej włosy, leniwie muskając palcem skórę. Potem starannie okrył ją kocem. Półuśpiona Kate odpowiedziała mu uśmiechem. Nie żałowała, nie wstydziła się, nie odczuwała bólu. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. W końcu należała do niego.

Nie wróciła tej nocy do swojego pokoju, została z Joem, który marzył tylko o tym, aby kochać się z nią ponownie, lecz nie chciał sprawiać jej bólu. Jednakże rankiem Kate okazała inicjatywę; potrzebowali zaledwie paru chwil, żeby się odnaleźć i poszybować ku nowym wysokościom, nowym punktom, które wyznaczali sobie w życiu, nowym uczuciom, którym pozwalali przyjść na świat. Kiedy później Kate spojrzała na Joego, pojęła, iż połączyła ich więź znacznie silniejsza niż dotąd. Od tej chwili nie było ważne, gdzie wkrótce czy potem trafi Joe — zawsze, wiedziała, będą przy sobie, bo jedno nieodwołalnie wplotło się w ciało i duszę drugiego. Nie miała pojęcia, jak mu to powiedzieć, ale wiedziała, że nią zawładnął, że stał się panem tego, co w jej ciele i duszy najważniejsze.

ROZDZIAŁ VII

Rozstanie z bem w Waszyngtonie było jeszcze cięższe niż to bostońskie, we wrześniu. Joe stał się teraz organiczną częścią jej samej i zapewne podzielał to uczucie, bo okazywał Kate znacznie większą czułość i opiekuńczość, przestrzegał ją po tysiącokroć, by uważała w drodze do domu, by uważała na siebie nieustannie, by nie robiła żadnych głupstw. Szczerze ubolewał, iż nie może z nią pozostać, musiał jednak wracać do Anglii i swoich lotów bojowych.

Pożegnanie zatem było równie bolesne dla obojga: po raz pierwszy w życiu Joe odsłonił się i oddał całkowicie drugiemu człowiekowi, będąc silny jak zawsze — okazał nagle, że jest wrażliwy i podatny na zranienia. Poczucie odpowiedzialności za Kate stało się jego piętą achillesową.

— Pisz do mnie codziennie... Kate, kocham cię — powiedział, zostawiając ją w wagonie pociągu na Union Station.

Dziewczyna myślała, że serce jej pęknie, kiedy biegł za odjeżdżającym pociągiem, a potem stał na peronie, machając ręką. Zapłakana, nie potrafiła już sobie wyobrazić życia bez niego... tak, miała zupełną pewność, że jego śmierć również dla niej oznaczałaby koniec, nie chciała go przeżyć nawet o godzinę. Wciąż miała w pamięci ból po odejściu ojca, a rozstanie z Joem — który obudził w niej miłość, jakiej nigdy dotąd nie zaznała — z jeszcze większą mocą uzmysławiało Kate, jak nieustępliwym i bezlitosnym przeciwnikiem jest poczucie utraty. Przez większą część podróży siedziała z zarnkniętymi oczyma, rozmyślając o tym, że Joe w tej chwili leci już do Anglii. Wiedziała, iż w domu czekają na nią rodzice, to jednak nie niosło

najmniejszej pociechy, bo liczył się tylko fakt, że będzie musiała żyć bez niego, a tego nie chciała i nie potrafiła sobie wyobrazić. To, co jej dał i co pozwolił dać sobie, było spoiwem, które połączy ich na zawsze, ostatnim elementem układanki, nadającym całości jedyny możliwy sens. Nie poprosił jej o rękę, wcale zresztą nie musiał tego robić: oboje wyczuwali z równą mocą, że oto tkanki ich ciał, charakterów i losów splotły się i przemieniły w jedność.

Kate uświadomiła sobie, że wyraz jej twarzy musiał obudzić w Elizabeth lęk, iż córkę spotkało coś strasznego — gdy tymczasem opadła ją i zniewoliła przytłaczająca nieznosna tęsknota. Miesiące i lata wyczekiwania nie mieściły się jej w wyobraźni, a co dopiero mówić o tej przerażającej możliwości, że przytrafi się mu coś złego... Z chwilą gdy pękły ostatnie z

dzielących ich barier, wszystko nagle stanęło na głowie, nic już nie było takie samo jak przedtem.

Kate prawidłowo odgadła reakcję matki, Elizabeth bowiem istotnie przyszły w pierwszej chwili do głowy najczarniejsze myśli.

— Co się stało? — odezwała się takim tonem, jakby pytała, czy ktoś umarł, a Kate uświadomiła sobie, że nastąpiło coś bardzo podobnego:

jej wolność umarła. Nie była już tylko dziewczyną zakochaną w mężczyźnie, lecz częścią większej całości, częścią niezdolną do samodzielnego funkcjonowania. Na tym właśnie polegał największy przełom.

— Nic — wyszeptała cichutko, ale było to mało przekonujące.

— Jesteś pewna? Nie pokłóciliście się przypadkiem w ostatniej chwili? — dopytywała się Elizabeth świadoma, iż zdarza się to czasem nie tyle z jakichś konkretnych powodów, ile z napięcia.

— Nie, był cudowny — odparła Kate i wybuchając rozpaczliwym płaczem, rzuciła się w ramiona matki. — A jeśli on zginie, mamó?... Jeśli już nigdy nie wróci?

Nagle cała namiętność, wszystkie lęki, tęsknoty, marzenia, potrzeby, emocje i rozczarowania eksplodowały z porażającą mocą niczym bomba, której zapalnikiem stał się wyjazd Joego do Anglii. Kate nie była w stanie udźwignąć świadomości, że jeszcze raz mogłaby stracić kogoś, kogo kocha; ta myśl przepełniła ją takim lękiem, jaki bywa tylko udziałem dzieci.

— Musimy modlić się o jego powrót, najdroższa, jedynie to nam pozostaje. Wróci, jeśli jest mu pisane. Teraz musisz być dzielna

— powiedziała miękko Elizabeth, spoglądając ponad ramieniem Kate na stroskaną twarz męża.

Ja wcale nie chcę być dzielna — wychlipała Kate. — Ja chcę, żeby on wrócił do domu...

Chcę, żeby wojna się skończyła.

Rodzice współczuli jej całym sercem, pojmując jednak zarazem, iż podobnych jak Kate udręk doświadcza połowa świata, że Kate nie jest odosobniona w swym cierpieniu, że przeciwnie, może mówić o szczęściu większym niż inne kobiety, z których tyle straciło już ukochanych synów, braci i mężów. Kate wciąż miała Joego. Jeszcze go miała.

W końcu nieco uspokojona usiadła pomiędzy nimi na sofie, matka podała jej chusteczkę, ojciec przygarnął ją do serca, a kiedy po jakimś czasie poszła do łóżka, Elizabeth otuliła ją w taki sam sposób jak wtedy, kiedy Kate była małą dziewczynką, następnie zaś pospieszyła do sypialni, z westchnieniem zamknęła drzwi i usiadła przy toalecie.

— Tego właśnie pragnęłam jej oszczędzić — powiedziała ze smutkiem. — Nie chciałam, żeby pokochała go aż tak bardzo. Ale jest już za późno. Nie są zaręczeni, nie są małżeństwem. Joe nie złożył żadnych deklaracji... Nie mają nic. Po prostu się kochają.

— To już wiele, Liz. Może wszystko, czego im trzeba. Czy sądzisz, że Bóg faworyzuje żonatych i chętniej zostawia ich przy życiu niż kawalerów? Nie, Jego wyroki są niezbadane. Przynajmniej Kate i Joe mają swoją miłość.

— Jeśli coś mu się stanie, Clarke, ona tego nie przeżyje — stwierdziła Elizabeth, nie wspominając jednak mężowi, iż płacz i rozpacz Kate były tego wieczoru takie same jak wtedy, kiedy umarł John.

— Jedzie na tym samym wózku co połowa kobiet w kraju, będzie musiała jakoś przeżyć. Jest młoda, dojdzie do siebie.

— Mm nadzieję, że nigdy nie stanie w obliczu takiej sytuacji

— powiedziała z żalem Elizabeth.

Nazajutrz, w dzień Bożego Narodzenia, Kate wciąż była w grobowym nastroju, chociaż od matki dostała piękny naszyjnik z szafirów, a ojciec zaproponował, że kupi jej dwuletni samochód w doskonałym stanie, o ile tylko nauczy się trochę lepiej prowadzić. Elizabeth nie była jednak entuzjastką tego pomysłu, zwłaszcza że wobec reglamentacji paliwa trudno było

myśleć o regularnych i częstych praktykach. Kate również wręczyła rodzicom ładne prezenty, ale w gruncie rzeczy wcale do niej nie docierało, że są święta: w trakcie uroczystej kolacji nie zdołała wydusić z siebie ani słowa, zdolna myśleć jedynie o tym, że Joe jest w Anglii, a może nawet leci już na jakąś misję.

Przez kilka następnych tygodni jej samopoczucie nie uległo najmniejszej poprawie, podczas weekendowych wizyt w domu była tak blada i z pozoru wyczerpana, że matka zastanawiała się nawet, czyby nie udać się z córką do lekarza. Przestała prowadzić jakiekolwiek życie towarzyskie, a Andy, który kilka razy do niej telefonował, żalił się, że nie widział Kate od stuleci. Ona zaś pragnęła tylko spać i wciąż na nowo odczytywać listy Joego.

On również głęboko przeżył rozstanie, pisał o fatalnej pogodzie, odwołanych lotach, złym samopoczuciu załóg, które z powodu przymusowego leniuchowania są rozdrażnione i znudzone.

Ostatecznie Elizabeth uległa panice w dzień świętego Walentego, podczas niedzielnego obiadu bowiem Kate wyglądała gorzej niż kiedykolwiek dotąd — blada jak chusta, wymizerowana, prawie nic nie wzięła do ust i wybuchła płaczem na każdą wzmiankę o Joem. Po jej wyjściu Elizabeth stanowczo oświadczyła mężowi, że zaprowadzi córkę do lekarza.

— Jest po prostu samotna — zbagatelizował sprawę Ciarke.

— Mamy ponurą zimę, Kate ciężko haruje w college'u. Dojdzie do siebie, Liz, po prostu dajmy jej czas. Poza tym może Joe wkrótce dostanie następny urlop.

W lutym 1943 roku Joe jednak odbywał więcej lotów niż zazwyczaj, wziął na przykład udział w nocnym nalocie na Wilhelmshayen, a także

— zaproszony przez Brytyjczyków, którzy z reguły nocne misje zostawiali dla siebie — na Norymbergę.

Pod koniec lutego panika ogarnęła również Kate. Od spotkania z Joem upłynęły dwa miesiące i to, co zrazu było tylko podejrzeniem, przez ostatnie tygodnie stopniowo przemieniło się w pewność: była w ciąży. Stało się to w Waszyngtonie, kiedy Joe odbierał odznaczenie w Białym Domu. Nie miała pojęcia, co robić, nie chciała mówić rodzicom; pod pretekstem że chodzi o kogoś innego, uzyskała od jednej z koleżanek z uczelni adres pewnego lekarza w Mattapanie, ale nie znalazła w sobie odwagi, by do niego zadzwonić. Dziecko oznaczałoby w tej chwili katastrofę: musiałaby porzucić uczelnię, wywołałaby niebosiężny skandal. A ślub, nawet gdyby chcieli go teraz wziąć, nie wchodził w grę, bo Joe ostatnimi czasy powtarzał, że nie ma szansy na urlop. Nic mu Zresztą nie powiedziała, na pytanie zaś, dlaczego tak często powtarza, iż nie może się doczekać jego przyjazdu, odpowiadała po prostu, że bardzo tęskni. Nie zamierzała przypierać Joego do muru, nie chciała nawet wspominać o małżeństwie, mając zarazem pewność, że nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby poddała się skrobance, a Joego spotkało coś złego. Ze ślubem czy bez, chciała mieć to dziecko, zamiast jednak podejmować świadomą decyzję, grała na zwłokę, wiedząc, że w pewnym momencie po prostu będzie za późno. Przy czym nawet nie próbowała myśleć, co wtedy powie rodzicom i jak wytłumaczy się na uczelni.

Pewnego wieczoru na początku marca natknęła się w stołówce na Andy'ego, który zapytał, czy nie złapała grypy, w Harvardzie bowiem chorowali niemal wszyscy, a Kate wyglądała naprawdę kiepsko. Nic dziwnego, skoro mdłości i wymioty dokuczały jej od przeszło miesiąca. W owym czasie była prawie pewna, że nie przerwie ciąży i urodzi to dziecko, które jest przecież dzieckiem Joego. Rodzicom zamierzała powiedzieć o wszystkim dopiero wtedy, kiedy nie będzie miała innego wyboru, naukę zaś — jeśli ciąża stanie się zbyt widoczna — przerwie w okolicach Wielkiejnocy. Wolałaby wprawdzie doczekać końca roku akademickiego, co po wakacjach i urodzeniu dziecka stwarzałoby jej możliwość

kontynuowania nauki, nie miała jednak złudzeń, że w czerwcu ktokolwiek mógłby nie zauważyć jej sześciomiesięcznej ciąży. Zdumiewało ją, że aż dotąd matka niczego nie podejrzewa, lecz taki stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. Kiedy zaś prawda wyjdzie na jaw, rozpęta się piekło. Kate doskonale zdawała sobie sprawę, że jej rodzice łatwo Joemu nie wybaczą.

W swych codziennych listach nadal nie informowała go o niczym; biła się wprawdzie z myślami, ważyła rozmaite ewentualności, zawsze jednak w końcu dochodziła do wniosku, że nie powinna wytrącać go z równowagi czy złościć. Loty bojowe wymagały pełnego spokoju ducha i koncentracji. Tak więc swemu problemowi stawiała czoło samotnie, codziennie rano wymiotowała w łazience, a potem wycieńczona wlokła się na zajęcia. Współmieszkanicy szybko zauważyły, że nieustannie przysypia, kierowniczką akademika zaś pytała kilkakrotnie, CZY f1C potrzebuje lekarza. Kate utrzymywała z uporem, że czuje się świetnie i jest tylko zmęczona nauką) chociaż — CO zauważyli i CO podkreślali wykładowcy — zaczęła dostawać gorsze oceny. Jej życie gwałtownie zmieniało się w koszmar, którego kulminacją stanie się ów coraz bliższy dzień, kiedy będzie musiała poinformować rodziców, że we wrześniu wyda na świat nieślubne dziecko. Niepokoiła się, iż ojciec spróbuje zmusić Joego do małżeństwa, na to jednak nie zamierzała pozwolić. Joe przecież, o czym dobrze wiedziała, był wolnym duchem, a zresztą mówił bez ogródek, że nie chce mieć żadnych dzieci. Kiedyś może się zmienić, pokocha to, które mu urodziła, w tej chwili jednak nie miała najmniejszego zamiaru stawiać go pod ścianą. Wśród obaw i niepokojów wiedziała na pewno tylko dwie rzeczy: jak bardzo go kocha i jak bardzo pragnie mieć z nim dziecko. Ten uspokajający pakt ze swymi rozterkami zawarła na początku marca, postanawiając równocześnie, że zachowa całą sprawę w tajemnicy najdłużej, jak to będzie możliwe.

— No i co u ciebie słyhać? — zapytał Andy, kiedy pewnego popołudnia wpadł do niej z Harvardu, gdzie ciężko pracował, usiłując jakoś dobrać do końca pierwszego roku studiów prawniczych. Kiedy szli po dziedzińcu, jego szczupła zgrabna sylwetka i ciemne włosy przyciągały jak magnes spojrzenia wielu dziewczyn z Radcliffe, które w owym czasie zaczynały już popadać w desperację. Andy zerkał na nie zwycięsko.

— Jesteś rozpuszczony jak dziadowski bicz — stwierdziła żartobliwie Kate, a on uśmiechnął się szeroko. Miał piękny uśmiech, jego wielkie ciemne oczy zaś były pełne ciepła i życzliwości.

— Ktoś musi zastąpić u boku tych sierot naszych dzielnych chłopców w mundurach. To ciężki obowiązek, trzeba mu jednak sprostać, nie ma innego wyjścia — odparł, coraz bardziej ostatnimi czasy rad, że został w kraju, i coraz mniej zakłopotany swą kategorią „D”. Musiał tłumaczyć się ze swej sytuacji tak wiele razy, że temat zupełnie przestał być dlań drażliwy.

— Jesteś obrzydliwy, Andy — stwierdziła z przekonaniem Kate, chociaż w ciągu ostatnich dwóch lat serdecznie się zaprzyjaźnili.

Tego lata Andy znów zamierzał pracować w szpitalu, Kate jednak zwlekała z decyzją co do pracy w wakacje, miała bowiem pewność, iż jej ciąża będzie wtedy bardzo widoczna, co niechybnie utrudni, a może nawet uniemożliwi znalezienie jakiegokolwiek zajęcia. Panny z dziećmi nie cieszyły się wśród pracodawców najlepszą opinią. Ważyła raczej myśl, żeby aż do porodu pozostawać w ich domu na Cape Cod. Już za kilka tygodni miała zamiar złożyć podanie o urlop dziekański od Wielkiejnocy: rozstałaby się w ten sposób ze swoim rocznikiem, ale przy odrobinie szczęścia straciłaby tylko jeden semestr. A nagroda za tę stratę — zakładając rzecz jasną, że zostanie ponownie przyjęta na uczelnię — jest warta zapłaconej ceny. Nie będzie mogła zataić powodu swojego podania, takie historie jednak przydarzały się już przedtem innym dziewczętom... Pogodzona z losem, zastanawiała się nieustannie, jak zareaguje Joe: trwała w postanowieniu, by wyznać mu prawdę dopiero podczas jego najbliższego urlopu — nawet gdyby oznaczało to, że urodzi dziecko wcześniej, przed jego przyjazdem. Ubolewała tylko, iż musi zachowywać tajemnicę

przed Andym, z którym byli tak blisko, zadając sobie zarazem pytanie, czy byłby zaszokowany nowinami i czy pogorszyłaby się jego opinia na jej temat. Była jednak gotowa zapłacić nawet taką cenę.

— No więc co zamierzasz tego lata, Kate? Znów Czerwony Krzyż?

— Niewykluczone — odparła wieloznacznie. Andy nie zorientował się, że w gruncie rzeczy jest nieobecna duchem. Uznał, że wygląda świetnie, znacznie lepiej niż w lutym, próbował zatem namówić ją na wspólny wypad do kina. Robili to od czasu do czasu, a już zdecydowanie o wiele częściej, odkąd przestał smalić do niej cholewki, a zaczął traktować jak przyjaciółkę. Tym razem jednak Kate odmówiła, powołując się na jakąś pracę, którą ma złożyć już jutro.

— Ponuraczka z ciebie. No, ale przynajmniej jestem rad, że wyglądasz lepiej. Bo kiedyśmy się widzieli ostatnio, przypominałaś śmierć.

Zbliżał się koniec pierwszego trymestru, mdłości zaczynały mijać, ustępując miejsca radosnemu podnieceniu wywołanemu perspektywą wydania na świat dziecka — i to właśnie spowodowało korzystne zmiany w powierzchowności Kate, która często teraz myślała z nadzieją, że urodzi chłopczyka kropka w kropkę takiego jak Joe.

— Miałam wtedy grypę — odparła, Andy zaś bez zastrzeżeń przyjął do wiadomości jej wyjaśnienie; nie żywił żadnych podejrzeń, a myślał, że Kate mogłaby być w ciąży, nawet nie powstała mu w głowie.

— Cieszę się, że już jesteś zdrowa. Kończ tę swoją pracę, żebyśmy mogli wybrać się do kina w przyszłym tygodniu.

Z roześmianymi piwnymi oczyma wskoczył na rower, a kiedy odjeżdżał, machając Kate na pożegnanie, wiatr mierzwił jego ciemne włosy. Był miłym chłopakiem i Kate naprawdę bardzo go polubiła.

Rozmyślała czasem, czy sprawy pomiędzy nimi ułożyłyby się inaczej, gdyby nie istniał Joe. Trudno było wyrokować... Darzyła Andy'ego sympatią i przywiązaniem, zarazem jednak nie umiała sobie wyobrazić, że odczuwa doń coś takiego jak do Joego. Andy był pełen ciepła, życzliwości i dobroci, ale nie elektryzował jej tak jak Joe, nie budził w niej żadnej namiętności. Bez wątpienia jednak zostanie pewnego dnia mężem jakiejś kobiety, łączył bowiem w sobie wszystkie niezbędne po temu cechy — był człowiekiem prawym, odpowiedzialnym i uczuciowym. Jakże odmiennym od błyskotliwego, ale zdziwaczałego Joego z jego obsesją na punkcie samolotów i niechęcią do stabilizacji. Kate nigdy nie przypuszczała, że pokocha mężczyznę pokroju Joego Allbrighta, a na dodatek — zajdzie z nim w ciążę i urodzi mu nieślubne dziecko. W miarę jednak jak to dziecko rosło w jej łonie, rosła również miłość Kate do Joego.

Podczas owego weekendu czuła się naprawdę doskonale, opuściło ją całe znużenie.

Skończyła swoją pracę i jednego tylko dnia dostała od Joego trzy listy; często podróżowały całymi plikami, a miało to związek z działalnością cenzorów wojskowych, eliminujących z żołnierskiej korespondencji wszystko, co mogło naruszyć tajemnice wojskowe. Pod tym względem zresztą listy Joego nigdy nie stwarzały problemów, pisywał bowiem o ludziach, pejzażach i swoich uczuciach wobec Kate. Były to tematy całkowicie bezpieczne.

Kate miała zamiar jechać na weekend do domu, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Z grupą przyjaciółek poszła do kina, w którym spotkała Andy'ego w towarzystwie dziewczyny poznanej na jednym z zajęć. Była to wysoka blondynka ze Środkowego Zachodu, miała fantastyczny uśmiech i długie nogi, do Radlicffe zaś przeniosła się niedawno z Wellesley. Gdy się odwróciła, by nałożyć sweter, Kate wyszczerzyła zęby do Andy'ego, a ten odpowiedział żartobliwym

grymasem. Po filmie Kate wraz z koleżankami wracała do akademika na rowerach, był to bowiem powszechnie przyjęty sposób poruszania się po terenie kampusu; docierały prawie na miejsce, gdy w ich ścieśnioną grupkę z triumfalnym okrzykiem wpadł jak pocisk rozpędzony

rowerzystą, potrącając Kate, która upadła na chodnik i na krótką chwilę straciła przytomność. Zanim pozostałe dziewczyny pozyskały z rowerów, zdążyła ją odzyskać, ale wciąż była lekko oszołomiona. Chłopiec, który ją potrącił, stał obok ze stropionym, a nawet przerażonym wyrazem twarzy. Było oczywiste, że jest podпиты.

— Zwariowałaś? — wrzasnęła nań jedna z koleżanek Kate, podczas gdy dwie inne pomagały jej wstać. Kate stłukła sobie rękę, biodro i pupę, ale na szczęście chyba niczego nie złamała. Kuszykając w stronę akademika, myślała jednak tylko o dziecku; nikomu nie zdradziła swych obaw i wróciwszy do swojego pokoju, natychmiast położyła się do łóżka.

— Dobrze się czujesz? — zapytała ze swym południowym akcentem Diana, która przyniosła jej zimne okłady na potłuczenia. — Ci chłopcy z północy są zupełnie niewychowani, to pewne jak amen w pacierzu.

Kate uśmiechnęła się do niej i podziękowała za kompresy, lecz stłuczeniami w gruncie rzeczy nie przejmowała się w ogóle. Od kilku minut miała skurcze i nie wiedziała, co zrobić, obawiała się bowiem, że marsz do odległego gabinetu lekarskiego tylko pogorszy sytuację. Uznała, że lepiej będzie pozostać w łóżku. Płód doznał poważnego wstrząsu, może jednak przy odrobinie szczęścia wszystko wróci do normy.

— Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować — powiedziała Diana i udała się na dół, żeby wypalić papierosa w towarzystwie znajomego chłopaka z MIT, który akurat wpadł do niej z wizytą. Gdy wróciła na górę godzinę później, Kate spała.

Spali natomiast już wszyscy, kiedy Kare obudziła się o czwartej nad ranem, obolała i cierpiąca. Przewróciła się w łóżku, żeby znaleźć dla ciała wygodniejszą pozycję, i wtedy przekonała się, że krwawi. Usiłowała zachowywać się cicho, aby nie pobudzić śpiących w pobliżu współmieszkanek, gdy zgięta w pół wlokła się w stronę łazienki, pozostawiając za sobą — czego zresztą nie wiedziała — krwawy ślad.

Ból stłuczonego podczas wypadku ramienia i biodra był niczym w porównaniu z bólem przewiercającym brzuch. Z najwyższym trudem trzymała się na nogach.

Najciszej jak mogła, zamknęła za sobą drzwi łazienki, a kiedy włączyła światło i spojrzała w lustro — przekonała się, że jest zakrwawiona od pasa w dół. Miała krwotok i wiedziała, co to oznacza:

traciła dziecko Joego. A jednocześnie bała się, że jeśli wezwie pomoc, Zostanie usunięta z uczelni bądź też o wszystkim dowiedzą się jej rodzice... Nie miała co do tego żadnej pewności, lecz przypuszczała, że władze szkoły poproszą ciężarną studentkę o opuszczenie jej progów.

Sprawy wymykały się spod kontroli. Nie miała pojęcia, co robić, do kogo się zwrócić; nie miała pojęcia, co się zaraz wydarzy. Ale nie miała również ani chwili do namysłu — ból, który wyrwał ją ze snu, spotężniał do tego stopnia, że zaczynał uniemożliwiać oddychanie. Jeden za drugim wstrząsały nią silne skurcze.

Kłęczała w kałuży krwi, gorączkowo łapiąc powietrze, gdy do łazienki weszła Diana, której w nocy zachciało się pić.

— O mój Boże, Kate... Co się stało? — jęknęła, a widząc, że koleżanka wygląda jak ofiara brutalnego napadu, oświadczyła, iż natychmiast należy wezwać pogotowie, lekarza czy w ogóle kogokolwiek.

— Nie... błagam... nie możesz, Dian — wykrztusiła Kate i wtedy dziewczynie z Nowego Orleanu nagle łuski spadły z oczu.

— Jesteś w ciąży? Mów prawdę, Kate. — Diana szczerze pragnęła pomóc, a jako córka lekarza i pielęgniarki wiedziała, jak się do tego zabrać, musiała jednak poznać problem, z jakim ma do czynienia. Ale nigdy w życiu nie widziała tak obfitego krwawienia, czerwona

kałuza wokół Kate rosła bowiem z sekundy na sekundę. Istniała obawa, że bez pomocy z zewnątrz dziewczyna się wykrwawi.

— Tak, jestem... — wyznała z wysiłkiem Kate, kiedy Diana pomagała jej się przetoczyć na stos ręczników. Płakała podczas każdego ataku bólu i gryzła ręcznik, żeby nie krzyczeć. — Prawie trzy miesiące.

— Kurczę. Miałam kiedyś skrobankę, a tata omal mnie nie zabił. Miałam wtedy siedemnaście lat, bałam się mu powiedzieć... więc poszłam do kogoś spoza miasta. Byłam w tak lichym stanie jak ty teraz... biedactwo — mówiła Diana, kładąc na czole Kate mokry kompres. Zaryglowała drzwi łazienki, żeby nikt ich nie zaskoczył, zdjęta zarazem obawą, że jeśli nie wezwie pomocy, będzie mieć na sumieniu życie Kate. Krwawienie wciąż było obfite, nieco jednak malało w miarę wzmaganiania się bólów. Żadna z dziewcząt nie miała właściwie pojęcia, co się dzieje, lecz obie były pewne, że dla płodu nie może się to skończyć dobrze.

Po godzinie tortur ciałem Kate wstrząsnął jeszcze jeden okrutny spazm i oto w ciągu kilku następnych sekund było po wszystkim, a krwotok znowu osłabł. Diana gorączkowo wycierała podłogę ręcznikami, w jeden z nich zawięła wydany płód i ukryła w kącie. Kate

była zbyt osłabiona, żeby wpaść w histerię, kiedy zaś spróbowała usiąść

— omal nie straciła przytomności. Diana kazała się jej położyć.

Tuż przed siódmą, po trzech godzinach spędzonych w łazience, Kate z pomocą Diany wróciła do łóżka, a wtedy ta pobiegła jeszcze raz do łazienki, wysprzątała ją starannie, wreszcie poszła na dół i wrzuciła do śmietnika świadectwo tego, co przytrafiło się Kate.

Ona zaś krwawiła teraz znacznie mniej obficie, ból choć dojmujący, był możliwy do zniesienia. Diana wyjaśniła, że w tej chwili skurcze macicy służą powstrzymaniu krwawienia, podczas gdy wcześniej chodziło o wypchnięcie płodu. Wszystko więc idzie ku poprawie, chociaż — podkreśliła z naciskiem — gdyby znów nastąpiło pogorszenie, zawiezie Kate do szpitala bez względu na jej sprzeciwy. Kate jednak nie oponowała, była zbyt osłabiona i zaszokowana z powodu utraty tak wielkiej ilości krwi. Miała w dodatku silne dreszcze, Diana więc okryła ją trzema dodatkowymi kocami. Powoli zaczynały się budzić inne dziewczyny.

— Dobrze się czujesz? — zapytała jedna z nich, kiedy wstała z łóżka. — Coś jesteś blada, Kate. Może doznałaś wstrząśnienia mózgu po wczorajszym upadku?

Kate wyjaśniła, że ma okropną migrenę, współmieszkanca zaś ziewnęła i powędrowała do łazienki.

Znacznie większą przenikliwość okazała dziewczyna z sąsiedniego pokoju, która wpadła, żeby pożyczyć ręcznik. Z niepokojem spojrzała na spopieliałe wargi i kredowobiałe policzki Kat; zbadła jej puls, a potem spytała:

— Co się z tobą działo w nocy?

— Wczoraj wieczorem spadła z roweru i uderzyła się w głowę

— pospieszyła z wyjaśnieniem Diana, ale dziewczyna nie pozwoliła sobie mydlić oczu. Tak samo jak Diana pochodziła z rodziny lekarskiej i zorientowała się natychmiast, że w grę wchodzi coś więcej niż migrena czy wstrząs mózgu.

Pochyliła się nad Kate, delikatnie musnęła jej ramię i wyszeptwała:

— Kate, powiedz prawdę... krwawisz? — Kate zdołała tylko anemicznie pokręcić głową. Tak mocno szczękała zębami, że w tej chwili miałyby kłopoty z powiedzeniem czegokolwiek. — Sadzę, że jesteś w szoku... Miałas skrobankę?

Kate lubiła tę dziewczynę imieniem Beyerly, uznawała ją za godną zaufania. Wiedziała przy tym, że ma poważne problemy. Nękały zawroty głowy, jej udęczone ciało trzęsło się jak osika mimo stosu koców, którymi przykryła je Diana.

— Nie — wyszeptwała wreszcie Kate. — Poroniłam.

— Masz krwotok?

Kate nie sądziła, pościel wydawała się sucha. Bała się sprawdzić.

— Chyba nie.

— Opuść sobie zajęcia i zostań z tobą. Nie powinnaś być sama. Chcesz pojechać do szpitala?

Kate zdecydowanie pokręciła głową. To była ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę.

— Ja też zostanę — zadeklarowała Diana, a potem wyszła, żeby przynieść koleżance filiżankę herbaty.

Pół godziny później zostały w pokoju tylko we trzy; Kate nie mogła zasnąć, przerażona i przygnębiona tym, co ją spotkało, zanosila się płaczem.

— Wszystko będzie dobrze, Kate — powiedziała cicho Beyerly.

— Ja w zeszłym roku miałam skrobankę i to było okropne. Spróbuj teraz zasnąć, za dzień czy dwa poczujesz się lepiej. Sama się zdziwisz, jak szybko to nastąpi. — A po chwili, uświadamiając sobie, że ta cała historia dotyczy jeszcze jednej osoby, zapytała: — Czy chcesz, żebym do kogoś zadzwoniła?

Kate zaprzeczyła.

— Jest w Anglii — wyszeptała przez mimowolnie zaciśnięte zęby. Tak strasznie nie czuła się nigdy w życiu.

— Wiedział? — zapytała Diana, położywszy dłoń na ramieniu Kate.

Ta popatrzyła na koleżankę z wdzięcznością. Bez Diany nie dałaby sobie rady, a tak — nie dowie się nikt, ani uczelnia, ani rodzice. Ani nawet Joe.

— Nic mu nie mówiłam. Zamierzałam urodzić dziecko.

— Możecie mieć następne, kiedy wróci do kraju — powiedziała Beyerly, dodając w myślach, tak samo zresztą jak dwie pozostałe dziewczyny: „Jeśli przeżyje”.

Kate znowu wybuchnęła płaczem.

Ten dzień, w którym czuła się samotna i nieszczęśliwa, trwał w nieskończoność, a dwa następne były niewiele lepsze. Dopiero potem zaczęła wracać do siebie. Gdy w środę wstała wreszcie z łóżka, wyglądała jak zjawa; straciła na wadze dziesięć funtów, bo od niedzieli nie miała nic w ustach. Jedyną pociechą było to, że krwawienie niemal ustało. Mimo wymizerowanej twarzy i ciemnych kręgów pod oczyma podzielała zdanie koleżanek, iż niebezpieczeństwo minęło. Próbowwała podziękować Beyerly i Dianie za wszystko, co dla niej zrobiły, ilekroć wszakże otwierała usta, zanosila się płaczem.

— To trochę potrwa — ostrzegła Beyerly. — Ja płakałam przez miesiąc. Ot, po prostu hormony.

Ale to nie były wyłącznie hormony — chodziło o dziecko. Utraciła część Joego.

W akademiku powszechnie sądzono, że Kate leży w łóżku z powodu niedzielnego wypadku, ona zaś podtrzymywała tę wersję. Miała wrażenie, że tych kilka ostatnich dni spędziła na jakiejś odległej planecie, a po powrocie na Ziemię wszystko wydaje się jej nierzeczywiste i zmienione. Pociechę przynosiły listy Joego, chociaż ich lektura nieodmiennie kończyła się płaczem, Kate bowiem uświadomiła sobie w pewnym momencie, co stracili i o czym nigdy nie będzie mogła ukochanemu opowiedzieć.

Resztę tygodnia też przeleżała w łóżku, poświęcając czas nauce. Wciąż była blada i wymizerowana, kiedy w sobotę, niemal tydzień po poronieniu, wpadł z wizytą Andy.

Pomalutku, niepewnie, przyszła na dół. Była to jej pierwsza dłuższa wyprawa poza mury pokoju, przez cały tydzień bowiem Diana i Beyerly przynosiły jej posiłki ze stołówki.

— Jezu, Kate, wyglądasz jak najprawdziwszy umarlak! — ze zgrozą wykrzyknął na jej widok Andy. Sprawiała wrażenie kruchej, zjawiskowej laleczki.

— Tydzień temu potrafił mnie rower. Chyba miałam wstrząs mózgu.

— Byłaś w szpitalu na badaniach?

— Nie, ale czuję się już dobrze — odparła, siadając na krześle obok niego.

— Uważam, że powinnaś iść do lekarza. Może nastąpiła śmierć mózgu — stwierdził z szerokim uśmiechem.

— Bardzo zabawne. Czuję się lepiej.

— Dzięki Bogu, że nie widziałem cię w poniedziałek.

— I tu masz zupełną rację — przyznała.

Spotkanie z Andym w jakimś sensie przywróciło ją światu żywych i chociaż idąc do pokoju słaniała się ze zmęczenia, opadło z niej częściowo przygnębienie. W następnym tygodniu zaczęła powoli dochodzić do siebie, uczestniczyć w zajęciach, a wreszcie zdołała jakoś uładzić się ze swą tragedią.

O której zresztą Joemu nie napisała ani słowa.

ROZDZIAŁ VIII

Resztę roku akademickiego wypełniła

Kate nauka oraz lektura napływających równym strumieniem listów Joego, który niestety nie widział żadnej szansy na urlop. Kate pilnie śledziła wszystkie kroniki filmowe, mając nadzieję, że w którymś momencie na ekranie mignie jego twarz.

RAF kontynuował naloty na Berlin, Hamburg i inne miasta, Brytyjczycy odbili Niemcom Tunis, Amerykanie zaś — Bizertę w Afryce Północnej. Na froncie wschodnim zwarci ze sobą Niemcy i Rosjanie ugrzęźli w bloku wiosennych roztopów.

Kate w weekendy często widywała się z rodzicami, pisała do Joego listy, od czasu do czasu chodziła z Andym do kina. Tej wiosny Andy miał dziewczynę z Wellesley i to jej przede wszystkim poświęcał czas, ale Kate zbytnio się tym nie przejmowała, mając do towarzystwa Dianę i Beyerly, swe — od czasu poronienia — bliskie przyjaciółki. Latem znów podjęła pracę w Czerwonym Krzyżu.

Pod koniec sierpnia pojechali na Cape Cod, tym razem jednak podczas barbecue Joe nie sprawił jej niespodzianki: minęło osiem miesięcy, odkąd był w kraju. Podczas długich samotnych spacerów plażą Kate nie umiała odpędzić od siebie myśli, że gdyby nie poroniła, byłaby teraz w ósmym miesiącu ciąży. Rodzice nigdy nie dowiedzieli się o jej tragedii, matka zaś nieustannie powtarzała, że Joe nie składa żadnych deklaracji co do jego i Kate wspólnej przyszłości i że Kate czeka na mężczyznę, który niczego nie obiecuje. Ani małżeństwa, ani pierścionka, niczego. Przyjmuje tylko za pewnik, iż Kate będzie na niego czekać, a co nastąpi po jego powrocie do kraju — czas pokaże.

A miał przecież trzydzieści dwa lata, dostatecznie więc dużo, by wiedzieć, czego spodziewa się od życia.

Powtarzała to Kate przy każdej okazji, powtarzała jeszcze w październiku, kiedy liście zaczynały żółknąć, a Kate była już na drugim roku.

Przygotowywała się właśnie do egzaminów, gdy w pokoju zjawiła się opiekunka i oznajmiła, że na dole czeka gość. Kate przyjęła za pewnik, że jest nim Andy, który ostatnio harował jak wół przebijając się przez drugi rok studiów prawniczych. Kiedy jednak — ubrana w szarą spódnicę, pantofle na płaskim obcasie, sweter narzucony na ramiona — szybko zbiegła po schodach, zobaczyła kogoś zupełnie innego. To był Joe, wysoki i w swym mundurze niesamowicie przystojny. Miał bardzo poważny wyraz twarzy, przez chwilę wydawało się, że nie wie, jak się zachować, ale gdy tylko Kate padła mu w ramiona — przytulił ją ze

wszystkich sił. Nie wiedział, co ma rzec, Kate wszakże zorientowała się w okamgnieniu, że on też doświadczył swojej miary cierpienia i że potrzebuje jej tak samo jak ona jego. Wojna wyciskała swe piętno na wszystkich, nie oszczędzając nawet ludzi pokroju Joego.

— Jakże jestem szczęśliwa, że cię widzę — wyszeptwała, gdy z zamkniętymi oczyma tuliła się do jego torsu, mając w pamięci dziesięć miesięcy rozłąki i utratę dziecka.

— Ja też — odparł. Odsunął się wreszcie od Kate i spojrzał jej w oczy. W jego duszy owe miesiące sprawiały wrażenie trwających bez chwili przerwy lotów bojowych, znaczonej utratą przerażającej liczby kolegów i maszyn. Jego poważna twarz uświadomiła Kate, że znów się czuje zakłopotany w jej towarzystwie, że trzeba będzie czasu, aby otworzył się ponownie i rozluźnił. Był w swych listach tak nieskrępowany i szczery, że prawie zapomniała o jego wrodzonej nieśmiałości. — Mam do dyspozycji tylko dwadzieścia cztery godziny, Kate. Jutro po południu muszę być w Waszyngtonie, a wieczorem wracam na front. — Nie mógł jej wyjaśnić, że przybył do Stanów, aby wziąć udział w naradzie dotyczącej pewnej ściśle tajnej operacji i że nawet jego przylot do kraju był nader skomplikowanym przedsięwzięciem. Kate zresztą nie zamierzała pytać: po wyrazie twarzy Joego poznała, iż niewiele mógłby powiedzieć. Pomyślała tylko

z oszołomieniem, że gdyby nie poroniła, Joe spotkałby się za chwilę ze swoim jednomiesięcznym dzieckiem. — Możesz na chwilę wyrwać się z uczelni? — zapytał.

Zbliżała się pora kolacji, Kate nie miała żadnych planów, a gdyby je nawet miała — bez wahania by je zarzuciła.

— Jasne. Pojedziemy do mnie? — zapytała. Dom rodziców nie gwarantował wprawdzie takiej intymności, o jakiej marzyła, był jednak zdecydowanie lepszy niż uczelniany pokój wizyt, gdzie należało przestrzegać tysiąca zasad i rytuałów. Po dziesięciu miesiącach rozłąki oboje pragnęli czegoś więcej.

— A może jest jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy być tylko we dwoje? — odpowiedział pytaniem. Zbyt znużony, aby szukać właściwych słów, nie myślał o rozmowie, lecz tylko o tym, by patrzeć na Kate, mieć ją obok siebie, odprężyć się w jej obecności.

— Chcesz jechać do hotelu? — wyszeptwała tak cicho, by nie mógł usłyszeć jej nikt oprócz Joego. Spojrzał na nią z wyrazem ulgi i skinął głową. Kate zaś dorzuciła jednym tchem: — No więc zadzwoń z budki do Palmer House. Albo do Statlera. Wróć za kilka minut.

Pobiegła do recepcji, poinformowała, że tę noc spędzi w domu, a potem z telefonu na piętrze zadzwoniła do matki i oznajmiła, że dziś do późna będzie się uczyć u koleżanki i zapewne u niej przenocuje. Liz, której nawet przez myśl nie przeszło, że córka mogłaby ją oszukiwać, podziękowała za uprzedzenie.

Kilka minut później Kate była w holu z niewielką torbą zawierającą drobiazgi osobiste, a oprócz tego krążek. Po historii, jaka się jej przydarzyła, chciała być przygotowana podczas kolejnego spotkania z Joem, odwiedziła więc lekarza, którego nazwisko podała jej Beyerly.

— Mamy pokój w Statlerze — powiedział nerwowo czekający przed akademikami Joe.

Oboje zresztą byli zakłopotani tym, że natychmiast udają się do hotelu, ale przecież tak bardzo pragnęli być sam na sam i mieli tak mało czasu. Kiedy jechali wypożyczonym samochodem, Kate nie potrafiła oderwać od Joego wzroku. Przystojny jak zawsze, był jednak znacznie szczuplejszy, poza tym zaś wydawał się starszy, a może tylko dojrzalszy. Miała mu do powiedzenia tyle rzeczy, których nie potrafiła zawrzeć w listach...

I było tyle rzeczy, o które chciał ją zapytać Joe.

Stopniowo zaczęli się czuć coraz swobodniej i mieli chwilami wrażenie, iż rozstali się zaledwie wczoraj. Ale już kilka sekund później wydawało się obojgu, że ich rozłąka trwała wiele długich lat. W duszy Kate jednak dominowało osobliwe uczucie, że po tym, jak ze sobą spali, po tym, jak straciła jego dziecko, są niemal małżeństwem. Nie potrzebowała ani

pierścionka zaręczynowego, ani żadnych ceremonii, ani obrączki. Należała do Joego, bez względu na status prawny ich związku.

Pod hotelem Joe wyjął z bagażnika małą torbę podróżną, potem odstawił wóz do garażu, wreszcie dołączył do Kate w foyer i podszedł z nią do recepcji, gdzie potraktowani z szacunkiem — recepcjonista bowiem rozpoznał Joego — zameldowali się jako major i majorowa Allbright. be odprawił portiera, gdy ten zaproponował swe usługi, wziął klucz i w towarzystwie Kate wszedł do windy.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą stwierdziwszy, że dostali naprawdę ładny pokój. Może dlatego, że dopatrywała się w eskapadzie z mężczyzną do hotelu czegoś niezupełnie szacownego, spodziewała się raczej małej przygnębiającej klitki. Zaskoczona własną śmiałością, nie przeżywała jednak żadnych rozterek: było nie do pomyślenia, aby mogła zrezygnować z okazji spędzenia z Joem nocy, jedynej nocy, jaką mógł jej w tej chwili ofiarować. Nie tylko oni zresztą w owych czasach przeżywali każdy dzień tak, jakby mógł być ostatnim. Bo mógł...

Kiedy przekroczyli próg, na nowo ogarnęło ich zakłopotanie. Po chwili Joe z widocznym zdenerwowaniem wyciągnął się na kanapie i poklepał dłonią miejsce obok siebie. Kate uśmiechnęła się i usiadła.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś — powiedziała, chociaż jej oczy wyrażały tęsknotę znacznie silniej niż słowa.

— Ja też — odparł.

Zaledwie dwa dni temu jego myśliwce osłaniały eskadrę bombowców podczas nalotu na Berlin. Stracili wtedy cztery maszyny. I oto nagle jest w bostońskim hotelu razem z Kate, piękniejszą niż kiedykolwiek. Była tak młoda, tak świeża i tak oddalona od życia, które on wiódł już od dwóch lat! O podróży do Stanów poinformowano go z dwugodzinnym wyprzedzeniem; jeszcze w trakcie lotu nie miał pojęcia, czy w ogóle zdoła zobaczyć Kate, mógł więc mówić o ogromnym szczęściu,

że dano mu chociaż na ten krótki czas przepustkę, ten niespodziewany dar jednej wspólnie z Kate spędzonej nocy. Odnosił wrażenie, że śni. Byli jak dwa gołębie pocztowe, zawsze, bez względu na miejsce pobytu, odnajdujące do siebie drogę — czy na Cape Cod, czy w Waszyngtonie, czy wreszcie tutaj. I zawsze obojętne, jak długo trwała rozłąka, był pomiędzy nimi żar i była magia.

Pocałował ją nie mówiąc nic więcej. Potrzebował jej jako pociechy, jako lekarstwa na rany swej duszy. Była źródłem uspokojenia, pragnął się z niego napić — a ona doskonale rozumiała swoją rolę, czując mimo jego oszczędności w słowach, jak bardzo jest kochana. Płacili sobie równą monetą.

Kiedy kilka minut później szli w stronę łóżka, Joego dręczyły lekkie wyrzuty sumienia.

Zamierzał najpierw zabrać Kate na kolację, porozmawiać z nią trochę, ale myślał, że znajdują się wśród ludzi, była mu wstrętna, a Kate podzielała jego uczucia. Chcieli być tylko we dwoje, nie potrzebowali nawet słów.

Pocałował ją czule i namiętnie, a gdy zaczął rozbierać — uświadomił sobie, jak bardzo jej pożąda. Był zaskoczony tym, że w czasie rozłąki choćby przelotnie nie związał się z nikim innym, ale prawda wyglądała tak, iż przez dziesięć miesięcy rozstania potrafił myśleć tylko o Kate i tylko Kate pragnął. Ona zaś pragnęła tylko Joego.

Zakłopotana zniknęła w łazience na kilka minut, a on nawiązał do tego dopiero znacznie później, kiedy skończyli się kochać i uspokojeni, nasyceni sobą, leżeli objęci, dryfując przez swój wydzielony z rzeczywistego mały bezpieczny świat. Wstydliwie powiedziała mu o krążku, Joe zaś westchnął z ulgą.

— Po ostatnim razie trulem się tym przez wiele miesięcy — wyznał bez ogródek. — Zastanawiałem się, co zrobimy, jeśli zajdziesz w ciążę. Przecież nie mógłbym nawet przyjechać, żeby cię poślubić.

Wzruszył ją swymi słowami, bijącą z nich troską. Dotąd nie miała pojęcia, jak by zareagował; teraz znalazła w sobie odwagę, by wyznać mu prawdę.

— Ostatnim razem zaszłam w ciążę, Joe — wyszeptała, tuląc się do niego. Jej głowa spoczywała na jego ramieniu, jej włosy łaskotały go w policzek.

Raptownie odwrócił głowę.

— Mówisz serio? I CO zrobiłaś? — zapytał, sprawiając wrażenie człowieka porażonego gromem. Już dawno przestał o tym myśleć, bo przecież nie wspomniała o niczym sama Kate, a tu masz... Przecież mogą w tej chwili mieć dziecko. — Czy my... czy ty... — wyjąkał. Rozbawił ją wyraz jego twarzy, wyrażającej w większym stopniu oszołomienie niżli obawę. Nie zdawała sobie w tym momencie sprawy, jak bardzo urosła w oczach Joego, jak bardzo zaimponowała mu tym, że ze wszystkim — cokolwiek to było — uporała się o własnych siłach.

— Poroniłam w marcu. Nie wiedziałam z początku, co robić, ale szybko pojęłam, że nigdy sobie nie wybaczę, jeśli usunę ciążę, a tobie przytrafi się coś złego. Musiałam urodzić dziecko, jeśli mi było pisane. Poroniłam w trzecim miesiącu — powiedziała ze łzami w oczach. Przytulił ją jeszcze mocniej.

— Czy twoi rodzice wiedzieli? — spytał świadom, jak byliby na niego wściekli, mając po temu wystarczające powody. Uzmysłowiwszy sobie, przez co musiała przejść Kate, doznawał coraz większych wyrzutów sumienia.

— Nie wiedzieli o niczym — pospieszyła z zapewnieniem. — Zamierzałam porzucić szkołę w kwietniu i dopiero wtedy wyznać im prawdę. Nie miałam innego wyjścia. Potem potracił mnie rowerzysta i tak to się zaczęło. Uderzył mnie bardzo mocno, straciłam na chwilę przytomność. Poroniłam tej samej nocy.

— Byłaś w szpitalu? — dopytywał się zdjęty zgrozą. Coś takiego nie przytrafiło mu się nigdy przedtem, w przeciwieństwie do wielu swoich kumpli nigdy nie zapędził w kłopoty żadnej dziewczyny. Kate była pierwszą.

— Nie, w akademiku, ale zajęły się mną dwie koleżanki — odparła, oszczędzając mu szczegółów. Zdawała sobie sprawę, że wiedząc, w jakim wtedy była stanie, gryzłby się bez umiaru. Wiedząc, ile straciła krwi, jak wiele potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie. W tym właśnie momencie be uswiadomił sobie z pełną mocą, że gdyby Kate donosiła ciążę, mieliby jednomiesięczne dziecko.

— Wiesz, to dziwne — powiedział — ale przez długi czas nie mogłem odepchnąć od siebie myśli, że stało się właśnie coś takiego, że lada chwila napiszesz mi o tym. Po powrocie do Anglii byłem niemal pewien, że to nastąpi. Skoro jednak nie pisałaś, nie chciałem pytać, bo nie miałem pojęcia, czy przychodząca do ciebie korespondencja nie jest przez kogoś czytana. Potem zapomniałem, ale przez jakieś dwa miesiące miałem to osobliwe przeczucie. Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś, Kate? — zapytał ze smutkiem, rozumiejąc jednak jej motyw i podziwiając ją bardziej, niż mógłby wyrazić słowami. Sama uporała się z tragedi doszła do siebie i nie czuje do niego żadnej urazy. Był jej za to wdzięczny, do głębi poruszony odwagą dziewczyny. Bo przecież wyczuwał, jak — i to pod wieloma względami — było jej ciężko.

— Uznałam, że i bez tego masz nazbyt wiele problemów — odparła.

Skinął głową i przytulił ją jeszcze mocniej.

— Ale to było również moje dziecko — stwierdził, budząc w Kate nową falę żalu. Niczego bardziej nie pragnęła w życiu, niż być z Joem i urodzić mu dziecko. To jednak nie było im pisane, przynajmniej na razie. Może zresztą, biorąc pod uwagę obecne losy obojga, wcale nie stało się tak źle. — Lecz cieszę się, że teraz zachowujesz ostrożność

— dodał. Tym razem, pragnąc zachować się wobec niej odpowiedzialnie, miał przygotowane prezerwatywy; Kate była bliska prawdy, domyślając się, że w przekonaniu Joego dziecko aż nadto skomplikowałoby im życie.

Kiedy po chwili naturalną koleją rzeczy ich rozmowa zesłała na temat wojny, Kate zapytała, jak długo zdaniem Joego jeszcze potrwa. Westchnął.

— Trudno powiedzieć. Bardzo chciałbym stwierdzić z przekonaniem, że krótko, ale naprawdę nie wiem, Kate. Jeśli dobrze skopiemy szkopom zadki, może rok.

Z tym właśnie — skuteczniejszym kopaniem niemieckich zadków, a konkretnie użyciem najnowocześniejszych samolotów bojowych

— wiązał się po części przyjazd Joego do Waszyngtonu. Dotąd sytuacja nie przedstawiała się różowo i Niemcy parli niepowstrzymaną falą. Obojętne, jak wielu niemieckich żołnierzy zabijali alianci, jak wiele obracali w perzynę miast, fabryk czy składów amunicji, Rzesza — niczym niezniszczalna maszyna — wypluwała ze swych trzewi Więcej i więcej.

Nie najlepiej przedstawiały się też losy konfliktu na Oceanie Spokojnym, gdzie Amerykanie na zupełnie dla siebie obcym terenie

musieli stawić czoło żołnierzom kraju o całkowicie obcej i niezrozumiałej kulturze.

Japończycy bombardowali lotniskowce, zatapiali okręty, zestrzeliwali samoloty... Jesienią 1943 roku duch w aliantach znacznie podupadł.

Z punktu widzenia Kate najboleśniejnymi oznakami toczącej się wojny były zgony wielu, bardzo wielu znajomych, głównie chłopców z Harvardu i MIT, których poznała w ciągu minionych dwóch lat. Dziękowała więc Bogu, że nic nie przytrafiło się Joernu.

Rozmawiali tej nocy długo, niezwykle długo jak na możliwości Joego, świadomi, że w ten krótki czas, jaki został im dany, nie zdołają wcisnąć chwili rozluźnienia, spokojnego dryfu przez ciemności, że muszą w taki czy inny sposób maksymalnie wykorzystać każdą sekundę.

Po kilku godzinach zaczęli się znowu kochać, potem — rezygnując z wyjścia na miasto — zamówili kolację do pokoju i parsknęli śmiechem, kiedy kelner zapytał, czy to ich miesiąc miodowy. Tej nocy nie wspominali o przyszłości, nie snuli żadnych planów; Kate pragnęła tylko, aby Joe ocalał, pragnęła tego dla niego i dla siebie. Chciała być z nim wszędzie tam, gdzie to możliwe, tak długo, jak pozwoli im los. Marzenia sięgające dalej byłyby w tej chwili prośbą o cud, dziecinną mrzonką. Matka, dla której pierścionek zaręczynowy był tak ważny, nie rozumiała, że ten pierścionek niczego nie zmieni, nie da Joemu żadnej gwarancji przetrwania. Joe ze swej strony nie prosił o nic prócz tego, co z własnej woli ofiaruje mu Kate. Kate zaś ofiarowała całą siebie.

Zasnęli wreszcie przytuleni, ale nie spali mocno: we śnie zaczynali od siebie odpływać, budzili się gwałtownie i dopiero uspokojeni, że ciągle są razem, zasypiali na nowo.

— Cześć — powiedziała Kat; gdy wczesnym rankiem otworzyła oczy, czując obok siebie muskularne, silne ciało Joego. Joe przeciągnął się, uniósł i ją pocałował. Jakże inna była ta noc od wszystkich, do których się ostatnio przyzwyczaił!

— Dobrze spałaś? odezwał się, przyciągając Kate do siebie.

— Wciąż czuję cię przy sobie i myślę, że to sen.

— Ja też — przyznał z uśmiechem. Smakował w myślach każdą spędzoną z Kate chwilę, chciał zabrać ze sobą wspomnienia owych chwil.

— O której musisz jechać? — zapytała z nutą smutku w głosie, mając świadomość, że limit wypożyczonych od losu godzin nieodwołalnie się wyczerpuje.

— O pierwszej odlatuje mój samolot do Waszyngtonu, na uczelnię więc powinienem cię podrzucić najpóźniej około wpół do dwunastej

— odparł. Kate nie musiała mu nawet mówić, że nie licząc się

z ewentualnymi konsekwencjami, opuści poranne zajęcia, że uczyni

wszystko, aby odwlec moment rozstania. — Masz ochotę na śniadanie? Nie miała; miała

ochotę tylko na niego. Zwarli się w pocałunku,

zaczęli błędzić po sobie dłońmi... odnaleźli się.

o dziewiątej wstali z łóżka i zamówili śniadanie, zanim je zaś przyniesiono, jedno po drugim wzięli prysznic i przebrali się w hotelowe szlafroki. Posiłek — sok pomarańczowy, kawa,

grzanki i jajka na szynce — wydał się Joemu, który na wojskowych racjach niemal zapomniał, co jedzą zwyczajni ludzie, prawdziwą biesiadą bogów. Dla Kate największym smakołykiem owego śniadania był widok surowej, rzeźbionej twarzy Joego, w jej oczach — najpiękniejszej na świecie. Joe popijał kawę, przez minutkę przeglądał gazetę, potem podniósł głowę, spojrzął na Kate i powiedział z uśmiechem:

— Jak w normalnym życiu, prawda? Któż by zgadł, że toczy się wojna?

Chociaż nie trzeba było odgadywać, bo o wojnie, i to w niezbyt optymistycznej tonacji, mówił każdy artykuł w gazecie, niemal każda notatka. Ale w tej chwili Joe wołał o niej nie myśleć.

Odłożył gazetę i uśmiechnął się do Kate. Spędzili cudowną noc, a ilekroć był z nią, nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż odnajduje jakąś brakującą część samego siebie. To tak, jakby miał w duszy puste miejsce, z którego istnienia nie zdawał sobie sprawy, dopóki nie poznał Kate.

Być może zresztą przedtem wypełniały je — pozornie — inne sprawy, inni ludzie. Ci zresztą w mniejszym stopniu, bo Joe nie potrzebował licznych znajomości. Nikt zapewne nie wywarł na nim tak piorunującego wrażenia jak ta kobieta, uświadomił to sobie owego ranka po raz kolejny. Miała tak głębokie i silne spojrzenie, była tak twarda, bezpośrednia, ufna.

Przypominała młodą łanię, która rozdyma chrapy i jest rada z tego, co mówi jej wąż. Zawsze podekscytowana życiem, zawsze sprawiająca wrażenie kogoś, kto lada chwila wybuchnie śmiechem. Teraz też tak wyglądała. Nagle odstawiła filiżankę i uśmiechnęła się szeroko.

— Co cię tak rozbawiło? — zapytał, uświadamiając sobie, że jej wesołość jest zaraźliwa. Sam, nie będąc w żadnym razie ponurakiem, zachowywał się zwykle w sposób wyciszony i poważny, co Kate zresztą uważała za jedną z jego zalet.

— Wyobraziłam sobie właśnie minę mojej mamy, gdyby nas w tej chwili zobaczyła.

— Daj spokój, bo nachodzą mnie okropne wyrzuty sumienia.

I rozumiiałbym twojego ojca, gdyby mnie zabił — odparł, dodając

w myślach: szczególnie po tym, co powiedziałaś mi o ciąży i poronieniu. Tak, oburzenie Jamisonów byłoby czymś najzupełniej

zrozumiałym. — Chyba nigdy nie ośmielę się spojrzeć im w oczy.

— Skoro jednak zapewne będziesz musiał, lepiej się z tym pogódź. Tak jak ona się pogodziła ze swą tragedią, jak — w szczególności

— była pogodzona z nią teraz, mając przy sobie Joego. Niemal żałowała, że zastosowała krążek, naprawdę chciałaby mieć z Joem dziecko... Znacznie bardziej niż iść z nim do ołtarza. Pragnąc pogodzić się z faktem, że Joe nigdy nie wspominał o ślubie, zaczęła sobie wmawiać, iż małżeństwo jest instytucją dla ludzi w starszym wieku, instytucją, której znaczenie jest niepotrzebnie wyolbrzymiane, że jej wychodzące za mąż przyjaciółki zachowują się jak niemądre dziewczynki, przejęte tylko sukniami ślubnymi, druhnami, prezentami... A potem ubolewaj że ich wybrani zbyt wiele czasu spędzają z kumplami, piją albo są nieprzyjemni. Ot, zachowują się jak dzieci udające dorosłych. Dziecko natomiast stwarzało więź nieporównywalną z żadną inną, więź prawdziwą, głęboką, ważną, więź rzeczywiście intymną, dotyczącą tylko ich dwojga. Przecież — choć świadoma problemów, jakie ją czekają — była podczas swej krótkiej ciąży naprawdę szczęśliwa, bo żywiła pewność, iż już zawsze będzie mieć na własność część Joego, i to prawdopodobnie najlepszą część... Oby chłopczyka, którego nauczy uwielbiać samoloty tak, jak uwielbia je Joe. Teraz przeżywała nieustanny lęk, iż wojna zabierze jej ukochanego; wtedy pocieszała ją myśl, że ta strata nie byłaby całkowita. Joe zorientował się natychmiast, że to on właśnie jest w tej chwili w centrum uwagi Kate; sięgnął przez stół, ujął jej dłoń i ucałował.

— Przestań się smucić, Kate — powiedział. — Wróć. Ta historia jeszcze się nie skończyła i nigdy nie skończy.

Nie mógł w tej chwili wiedzieć, jak prorocze okażą się jego słowa. Kate zresztą gotowa była się podpisać pod każdym z nich.

— Tylko na siebie uważaj, Joe. Nic innego się nie liczy.

Ale o wszystkim miał przesądzić los. To, czy ktoś — kto jak Joe będzie codziennie ryzykować życie — przetrwa czy też nie, pozostawało w ręku Boga. Kate i Joe mogli tylko liczyć na Jego łaskawość, nic poza tym nie miało znaczenia.

Po śniadaniu ubrali się, ale niewiele brakowało, by wyszli za późno, bo tulili się, pieścili i całowali dosłownie do ostatniej chwili. Joe jednak pod żadnym pretekstem nie mógł się spóźnić na naradę w Waszyngtonie czy też samolot do Europy — kochał Kate, ale musiał przestrzegać hierarchii spraw, ta zaś, która sprowadziła go do Stanów, była najwyższej wagi, dotyczyła bowiem wyniku wojny.

Kiedy odwoził Kate na uczelnię, co chwila czuł na sobie jej wzrok. Zerkąła nań nieustannie, bo chciała, by jego wizerunek tak mocno wyrył się w jej pamięci, że przez długi czas będzie stanowił wystarczającą pożywkę dla wspomnień i marzeń. Miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, a przecież jak na jej gust do kampusu Radcliffe dotarli zdecydowanie za szybko. Kiedy wysiedli z auta, w oczach Kate zaszklily się łzy. To kolejne rozstanie było nieznośną udręką, wiedziała jednak, że musi być dzielna. Przecież i tak ta wspólnie spędzona noc była nieoczekiwanym darem losu.

— Bywaj zdrów — wyszeptała, gdy ją do siebie przytulił, chociaż naprawdę chciała powiedzieć: Żyj. — Kocham cię, Joe. — Tylko tyle zdołała z siebie wydusić, zanim płacz ostatecznie ścisnął jej krtań. Zresztą wolała w tej chwili nie przysparzać udręk ani jemu, ani sobie.

— Ja też cię kocham... i masz mi powiedzieć, jeśli znów przydarzy ci się coś ważnego — odparł pomny na wiele sytuacji, kiedy środki antykoncepcyjne okazywały się zawodne. Uważaj na siebie i pozdrów ode mnie rodziców, jeśli wspomnisz im, żeśmy się widzieli. Nie miała takiego zamiaru, nie chciała, by powzięli podejrzenia, że tej nocy nie spędziła u koleżanki. Modliła się, by nikt znajomy nie dostrzegł ich, kiedy wczoraj wchodzili do hotelu lub dzisiaj z niego wychodzili.

Mocno objęci, błagali bogów, aby okazali im przychyłność; potem Joe odjechał, Kate zaś odprowadzała go załzawionym wzrokiem. Takie sceny nie należały w owych czasach do rzadkości, stanowiły jeden z typowych obrazków wojennego kalejdoskopu. Codziennie widywało się rannych lub kalekich weteranów, chorągiewki wystawione w ok— nach na cześć walczących gdzieś bliskich, dzieci odwiedzające groby poległych ojców, żołnierzy żegnających swe zapłakane dziewczyny. Kate i Joe nie stanowili wyjątku, a ponieważ wciąż mieli siebie — mogli uważać się za szczęśliwców.

Kate nie poszła już tego dnia na zajęcia, a nawet na kolację, bo miała nadzieję, że Joe do niej zadzwoni; istotnie, zrobił to tuż po naradzie, chwilę przed wyjazdem na lotnisko, chociaż — ponieważ obowiązywała go tajemnica wojskowa — nie mógł zrelacjonować przebiegu spotkania czy też poinformować, kiedy i dokąd leci. Kate życzyła mu szczęśliwej drogi, raz jeszcze wyznała miłość, potem wróciła do swojego pokoju, położyła się i pogrążyła w rozmyślaniach. Nie do wiary, że znali się już trzy lata, że wydarzyło się tak wiele od ich pierwszego spotkania w nowojorskiej sali balowej. Ona, Kate, miała wtedy zaledwie siedemnaście lat i pod wieloma względami była dzieckiem. Teraz, w wieku lat dwudziestu, czuła się dojrzałą kobietą i co ważniejsze — kobietą Joego.

Na weekend wróciła do rodziców, żeby pouczyć się w spokoju i odpocząć od współmieszkanek z akademika. Od wyjazdu Joego nie miała ochoty na życie towarzyskie, była zadumana i małowólna. Matka dostrzegła to natychmiast i podczas kolacji zapytała Kate, czy czuje się dobrze czy miała wieści od Joego. Dziewczyna bezskutecznie zapewniała rodziców, że miewa się wyśmienicie — nie dali temu wiary. Sprawiała teraz wrażenie znacznie starszej i dojrzałszej; zapewne miały w tym swój udział studia, ale to związek z Joem sprawił, że dorosłość spadła na nią jak grom z jasnego nieba, a nieustanna obawa o

ukochanego dodała jej lat. I pod tym względem zresztą Kate nie stanowiła wyjątku, podczas wojny bowiem wszyscy dorastali i starzeli się szybciej.

Do takiego właśnie wniosku doszli w trakcie wieczornej rozmowy w sypialni rodzice Kate, podkreślając, że jak kraj długi i szeroki dziewczęta i kobiety niepokoją się o los braci, chłopaków, mężów, ojców i przyjaciół.

— Szkoda, że nie zakochała się w Andym — stwierdziła smętnie Elizabeth. — To idealny kandydat, w dodatku nie służy nawet w wojsku.

Mówiąc tak, nie brała pod uwagę, że owa kandydatura jest aż nadto oczywista, a może po prostu Andy nie jest zbyt barwną postacią, przy całym bowiem dobrym wychowaniu i poczciwym charakterze najzwyczajniej w świecie nie umywał się do Joego, który oszałamiał i ekscytował, który pod każdym możliwym względem stanowił ucieleśnienie bohatera.

Przez następne cztery tygodnie Kate harowała jak wół i mimo problemów osobistych bez trudu uporała się z egzaminami. Regularnie otrzymywała listy od Joego, trzy tygodnie zaś po jego wyjeździe stwierdziła z mieszaniną ulgi i rozczarowania, że nie jest w ciąży. Niebawem doszła do wniosku, że dobrze się stało — nieustanna obawa o Joego była aż nadto ciężkim brzemieniem, dziecko zbyt mocno skomplikowałoby jej życie.

Kiedy przyjechała do domu na Święto Dziękczynienia, rodzice uznali, że wygiąda lepiej i jest spokojniejsza. Podczas kolacji rozmawiała z przyjaciółmi domu o Joem, wykazywała się zdumiewającą orientacją na temat europejskiego teatru wojny i — co zrozumiałe

— nie przebierając w słowach formułowała krytyczne sądy o Niemcach.

Tego wieczoru kładła się dziękując losowi, że pozwolił jej spotkać się z Joem zaledwie miesiąc temu i że bliskość, jakiej doświadczyli owej nocy, pozwoli jej czekać tak długo, jak to okaże się konieczne...

Spała jednak źle, budzona co jakiś czas przez nieprzyjemne sny i osobliwe przeczucia. Kiedy raniem opowiedziała o tym matce, Elizabeth żartobliwie złożyła to na karb zbytniego entuzjazmu, z jakim podczas kolacji Kate pochłaniała farsz z kasztanów.

— W dzieciństwie przepadałam za kasztanami — powiedziała

— chociaż zdaniem babci przyprawiały mnie o niestrawność. Wciąż je lubię i wciąż dostaję po nich bólu brzucha.

Stopniowo samopoczucie Kate ulegało poprawie; po południu

wybrała się z przyjaciółką na zakupy, wpadły na herbatę do Statlera

— co oczywiście obudziło na nowo wspomnienia nocy spędzonej tu

Z Joem — a kiedy wróciła do domu, była w zupełnie dobrym humorze. W niedzielę

wieczorem pojechała do akademika i tej nocy znowu

opadły ją koszmary, i to tak wyraziście, że przebudziwszy się miała

wrażenie, iż naprawdę wokół niej spadają samoloty. Ogarnięta paniką

wstała z łóżka, ubrała się i zeszła do jadalni, gdzie długo siedziała

w samotności.

Złe sny prześladowały ją przez cały tydzień, nie pozwalając wypocząć w nocy, Kate więc była kompletnie wyczerpana, kiedy w czwartek zadzwonił ojciec. Dziewczyna nie posiadała się ze zdumienia, Ciarke bowiem nigdy dotąd nie telefonował do Radcliffe. Poprosił, żeby przyszła do domu na kolację, nie przyjął do wiadomości argumentu, że ma dużo nauki, nalegał coraz mocniej, aż Kate w końcu skapitulowała, zastanawiając się, czy przypadkiem rodzice nie chcą jej poinformować o chorobie kogoś z nich. Miała nadzieję, że nie.

Pojęła, że stało się coś niedobrego, ledwie przestąpiła próg. Rodzice czekali na nią w salonie, matka stała odwrócona plecami, żeby ukryć łzy. Nowiny przekazał ojciec; kiedy Kate usiadła, popatrzył na nią przeciągle i oznajmił, że tego ranka dostał telegram, po czym zadzwonił do Waszyngtonu, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

— Ale nie dowiedziałem się niczego dobrego — powiedział, a serce w piersi Kate zadudniło jak dzwon, stało się bowiem oczywiste, że złe wieści, których się obawiała, dotyczą jej. Nie chciała słuchać, jednocześnie musiała wysłuchać wszystkiego do końca. — Joe wymienił cię w gronie najbliższych obok jakichś krewnych, z którymi nie widział się od lat. — Kate wstrzymała oddech. — W zeszły piątek rano został zestrzelony nad Niemcami. — W czwartek w nocy, a więc w piątek rano czasu europejskiego, zaczęła mieć te okropne sny o samolotach spadających z niebios. — Widziano, jak w ostatniej chwili wyskoczył ze spadochronem, choć nie wiadomo, czy nie zastrzelono go w chwili lądowania. Może dostał się do niewoli... Ale nie ma jego nazwiska, to znaczy przybranego nazwiska, na listach pojmanych oficerów, nie przekazał też żadnej wiadomości kanałami konspiracyjnymi. Istnieją obawy, że Niemcy mogli utajnić fakt jego pochycenia, jeśli tylko poznali jego tożsamość. Domyślam się, że miał dostęp do tajemnic wojskowych, a zresztą nawet bez tego jako bohater narodowy stanowi łakomy kąsek. — W otępieniu patrzyła na ojca, usiłując przetrwać jego słowa. W pierwszej chwili nie okazała żadnej reakcji. — Kate... służby wywiadowcze sprzymierzonych sądzą, że raczej nie żyje, zabity albo podczas skoku, albo później. Jeśli byłoby inaczej, jakieś wieści dotarłyby do Amerykanów bądź Brytyjczyków. Kompletnie oszołomiona Kate wpatrywała się w ojca szeroko otwartymi oczyma; Elizabeth podeszła do niej i otoczyła jej barki ramieniem.

— Mamo... czy on nie żyje? — zapytała Kate głosem zagubionego dziecka, które usiłuje zrozumieć, co jakiś nieznajomy powiedział do niego w obcym języku. Nie rozumiała słów, nie chciała ich zrozumieć, przyjął do wiadomości. Ta chwila była przerażającym echem owego dnia, kiedy usłyszała od matki o śmierci ojca. Tylko że tym razem pod pewnymi względami było jeszcze gorzej, kochała bowiem Joego zbyt mocno.

— Tak przypuszczają — odparła cicho Elizabeth, której serce pękało z powodu tragedii jedynaczki. Kate pobladała jak śmierć, sprawiała wrażenie ogłuszonej. Zaczęła wstawać, ale zaraz usiadła z powrotem.

— Przykro mi, Kate — powiedział ze współczuciem i żalem ojciec, Kate zaś dostrzegła, że i w jego oczach zaszkliły się łzy.

— Więc niech ci nie będzie — zareplikowała ostro, wstając. Nie miała zamiaru dopuścić, by przydarzyło się jej coś takiego. Albo Joemu. Nie wierzyła i nie chciała uwierzyć, dopóki nie zyska całkowitej pewności. — Jeszcze nie umarł, bo gdyby umarł, ktoś by o tym słyszał — rzekła z naciskiem, a jej rodzice, nie spodziewając się takiej reakcji, popatrzyli po sobie z rezygnacją. — Musimy wierzyć, że Joe ocaleje. Mamo... Tato... On spodziewa się po nas takiej wiary.

— Kate, wylądował na terenie Rzeszy otoczony przez Niemców, którzy go poszukiwali. Jest słynnym asem lotnictwa, jeśli więc nawet przeżył skok, nie pozwolili mu ująć z życiem. Musisz tej prawdzie stawić czoło — oświadczył stanowczo ojciec, nie chcąc, by Kate ulegała złudzeniom.

— Niczemu nie chcę stawiać czoła! — wrzasnęła, apotem wybiegła z salonu, popędziła na górę i zatrzasnęła za sobą drzwi swojego pokoju.

Rodzice byli zupełnie zbici z pantafyku, nie mając pojęcia, co powiedzieć czy zrobić. Oczekiwali wybuchu rozpacz, tymczasem nastąpił wybuch gniewu — na nich i na całą resztę świata.

Ale nie był to wybuch długotrwały; w swojej sypialni Kate padła na łóżko i zaczęła nieopanowanie szlochać. Płakała wiele godzin, wspominała Joego i spędzone wspólnie z nim cudowne chwile, powtarzała sobie, że to nie mogło się stać, że to niesprawiedliwe.

Przeżywała na nowo koszmarne sny z ubiegłego tygodnia, próbowała sobie wyobrazić, co odczuwał Joe, kiedy zestrzelono jego samolot.

Miała przed oczyma twarz ukochanego, gdy oświadczył, że jest człowiekiem o stu żywotach.

Dopiero późną nocą Elizabeth znalazła w sobie odwagę, by wśliznąć się do pokoju Kate i usiąść na łóżku obok zapłakanej córki z zaczerwienionymi oczami.

— Nie chcę, żeby on zginął, mamusiu — wychlipała Kate, której łzy mieszały się ze łzami Elizabeth.

— Ja też nie chcę — odparła Elizabeth, pojmując bardzo wyraziście, że mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie do niego żywiła, Joe był przyzwoitym człowiekiem i nie zasłużył sobie na śmierć w wieku trzydziestu dwóch lat. A Kate niczym sobie nie zasłużyła na złamane serce. To nie było w porządku, nie było w porządku nic, co działo się wciągu minionych trzech lat. — Musimy się modlić, żeby było inaczej

— dodała. Doszła do wniosku, że dalsze przekonywanie Kate o śmierci Joego jest bezcelowe, że Kate musi sama pogodzić się z tym faktem i że z pewnością się pogodzi, jeśli Joe nie zostanie odnaleziony. Ale w tej chwili stawienie czoła prawdzie było naturalnie ponad siły Kate. Elizabeth siedziała przy córce długo, bardzo długo, aż ta zapadła wreszcie w sen, pociągając przy tym nosem tak, jak czynią dzieci, które płakały wiele godzin.

Kiedy zaś wróciła do swojej sypialni, powiedziała do wciąż czuwającego Clarke'a:

— Wolałabym, żeby nie kochała tego mężczyzny tak mocno. W związku tych dwojga jest coś, co napawa mnie lękiem.

Dostrzegła to coś rok temu w oczach Joego, widziała to coś teraz, w oczach Kate. Coś, co wymykało się rozumowi i słowom... więź pomiędzy duszami Joego i Kate, której nie rozumieli nawet oni sami. Więż — i to przerażało Elizabeth najbardziej — której nie była w stanie przeciąć nawet śmierć. Jej córkę czekał okropny los.

*

Kate uporczywie milczała podczas śniadania, a każda próba wciągnięcia jej w rozmowę kończyła się fiaskiem: wypila tylko filiżankę herbaty, potem zaś jak duch uleciała na górę i zniknęła w swoim pokoju. Nie poszła tego dnia na zajęcia i całą resztę weekendu przesiedziała u siebie. Na szczęście do przerwy świątecznej pozostawał tylko tydzień.

W niedzielę wieczorem ubrała się i bez pożegnania z rodzicami wróciła do akademika — znów zachowując się jak zbłąkana dusza. Nie odezwała się ani słowem do współmieszkanek, a gdy Beyerly zapytała z niepokojem, czy może przechorowała weekend, burknęła coś w odpowiedzi i nie wspomniała o zestrzeleniu samolotu Joego, bo nie potrafiła się zmusić do wypowiedzenia tych strasznych słów. Tej nocy, jak zresztą każdej następnej, do snu kołysał ją płacz.

Wszystkie dziewczyny z akademika zorientowały się, że Kate spotkało coś niedobrego, a kilka dni później jedna z nich natrafiła na wzmiankę prasową o zestrzeleniu samolotu Joego. Wzmianka była sformułowana ogólnikowo, bo wywiad wojskowy robił wszystko, aby nie wywoływać zwątpienia czy paniki, koleżankom Kate wystarczyła jednak informacja, że Joe Allbright został uznany za zaginionego na polu walki. Wszystkie wiedziały, że Joe Allbright odwiedził Kate.

Kiedy mijając ją w korytarzu bąkały: „Wyrazy współczucia...”, Kate tylko kiwała głową i odwracała wzrok. Wyglądała fatalnie i straciła na wadze; gdy wróciła do domu na Boże Narodzenie, sprawiała wrażenie wycieńczonej i chorej. Matka na próżno usiłowała ją pocieszyć — Kate wolała w samotności oczekiwać wieści od Joego. Na jej prośbę jeszcze przed fenami Ciarke kontaktował się ze znajomymi z Waszyngtonu, ale nie dowiedział się niczego nowego. Zapytani wprost, Niemcy wyparu się, iż trzymają w niewoli oficera noszącego takie nazwisko, jakim posługiwał się Joe, było natomiast logiczne, że gdyby ustalili jego prawdziwą tożsamość, nie omieszkaliby się pochwalić ustrzeleniem tak znakomitej zwierzyny. Milczały również źródła konspiracyjne — od momentu zestrzelenia samolotu nikt nie widział Joego Allbrighta żywego czy martwego. Zniknął.

Tego roku Boże Narodzenie w niczym nie przypominało normalnych świąt: Kate nie poszła na gwiazdkowe zakupy, oświadczyła rodzicom, że nie chce żadnych prezentów, ociągała się z

otwieraniem tych, które jednak dostała, i większość czasu spędzała w swoim pokoju, rozmyślając w nieskończoność o Joem, a także zadając sobie pytania, co się z nim stało, czy jeszcze żyje i czy kiedykolwiek się zobaczą. Wspomnienia wspólnie spędzonych chwil potęgowały rozpacz z powodu utraty ich poczętego rok temu dziecka...

Kate była nieprzystępna, niepocieszona, chuda jak szczapa, udręczona bezsennością. Szukała w gazetach jakichkolwiek wieści o Joem, chociaż ojciec ją przekonywał, że z pewnością zostaną powiadomieni telefonicznie, zanim ewentualne informacje trafią do prasy, mając przy tym głębokie przeświadczenie, iż takich informacji nigdy nie będzie. Joe, sądził, już od tygodni spoczywa w jakimś płytkim grobie gdzieś na terenach Niemiec. Kate ta myśl doprowadzała do szaleństwa. Czuła się tak, jakby amputowano jakąś niezmiernie ważną część jej ciała, jakby wyszarpnęto ogromnie znaczącą część duszy, której istnienia dotąd nie była świadoma. Albo całymi dniami leżała w łóżku twarzą do ściany, albo całymi nocami przemierzała swój pokój z kąta w kąt, mając wrażenie, iż lada chwila eksploduje jak granat. Pewnego wieczoru nawet się upiła, a rodzice, bezradni wobec jej bezgranicznej rozpacz, nie skomentowali tego nazajutrz ani słowem.

Gdy po powrocie na uczelnię po raz pierwszy nie zdała egzaminu, wezwała ją opiekunka i zapytała, czy podczas ferii wydarzyło się coś złego. Wymizerowana Kate wyjaśniła zdławionym głosem, że jej bliski przyjaciel został zestrzelony nad Niemcami podczas lotu bojowego. Opiekunka, której syn zginął rok wcześniej w Salerno, okazała zrozumienie, wyraziła współczucie i nadzieję, że Kate niebawem dojdzie do siebie.

Kate nie pocieszały jednak żadne słowa, a jej rozpacz ustępowała miejsca tylko złości — na Niemców, los, człowieka, który zestrzelił Joego, na Joego, że pozwolił się zestrzelić, wreszcie na samą siebie, że pokochała go tak mocno. Pragnęła się wyzwolić z tej miłości, lecz wiedziała, że nie wyzwoli jej nic. Było za późno.

Andy, gdy się zobaczyli po fenach, najpierw ulitował się nad Kate, potem ją zgromił za rozczulanie się nad sobą. Przecież wiedziała

— oświadczył — że Joego w każdej chwili może spotkać taki los. Mógł go zresztą spotkać nie tylko na wojnie, lecz podczas wszystkich tych kaskaderskich akrobacji lotniczych czy wyścigów... Poza tym nie byli małżeństwem, nie byli nawet zaręczeni, nie mieli dzieci. Dramat Kate nie był większy niż dramaty tysięcy innych kobiet.

Jego przemowa wprawiła dziewczynę we wściekłość.

— I to ma być pocieszenie? — syknęła. — Pleciesz jak moja matka. Czy sądzisz, że obrączka na palcu w jakimkolwiek stopniu zmieniałaby moje uczucia? Otóż nie, Andy Scotcie, ani o włos, i nie zmieniałaby w niczym tego, co przydarzyło się Joemu. Dlaczego wszyscy mają takiego kręcka na punkcie rytuałów społecznych? Kogo one mogą, do cholery, obchodzić? Joe siedzi pewnie w jakimś koszmarnym obozie jenieckim, a szkopy torturami usiłują wycisnąć z niego wszystko, co wie. Myślisz, że pierścionek na moim palcu miałby dla nich jakieś znaczenie? Jasne, że nie. I nie miałby znaczenia dla Joego, nie sprawiłby, że Joe pokochałby mnie bardziej albo ja bardziej pokochałabym jego. Nic mnie nie obchodzi pierścionek, chcę tylko, żeby Joe wrócił do domu.

Wybuchnęła płaczem i jak szmaciana laleczka osunęła się w ramiona Andy'ego.

— Ale nie wróci — rzekł Andy, tuląc Kate — i sama o tym wiesz. Jest najwyżej jedna szansa na milion.

Jeśli w ogóle.

— To się może zdarzyć, o ile Joe da radę umknąć — odparła Kate, nie pozwalając, by umarła w niej resztką nadziei.

— Może już nie żyje — powiedział Andy, usiłując zmusić dziewczynę, by przyjęła do wiadomości prawdę. — Kate, mogę sobie tylko wyobrażać, jak ci jest ciężko, ale musisz się z tym jakoś pogodzić. Nie pozwól, by cię to dobijało.

Tylko że nie miała żadnego wyboru. Starła się ze wszystkich sił, ale przytłaczał ją niepokój o Joego, poczucie paniki i utraty. Nie potrafiła sobie wyobrazić przyszłości bez Joego, a jednak, nawet w momentach gdy ogarniała ją rezygnacja, ożywało w niej niewytłumaczalne przecucie, że będzie żyła. Wczepiła się w niego jakąś częścią swej duszy i wątpiła, czy ta więź zostanie kiedykolwiek zerwana. Czuła się związana z nim na wieczność.

Udali się potem na kolację do kafeterii, Andy zdołał zmusić Kate, by coś zjadła, w dodatku namówił ją, by w weekend przyszła na zawody pływackie pomiędzy reprezentacją Harvardu — w której startował Andy — i MIT. Wberw sobie Kate bawiła się całkiem nieźle i wraz z innymi świętowała zwycięstwo Harvardu. Zapomniała na krótko o swej tragedii.

Po zawodach poczekała na Andy'ego, który odprowadził ją do domu. Wyglądała lepiej niż kilka dni temu, lecz Andy z ubolewaniem wysłuchał jej opowieści o kolejnym śnie, w którym Joe był wśród żywych. Oczywiście uznał, że psychika Kate płata jej złośliwe figle.

Niebawem zaczęła do sprawy śmierci Joego podchodzić wręcz obsesyjnie: ilekroć ktoś wyrażał jej współczucie, powtarzała z pasją, że Joe przebywa na pewno w którymś niemieckim oflagu. Po jakimś czasie wszyscy znajomi zaczęli unikać tematu jak ognia. Latem minęło siedem miesięcy od zaginięcia Joego; jego ostatnie listy — które nadeszły miesiąc po zestrzeleniu — wciąż stanowiły powtarzaną każdej nocy lekturę Kate, były nieustającym akompaniamentem jej wspomnień i rozmyślań. Wszyscy dokoła mówili jej, że musi zapomnieć, pogodzić się z rzeczywistością, ona wszakże nie pozwalała, by jej serce otwarło się jak klatka i wypuściło na wolność duszę Joego — Joe zamieszkał w nim na zawsze i na zawsze miał być owego tajemnego miejsca jedynym mieszkańcem. Stał się barwą jej życia, ujrzaną wizją, wyśnionym snem, stał się nierozdzieloną częścią Kate.

Rodzice nalegali, żeby podczas wakacji wybrała się w jakąś podróż i Kate po długich sporach wyraziła zgodę. Pojechała do chrzestnej w Chicago, potem zaś do Kalifornii, żeby odwiedzić studiującą w Stanfordzie koleżankę. Podróż okazała się całkiem udana, Kate jednak nieustannie towarzyszyło wrażenie, że tak naprawdę wcale nie żyje, lecz tylko jak automat powtarza zachowania żywego człowieka, kiedy więc wróciła pociągiem do domu, doznała bezbrzeżnej ulgi. Miała jeszcze trzy dni tylko dla siebie, które spędziła wyglądając przez okno, rozmyślając o Joem i wszystkim tym, co między nimi było, a może, jeśli Opatrzność okaże się łaskawa, nadal jest. Chociaż teraz, dziewięć miesięcy po zaginięciu Joego, zaczynała powoli tracić nadzieję, zarówno bowiem wojskowe władze amerykańskie, jak i władze angielskie uznały go za poległego, skoro nie pojawiły się żadne dowody, iż przebywa w którymś obozie jenieckim.

Tego lata nie pojechała na Cape Cod, miejsce — z jej punktu widzenia — obciążone zbyt wielkim brzemieniem wspomnień, a powrót z wakacyjnej wyprawy poprzedził zaledwie o owe trzy dni początek jej ostatniego roku w Radcliffe. Wybrała historię i sztukę, chociaż nie miała pojęcia, jak wykorzysta te specjalności. Nauczanie jej nie pociągało, inne drogi kariery zawodowej, ba, jakiegokolwiek formy aktywnej działalności też nieszczególnie kusily.

Kilka tygodni po rozpoczęciu roku akademickiego spotkała się z Andym, który entuzjastycznie i pracowicie kończąc studia prawnicze, nie miał dla niej zbyt wiele czasu. Niektóre z przyjaciółek Kate nie podjęły nauki na ostatnim roku: dwie latem wyszły za mąż, trzecia przeprowadziła się na Zachodnie Wybrzeże, czwarta zaś musiała iść do pracy, żeby utrzymać matkę, bo jej ojciec i dwaj bracia zginęli zeszłego roku na Oceanie Spokojnym. Zresztą świat, jak się zdawało, zaludniały i utrzymywały w ruchu wyłącznie kobiety wykonujące najrozmaitsze zawody, również te, które kiedyś były zarezerwowane dla mężczyzn. Kate drażniła czasem rodziców, oznajmiając im, że po studiach zostanie kierowcą autobusu. Prawda jednak wyglądała tak, że nie interesowała jej żadna praca.

Miała dwadzieścia jeden lat i w nieodległej perspektywie dyplom Radcliffe. Była inteligentna, piękna, interesująca, sympatyczna i wykształcona. Gdyby nie wojna — powtarzała z uporem jej matka

— byłyby żoną Joego lub jakiegoś innego mężczyzny i miałyby dzieci. A tymczasem od śmierci Joego nie umówiła się z nikim na randkę, chociaż zabiegało o jej względy kilku chłopaków z Harvardu, paru kumpu z MIT, a nawet obiecujący miły młodzieniec z Boston College. Spławiła wszystkich. Nikt jej nie interesował, a przy życiu i zdrowych zmysłach utrzymywała ją nadzieja, że ktoś zadzwoni z Waszyngtonu informując, iż Joe jednak ocalał, albo że nagle wezwą ją do recepcji, bo ma niespodziewanego gościa. Liczyła, że zobaczy Joego w autobusach, do których wsiadała, za kolejnymi rogami ulic, na przejściach dla pieszych... Nie mogła pogodzić się z myślą, iż rozwiął się jak dym, nie ma go w żadnym zakątku planety, i że chociaż tak bardzo go kocha, nigdy nie wróci. Samo pojęcie śmierci wydawało się jej nieogarnione.

Ferie odrobinę weselsze niż te w zeszłym roku nie przyniosły Kate nic prócz pewnego wyciszenia. Okazywała rodzicom dużo ciepła

i życzliwości, ilekroć jednak matka zachęcała ją, by gdzieś poszła, dziewczyna albo zmieniała temat, albo opuszczała pokój, popadająca więc w rezygnację Elizabeth wyznała pewnego razu Clarke'owi, że obawia się, czy przypadkiem córka nie zostanie starą panną.

— Nie podzielam twojej opinii — odparł ze śmiechem Ciarke.

— Przecież, na rany boskie, mamy w tej chwili wojnę, ale poczekaj tylko, aż wrócą do domu wszyscy chłopcy.

— Kiedy to nastąpi? — zapytała smętnie Elizabeth.

— Mam nadzieję, że niebawem — odrzekł Clarke.

Lecz nie można było mieć co do tego żadnej pewności.

Paryż został wprawdzie wyzwolony w sierpniu, przełamawszy opór niemieckiej armii, a radzieckie wkroczyły do Polski, lecz od września Niemcy nasilili bombardowania Anglii, a ich ofensywa w Ardenach zaskoczyła aliantów i spowodowała ogromne straty.

Ostatniego dnia ferii świątecznych Andy Scott z grupką przyjaciół wpadł do Kate i namówił ją do wyjścia na ślizgawkę. Elizabeth żegnała ich z nadzieją, kiedy wyruszali na pobliskie jezioro — wciąż liczyła, że Kate i Andy wreszcie się zbliżą chociaż córka powtarzała z uporem, iż widzi w Andym tylko przyjaciela i żadne historie romansowe nie wchodzi w grę. Niemniej w ciągu minionego roku widywali się na tyle często, że Elizabeth — która tak jak Clarke uważała Andy'ego za idealnego kandydata do ręki jedynaczki — mogła nadal żywić swą nadzieję.

Ślizgawka okazała się strzałem w dziesiątkę: jeździli całe popołudnie, popychając się, padając i podnosząc, chłopcy urządzili żartobliwy mecz hokejowy, a Kate, która w dzieciństwie uprawiała łyżwiarstwo figurowe, wykonywała na środku jeziora wdzięczne ewolucje. Po gorącym ponczu poszli na długi spacer w rześkim zimowym powietrzu, kiedy zaś Kate została nieco w tyle, Andy zaraz do niej dołączył. Odnotował z radością, że wygiąda lepiej i że choć zapytana o święta odparła, iż były nijakie, ani razu nie wspomniała o Joem. Miał nadzieję, że jest to dla Kate moment przełomowy.

— Co planujesz na lato? — zapytał obojęmie, kiedy wsunęła pod jego ramię dłoń w ciepłej rękawiczce.

— Nie wiem, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam — odparła, śląc w mroźne powietrze kłęby pary z ust. — A ty?

— Mam dosyć zabawny pomysł — rzekł. — Oboje kończymy studia w lipcu, a ojciec mówi, że pracę w kancelarii mógłbym rozpocząć we wrześniu. No więc uznałem, że byłoby miło, gdybyśmy udali się gdzieś w podróż poślubną.

Kate, która z początku kiwała głową nagle zmarszczyła czoło.

— Z kim?

Zatrzymali się, a Andy miał dziwny wyraz twarzy, kiedy popatrzył jej w oczy.

— Myślałem, że może z tobą — powiedział cicho, a Kate przeciągle westchnęła. Sądziła, że ten temat mają już z głowy, że są tylko, i to od wielu lat, parą bliskich przyjaciół. Ale Andy zawsze miał do niej słabość, poza tym podzielał zdanie jej i swoich rodziców, że stanowiliby idealną parę.

— Zartujesz, co? — zapytała z nadzieją, on jednak stanowczo pokręcił głową.

— To niemożliwe, Andy, sam o tym wiesz. Kocham cię jak brata, więc małżeństwo z tobą...

— uśmiechnęła się smutno — .. .byłoby czymś na kształt kazirodztwa.

— Wiem, że kochałaś Joego — odezwał się żarliwie — ale jego już nie ma. A ja zawsze kochałem ciebie, Kate, i myślę, że mógłbym ci dać szczęście.

Tylko że nie w taki sposób jak Joe. Joe symbolizował namiętność, ekscytację i niebezpieczeństwo, Andy — poncz czekoladowy i ślizgawkę. Obaj byli dla niej ważni, ale ważni inaczej, i Kate miała pewność, że nigdy nie zdoła poczuć wobec Andy'ego cząstki takiej miłości, jaką darzyła Joego.

— To nie byłoby uczciwe wobec ciebie — powiedziała, przysuwając się nieco bliżej do Andy'ego, który przez całe to popołudnie czekał na odpowiednią okazję, aby się oświadczyć. Tyle że najpierw jeździli na łyżwach, potem pili poncz... Dopiero teraz wreszcie zostali sam na sam, a grupka znajomych oddalała się od nich coraz bardziej. — Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że zginął i już nigdy nie wróci.

Ostatnimi czasy naprawdę usiłowała pogodzić się ze śmiercią Joego, wszystkie jednak przymiarki do owej prawdy kończyły się fiaskiem. Zapewne zawsze będą się tak kończyć. Nie byłaś z nim zaręczona, Kate. Wiele osób ma przedślubne romanse, wiele zrywa zaręczyny poznawszy kogoś innego — stwierdził ze znacznie większą powagą. — Po wojnie mnóstwo kobiet znajdzie się w tym położeniu, wdów jeszcze młodszych niż ty, kobiet z dziećmi. A przecież nie będą mogły zamknąć przed sobą przyszłości, muszą żyć dalej. Ty też. Nie możesz po wieczne czasy ukrywać się przed światem, Kate.

— Właśnie że mogę — odrzekła pewna, iż to, co łączyło ją z Joem, starczy na całą resztę życia.

— Zaszkodzisz sobie. Potrzebujesz rodziny, dzieci, szczęśliwego życia, kogoś, kto pokocha cię dostatecznie mocno, by się tobą zaopiekować.

Jego słowa, które Elizabeth wydałyby się muzyką, w uszach Kate zabrzmiały jak nieprzyjemny zgrzyt.

— Zasługujesz na kogoś lepszego niż kobieta, która kocha pamięć innego mężczyzny — odparła Kate, po raz pierwszy mówiąc o Joem w taki sposób, jakby już nie żył. Andy uznał to za punkt zwrotny.

— Może w naszym życiu znajdzie się miejsce dla ducha — powiedział, pewny jednak, że nadejdzie dzień, w którym Kate zapomni o Joem.

— No, nie wiem — bąknęła, Andy zaś uświadomił sobie, że dotychczas nie odmówiła wprost.

— Nie musimy brać ślubu już latem, Kate. Rzuciłem tę myśl, żeby zobaczyć, jak zareagujesz. Czekajmy do chwili, którą uznasz za stosowną. Może na razie moglibyśmy się spotykać.

— Jak chłopak z dziewczyną? — zapytała, patrząc nań z powątpiewaniem.

Mimo ukończonych dwudziestu trzech lat sprawiał na niej wrażenie młokosa. Joe był dziesięć lat starszy, ale liczyło się coś innego: kiedy go poznała, miała uczucie, że w jej sercu eksplodowało słońce, że Joe pociąga ją z siłą, której nie można się oprzeć. Andy — cóż? Był zaledwie świetnym kumplem, do którego od czasu do czasu mogła się przytulić. Chociaż zdaniem matki tacy właśnie powinni być dobrzy mężowie.

— No więc co sądzisz? — zapytał z nadzieją w głosie.

Parsknęła śmiechem; zachowywał się jak dzieciak, który zachęca koleżankę z sąsiedztwa, żeby obejrzała jego domek na drzewie, albo

gimnazjalista usiłujący się umówić na pierwszą w życiu randkę. Nie sposób było go brać poważnie.

— Sądzę, że zwariowałeś z tymi oświadczeniami — odparła bez ogródek.

— I co dalej?

— Nie wiem. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mógłby wyglądać nasz romans. Niech pomyśle... Tak, to kompletnie wariacki pomysł

— stwierdziła trzeźwo, Andy się jednak nie stropił, dochodząc do wniosku, że poszło mu lepiej, niż przypuszczał. Już od miesiący zbierał się na odwagę, a i tak był pełen obaw, że przystąpił do rzeczy zbyt wcześnie. Od zaginięcia Joego minął z górą rok.

— Może wcale nie taki wariacki — powiedział cicho. — Pozwólmy, żeby przez kilka najbliższych miesięcy sprawy potoczyły się naturalnym rytmem, dobra?

Skinęła głowę może — pomyślała — matka ma trochę racji?

Ledwie jednak wróciła do domu, ogarnęły ją wątpliwości, a sam fakt, że podjęła z Andym rozmowę na podobny temat, wydał się zdradą wobec Joego, za którym natychmiast zatęskniła jeszcze bardziej. Jakże był fascynujący, jakże hipnotycznie pociągający! Jego lotnicze opowieści rzuciły na nią czar, wspólne latanie okazało się jednym z najcudowniejszych momentów w życiu. I to niepojęte iskrzenie pomiędzy nimi, ta niewysłowiona więź, która ich połączyła! Z Andym

— który nie tylko był inny niż Joe, lecz wywodził się z zupełnie innego świata — nic podobnego nie wchodziło w grę. Podczas gdy Joe pozostawał wypełniającym jej istotę oślepiającym blaskiem, Andy przywodził na myśl wygodne przytulne schronienie.

Kiedy kilka dni później zaczęła mu się zwierzać ze swoich przemyśleń, tylko położył palec na jej wargach.

— Psst! — powstrzymał ją stanowczo. — Wiem, co chcesz powiedzieć, ale daj sobie spokój, bo nie chcę słuchać. Ty po prostu się boisz.

Nie wspomniała rodzicom o propozycji Andy'ego, bo nie chciała rozbudzać w matce złudnych nadziei. Nie kochała go i nawet niezobowiązująco się z nim spotykając, czułaby się niezręcznie.

— Ale daj mi szansę — podjął po chwili. — Co powiesz o kolacji w piątek? A o kinie w sobotę?

Tak, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że namawia ją na chodzenie licealista. Andy był inteligentny, dobry, życzliwy i stateczny, ale to, że nie poszedł na wojnę, czyniło go w oczach Kate mniej dojrzałym niż wszyscy, którzy to uczynili, a już na pewno mniej dojrzałym niż Joe.

Dała się jednak zaprosić na kolację i w piątek wieczorem nałożyła czarną sukienkę — gwiazdkowy prezent matki — wysokie obcasy, krótkie futerko i sznur pereł. O Andym, który przyjechał po nią ubrany w ciemny garnitur, mogłaby marzyć każda dziewczyna. Kate stanowiła pod tym względem wyjątek.

Chociaż i kolacja w małej włoskiej knajpcie, i późniejsza potańcówka złożyły się na sympatyczny wieczór, Kate nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że to wszystko jest figłem, udawaniem. Wolałaby — jak to mieli w zwyczaju — zjeść z Andym posiłek w kafeterii. Ale nic mu nie powiedziała.

Gdy odprowadzał ją do domu, zachowywał się bardzo powściągliwie i nie próbował pocałować; tak samo było nazajutrz, kiedy poszli po raz kolejny obejrzeć „Casablanke”. Kate stwierdzała ze zdumieniem, że bawiła się doskonale, choć w owych randkach nie dostrzegała szczypty romantyzmu, podniecenia. Andy wciąż pozostawał tylko kumplem, nikim więcej.

W końcu spróbował ją pocałować dopiero w dniu świętego Walentego. Od zaginięcia Joego minęło wtedy piętnaście miesięcy, ale potrafiła myśleć jedynie o nim, kiedy wargi Andy'ego poczuła na swoich. Andy był przystojnym, seksownym i pod wieloma innymi względami atrakcyjnym młodym mężczyzną, z Kate jednak w chwili owego pocałunku działało się coś

przedziwnego: miała wrażenie, że wszystko — jej ciało, serce i dusza — popadło w stan odrętwienia. Kiedy zgasło w niej światło Joego, zapanowały nieprzeniknione ciemności. Serce Kate podążyło za nim.

Andy udawał, że tego nie dostrzega, i przez kilka następnych miesięcy widywali się raz w tygodniu, Andy zaś całował ją na pożegnanie, nie usiłując posunąć się dalej, co przyjmowała z uczuciem bezbrzeżnej ulgi. Wiedziała zresztą, iż Andy nie dojdzie do wniosku, że miałyby ochotę narażać na szwank swą reputację, a już z pewnością nie podejrzewa, że sypiała z Joem. Nieustannie wyznawał jej miłość, którą w jakiś szczególny sposób odwzajemniała. Jej rodzice nie posiadali się

ze szczęścia, chociaż zapewniała ich, że na razie to nic poważnego, gdy zaś pewnego razu ojciec głęboko spojrzął jej w oczy, nieomal pękło mu serce, dojrzał bowiem bezmierny ból, jedną wielką otchłan rozpacz. Odtąd nie dawał się zwieść paplaninie i chichotom Kate, a kiedy pewnego razu, podczas kolacji, którą jadł tylko z żoną, Elizabeth zaczęła rozplęwać się nad Andym, przestrzegł:

— Nie naciskaj na nich, Liz. Niechaj sami do tego dojdą.

— Chyba układa im się świetnie i jestem pewna, że niebawem się zaręczą.

Cóż jednak miałyby to oznaczać? — zadawał sobie pytanie. Ze Kate, bezgranicznie oddana jednemu mężczyźnie, musi znaleźć dla niego zastępcę, obojętne, czy pokocha owego zastępcę czy nie? Sam uważał takie rozwiązanie za tragiczne. Żonaty z Liz od trzynastu lat, wciąż ją namiętnie kochał i nie chciał dla Kate gorszego losu.

— Moim zdaniem nie powinna za niego wychodzić — oświadczył trzeźwo.

— A to dlaczego? — zaperzyła się Elizabeth, dochodząc do wniosku, że Ciarke chce wszystko zepsuć.

— Bo go nie kocha, Liz — odparł spokojnie. — Tylko na nią popatrz, jest wciąż zakochana w Joem.

— Nigdy nie był odpowiednim kandydatem, a poza tym, na rany boskie, zginął!

— To w niczym nie zmienia jej uczuć. I może nie zmieni przez wiele następnych lat — powiedział, choć w głębi serca odczuwał lęk, że nie zmieni nigdy. A ślub z Andym może tylko pogorszyć sytuację, szczególnie jeśli będzie to ślub wymuszony w pewnym sensie przez rodziców. To mogłoby zakończyć się dla Kate całkowitym załamaniem nerwowym lub głęboką depresją. Przypuszczalnie będzie lepiej, jeśli Kate pozostanie sama bez względu na to, jak sympatycznym chłopcem jest Andy. — Zostaw ich więc po prostu w spokoju, pozwól samym dojść ze sobą do ładu.

Elizabeth pokręciła głową.

— Ona musi wyjść za mąż i mieć dzieci, Ciarke. Co twoim zdaniem miałyby robić, kiedy skończy studia?

Clarke'a zirytowało, że małżeństwo i dzieci jego żona traktuje tak jak terapię zajęciową.

— Lepiej, żeby poszła do pracy, niżby miała poślubić niewłaściwego mężczyznę — oświadczył zdecydowanie.

— Nie ma nic „niewłaściwego” w Andym Scotcie — stwierdziła zastanawiając się, skąd jej mężowi przyszły do głowy te wszystkie niemądre myśli. Może Joe Allbright oczarował w jakimś stopniu również jego. Joe Allbright jednak nie żył, obojętne, jak czarujący czy fascynujący był za życia. A własne życie Kate miała jeszcze przed sobą.

Nieświadoma trosk i sporów swoich rodziców, Kate nadal co tydzień spotykała się z Andym, usiłując obdarzyć go czymś więcej niż przyjaźń, ale była to syzyfowa praca. Wiosną — tak samo zresztą jak wszyscy inni — całą uwagę skupiła na wojnie.

W marcu wojska amerykańskie wygrały bitwę o Zagłębie Ruhry, na Pacyfiku zaś zdobyły Iwo Jimę. W kwietniu alianci opanowali Norymbergę, Rosjanie zaś dotarli na przedmieścia Berlina. Pod koniec kwietnia stracono Mussoliniego, nazajutrz zaś — dwa tygodnie po śmierci prezydenta Roosevelta i objęciu władzy przez Harry'ego Trumana — poddała się

armia niemiecka we Włoszech. Nieco później, siódmego maja, skapitulowały całe Niemcy, a ósmy maja został ogłoszony przez prezydenta Trumana Dniem Zwycięstwa.

Kate była tego dnia na zajęciach; radosną wieść przekazała zapłakana nauczycielka, której mąż zginął we Francji trzy lata wcześniej. Wszystkie dziewczęta zerwały się z miejsc, zaczęły się obejmować i wiwatować... Chłopcy mogli wreszcie wrócić do domu, bo zwycięstwo nad Japonią było teraz tylko kwestią czasu, i to niezbyt odległego.

Po południu Kate odwiedziła rodziców; ojciec był w triumfalnym nastroju, wystarczyła jednak chwila, by dostrzegł w oczach córki bezbrzeżny smutek. Zrozumiał natychmiast i położył rękę na jej dłoni.

— Żałuję, że Joe nie przeżył, Kate — powiedział.

Skinęła głową.

— Ja też. — Otarła rękawem łzy spływające po policzkach.

Wróciła do akademika, położyła się i znów, jak tysiące razy przedtem, zaczęła rozmyślać o Joem. Był zawsze blisko niej. Nigdy się nie oddalał.

Kiedy koleżanki powiadomiły ją, że dzwoni Andy, nie podeszła do telefonu. Nie mogła z nim w tej chwili rozmawiać. W jej duszy i sercu niepodzielnie królował Joe.

ROZDZIAŁ IX

Wobec zakończenia wojny w Europie ukończenie college'u wydawało się faktem błahym, niemniej rodzice byli bezgranicznie dumni z Kate, która podczas rozdania dyplomów prezentowała się w todze i birecie wręcz cudownie. W uroczystości wziął udział również Andy, ale gdy zaczął sugerować, by zaręczyli się w tym samym tygodniu, Kate zaleciła mu cierpliwość. Przez całe lato zamierzał podróżować po północnym zachodzie Stanów, a jesienią miał podjąć pracę w kancelarii adwokackiej swojego ojca.

Sam odbierał dyplom nieco później. Po ceremonii — znacznie bardziej kameralnej, a zarazem bardziej majestatycznej niż w Radcliffe

— Kate skłoniła go ostatecznie do zgody na to, by kwestię małżeństwa omówić później, po wakacjach. Doznawała przy tym wrażenia, że załatwiła sobie odroczenie egzekucji.

Ledwie jednak w czerwcu wyruszył w podróż, stwierdziła ze zdumieniem, że za nim tęskni i że coś wobec niego odczuwa, choć nie umiałaby tego nazwać, było bowiem czymś na kształt niepewnie budzącego się do życia po wielkiej awarii światła elektrycznego; migotało, przygasało, nabierało mocy. Tyle że bardzo powoli. Była Andy'emu wdzięczna za jego dobroć i wyrozumiałość. Uświadomiła sobie, że niezłe dała mu popalić, tak więc już pod koniec czerwca niecierpliwie wyczekiwała jego powrotu. Kierował się w stronę Grand Tetons i jeziora Louise, zamierzał odwiedzić przyjaciół w stanie Waszyngton, a w drodze powrotnej zahaczyć o San Francisco. Bawił się — jak wynikało z jego telefonów — doskonale i też za nią tęsknił. Kate dzielając jego tęsknotę, rozważała nawet myśl o zaręczynach jesienią i ślubie na początku przyszłego lata, ale w końcu uznała, że powinna sobie dać jeszcze jeden rok zwłoki.

Poza tym znów pracowała w Czerwonym Krzyżu.

Codziennie statkami szpitalnymi przyływały z Europy tłumy rannych: zadanie Kate polegało na tym, by wraz z wyznaczoną grupą personelu medycznego rozsyłać ich jak najszybciej i jak najsprawniej do szpitali na lądzie, gdzie wielu z nich spędzi długie miesiące, a nawet lata.

Kate nigdy nie widziała ludzi tak szczęśliwych mimo okropnych ran, jakie odnieśli. Całowali

ziemię, ją, każdego, kto znalazł się w pobliżu... Byli na ogół bardzo młodzi, ale to wrażenie przyskało, kiedy spojrzano się im w oczy; te oczy widziały za dużo.

Kate poświęcała im wiele godzin — trzymała ich za ręce, gładziła po głowach, pisała listy tym, którzy stracili wzrok, pomagała wsiadać do karetek i samochodów wojskowych. Codziennie wracała do domu wycieńczona i umorusana jak nieboskie stworzenie, ale przynajmniej czuła, że w końcu robi coś pożytecznego. Pewnego wieczoru wróciła wyjątkowo późno.

Spodziewała się wprawdzie, że rodzice będą zaniepokojeni, ledwie jednak zobaczyła wyraz twarzy ojca, pojęła, iż musiało się stać coś strasznego. Elizabeth siedziała na sofie obok męża, nieustannie wycierając oczy chusteczką. Po plecach Kate przebiegł zimny dreszcz.

— Co się stało, tato? — zapytała, usiłując zachować spokój.

— Nic, Kate. Wejdz i usiądź.

Usłuchała, a siadając wygładziła swój poplamiony fartuch. W nieskończenie długiej chwili ciszy spojrzenie Kate wędrowało pytająco z ojca na matkę i z powrotem; była prawie pewna, że ktoś umarł, skoro jednak nie miała żadnych żyjących krewnych, daremnie zachodziła w głowę kto. Najprawdopodobniej jakiś bliski znajomy rodziców... może syn ich przyjaciół nie przeżył podróży powrotnej do kraju.

— Miałem dziś telefon z Waszyngtonu — powiedział wreszcie Clarke. Na Kate nie wywarło to żadnego wrażenia, bo dostała już swoją porcję najgorszych wieści i pogodziła się z nimi. Teraz znaczyły dla niej przede wszystkim tyle, że wiedząc, jak to jest, kiedy człowiek traci najbliższą osobę na świecie, angażowała się w swoją pracę jeszcze bardziej. — Znalezione Joego, Kate. Żyje.

Te słowa spadły na nią jak grom z jasnego nieba. Spopieliała na twarzy.

— Co? — zdołała wydusić z najwyższym trudem. — Nie rozumiem. — Miała wrażenie, że tak jak owej nocy, kiedy poroniła, pogrąża się w szoku. — Co ty mówisz, tatusiu?

Długo krzepiła w sobie nadzieję, ale w końcu przyjęła do wiadomości, że Joe zginął. Teraz dźwięk słów, których już nigdy nie spodziewała się usłyszeć, całkiem ją oszołomił.

— Został zestrzelony na zachód od Berlina — odparł Clarke, po którego policzku stoczyła się łza. — Miał jakieś problemy ze spadochronem, poważnie kontuzjował obie nogi. Przez pewien czas ukrywał się u gospodarza na wsi, potem ruszył w stronę granicy, ale został schwytany i osadzony w więzieniu, w zamku Colditz. Przetrzymano go w pojedynczej celi, a chociaż posługiwał się fałszywymi dokumentami, Niemcy widać zaczęli coś podejrzewać, bo torturami usiłowali wydobyć zeń informacje dotyczące naszej produkcji lotniczej. Spędził w Colditz siedem miesięcy, zanim w końcu udało mu się zbiec; był wtedy w Niemczech od niemal roku. Tym razem zdołał się przedostać do Szwecji, ale pojmano go po raz drugi, gdy próbował zaokrętować się na frachtowiec. Został przy tym ciężko ranny. Przez kilka miesięcy, jak się przypuszcza, był albo nieprzytomny, albo pogrążony w śpiączce... Tak czy inaczej ponownie osadzono go w Colditz, a że i tym razem miał przy sobie fałszywe dokumenty, teraz szwedzkie, jego nazwisko znów nie trafiło na listy amerykańskich jeńców wojennych. Został odnaleziony w izolatce już kilka tygodni temu, ale dopiero wczoraj doszedł do siebie i zdradził swoją prawdziwą tożsamość. Leży obecnie w berlińskim szpitalu i Kate... — Clarke urwał na chwilę, żeby opanować drżenie głosu

— .. jest chyba w bardzo kiepskim stanie. Ledwie żył, kiedy go uwolniono. Ale Bogu dzięki, wciąż się jakoś trzyma, a rokowania, zakładając, że nie wystąpią komplikacje, są raczej pomyślne. Nogi kontuzjowane podczas skoku połamano mu ponownie, w dodatku, tak samo jak ręce, przestrzelono w kilku miejscach. Przeszedł piekło. Zostanie wysłany do kraju, kiedy tylko lekarze uznają, że wytrzyma trudy podróży, zapewne za dwa tygodnie. Powinien więc przypłynąć w lipcu.

Kate wciąż nie była w stanie wykrztusić ani słowa, mogła tylko płakać. Matka patrzyła na nią z nieskrywaną rozpaczą, zdając sobie sprawę, że Andy Scott wraz ze wszystkim, co mógłby

jej dać, rozwiewa się oto jak dym. I że Joe, bez względu na ogrom jego miłości do Kate, zmarnuje jej życie. Podpowiadał jej to instynkt macierzyński. Świadoma jednak mocy uczucia, które wciąż dwóch minionych lat połączyło tych dwoje, nie mogła zrobić nic, by temu zapobiec.

— Czy sądzisz, że mogłabym z nim porozmawiać, tato? — zdołała wreszcie wyjąkać Kate. Ciarke wyraził powątpiewanie, łączność z Niemcami bowiem była w najlepszym razie przypadkowa, niemniej zapisał córce nazwę i adres szpitala, w którym leżał Joe. Spróbowała zadzwonić późną nocą, ale wszystkie próby uzyskania połączenia okazały się daremne, długo siedziała więc wpatrzona w księżyc, rozmyślając o Joem i o swojej niewzruszonej pewności, że nadal żyje. Zaczęła tę pewność tracić dopiero kilka miesięcy temu.

Przez następne tygodnie miała wrażenie, że porusza się pod wodą. Codziennie pracowała w porcie lub — pomiędzy jednym statkiem a drugim — w stacji Czerwonego Krzyża, odwiedzała w szpitalach rannych żołnierzy, pisała za nich listy, pomagała im siadać, kłaść się i pić. Wysłuchiwała tysiący dramatycznych opowieści. Kiedy zadzwonił Andy, zbyła go ogólnikami; wobec perspektywy powrotu Joego Andy — którego przecież szczerze usiłowała pokochać i którego być może ktoś kiedyś pokocha — odsuwał się na plan dalszy. Ale nie chciała psuć mu podróży i dlatego z relacją o ocaleniu Joego postanowiła poczekać do chwili, aż Andy ją skończy.

W dniu, w którym miał przybić do portu statek Joego — spodziewano się go o szóstej, z porannym przyplływem — była w pracy już o piątej, ubrana w czysty fartuszek i czepek. Kiedy go jednak przypinała, drżały jej dłonie. Wciąż nie potrafiła sobie wyobrazić spotkania z Joem, wciąż wydawało się jej, że śni jakiś przedziwny sen.

Dojechała do portu tramwajem, zameldowała się u przełożonej, dokonała przeglądu leków i materiałów opatrunkowych. Dotąd statki szpitalne przyplwały z Anglii albo Francji, ten, z siedmiuset żołnierzami na pokładzie, miał być pierwszym z Niemiec. Na nabrzeżu parkowały długim rzędem karetki i samochody wojskowe, gotowe rozwieźć rannych do szpitali rozrzuconych w promieniu kilkuset mil. Kate nie miała pojęcia, do którego trafi Joe, ale zamierzała spędzać z nim każdą wolną chwilę. Ani razu nie dodzwoniła się do niego do Niemiec, nie próbowała też wysłać listu, bo uprzedzono ją, że w żadnym razie nie dotrze na czas. Mijały zatem niemal dwa lata, odkąd mieli ze sobą jakikolwiek kontakt.

Statek powoli przybijał do nabrzeża, z pokładów wypełnionych ludźmi w bandażach lub o kulach niosły się radosne okrzyki, gwizdy i wiwaty. Kate zwykle taki widok wzruszał do łez, tym jednak razem wyteżała wzrok, lustrując wszystkie twarze, chociaż z tego, co wiedziała, wynikało jasno, iż Joe ma w swoim obecnym stanie znikome szanse, żeby o własnych siłach stać przy relingu i machać dłonią. Raczej leżał na noszach gdzieś dalej. Kate zresztą uzyskała już od przełożonej zgodę na wejście na pokład.

— Chodzi o kogoś znajomego? — zapytała zawiadująca wolontariuszkami emerytowana pielęgniarka, która w swym długim życiu nie spotkała jeszcze nikogo, kto będąc równie błądliwy jak Kate, trzymałby się jeszcze na nogach.

— Ja... mój... na pokładzie jest mój narzeczonny... — odpowiedziała zakłopotana Kate, uznając, że niewinne kłamstewko jest lepsze niż długie powikłane wyjaśnienie.

Przełożona wyraziła zgodę, a potem spytała:

— Kiedy widziałas go po raz ostatni?

— Dwadzieścia jeden miesięcy temu. Jeszcze przed trzema tygodniami sądziłam, że zginął. Przełożona ze zrozumieniem pokiwała głową. Wiedziała, przez co musiała przechodzić ta młoda kobieta o ogromnych ciemnoniebieskich oczach; sama, będąc wdowa, straciła na wojnie trzech synów.

— Gdzie go odnaleziono? — zapytała nie tyle z ciekawości, ile po to, żeby zająć czymś uwagę Kate. Biedactwo, wyglądała tak, jakby lada chwila miała złamać się na pół.

— W niemieckim więzieniu — odparła Kate. — Został zestrzelony podczas nalotu. Cumowanie trwało niemal godzinę i wreszcie ranni zaczęli schodzić po trapie. Nastąpiła kolejna eksplozja wiwatów, rozległy się ponowne wybuchy placzu, nabrzeże stało się miejscem dziesiątków

rozdzierających scen. Kate szlochała z innymi, ale tym razem nie rozczuła jej los niezliczonych anonimowych żołnierzy, lecz los Joego. Dopiero po dwóch godzinach wraz z grupą noszowych, którzy mieli znosić na ład niezdolnych do poruszania się o własnych siłach, zdołała wejść na pokład, zwalczając przy tym pokusę, by przepchnąć się do przodu i jak najszybciej ruszyć na poszukiwania. Tyle że nie miała pojęcia, gdzie wśród ciężko rannych i umierających, nad którymi unosił się ciężki odór opatrunków i potu, leży Joe. Lawirowała więc pomiędzy nimi ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony.

Ktoś spróbował ją złapać za rękę, ktoś za nogę, kilku mężczyzn zagadało do niej, a ona po prostu nie umiała ich zlekceważyć. Tym, który zatrzymał ją po raz może setny, był beznogi żołnierz; miał tylko połowę twarzy, a jego jedyne oko, jak Kate natychmiast się zorientowała, było ślepe. Z ciężkim akcentem mieszkańców dalekiego południa opowiadał jej właśnie o swej radości z powrotu do kraju, gdy poczuła na ramieniu delikatny dotyk czyjejś dłoni.

Wciąż zgięta w pół, odwróciła się dopiero wtedy, kiedy południowiec skończył mówić...

Z szerokim uśmiechem na bladej, wychudzonej i naznaczonej bliznami twarzy patrzył na nią Joe. Opadła obok niego na kolana, on usiadł, objął ją i przytulił. Zmieszały się ze sobą ich łzy.

— O mój Boże — powiedziała tylko.

— Cześć, Kate — odparł Joe trochę drżącym, ale tak dobrze znajomym głosem. — Mówiłem ci, że mam mnóstwo żywotów.

Zaniosła się placzem. Dopiero kiedy wytarł jej oczy szorstką dłonią, zdołała przyjrzeć mu się dokładniej: był straszliwie chudy, jego przestrzelone, a potem jeszcze połamane przez hitlerowców nogi tkwiły w gipsie. Lekarze złożyli je już w Niemczech, lecz nie dawali gwarancji, że Joe będzie kiedykolwiek chodzić.

Ale wczepiony w cieniutką niteczkę życia przetrwał i zdołał wrócić.

— Nie wierzyłem, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę — powiedział cicho do idącej obok Kate, kiedy sanitariusze znosili go na noszach po trapie.

— Ja też nie — wyszeptała dziewczyna.

Patrząc na tych dwoje, przełożona wolontariuszek miała łzy w oczach, dochodząc do wniosku, że z tego bezmiaru tragedii ktoś przecież powinien wyjść zwycięsko.

— Widzę, że znalazłaś swojego chłopaka. Witaj w domu, synu

— rzekła i poklepała Joego po ramieniu. — Chcesz z nim pojechać karetką, Kate?

Joego zabierano do szpitala wojskowego tuż pod Bostonem, tak więc odwiedziny nie będą nastroczały problemów. Opatrzność, która przecież już obdarowała ją tak wspaniale życiem Joego, w końcu zaczęła im sprzyjać.

W karetce usiadła obok Joego, wyjęła z torebki dwie tabliczki czekolady, jedną podała Joemu, drugą zaś, rozłamaną na części, poczęstowała trzech innych jadących z nimi rannych. Wszyscy byli w Niemczech: dwaj w obozach jenieckich, trzeci — pojmany podczas próby ucieczki do Szwajcarii — został poddany okropnym torturom w gestapowskim więzieniu i skazany na powolną śmierć, której tak jak Joe wymknął się w ostatniej chwili.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Joe, patrząc z troską na Kate. Nigdy nie widział czegoś równie pięknego jak jej włosy, skóra, oczy. Pozostali mężczyźni też nie potrafili oderwać od niej wzroku.

— Doskonale. Zawsze wierzyłam, że żyjesz — wyszeptała w odpowiedzi, przysuwając się jeszcze bliżej do noszy Joego. — Po prostu wiedziałam, że nie zginąłeś, wbrew wszystkiemu, co mi powtarzano.

— Mam nadzieję, że nie wyszłaś za męża czy coś w tym rodzaju?

— Pokręciła głową, uświadamiając sobie zarazem, że niewiele brakowało. — Skończyłaś college?

Jego ciekawość była zupełnie zrozumiała: myślał o Kate miliony razy, zasypiał z jej wizerunkiem przed oczyma, budził się, zadając sobie pytanie, czy ją jeszcze zobaczy.

— W czerwcu — odparła. — Teraz pracuję w Czerwonym Krzyżu jako wolontariuszka.

— Serio? — zapytał żartobliwie Joe, wyginając w uśmiechu bolesnie spękane usta, które Kate zdążyła już wycalować wiele razy.

— A ja cię wziąłem po prostu za jedną z tych przyklepanych pielęgniarerek.

Wcale tak bardzo nie mijał się z prawdą, kiedy ją bowiem zobaczył obok siebie na pokładzie, przez długą chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dziękował Bogu, że trafił na statek płynący do Bostonu, nie zaś Nowego Jorku — dzięki temu nie tylko spotkał Kate, z którą mimo usiłowań nie zdołał się skontaktować przed wyjazdem, lecz również mógł liczyć na jej wizyty w szpitalu. Codzienne wizyty.

Towarzyszyła Joemu, kiedy przyjmowano go do szpitala, zaraz potem jednak musiała wracać karetką do portu, żeby skończyć pracę.

— Ale przyjadę wieczorem — obiecała na pożegnanie.

Była szósta, kiedy dotarła do domu i pożyczyła samochód rodziców, dochodziła natomiast siódma, gdy stanęła wreszcie obok Joego, który starannie wymyty spał snem sprawiedliwego w czystuśkiej pościeli. Ostrożnie usiadła na łóżku, żeby go nie obudzić. Dwie godziny później drgnął, z bolesnym wyrazem na twarzy przewrócił się na wznak, potem powoli otworzył oczy.

— Śnię czy może naprawdę jestem w niebie? — zapytał z błogim uśmiechem. — To przecież niemożliwe, żebyś była przy mnie, Kate... Niczym sobie nie zasłużyłem na coś tak cudownego.

— Ależ zasłużyłeś, zasłużyłeś — odparła, delikatnie całując jego policzki i usta. — To ja w tym towarzystwie jestem szczęściarą. Matka obawiała się już, że zostanę starą panną.

— Kombinowałem sobie, że już dawno wyszłaś za tego małolata Andy'ego... jak mu tam... no wiesz, tak zwanego „tylko przyjaciele”. Tacy faceci nigdy nie przepuszczą dziewczynie po śmierci bohatera.

— Otóż tym razem bohater nie umarł.

— Ano nie — zgodził się Joe, z ciężkim westchnieniem dźwigając się nieco na łóżku. — Już straciłem nadzieję, że kiedykolwiek się wywinę z tego więzienia. Co dzień byłem pewien, że mnie wykończą, ale chyba mieli ze mną za dobry ubaw, żeby pozwolić mi umrzeć.

Została z nim do dziesiątej, a nawet nieco dłużej, przy czym uznała, iż najwyższy czas jechać do domu nie dlatego, że miała na to ochotę, lecz z powodu widocznego znużenia Joego, którego zresztą czekały jeszcze zastrzyki przeciwbólowe. Drzemał, kiedy na chwilę przed wyjściem popatrzyła raz jeszcze na jego męską wyrazistą twarz, o której śniła miliony razy. W domu czekał na nią ojciec.

— No i jak się mlewa? — zapytał z troską.

— Żyje — odrzekła rozpromieniona — i jest w zaskakująco dobrej formie, chociaż jego twarz przypomina befszyk, a obie nogi są w gipsie. — Wiedziała od Joego, że kiedy go uwolniono, wyglądał

znacznie gorzej, a jego włosy sięgały pasa. Ostrzyżono mu je w Berlinie. — To cud, że do nas wrócił, tato — dodała.

Clarke pomyślał, że takiego uśmiechu nie widział na twarzy córki od dwóch lat.

Jak go znam, siądzie za sterami samolotu, zanim zdążymy się połapać — stwierdził radośnie.

— Obawiam się, że możesz mieć rację.

Zamierzano jeszcze raz operować nogi Joego, istniała obawa, że będzie kulął, ale przecież ludzi na wojnie spotykały gorsze rzeczy. Joe powstał z martwych i to wystarczało Kate w zupełności. Jego kondycja nie miała dla niej najmniejszego znaczenia.

— Pod twoją nieobecność dzwonił Andy — oznajmił poważniejąc Clarke. — Co zamierzasz mu powiedzieć, Kate?

— Nic aż do jego powrotu. Ale wtedy powiem mu całą prawdę. Mam nadzieję, że zrozumie. Zresztą nie wiem, czy w ogóle mogłabym za niego wyjść, tato. Wiedział przecież, że wciąż kocham Joego.

— Ja i twoja matka też wiedzieliśmy, żywiąc tylko nadzieję, że jeśli zginął, uporzysz się z tą miłością, dla własnego dobra. Nie chcieliśmy, żebyś usychała za nim z tęsknoty przez całe życie. Pobierzecie się teraz?

— zapytał. Uważał, że po tym wszystkim, co przeszli, jest to zupełnie naturalny finał.

— Jeszcze nie poruszyliśmy tej sprawy, tato. Nie jest zresztą najważniejsza, biorąc pod uwagę obecny stan Joego.

Ciarke Jamison przekonał się o tym na własne oczy, kiedy nazajutrz złożył mu wizytę, Joe bowiem wyglądał z jego punktu widzenia wręcz przerażająco. Optyka Kate, która zdążyła napatrzeć się na rannych i okaleczonych, była zasadniczo inna: według niej Joe wyglądał znacznie lepiej, niż się spodziewała.

Joe niezwykle się ucieszył z wizyty Clarke'a i długo z nim rozmawiał; Ciarke, powodowany delikatnością, nie pytał o jego przejścia w Niemczech, w końcu jednak Joe opowiedział mu o wszystkim — o zestrzeleniu, ucieczce, torturach — z własnej inicjatywy. Historia była naprawdę straszna, a przecież zdobył się na to, żeby Zrelacjonować ją z humorem. W pewnym momencie wzrok Joego pojaśniał, w drzwiach bowiem stanęła Kate. Kiedy Clarke zostawił ich na moment samych, zapytała z niepokojem o nogi Joego, a potem westchnęła z ulgą, słysząc, że po badaniu uznano rokowania za dobre. Lekarze w Niemczech spisali się na medal.

Przez cały następny miesiąc Kate odwiedzała Joego codziennie po pracy i nie odstępowała go w weekendy. Kiedy wywoziła go w wózku inwalidzkim do ogrodu, nazywał ją swoim aniołem miłosierdzia; kiedy nikt ich nie widział — trzymali się za ręce i całowali. Po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu Joe zagroził, że ucieknie i zabierze Kate do hotelu.

— Z tym daleko nie ujdiesz — odparła wtedy ze śmiechem, wskazując gips na jego nogach. Ale miała nie mniejszą ochotę dobrać się do niego niż on do niej. Na razie jednak pozostawały im ukradkowe pocałunki, chociaż forma Joego ulegała poprawie z dnia na dzień, a gdy po czterech tygodniach zdjęto mu gips, ku ogólnemu zdumieniu zaczął chodzić — o kulach, pomalutku, na bardzo niewielkich dystansach, ale chodził. Trudno było nie patrzeć w przyszłość z optymizmem.

Wkrótce po swojej indywidualnej wizycie Clarke odwiedził Joego w towarzystwie żony. Elizabeth była bardzo serdeczna, przyniosła kwiaty i książki, lecz jeszcze tego samego wieczoru osaczyła Kate w kuchni i zapytała surowo:

— Rozmawialiście już z Joem o małżeństwie?

Kate westchnęła z irytacją.

— Mamo, widziałas, w jakim jest stanie? Może tak najpierw postawilibyśmy go na nogi?

— Oplakiwałaś go przez dwa lata, Kare. Znacie się niemal od pięciu. Czy istnieją powody, dla których nie robicie żadnych planów, czy też jest coś, o czym nie wiem? Na przykład, że Joe ma żonę?

— Oczywiście, że nie ma. I nie zamierza umknąć. Po prostu nie sadzę, że ta sprawa jest ważna, dla mnie liczy się tylko to, że Joe żyje. Tylko tego pragnęłam, mamo.

— To irracjonalne. A co z Andyni?

Kate usadowiła się wygodnie i przybrała poważny wyraz twarzy.

— Wraca w przyszłym tygodniu, wtedy mu powiem.

— Co mu powiesz? Tu nie ma nic do mówienia. Może zastanowisz się przez chwilę, zanim uznasz, że wykreślasz go z życia. Kate, wspomnisz moje słowa: kiedy tylko Joe stanie na nogi, nie popędzi z tobą przed ołtarz, lecz na najbliższe lotnisko. Przecież wczoraj rozprawiał tylko o samolotach. Latanie ekscytuje go znacznie bardziej niż ty, spójrz tej prawdzie w oczy, zanim będzie za późno.

— Jeśli kocha latanie...

Ale Elizabeth miała słuszość, Joe nieustannie mówił o lataniu, a usiąść za sterami samolotu chciał równie mocno, jak iść z Kate do łóżka.

— Więc jak bardzo kocha ciebie? Sądzę, że tak sformułowane pytanie dotyka daleko ważniejszej kwestii.

— Czy nie może kochać i mnie, i latania? Czy musi dokonywać wyboru?

— Nie wiem, Kate, ale chyba nie. Te dwie rzeczy mogą się wykluczać.

— Głupstwa. Nie oczekuję, że zrezygnuje z latania, to było i jest jego życie.

— Ma prawie trzydzieści pięć lat, przez dwa lata był praktycznie martwy... Jeśli zamierza się ustabilizować, ożenić, mieć rodzinę, musi, w mojej opinii, brać się do rzeczy natychmiast. Kate podzielała wprawdzie zdanie matki, ale nie chciała wywierać na niego nacisku.

Wierzyła, że sprawa rozwiąże się w sposób naturalny wcześniej czy później, a zresztą czy istniało wiele małżeństw oddanych sobie tak bezgranicznie jak ona i Joe?

Andy odwiedził Kate tego samego dnia, kiedy wrócił z podróży; był wprawdzie trochę rozczarowany, że nie powitała go na dworcu, lecz wytłumaczył sobie, że nie mogła wyjść na spotkanie zajęta pracą w Czerwonym Krzyżu. Ucieszył się na jej widok, ale potrzebował zaledwie paru sekund, żeby odgadnąć, iż pod jego nieobecność coś się stało.

— Wszystko w porządku? — zapytał, kiedy rodzice Kate zostawili ich sam na sam. Próbował ją pocałować, wykręciła się wszakże pod byle pretekstem.

— W porządku, jestem tylko strasznie zmęczona — odparła, co zresztą było prawdą, zważywszy, że tego dnia do bostońskiego portu wpłynęły aż dwa statki z rannymi. A potem dochodząc do wniosku, że dalsza gra na zwłokę nie ma sensu, dodała: — Nie, chyba nie w porządku... To znaczy, że mną tak... ale z nami nie.

— O co chodzi? — zaniepokoił się pełen najgorszych przeczuć.

Śmiało spojrzała mu w oczy, nienawidząc myśli, że musi go zranić. Ale gdy Joc dostał od losu atuty, Andy otrzymał same blotki; Kate nie była mu pisana w takim stopniu, jak była pisana Joemu. Jej, Kate, marzenia miały się spełnić, Andy'ego natomiast — umrzeć. Musieli się z tym pogodzić. Andy domyślił się prawdy z jej wyrazu twarzy, bo zanim jeszcze zdążyła odpowiedzieć, wychrypiął przez zaciśnięte gardło:

— Co właściwie się stało pod moją nieobecność, Kate?

— Joe wrócił — odparła wprost.

To powiedziało mu wszystko. Stracił Kate. Nie miał złudzeń, co czuje do niego, a co do Joego.

— A więc żyje? Jakim cudem? Był w obozie jenieckim? — dopytywał się z niedowierzaniem. Niemożliwe, że oto wrócił człowiek uważany przez dwa lata za poległego!

— Był więziony pod przybranym nazwiskiem, uciekł, został ponownie schwytany. Niemcy nie zdołali ustalić jego tożsamości. To cud, że żyje, chociaż jest ciężko ranny.

— I co w tej sytuacji z nami, Kate? A może wcale nie muszę pytać? Tak, chyba nie muszę. Szczęściarzem z niego. Nie przestałaś go kochać ani przez chwilę jego nieobecności. Zawsze o tym wiedziałem, choć liczyłem, że z czasem ci przejdzie. Nawet mi w głowie nie powstało, że możesz mieć rację i on jednak żyje. Sądziłem po prostu, że nie chcesz przyjąć do wiadomości faktu jego śmierci. Mam nadzieję, że wie, jak bardzo go kochasz.

— Myślę, że kocha mnie równie mocno — odrzekła równie cicho. Wyraz oczu Andy'ego przepełniał ją bólem. Trzymał się dzielnie, lecz nie ulegało wątpliwości, że ma złamane serce.

— Pobierzecie się?

Żałował, że nie powiedziała mu wcześniej, chociaż rozumiał jej motyw: doznałby zapewne jeszcze większego szoku, gdyby powiadomiła go o wszystkim telefonicznie. Ale myślał o niej przez całe lato, planował zaręczyny i ślub. Pierścionek zamierzał kupić zaraz po przyjeździe do Bostonu.

— Chwilowo nie. Pewno za jakiś czas. Niespecjalnie się tym przejmuję.

— Życzę ci szczęścia, Kate — powiedział wielkodusznie Andy.

— Wam obojgu. Przekaż Joemu moje gratulacje.

Zawahał się przez chwilę, gdy podała mu dłoń, ale jej nie uściśnął. Wyszedł z domu, wsiadł do auta i odjechał.

ROZDZIAŁ X

Joe wyszedł ze szpitala dwa miesiące po powrocie do kraju

— jeszcze wprawdzie o kulach i na sztywnych nogach, ale z zapewnieniem lekarzy, że już przed Bożym Narodzeniem będzie chodzić zupełnie normalnie. Tak szybka rekonwalescencja wszystkim, nawet Kate, wydawała się cudem.

Dwa dni po opuszczeniu szpitala dostał swe papiery demobilizacyjne, ale już wcześniej zdążył spędzić z Kate popołudnie w Copley Plaza. Mieszkając teraz z rodzicami, dziewczyna nie miała szans wyrwać się z domu na całą noc, Joe zaś przyjął serdeczne zaproszenie Jamisonów, by zatrzymać się u nich, chociaż traktował to jako rozwiązanie chwilowe. Jeszcze ze szpitala zadzwonił do Charlesa Lindbergha, który zaprosił go do Nowego Jorku, pragnąc przedyskutować z nim kilka interesujących pomysłów i przedstawić go pewnym osobom. Po kilkudniowym wyjeździe Joe zamierzał wrócić do Bostonu.

Kate podrzuciła go na dworzec w drodze do pracy; od jego wyjścia ze szpitala minął tydzień, był koniec września. Kapitulacja Japonii w sierpniu definitywnie zakończyła wojenny koszmar.

— Baw się dobrze w Nowym Jorku — powiedziała, całując go na pożegnanie. — Byle nie tak dobrze jak w Bostonie.

Starczyło parę dni, by nauczyła się, nie budząc rodziców, wślizgiwać do pokoju Joego; kiedy tulili się i poszeptywali w mroku, mieli wrażenie, że są dwójką nieposłusznym dzieciaków.

— Wracam za kilka dni. Zadzwonię. Tylko z laski swojej nie podrywaj pod moją nieobecność żadnych żołnierzy.

— Więc nie ociągaj się z powrotem — ostrzegła, a on pogroził jej palcem.

Kate wciąż nie mogła uwierzyć, jak wielkie dopisało jej szczęście, jak wielkie szczęście dopisało im obojgu. Joe był dla niej cudowny, przekonała się do niego nawet Elizabeth.

Kochał latanie, to prawda, ale nikt nie wątpił, że kocha również Kate, jest uczciwy i odpowiedzialny. Jamisonowie oczekiwali, że Kate i Joe zaręczą się lada chwila.

Od ostatniej rozmowy Kate nie dostała od Andy'ego żadnych wieści, przypuszczała tylko, że jest już w Nowym Jorku i pracuje u ojca. Miała nadzieję, że doszedł do siebie, a pewnego dnia jej wybaczy. Brakowało jej go na co dzień, miała wrażenie, iż straciła serdecznego przyjaciela, ale wciąż nie była przekonana, że dobry przyjaciel jest najlepszym materiałem na męża.

Machała przez szybę samochodu, kiedy Joe kusztykał w stronę dworca — dawał sobie radę zdumiewająco dobrze i był bardzo niezależny. Liczyła, że zadzwoni do niej wieczorem, telefon jednak uporczywie milczał i zaterkotał dopiero nazajutrz rano.

— Co u ciebie? — zapytała.

— Interesująco — odparł wieloznacznie. — Opowiem ci po powrocie. Teraz spieszę się na spotkanie, ale zadzwonię jeszcze wieczorem, masz moje słowo.

Tym razem dotrzymał obietnicy.

Co jednak ważniejsze, do Bostonu — ku bezgranicznej radości Kate — wrócił jeszcze przed końcem tygodnia. W dodatku przywiózł oszałamiające wieści.

Otóż ludzie, których przedstawił mu Charles, chcieli założyć firmę zajmującą się projektowaniem i budową najnowocześniejszych samolotów. Od początku wojny skupowali ziemię, akry po akry, modernizowali starą fabrykę, a nawet dysponowali własnym lotniskiem. Chcieli, by Joe nie tylko poprowadził przedsiębiorstwo, lecz również projektował i oblatywał samoloty, przynajmniej na początku. Później, kiedy spółka stanie na nogi, miał się zająć przede wszystkim zarządzaniem. Oni wykładali pieniądze, on był mózgiem przedsięwzięcia.

— To idealny układ, Kate — oświadczył Joe wniebowzięty, a promienny uśmiech ocieplił jego rzeźbione rysy. — Mam pięć-

dziesiąt procent udziałów, a jeśli spółka wejdzie na giełdę, dostanę połowę akcji. Wyobrażasz sobie coś równie korzystnego?

— Ale także pracochłonnego — uzupełniła, przyznając jednak w duchu, że to projekt skrojony na miarę ambicji i możliwości Joego.

Kiedy wieczorem Joe zrelacjonował wszystko ojcu Kate, Ciarke był pod wrażeniem. Sporo słyszał o inwestorach, uznawał ich za wysoce wiarygodnych. Taka szansa, dodał, może się Joemu nie trafić już nigdy.

— Kiedy zaczynasz? — zainteresował się.

— Już w przyszły poniedziałek muszę być w New Jersey. To nieodległe miejsce, niespełna godzinę jazdy od Nowego Jorku. Z początku pewnie będę bez przerwy uwiązany w fabryce, no i trzeba trochę przebudować lotnisko... Zobaczymy, jak to będzie.

Clarke nie skończył jeszcze gratulować Joemu, gdy — zbijając wszystkich z tropu — wtrąciła się matka Kate:

— Czy to oznacza, że będziecie musieli przyspieszyć ślub?

Zapadła cisza. Joe kątem oka zerknął na Kate, która oblała się rumieńcem i odparła zakłopotana:

— Nie wiem, mamo.

Elizabeth jednak, która wobec obojętności Joego w kwestii oświadczyń postanowiła wziąć sprawę we własne ręce, nie pozwoliła się zbyć.

— Może pozwolisz odpowiedzieć Joemu, kochanie. Otóż wszystko wskazuje na to, Joe — stwierdziła z naciskiem — że masz wreszcie nie jakieś tam dorywcze zajęcie, lecz pracę z prawdziwego zdarzenia, a więc i perspektywy. Jakie są zatem twoje zamiary wobec Kate? Wychodziła ze słusznego skądinąd założenia, że pięć lat to okres dostatecznie długi, by nie tylko prawidłowo odczytać swoje intencje, lecz również je wyrazić.

— Nie wiem, pani Jamison. Jeszcześmy o nich z Kate nie dyskutowali — odparł, unikając wzroku tak Kate, jak jej matki. Czuł się, mimo miłości do Kate, zapędzony w ślepy zaułek, a Elizabeth traktowała go w tej chwili jak nieodpowiedzialne zepsute dziecko, nie zaś mężczyznę godnego szacunku.

— Sugeruję, żebyś się nad tym zastanowił. Omal nie umarła z rozpaczy, kiedy cię zestrzelono, zasługuje więc moim zdaniem na

jakiś gest z twojej strony za swą odwagę i lojalność. Długo na ciebie czekała, Joe.

W duszy Joego wyrzutom sumienia towarzyszył narastający gniew i chęć ucieczki.

— Wiem — odparł spokojnie. — Po prostu nie zdawałem sobie sprawy, że małżeństwo jest dla niej tak ważne.

— Może małżeństwo nie jest dla niej ważne... — Elizabeth zawiesiła głos, obserwowana ze zdumieniem przez Clarke'a, który dochodził do wniosku, że gdyby nawet zdecydował się poruszyć ten delikatny temat, uczyniłby to nieporównanie oględniej — . . . ale być powinno. I może najwyższy już czas, żeby uświadomić to wam obojgu. Może nadeszła stosowna chwila, by ogłosić wasze zaręczyny.

Joe nie lubił, gdy go przyciskano do muru, chociaż doskonale rozumiał punkt widzenia rodziców Kate. Nie wątpił w swą miłość, lecz zarazem nie miał zamiaru ulegać presji: jego wolność była czymś, co mógłby oddać po dobroci, ale w żadnym wypadku nie pozwoliłby sobie odebrać. Wciąż mocno ją trzymał w garści.

— Za pozwoleniem, pani Jamison, wolałbym poczekać z zaręczynami, dopóki nie poczuję się pewnie w nowej pracy i nie pchnę całego przedsięwzięcia na właściwe tory. To trochę potrwa, ale dopiero wtedy będę miał coś konkretnego do zaoferowania państwu córce. Moglibyśmy zamieszkać w Nowym Jorku, codzienne dojazdy do New Jersey nie stanowiłyby dla mnie żadnego problemu.

Snuł plany, chociaż nie podjął jeszcze pracy. Nie uszedł uwagi Kate wyraz paniki w jego oczach: pojęła, że nie dojrzał na razie do małżeństwa, że ma ochotę uciec. Joe nie należał do mężczyzn, których wbrew ich woli można uwięzić w klatce.

— Brzmi to rozsądnie — wtrącił Ciarke, dając przy tym żonie dyskretny znak, żeby zakończyła wreszcie tę rozmowę przypominającą przesłuchanie przed trybunałem Inkwizycji. Elizabeth powiedziała, co miała do powiedzenia, wszyscy zrozumieli ją właściwie. A Joe naprawdę miał trochę racji... Podjął olbrzymie wyzwanie i lepiej, żeby przed ewentualnym ślubem stanął na nogi.

Rozeszli się chwilę później.

Kate parskła ze złości, kiedy nocą wśliznęła się do sypialni Joego.

— To nie do wiary, że matka zachowała się przy kolacji tak skandalicznie — powiedziała. — Przepraszam. Ojciec powinien był ją powstrzymać.

Gniew Kate pozwolił Joemu okazać wielkoduszność.

— Nie ma sprawy, kochanie. Kochają cię, chcą więc mieć pewność, że dam ci szczęście i że w ogóle jestem poważnym facetem. Postąpiłbym tak samo, gdybyś była moją córką. Po prostu dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jakie to dla nich ważne. A dla ciebie?

— zapytał, tuląc ją i całując, znacznie mniej podenerwowany niż podczas rozmowy z Elizabeth.

— Niezbyt. A ty jesteś zbyt wyrozumiały. To chyba naprawdę było niesmaczne. Wybacz.

— Niepotrzebnie przepraszasz. I zapewniam, że moje intencje są uczciwe, panno Jamison, chociaż jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pozwolę sobie panią wykorzystać.

Zachichotała, gdy ściągnął z niej koszulę nocną; w tej chwili myślała o wszystkim prócz małżeństwa. Pragnęła miłości, nie smyczy.

Scena w pokoju jej rodziców była znacznie mniej romantyczna, Ciarke bowiem gromił Elizabeth za to, że wzięła byka za rogi.

— Nie rozumiem, dlaczego się denerwujesz — replikowała Elizabeth. — Ktoś go wreszcie musiał zapytać, a ty nie uczyniłeś tego pod żadnym pozorem.

Znał ten oskarżycielski ton, uodpornił się na niego przez lata małżeństwa.

— Biedny chłopiec ledwie wrócił z grona martwych, daj mu szansę ponownie stanąć na nogi, Liz. Przypierasz go do muru za wcześnie.

Ale mając poczucie misji, nie pozwoliła zbić się z pantałyku.

— To nie jest żaden chłopiec, Clarke. To trzydziestoczteroletni mężczyzna, który od dwóch miesięcy widując Kate codziennie, miał aż nadto okazji, żeby się oświadczyć, a jednak tego nie zrobił.

— Rozumiem i szanuję jego argument, że najpierw chce się rozejrzeć w nowej pracy.

— Przykro mi, ale nie podzielałam twojej niewzruszonej pewności, że zachowa się przyzwoicie. Jestem pewna, że zapomni o ślubie, ledwie wsiądzie do tego swojego samolotu. Iyia obsesję na punkcie latania, bardzo natomiast letni stosunek do małżeństwa. Nie chcę, żeby Kate czekała na niego w nieskończoność.

— Pójdę o zakład, że nie minie rok, a będą małżeństwem — stwierdził z wielką pewnością siebie Ciarke.

Elizabeth spiorunowała go spojrzeniem, jakby to on ponosił winę za opieszałość Joego.

— Przegrana w takim zakładzie sprawiłaby mi niezmierną przyjemność — odparła. Ciarke uśmiechnął się pod nosem. Przypominała lwicę broniącą małych i budziła tym jego szacunek. Odczucia Joego, które Ciarke doskonale rozumiał i w pewnym sensie podzielał, były zapewne zupełnie inne.

— Dlaczego mu nie ufasz, Liz? — zapytał, kiedy kładli się do łóżka. Bo wiedział, że nie ufa, mówiła o tym wprost, powtarzając wielokrotnie, że znacznie lepszym kandydatem na męża Kate byłby Andy.

— Tacy mężczyźni jak Joe się nie żenią, a jeśli nawet, to partaczą małżeństwo. Nie wiedza, na czym polega, jest czymś, czemu poświęcają krótkie chwile, kiedy nie mają pod ręką ani swoich zabawek, ani kumpu. To nie są w sumie źli faceci, ale kobiety nie mają w ich życiu pierwszorzędneho znaczenia. Bardzo lubię Joego, jest uczciwy, na pewno kocha Kate, nie jestem jednak pewna, czy potrafi ofiarować naszej córce dostatecznie wiele uwagi. Całą resztę życia spędzi przy samolotach, zwłaszcza teraz, kiedy mu jeszcze za to płacą. Jeśli odniesie sukces, nigdy jej nie poślubi.

— A ja myślę, że poślubi — upierał się Ciarke. — I przynajmniej będzie miał ją za co utrzymać. W istocie może nawet dojść do wielkiej fortuny. Nie sądzę, byś miała rację, Liz. Uważam, że zdoła pogodzić małżeństwo z karierą. To bystry gość, może nawet wybitny, a jeśli chodzi o pilotowanie, wręcz genialny. Po prostu musi od czasu do czasu zstąpić na ziemię i dać Kate odrobinę szczęścia. Kochają się, to wystarczy.

— Czasem jednak nie — powiedziała ze smutkiem — choć mam nadzieję, że w ich wypadku wystarczy. Wiele przeszli, zasługują na prawdziwe szczęście. Po prostu pragnę ujrzeć Kate w związku z mężczyzną, który ją kocha... w pięknym domu... z dziećmi.

— Będzie miała to wszystko. Joc za nią szaleje — zapewnił Ciarke.

— Miejmy nadzieję — westchnęła, zwijając się w kłębek przy boku męża. Chciała, by Kate była równie szczęśliwa jak ona. Tyle że trudno było o mężczyzn takich jak Ciarke Jamison. W innym pokoju spełniona, szczęśliwa Kate zasypiała powoli w ramionach Joego.

— Kocham cię — wyszeptala.

— Ja też cię kocham, najdroższa — odparł. — Kocham nawet twoją matkę. Zachichotała, ale już po chwili zapadła w kamienny sen. Joe dołączył do niej w okamgnieniu. Liz i Clarke również spali. Para kochanków i para małżeńska... Trudno powiedzieć, która była w tej chwili szczęśliwsza.

ROZDZIAŁ XI

Wyjeżdżając do New Jersey, Joe obiecał Kate, że zaprosi ją na weekend, kiedy tylko się jakoś urządzi; z początku zakładał, że będzie potrzebować na to paru

tygodni, okazało się jednak, iż mieszkanie znalazł dopiero po miesiącu. Kate zresztą miałyby zamieszkać nie u niego, lecz w hotelu, z którego sam korzystał przez ów miesiąc.

Ale po prostu nie miał dla niej czasu — pracował po dwadzieścia cztery godziny na dobę, również w weekendy, często wcale nie wracał do domu, lecz chwycił kilka kwadransów snu na kanapie w swoim biurze. Każda wolną chwilę wypełniało mu kompletowanie załogi, przebudowa lotniska i wyposażanie fabryki, która pomyślana jako przedsiębiorstwo wysoce nowatorskie, budziła coraz większe zainteresowanie branży lotniczej i stała się tematem kilku publikacji prasowych.

Tak więc Kate przyjechała do New Jersey dopiero po sześciu tygodniach. Joe sprawiał wrażenie wyczerpanego, niemniej o swoim przedsięwzięciu opowiadał z zaraźliwym entuzjazmem, stwierdzając równocześnie z satysfakcją, że Kate chwyta w lot nawet najbardziej skomplikowane wyjaśnienia. Weekend upłynął im cudownie, bo chociaż praktycznie cały czas tkwili w fabryce, zdołali wygospodarować nieco czasu, żeby odbyć kilka krótkich lotów nowiutkim samolotem projektu Joego. Kiedy wróciwszy do Bostonu, Kate zrelacjonowała wszystko ojcu, Ciarke był niezwykle podekscytowany i stwierdził, że oto Joe tworzy historię awiacji.

Dwa tygodnie później Joe przyjechał do Bostonu, żeby spędzić z Jamisonami Święto Dziękczynienia, ponieważ jednak miał w fabryce jakieś problemy, musiał wracać już w piątek rano: dźwigał na swoich barkach brzemię olbrzymiej odpowiedzialności, a chociaż doskonale dawał sobie radę, brakło mu czasu nie tylko na osobiste spotkania z Kate, lecz również na telefony do niej z jakąś przewidywalną regularnością. Tak więc mimo całego swojego entuzjazmu wobec pracy Joego Kate zaczynała sarkać, w ciągu trzech miesięcy bowiem widzieli się tylko dwukrotnie. Doskwierała jej samotność. A Joe, chociaż dręczony wyrzutami sumienia, nie mógł wiele zrobić. Kate dochodziła także do wniosku, że Elizabeth ma chyba jednak rację w sprawie małżeństwa, bo przecież gdyby się pobrali, byłaby z Joem, nie zaś wiele mil od niego. Gdy podzieliła się z nim swoimi przemyśleniami, kiedy zjechał na Boże Narodzenie, zdziwiony uniósł brew.

— Teraz? Spędzam w domu najwyżej pięć godzin na dobę, Kate

— powiedział. — Cóż by to było za życie rodzinne? A chwilowo nie mogę jeszcze się przenieść do Nowego Jorku.

— No więc zamieszkamy w New Jersey. Przynajmniej będziemy razem — zareplikowała trzeźwo Kate. Miała dość życia pod skrzydłami rodziców, a nie chciała wynajmować dla siebie mieszkania w Bostonie, bo byłoby to siłą rzeczy rozwiązanie prowizoryczne. Często nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, że prowadzi życie na niby, czekając, aż Joe postawi na nogi swoją firmę. Joe natomiast dopiero zaczynał zdawać sobie sprawę, iż mierzy się z przedsięwzięciem gigantycznym:

po trzech miesiącach usilnej pracy w wymiarze co najmniej stu dwudziestu godzin tygodniowo wciąż jeszcze nie mógł zamknąć etapu wstępnego.

— Sądzę, że ślub w tej chwili byłby przedwczesny — stwierdził, kiedy w wigilię Bożego Narodzenia zakradł się do sypialni Kate, którą zresztą ta „partyzantka” zaczynała irytować. Większość jej przyjaciółek i koleżanek powychodziła za mąż przed wojną, w czasie wojny lub tuż po niej. Sporo doczekało się potomstwa. A ona wciąż tkwiła w rodzinnym domu jak mała dziewczynka. — Więc daj mi jeszcze trochę czasu. Poszukamy sobie mieszkania w Nowym Jorku i weźmiemy ślub, masz moje słowo.

Rok temu siedział w twierdzy, torturowany przez Niemców; teraz stał na czele firmy, której rokowano sukces i błyskawiczny rozwój.

Sprawy toczyły się tak szybko, że Joe nadal nie potrafił uładzić się ze swoimi zamierzeniami i pragnieniami. Poza tym żywił szczere przekonanie, iż w tej chwili mógłby dać Kate zbyt mało — a chciał potraktować ją jak najlepiej.

Podczas świąt udało mu się spędzić w Bostonie całe trzy dni. Trochę latał z Kate samolotem, poza tym na cały dzień zabrał ją do hotelu, dzięki czemu jej samopoczucie uległo pewnej poprawie. Może, uznała, Joe ma jednak rację, może lepiej poczekać, aż sprawy w fabryce pobiegną wytyczonym torem. Tymczasem, ponieważ w Czerwonym Krzyżu było coraz mniej zajęć, postanowiła się rozejrzeć za pracą i znalazła coś odpowiedniego tuż po Nowym Roku, który spędziła z bem w Bostonie. Wtedy Zresztą znów dotarło do niej z pełną mocą, jak wielkie dopisało im szczęście. Zaledwie przecież rok temu wyplakiwała za Joem czy i oddałaby wszystko za to, co w tej chwili fundował im los. Może zbyt oszczędnie, ale przecież pójdzie ku lepszemu, kiedy tylko się pobiorą.

Styczeń był trudny dla obojga: Kate wdrażała się do pracy w galerii sztuki, Joe wszedł w tak poważny konflikt ze związkami zawodowymi, że wojując z nimi jeszcze przez cały luty, na śmierć zapomniał o dniu świętego Walentego. Poza tym odmówiono mu odbioru technicznego lotniska, tak że przez trzy dni niestrudzenie przekupywał, naciskał i obłaskawiał urzędasów, żeby uzyskać zezwolenie tak krytycznie ważne dla funkcjonowania powstającego przedsiębiorstwa. O walentynkach więc dowiedział się dwa dni później z telefonu zapłakanej Kate. Solennie obiecał, że się zrehabilituje, i zaproponował, by przyjechała do niego na weekend.

Znów bawili się fantastycznie: Kate pomagała mu organizować biuro, on zaś zdołał ją nawet zabrać na kolację, poza tym nocował z nią w hotelu. Gdy zasugerowała, że mogłaby przyjeżdżać na każdy weekend, uznał pomysł za dobry; tęsknił za Kate, czuł się samotny i miał wyrzuty sumienia, że może jej poświęcać tak niewiele czasu, pochłanianego bezlitośnie przez funkcję szefa przedsiębiorstwa. Jak na ironię jednak, im większe poczucie winy dręczyło Joego, tym trudniej było mu spotkać się z Kate choćby na kilka godzin. W końcu dwadzieścia dni później zdesperowany pozwolił jej przyjechać na cały tydzień — i stwierdził z zaskoczeniem, że jego biuro nagle zaczęło

działać znacznie sprawniej. Choć w ciągu dnia widywali się tylko w przelocie, Kate była bezgranicznie szczęśliwa, bo spędzali razem noce, a rankami wspólnie jadali śniadania w kawiarni. Resztę posiłków Joego stanowiły szybkie przekąski przy biurku albo w biegu; ostatni raz był w restauracji w trakcie poprzedniej wizyty Kate. Potem żałował, że stracił aż tyle bezcennego czasu. Czuł się jak człowiek ciągnięty w tysiąc kierunków jednocześnie; w pewnym sensie zresztą tak właśnie było.

Sprawy zaczęły się powoli układać gdzieś w maju — Kate zrezygnowała z posady w galerii i przyjechała do New Jersey, żeby bez reszty poświęcić się pracy dla Joego. Miała wprawdzie pokój w hotelu, lecz tylko dla zachowania pozorów, praktycznie bowiem mieszkała z Joem. Nigdy w życiu nie była szczęśliwsza, a i Joemu ten układ idealnie odpowiadał. Kręcili nosem tylko Jamisonowie, tłumaczyli sobie jednak, że Kare jest już dwudziestotrzyletnią kobietą i że przebywając w New Jersey, mieszka w hotelu.

Od powrotu Joego do kraju mijał rok i wciąż nie było mowy o zaręczynach, nic więc dziwnego, że kiedy wziął sobie wreszcie tydzień urlopu i wraz z Kate pojechał na Cape, Clarke uznał, że najwyższy czas poruszyć drażliwy temat. Elizabeth podejrzewała już, jaki charakter przybrał związek Joego i Kate, bez ogródek wyrażała swą dezaprobatę i w nieskończoność zadawała sobie dwa pytania: „Co się stanie, jeśli Kate zajdzie w ciążę?” i „Czy Joe ją wtedy poślubi?” Parskała gniewnie na sam widok Joego, który w jej obecności doznawał jeszcze większej niż kiedyś pokusy, by umknąć jak przyłapano na gorącym uczynku niegrzeczne dziecko. Kate zaś była rozdarta pomiędzy Joem a rodzicami.

Clarke w owym czasie nie kwestionował już zasadności obaw Zastrzeżeń żony.

Joe przyleciał z New Jersey nowoczesnym samolotem wyprodukowanym przez jego firmę, która zaczynała przynosić wielkie pieniądze, a swego młodego szefa czynić bardzo zamożnym człowiekiem, kimś, kto na pozór w niczym nie przypominał ciężko rannego weterana Znoszonego zaledwie rok temu po trapieniu statku szpitalnego cumującego w

bostońskjm porcie. Tym razem Joe zabrał Clarke'a na wycieczkę powietrzną, przy czym uzgodnili obaj, że ani słowem nie wspomną o tym Liz. Bo ta wybuchnęła gniewem jak granat, gdy Kate wygadała się pewnego razu, że nie tylko latała z Joem, lecz również uczyła się od niego pilotażu. Dla Liz nie miała znaczenia fama, jaką cieszył się Joe, nie liczyły się jego wojenne wyczyny: była pewna, że któregoś dnia zabije siebie i Kate. Która, nawiasem mówiąc, doskonale dawała już sobie radę za sterami samolotu, chociaż nadmiar zajęć nie pozwolił jej dotąd wystąpić o licencję pilota.

Clarke był pod ogromnym wrażeniem nowego samolotu Joego, ale gdy tego upalnego lipcowego dnia wracając do domu z lotniska zatrzymali się w przydrożnej karczynie na piwo, dał wyraz nie tylko swojemu zachwytowi, na sercu bowiem mocno leżały mu szczęście córki i spokój ducha żony.

— Pracujesz zbyt ciężko, synu — zaczął. — A żyjąc w takim tempie, możesz popełnić błędy, które na dłuższą metę będą cię kosztować bardzo drogo.

Joe zorientował się natychmiast, że Ciarke ma na myśli Kate, całkowicie jednak przekonany, że Ciarke stoi po jego stronie, a jedynym źródłem hysterii jest Elizabeth, pewny siebie odparł ze spokojem:

— Wszystko się ułoży, Ciarke, firma jest jeszcze młoda.

— Ty też, ale to nie potrwa wiecznie. Powinieneś zacząć się cieszyć życiem.

— Ależ cieszę się. Uwielbiam to, co robię.

Clarke nie wątpił, lecz nie wątpił również w miłość Joego do Kate i dlatego zdecydował się złamać teraz przyrzeczenie, które złożył Liz wiele lat temu, iż nie będzie rozmawiał z nikim o samobójczej śmierci Johna Barretta, a nawet o tym, że on sam nie jest biologicznym ojcem Kate. Liz wierzyła, że dzięki temu wydarzenia przeszłości, a zwłaszcza samobójstwo Johna, nie będą przez całe życie Kate wisieć nad jej głową jak czarna chmura, Clarke jednak podejrzewał, że jest inaczej. Wydarzenia te, dochodził do wniosku, w znacznym stopniu ukształtowały Kate i dlatego nie można ich ignorować. Jeśli Joe dowie się o nich, uznał, być może przejrzy na oczy i zobaczy Kate w innym świetle, a wreszcie właściwie oceni jej potrzeby.

— Sądzę, że powinieneś dowiedzieć się czegoś o Kate — powiedział, kiedy po drugiej kolejce piwa przerzucili się na dżin. Nie miał złudzeń, jak powita ich Liz, jeśli podchmieleni wrócą do domu, ale

zupełnie się tym nie przejmował: podjął już decyzję, że wtajemniczy Joego, teraz musiał zebrać się na odwagę, żeby przejść do rzeczy.

— Brzmi to tajemniczo — stwierdził szeroko uśmiechnięty Joe. Lubił Clarke'a, poza tym zaś przez całe życie czuł się najswobodniej w towarzystwie mężczyzn. Na dobrą sprawę jedynie Kate budziła w nim potrzebę otwartości, choć równocześnie chwilami przejmowała go lękiem — zwłaszcza gdy dawała się ponieść najsilniejszym emocjom, co na szczęście zdarzało się rzadko. Nigdy jej o tym nie mówił, nigdy nie próbował wyjaśniać swoich lęków, bo sądził, że osłabi w ten sposób własną pozycję. Niemniej każde słowo krytyki z jej strony, każdy nacisk sprawiał, że się jeżył i zamykał w sobie.

— Bo to jest tajemnicze — przyznał Clarke. — No, może nie tyle tajemnicze, ile mroczne. I nie chcę, podkreślam z całym naciskiem, aby o naszej rozmowie dowiedziała się Liz lub Kate. Mimo drugiej kolejki dżinu Clarke ciągle był spięty, Joe zaś wyraźnie się rozluźniał. Alkohol zdejmował zeń zwykle część napięcia.

— Jaka więc jest ta mroczna tajemnica? — zapytał z chłopięcym uśmiechem, dochodząc do wniosku, że darzy Clarke'a coraz większą sympatią.

— Nie jestem jej ojcem, Joe — odparł cicho Clarke, z którego głowy wyparował nagle cały wypity alkohol.

Z twarzy Joego natomiast znikł nagle uśmiech.

— Co ty mówisz? Przecież to bez sensu.

— Jesteśmy z Liz od czternastu lat, ale była zamężna już wcześniej, przez trzynaście. Przyjaźniłem się z jej mężem, był dobrym sympatycznym człowiekiem, z doskonałej rodziny. Johna... tak miał na imię... poznałem przez jego brata, z którym chodziłem do szkoły. Otóż pierwszy mąż Liz stracił wszystko podczas krachu giełdowego w 1929 roku: pieniądze swoje, swojej rodziny, inwestorów. Na szczęście majątkiem Liz, przynajmniej większą częścią, zarządzali jej krewni, a że widać zarządzali ostrożniej, samej Liz kryzys prawie nie dotknął. Ale John stracił wszystko. I przyplącił to strasliwym załamaniem, bo był człowiekiem prawdziwie honorowym. Przez dwa lata, siedząc samotnie w swoim pokoju, usiłował zapić się na śmierć, a gdy nie zdołał, zastrzelił się w 1931 roku. Kate miała wtedy osiem lat.

— Była w pobliżu? Widziała, jak to robi? — zapytał ze zgrozą Joe.

— Nie, dzięki Bogu. Była w szkole, a Johna znalazła Liz. Ale Kate dowiedziała się, jak zginął ojciec. Znałem Johna i Liz bardzo długo, Kate zaś od chwili narodzin, robiłem więc wszystko, żeby im pomóc... bez żadnych ubocznych motywów. Z czasem jednak coś zaiskrzyło pomiędzy mną a Liz, bo musisz wiedzieć, sam owdowiałem kilka lat wcześniej. Chociaż czasem myślę, że pokochałem Kate, zanim jeszcze zakochałem się w Liz. Była wtedy przerażoną, zrozpaczoną dziewczynką, obawiałem się, że po śmierci ojca już nigdy nie dojdzie do siebie. Po roku ożeniłem się z Liz, a po dwóch adoptowałem dziesięcioletnią wtedy Kate, potrzebowałem jednak kolejnych dwóch lat, żeby wyprowadzić ją na światło dzienne zmroku, w którym ukryła się po samobójstwie Johna. Lecz jak przypuszczam, na wyzwolenie się z nieufności do ludzi, w szczególności do mężczyzn, ona sama potrzebowała jeszcze wielu następnych. Liz uwielbiała małą, ale chyba, zwłaszcza że i dla niej śmierć Johna była strasliwym szokiem, nie bardzo wiedziała, jak do niej dotrzeć. Był taki okropny moment tuż po naszym ślubie, kiedy Liz zachorowała... ot, po prostu ciężka grypa, ale Kate ogarnęła panika, bezgraniczne przerażenie, że może stracić również matkę. Nie jestem pewien, czy Liz zdawała sobie z tego sprawę. Tak czy inaczej Kate potrzebowała kilkunastu lat, żeby stać się tym, kim jest w tej chwili: silną, pewną siebie, dowcipną i pełną życia młodą kobietą. Tak, Joe, Kate, którą kochasz, była kiedyś, i to przez bardzo długi czas, przerażoną, zgaszoną dziewczynką. Myślę, że później prześladował ją przewlekły strach, iż odejdę od niej tak samo jak John. Biedny sukinsyn, nic nie mógł poradzić, brakło mu ikry, żeby się ze wszystkim uporać. Bankructwo pozbawiło go wszelkiego szacunku do siebie, męskości, dumy. Ale mało brakowało, żeby popełniając samobójstwo zniszczył również Kate.

— Dlaczego mi to wszystko opowiadasz? — z pewną podejrzliwością w głosie zapytał Joe. Bo to bardzo ważne dla zrozumienia Kate. Kochała ojca, a on ją wręcz czcił. Potem pokochała mnie. Teraz ciebie. Poszedłeś na wojnę i przez dwa lata sądziła, że zginąłeś. Tragedia dla każdej dziewczyny, prawda, ale dla Kate coś znacznie głębszego, bo oto pootwieraly się wszystkie jej zabliznione już rany. Czytałem to w jej oczach codzien nie. Dzięki Bogu, że zdołała przedtem okrzepnąć, bo inaczej nie byłoby dla niej żadnego ratunku. W końcu stał się cud i wróciłeś, tym razem los okazał się dla niej łaskawy, ale... ale w duszy Kate jest punkt szczególnie wrażliwy na zranienia i kochając ją, koniecznie musisz o nim wiedzieć. Ilekroć więc odchodzisz od niej, odpychasz ją, w jakikolwiek sposób sprawiasz, że czuje się porzucona, przypominasz jej o wszystkim, co utraciła w życiu. Jest jak ranna łania wymagająca szczególnie delikatnego podejścia: jeśli będziesz dla niej dobry, Joe, odplaci ci z nawiązką. Tylko musisz zawsze pamiętać o tym wrażliwym punkcie w jej duszy. Kate to ptak ze złamanym skrzydłem, choć ty może sądzisz, że potrafi wspaniale latać. To zresztą prawda, potrafi, ale tylko dla ciebie. Zaleci dla ciebie dalej niż jakikolwiek inny ptak. Tylko jej nie spłosz, a z pewnością nie uczynisz tego wiedząc, co przeszła.

Joe długo siedział w milczeniu, trawiając słowa Clarke'a, dawkę rzeczywistości aż nazbyt solidną jak na letnie popołudnie i pogawędkę przy dżinie. Ale Clarke miał rację, jego opowieść wyjaśniała wiele, w szczególności coś na kształt paniki dostrzeganej czy

wyczuwanej przez Joego u Kate, kiedy miał gdzieś wyjechać albo gdy dłuższy czas się nie widzieli.

— Co mi właściwie chcesz powiedzieć, Clarke? — zapytał Joe, dodając w myślach: „i dlaczego?”

— Sądzę, że powinieneś się z nią ożenić, Joe. Zresztą nie z powodów istotnych dla Liz, której w głowie tylko pompa, ludzkie opinie, wielkie przyjęcie i biała suknia z welonem. Ja chcę mieć pewność, że ona trafi w dobre ręce i będzie miała bezpieczny dom. Ojciec zabrał Kate coś, czego nie zwróci jej żaden z nas, ty jednak masz szansę sprawić, że ta strata przestanie mieć znaczenie. Chcę, żeby się czuła bezpieczna, żeby miała pewność, iż przy niej zostaniesz. Nie miał ochotę wrzasnąć: „A ja?!” Małżeństwo było czymś, co budziło w nim największe przerażenie. Smyczą. Klatką. Pułapką. Kochał Katę; ale małżeństwa obawiał się bardziej, niż Clarke mógł przypuszczać.

— Nie wiem, czy to możliwe — odparł bez ogródek, dodając sobie kurazu szklaneczką dżinu.

— Dlaczego?

— Bo małżeństwo przywodzi mi na myśl pułapkę, stryczek zaciskający się na mojej szyi. Po śmierci rodziców trafiłem do krewnych, którzy mnie nie znosili i traktowali parszywie. Odtąd małżeństwo, a więc rodzina, czyli forma zniewolenia, jest w mojej wyobraźni symbolem czegoś, przed czym należy uciekać gdzie pieprz rośnie.

— Kate będzie dla ciebie dobra, Joe. Znam ją doskonale. To wspaniała dziewczyna i kocha cię nad życie.

— To mnie też napawa lękiem — wyznał Joe. — Nie chcę być kochany aż tak mocno. — Urwał, a Clarke dostrzegł, że istotnie z oczu Joego widać najprawdziwszy strach, może nawet przerażenie.

— Nie jestem pewien, czy potrafię odplacić miłością, jakiej potrzebuje i pragnie. Nie chcę jej rozczarować, Clarke, ani nadwerżyć jej zaufania. Wykończyłyby mnie wyrzuty sumienia, gdybym zawiódł w jakikolwiek sposób. Zbyt kocham Kate, żeby zrobić jej coś takiego.

— Wszyscy zawadzimy w pewnych momentach. Uczymy się na swoich błędach. Wy będziecie się uczyć wzajemnie, jeśli nawet niektóre lekcje sprawią wam ból. Miłość leczy rany... Miłość Liz uleczyła wiele moich. Będziesz kiedyś bardzo samotny, Joe, jeśli nie pozwolisz się kochać. A samotność to wygórowana cena za ucieczkę.

— Może — burknął nonszalancko Joe, wbijając wzrok w szklaneczkę.

— Jesteście sobie potrzebni, Joe. Ona potrzebuje twojej siły, pewności, że od niej nie odejdziesz i że kochasz ją dostatecznie mocno, by pojąć za żonę. Ty potrzebujesz oparcia, jakie może ci zapewnić, potrzebujesz jej ciepła. Bo samotność wionie chłodem, Joe, samotność to lodowa pustynia. Długo po niej błądziłem, kiedy zmarła moja pierwsza żona. Smutne jest takie błądzenie, uwierz. A Kate, jeśli jej na to pozwolisz, nie da ci się pograżyć w smutku. Czasem doprowadzi cię do szewskiej pasji, ale nigdy nie zrani. Czasem śmiertelnie cię wystraszy, ale nigdy nie złamie, bo jesteś na to za silny, znacznie silniejszy, niż przypuszczasz. Dawno przestałeś być dzieciakiem, nad którym bezkarnie mogli znęcać się krewni. Już ich nie ma, ty stałeś się mężczyzną. Nie pozwól, by duchy marnowały ci życie.

— Niby po co miałbym się fatygować? — zapytał cynicznie Joe.

— Jakoś dotąd nie zmarnowały i zaryzykowałbym twierdzenie, że moje życie jest w porządku.

— Do tego właśnie zmierzam. Twoje życie z Kate będzie znacznie lepsze. Pożałujesz gorzko, jeśli stracisz ją pewnego dnia. A to zupełnie możliwe. Kobiety to dziwne stworzenia, odchodzą od nas, kiedy najmniej się tego spodziewamy. Przy odrobinie wysiłku ze swej strony doprowadzisz do tego każdą. Ale Kate nie odejdzie, jeśli jej nie zmusisz, bo zbyt mocno cię kocha. Chwytaj ją więc, póki możesz, dla dobra was obojga. Zaufaj mi, synu, was obojga. Pozwól jej wydorosnąć, a stanie się najwspanialszą kobietą, o jakiej mógłbyś marzyć. Teraz żyje w nieustannym lęku, że to ty uciekniesz od niej wcześniej czy później.

— Wcale nie wykluczam takiej możliwości — odparł Joe, patrząc Clarke'owi prosto w oczy.

— Mam nadzieję, że jednak ją wykluczysz. A jeśli nawet nie wykluczysz i z niej skorzystasz, okażesz się na tyle mężczyzną żeby wrócić do Kate i dać jej kolejną szansę. Łączy was coś wyjątkowego... Nie oderwiesz się od Kate, cokolwiek zrobisz, obojętne, jak daleko umkniesz. I na odwrót. Widzę to zarówno w twoich, jak i w jej oczach. Jeśli uciekniesz, przegracie oboje. Taka miłość jak wasza bywa tylko na całe życie bez względu na to, czy będziecie ze sobą czy nie.

Mimo swych lęków Joe doznał wrażenia, że Clarke ma rację.

— Zastanowię się nad tym — odrzekł cicho.

Clarke skinął głową. Nic więcej nie miał do powiedzenia, powtórzył więc tylko:

— Ona jeszcze musi trochę wydorosnąć. Daj jej szansę, Joe.

— A po krótkiej pauzie dodał: — I nie wygadaj się, że mówiłem ci o jej ojcu. Myślę, że wciąż jeszcze ta historia wywołuje w niej uczucie wstydu, ale pewnego razu sama ci ją opowie.

— Cieszę się, że już ją znam — stwierdził Joe, choć zdawał sobie sprawę, jak bał się komplikować to jego sytuację. Clarke miał słuszość:

łączyło ich uczucie tak wyjątkowe, że łatwo było uwierzyć, iż nie powtórzy się w życiu ani jednego z nich, ani drugiego, lecz zarazem dzieliła diametralna odmienność zamiarów i pragnień, gdy bowiem Kate pragnęła niewzruszonego stałego związku, nie przestawała marzyć o ucieczce i wolności. Przypominało to przeciąganie liny. Joe

czuł niekiedy, że gdyby oboje przestali w tym samym momencie ciągnąć z dotychczasową determinacją i siłą, wszystko pomiędzy nimi mogłoby się jakoś ułożyć, teraz jednak, po opowieści Clarke'a, wątpił, czy ze strony Kate takie ustępstwo jest możliwe. Czy zresztą możliwe było również z jego strony? Poza tym opanowanie kroków wspólnego tańca wymagało czasu... Ale mieli ten czas, byli młodzi. Istotne

— Clarke nie powiedział tego wprost, lecz Joe doskonale zrozumiał jego niepokój — czy okażą się dostatecznie mądrzy, aby wytrwać ze sobą aż do momentu, gdy ów taniec przestanie przypominać zapasy.

Kiedy ruszali w drogę powrotną do domu, prowadzący auto Joe był trochę podchmielony, Clarke zaś, czego zresztą nie usiłował ukryć, zupełnie pijany. Liz zauważyła to natychmiast, nie powiedziała jednak nic, udobruchana zapewne zachowaniem Clarke'a, który niezwykle serdecznie ją wyściskał. Joe westchnął z ulgą, że nie spotkała ich burza, a Liz, zamiast sarkać, przyniosła im po filiżance gorącej kawy. Clarke przyjął swoją z wyrazem ubolewania na twarzy, oświadczył, że szkoda mu psuć stan tak przyjemnego opilstwa, i puścił do Joe'go oko. Wtedy Joe zrozumiał, że tego popołudnia połączyła go z Clarkiem prawdziwa męska przyjaźń, która z jego strony będzie trwać, nawet gdyby rozstał się z Kate.

Kiedy podczas wieczornego spaceru plażą Joe objął i pocałował Kate, ta stwierdziła z zaskoczeniem, że w jego oczach maluje się wyraz niespotykanej dotąd czułości. Nie mogła wiedzieć, że popołudniowa rozmowa Joe'go z jej ojcem subtelnie, lecz znacząco odmieniła sposób, w jaki postrzegał ją Joe. Wciąż bał się pełnego zaangażowania, ale jednocześnie zapragnął bronić Kate nie tylko przed światem, lecz również przed nią samą. Teraz wyczuwał w niej samotną dziewczynkę, której ojciec popełnił samobójstwo, młodego ptaka ze złamanym skrzydłem. I w jakiś sposób pokochał ją jeszcze mocniej. Dla reszty świata mogła być silnym ptakiem zdolnym do samodzielnych wysokich lotów, dla niego — była samotnym wystraszonym dzieckiem, takim jak on kiedyś. Odnaleźli się za sprawą losu czy przeznaczenia, które może już dawno temu zapisało im w wielkiej księdze ludzkich dróg wspólne życie. Oczarowała go od pierwszej chwili... Pewnie tak właśnie miało być.

— Ależ upiłeś dzisiaj tatę — powiedziała ze śmiechem, kiedy trzymając się za ręce ruszyli plażą.

— Należała się nam chwila relaksu — odparł, zadając sobie w duchu pytanie, czy pewnego dnia Kate stanie się podobna do swojej matki i co wówczas taka przemiana będzie oznaczać dla niego. Zbagatelizował jednak swe lęki, które wobec tego wszystkiego, co mądrze wyjawiał

mu Clarke, wydawały się błahe. — Sądzę, że niebawem powinniśmy pomyśleć o ślubie — dodał obojętnym tonem.

Kate stanęła jak wryta.

— Wciąż ci szumi w głowie? — zapytała.

— Trochę. Ale niby czemu nie, Kate? W końcu może się nam jakoś ułożyć.

Powiedział to bez całkowitego przekonania, mimo wszystko — po raz pierwszy w swym trzydziestopięcioletnim życiu — powiedział.

— Skąd ta nagła decyzja? Tata przyparł cię dzisiaj do muru?

— Nie, napomknął tylko, że jeśli nie zmądrzeję, mogę cię stracić. Zapewne miał rację.

— Nie stracisz mnie, Joe — rzekła cicho, kiedy usiedli na piasku.

— Kocham cię zbyt mocno. Wcale nie musisz się ze mną żenić.

Świadoma, jak wiele znaczy dlań wolność, niemal go żałowała.

— A może po prostu chcę. No i co powiesz?

— To cudowne — odparła z takim uśmiechem, że w okamgnieniu stopniało w nim serce. — Zupełnie, zupełnie cudowne. Jesteś pewien?

— Na sto procent — zaręczył żarliwie. Teraz, kiedy Clarke otworzył mu oczy, zrozumiał wreszcie, jak wyjątkowa i wszechmocna jest miłość. Niemniej jednak po chwili dodał ostrożnie: — Choć nie musimy zaledwie się spieszyć, możemy poczekać jeszcze pół roku, rok, ot, żeby oswoić się z myślą. No i sądzą, że na razie powinniśmy to zachować dla siebie.

— Zgoda — szepnęła Kate.

W milczeniu posiedzieli jeszcze kilka minut, potem przytuleni powoli ruszyli w stronę domu.

ROZDZIAŁ XII

Decyzja o małżeństwie nieco zmieniła charakter ich stosunków. Kiedy wrócili do New Jersey, aby znów pracować ramię przy ramieniu, Kate była bardziej pewna siebie i znacznie spokojniejsza. Joe zaś z wyraźnym zadowoleniem uczestniczył w rozmowach o przyszłości — o domu, który kupią, miejscach, które odwiedzą w podróży poślubnej. Po kilku jednak podobnych rozmowach zaczął zdradzać objawy irytacji, a niebawem doszedł do wniosku, że nie ma czasu myśleć o małżeństwie. Planowano budowę drugiej fabryki, przedsiębiorstwo rozrastało się z dnia na dzień; jesienią ewentualny ślub znalazł się na ostatnim miejscu listy spraw, które Joe uważał za istotne.

Urwanie głowy mieli zresztą oboje, tak że tego roku nie dali rady się wyrwać do Bostonu nawet na Święto Dziękczynienia i dopiero pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem zdołali spędzić tydzień z rodzicami Kate. W tym czasie Elizabeth była tak wściekła z powodu ich opieszałości w ogłaszaniu zaręczyn, że jakakolwiek wzmianka o małżeństwie działała na nią jak płachta na byka, wszyscy więc unikali w jej towarzystwie poruszania drażliwego tematu. Sama Kate długo wmawiała sobie, że dopóki mieszka z Joem, wszystko jest w porządku, że Joe jest zbyt zapracowany, poza tym nieco wystraszony własną decyzją. To zresztą było oczywiste: wkrótce po oświadczeniach zaczął się wycofywać na swe dawne pozycje.

Dopiero wiosną 1947 roku otwarcie zadała sobie pytanie, czy Joe naprawdę chce małżeństwa, kiedy jednak nieśmiało poruszała tę sprawę w rozmowach z Joem, z reguły wykręcał się brakiem czasu lub innymi problemami na głowie. Po części było to prawdą: w wieku trzydziestu sześciu lat Joe stał się największym rekinem w branży lotniczej, a jego istniejąca zaledwie półtora roku firma — najprawdziwszą żyłą złota. Cały swój czas dzielił pomiędzy

latanie a udział w naradach. Kate pracowała już wtedy u niego oficjalnie jako rzeczniczka prasowa i miała stałą wysoką pensję, jak słusznie jednak podkreślali jej rodzice, nie potrzebowała pieniędzy — bo tych mogli jej dać, ile zapragnie — lecz męża. Ciarke przestał żywić jakiegokolwiek złudzenia, że jego zeszłoroczna rozmowa z Joem wywarła pożądany efekt, Elizabeth zaś nalegała, aby Kate wróciła do Bostonu. Nadeszło lato, a na temat małżeństwa Joe ciągle milczał jak zakłęty.

Mijały dwa lata od powrotu Joego do kraju i rok od jego oświadczenia, gdy wreszcie Kate przyparła go do muru i zapytała bez ogródek:

— Czy pobierzemy się kiedykolwiek, Joe, czy też całkowicie zarzuciłeś ten pomysł?

Wtedy oświadczył po raz kolejny, że nie chce mieć dzieci. Wiele o tym rozmyślał, ważył rozmaite za i przeciw, zawsze jednak dochodził do wniosku, że nie nadaje się na ojca, a od życia spodziewa się czegoś zupełnie innego: swej pracy, samolotów, a w domu oczekującej jego powrotu Kate. Nie chciał dzieci i nie potrzebował małżeństwa, perspektywa domu pełnego rozwrzeszczanych niemowląt, którym trzeba zmieniać pieluchy, przepelniała go zgrozą. Nienawidził własnego dzieciństwa, nie miał zatem ochoty ani uczestniczyć w dzieciństwie innych, ani brać za nie odpowiedzialności. Po raz pierwszy tak otwarcie i szczegółowo wyłożył swoje poglądy na ten temat, Kate jednak pragnęła, by postawił kropkę nad i, zapytała więc:

— Czy mi mówisz, że jeśli się nawet pobierzemy, nie będziemy mieć dzieci?

— Chyba to ci właśnie usiłuję powiedzieć — odparł szczerze. Nigdy zresztą nie mijał się z prawdą, unikał tylko podnoszenia określonych tematów. — W istocie wiem na pewno. Nie chcę dzieci.

Wiedziała, że nie jest nastawiony entuzjastycznie do posiadania potomstwa, lecz nawet jej przez myśl nie przeszło, że podjął w tej kwestii stanowczą decyzję.

— O rany — westchnęła, opadając na oparcie krzesła w jego skromnie umeblowanym mieszkaniu. Słowa Joego zapiekły ją jak bolesny policzek. — A ja zawsze pragnęłam je mieć. Była w rozterce; wymagał od niej wielkiej ofiary, ona wiedziała, jak bardzo go kocha i jak bardzo się boi go utracić. W szczególności po owych dwóch wojennych latach, kiedy była niemal pewna, że odszedł na zawsze. A może, pomyślała, po ślubie zmieni zdanie... Gra jest warta świeczki, choć z drugiej strony ostatnie deklaracje dotyczące małżeństwa składał wiele miesięcy temu. Gdy po długiej chwili milczenia, w większym stopniu wtórując swoim myślom, niż nawiązując do przebiegu rozmowy, rzuciła „No i co sądzisz, Joe?”, popatrzył na nią zdezorientowany.

— O czym? — zapytał.

— O małżeństwie. Czy ono również nie wchodzi w grę?

Z jej głosu przebiegła irytacja. Joe nie postąpił uczciwie, mógł powiedzieć wcześniej, że zdecydowanie nie chce dzieci. Troska o firmę, inne sprawy na głowie — to wszystko usprawiedliwiała go tylko częściowo.

— Nie wiem — odparł. — A czy jest nam potrzebne? Po cóż ślub, skoro nie będziemy mieć dzieci?

W oczach Kate zapłonęły iskielki paniki: Joe znowu wznosił wokół siebie mury.

— Mówisz serio? — zapytała, odnosząc wrażenie, że rozmawia z kimś zupełnie obcym.

Znow wszystko stanęło na głowie. Kate musiała zadać sobie pytanie, czy zeszłoroczna sugestia Joego, aby nie mówili nikomu o powziętej decyzji, nie była po prostu kolejnym elementem uprawianej przezeń gry na zwłokę. Najwyraźniej była.

— Czy musimy w tej chwili maglować tę sprawę? Jutro z samego rana mam ważne spotkanie

— zirytował się. Czuł się zapędzony w ślepy zaułek, co gorsza, dręczyły go wyrzuty sumienia, że wcale nie chce poślubić Kate. Z wyrzutami sumienia zaś, odczuwanymi przezeń jak dojmujący fizyczny ból, absolutnie nie dawał sobie rady. Powtarzały echem oskarżenia krewnych, że jest złym, niepoprawnym bachorem.

— Mówimy teraz o naszym życiu, naszej przyszłości — nie dawała za wygraną Kate — a więc o sprawach w moim przekonaniu dość ważnych.

Twarda nuta w jej głosie zabrzmiała mu w uszach jak zgrzyt paznokci po tablicy.

Natychmiast pomyślał o Elizabeth.

— Czy koniecznie musimy rozstrzygnąć te sprawy już dziś wieczorem?

Kate czuła, jak Joe odsuwa się od niej, próbowała go pochwycić, a wtedy on odsuwał się jeszcze dalej, pchany do ucieczki paniką, którą dostrzegał w jej oczach. Chciał się gdzieś ukryć, wylizać swe rany, Kate zaś nie miała dostatecznie wiele rozsądku, żeby zostawić go w spokoju. Nie potrafiła zapanować nad swą paniką. Krążyli w beznadziejnym tańcu śmierci — Może nie musimy niczego rozstrzygać — odparła z taką rezygnacją, że tym razem wyrzuty sumienia zapiekły go jak prąd przepływający przez krzesło elektryczne. — Może właśnie je rozstrzygnęłaś. Oznajmiłaś mi przecież, że nie chcesz dzieci i nie widzisz powodów, dla których warto byłoby brać ślub. To dosyć diametralna zmiana postanowień, nie sądzisz? Miała wrażenie, że tonie, te postanowienia bowiem dotyczyły jej całej przyszłości. Dwa lata czekała na właściwy moment, żeby je ostatecznie podjąć, i oto zaczynała rozumieć, że z punktu widzenia Joego taki moment nie nadszedł i zapewne nie nadejdzie nigdy. Małżeństwo przestało być rozważaną przez siebie opcją, a w rezultacie przestawało być opcją również dla niej. — Muszę prowadzić firmę, Kate. Nie wiem, ile energii pozostanie mi na żonę i dzieci.

Prawdopodobnie zero.

Gorączkowo szukał drogi odwrotu, a jego panika pod pewnymi względami była nie mniejsza niż panika Kate. Tyle że manifestowała się zupełnie inaczej: gdy Kate wyznawała miłość i obnażała swój ból, Joe stawał się daleki i oziębły. Przerazenie obojga ich postawami było natomiast jednakowe.

— Co ty mi właściwie mówisz? — zapytała ze łzami w oczach. Joe niszczył wszystko, na co liczyła, obracał wniwecz jej marzenia. Przyjechała do New Jersey, żeby pracować dla niego, przyspieszyć bieg spraw, zrobić coś na kształt przymiarki do prawdziwego wspólnego życia. Ale Joe obok dawnej miłości, samolotów, miał teraz nową:

interesy. Nie potrzebował ani kochanek, ani dzieci, ani żony, wystarczyły mu samoloty.

— Chyba mówię, że nie mam nic więcej do powiedzenia — odparł.

— Wóz albo przewóz, przynajmniej jeśli chodzi o mn. Nie chcę małżeństwa. Nie nadaję się na męża. Potrzebuję swobody. Mamy siebie, cóż więc zmieni jakiś świstek papieru? Co oznacza?

— Oznacza, że mnie kochasz, Joe, że mi ufasz, że się o mnie troszczysz i że zostaniesz ze mną na zawsze — rzekła. Ale najważniejsze dla niej słowa „na zawsze” przejmowały Joego śmiertelnym przerażeniem. — Oznacza, że mówimy z podniesionym czołem, iż w siebie wierzymy. Że jesteśmy z siebie dumni. Mam wrażenie, że to dług, jaki powinniśmy sobie wzajemnie spłacić.

On zaś miał w tej chwili wrażenie, że próbuje przygwoździć go do podłogi. Albo ukrzyżować. Jej potrzeby i oczekiwania przytłoczyły go nagle jak lawina; był zdecydowany bronić się za wszelką cenę. Nawet za cenę utraty Kate.

— Nic nie jesteśmy sobie dłużni. No, najwyżej tyle, żeby jeśli tego zechcemy, być ze sobą z dnia na dzień. A jeśli przestaniemy chcieć, będziemy mogli ruszyć własną drogą. Tu nie ma żadnych gwarancji.

Ostatnie słowa Joe prawie wyrzeszczał, usiłując w ten sposób utrzymać Kate na dystans. Uciekał. Kate natomiast, widząc i czując, że porzuca ją jak kiedyś ojciec, zdwoiła wysiłki, by go skłonić do odwrotu.

— Kiedy to się stało? — podniosła głos bardziej, niż miała zamiar. Ale przerażona, zdesperowana, nie rozumiana, czuła się tak, jakby spadała w bezdenną otchłań. — Kiedy postanowiłaś zaniechać ślubu? Kiedy wszystko uległo zmianie? I dlaczego nie odgadłam, co

naprawdę myślisz? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, Joe? — Zniosła się płaczem, a potem wykrztusiła jeszcze przez ściśnięte gardło: — Dlaczego mi to robisz?

Zastygł w bezruchu; każde z jej słów przebijało jego duszę jak nóż.

— A dlaczego ty nie chcesz mi dać spokoju? — zapytał błagalnym tonem.

— Bo cię kocham — odparła żałośnie.

On natomiast stracił pewność, czy ją kocha. A jeśli nawet kocha, to czy kiedykolwiek będzie w stanie dać Kate to, co zabrało jej samobójstwo ojca. Był równie zdesperowany jak ona... To Kate pchała go do ucieczki.

— Czy nie moglibyśmy pójść już do łóżka, Kate? Padam z nóg.

Istotnie wyglądał na kompletnie wyczerpanego, oboje zresztą tak wyglądali. Sprawiali wrażenie dwójki tłukących się dzieciaków, które

nie mają dość rozsądku i dojrzałości, żeby przestać. Byli na to zbyt przerażeni: ona — że Joe ją porzuci, on — że Kate zawładnie nim bez reszty, że jej miłość go pochłonie.

— Ja też — westchnęła z rezygnacją. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna, tak ogłuszona i niekochana. Poszła do łazienki i długo płakała, stojąc pod prysznicem. Kiedy wróciła do sypialni, Joe już spał. Położyła się obok niego i długo nań patrzyła, zastanawiając się, kim właściwie jest. Delikatnie, jakby obawiając się, że ją ugryzie, pogłaskała go po głowie: wymamrotał coś przez sen i odwrócił się do niej plecami. Wiedziała, że wbrew wszystkiemu, co mówił, wciąż ją kocha

— i że ona go kocha, być może dostatecznie mocno, ażeby zrezygnować ze wszystkich marzeń. Ale nie miała już okazji, by to udowodnić. Gdy ona pragnęła tylko być blisko niego, Joe czuł się najbezpieczniej w ucieczce.

Decyzję podjęła jeszcze biorąc prysznic. Zrozumiała, że musi odejść, w przeciwnym bowiem razie zniszczą się nawzajem. Joe nigdy jej nie poślubi. W tej kwestii matka od początku miała rację.

Powiedziała Joemu nazajutrz przy śniadaniu. Powiedziała spokojnie, z przekonaniem, lakonicznie.

— Odchodzę, Joe.

Spotkali się wzrokiem; Joe wyglądał na stropionego. Wciąż był obolały od ran, jakie zadali sobie poprzedniego wieczoru.

— Dlaczego, Kate?

Wyraźnie wstrząśnięty, nie poprosił jednak, by została.

— Najzwyczajniej nie mogę zostać po tym, co usłyszałam wczoraj. Kocham cię całym sercem, całym swoim życiem. Czekałam na ciebie dwa lata, nie mogąc uwierzyć, że zginąłeś. Nie sądziłam wtedy, że mogłabym pokochać kogoś innego, nie sądzę teraz. Przynajmniej tak jak kocham ciebie. Ale chcę mieć męża, dzieci, normalne życie. Nasze pragnienia są różne. Mimo łez w oczach, pustki w żołądku i bólu w sercu usiłowała mówić spokojnie. Pragnęła, by cofnął to wszystko, co powiedział jej zeszłego wieczoru, lecz milczał jak zakłęty.

Dopiero kiedy skończył jeść śniadanie, podniósł głowę znad stołu i spojrzał jej w oczy. To był jeden z tych strasznych momentów życia, z których zapamiętuje się wszystko — gesty, mimikę, każde słowo.

— Kocham cię, Kate, ale muszę być z tobą szczery — zaczął.

— Otóż nie sądzę, bym kiedykolwiek, w przeszłości czy przyszłości, chciał się ożenić. Bo już „ożeniłem się” ze swoimi samolotami. Nie chcę być uwiązany, nie chcę być niczyją własnością. W moim życiu jest dla ciebie miejsce, jeśli zechcesz pracować u mego boku. Ale nic więcej nie mogę ci zaproponować, bo nic więcej nie mam — tylko siebie i moje samoloty. Zapewne kocham je równie mocno jak ciebie, czasem być może mocniej. Zbyttno się boję, aby obdarzyć cię miłością większą niż dotąd. Taki już jestem, Kate, i tyle mam do zaoferowania. Nie chcę dzieci, nigdy. W moim życiu nie ma na nie miejsca. Po prostu ich nie pragnę.

Mówiąc to, uświadomił sobie z żalem, że nie pragnie również Kate, która stanowi dlań zbyt wielkie zagrożenie. Pragnął swoich interesów i samolotów, a dopiero potem Kate. Ona zaś, będąc dwudziestoczteroletnią kobietą, pragnęła męża, dzieci i normalnego życia. Zawodowa współpraca z Joem nie stanowiła dla niej żadnej pokusy.

— Nie chcę twoich samolotów, Joe. Chcę dzieci, ciebie. Kocham cię, ale wracam do domu. Szkoda, że nie zadałam pewnych pytań już dawno temu. Czuję się jak kompletna idiotka.

Ale czuła się również jak bezgranicznie zrozpaczona po stracie ojca mała dziewczynka.

— Kiedyśmy zakładali firmę, nie miałem jasności co do swoich zamierzeń. Teraz ją mam.

Rób to, co musisz zrobić, Kate.

— Odchodzę — powiedziała.

Spotkali się wzrokiem.

— Czy warto z takiego powodu opuszczać firmę? — zapytał z niedowierzaniem, dochodząc do wniosku, że chyba oszalała. Czy nie rozumie, że on, Joe, robi coś, czego nie robiono nigdy dotąd, i że pragnie, by w tym uczestniczyła? Że to największy dar, jaki może jej ofiarować?

— To nie moja firma, tylko twoja, Joe.

Odniósł wrażenie, że coś zaczyna mu świtać.

— Chcesz akcje?

Uśmiechnęła się z politowaniem.

— Nie. Chcę męża. Chyba moja matka miała rację. W końcu zaczyna to mieć znaczenie.

— Rozumiem — powiedział z przekonaniem, sięgając po neser.

— Przykro mi, Kate.

Po siedmiu latach związku przechodzącego najrozmaitsze etapy pozwalał jej odejść. Nie miał zamiaru dać się uwikłać w małżeństwo, głowę zaprzętało mu przecież tyle ważniejszych spraw... Postrzegany z zewnątrz, Joe stał się grubą rybą, wielkim człowiekiem i biznesmenem; w głębi duszy pozostawał przerażonym samotnym chłopczykiem.

— Mnie też jest przykro, Joe — wyszeptała.

Nie pocałował jej na pożegnanie. Nie powiedział nic więcej. Kate też milczała, odprowadzając go wzrokiem, kiedy szedł w stronę drzwi. Nie odwrócił głowy.

ROZDZIAŁ XIII

Rodzice Kate wiedzieli, że ich córka wróciła do domu na stałe, chociaż nie mieli pojęcia, z jakiego powodu, niczego im bowiem nie wyjaśniała, nie wspomniała słowem ani o Joem, ani o tym, co wydarzyło się w New Jersey. Była zbyt obolała i zrozpaczona, żeby podejmować ten temat. Jej rozpacz pogłębiało jeszcze daremne oczekiwanie na telefon od Joego. Wciąż nie traciła nadziei, że ocknie się wreszcie, zadzwoni i powie, iż chce się z nią ożenić i mieć dzieci.

Najwyraźniej jednak nie żartował. Kilka dni później odesłał jej w niewielkiej paczce ubrania, które zostawiła w jego mieszkaniu, ale przesyłce nie towarzyszył żaden list. Elizabeth, dostrzegając przygnębienie Kate, zaczęła coś podejrzewać, nie dręczyła jednak córki żadnymi wnikliwymi pytaniami. Przez całą zimę Kate chodziła na długie spacery i płakała; tysiące razy doznawała pokusy, żeby zatelefonować do Joego, lecz nie chciała dłużej odgrywać roli jego kochanki, co w końcu skazałoby ją na społeczną i towarzyską banicję. Nie dzwoniła więc do niego i on nie dzwonił do niej. Czuła, że coś w niej umiera — nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez Joego, nie miała wszakże wyboru. Musiała robić dobrą minę do złej gry.

Podjęła próbę wskrzeszenia kontaktów z dawnymi przyjaciółkami, przekonała się jednak, że niewiele ma już z nimi wspólnego. Od zbyt dawna jej życie było splecione z życiem Joego. Teraz musiała pomyśleć, jak o własnych siłach rozpocząć je na nowo, postanowiła więc przeprowadzić się do Nowego Jorku i podjąć pracę w Metropolitan Museum jako asystentka kustosa ekspozycji egipskiej. W tej chwili wprawdzie o samolotach wiedziała znacznie więcej niż o historii sztuki, niemniej wierzyła, iż bez trudu zdoła odkurzyć w pamięci to wszystko, co wyniosła z Radcliffe. Początkowo odnosiła się do nowej posady z rezerw rychło jednak stwierdziła zaskoczona, że zajęcie muzealnika sprawia jej wielką frajdę. W lutym znalazła mieszkanie, tak więc pozostawało jej tylko uporać się jakoś z całą resztą życia. Bez Joego perspektywy wyglądały przygnębiająco: ot, nieskończony łańcuch ponurych pustych dni. Tęskniła dniami i nocą, rozmyślała o Joem nawet w pracy, śledziła jego losy w gazetach. Siedem lat temu był bohaterem wielu artykułów, ponieważ ustanawiał rekordy lotnicze, teraz rozpisywano się o nim nieustannie, bo budował zgoła fantastyczne samoloty. A kiedy ich nie budował, to je oblatywał.

W czerwcu uradowała się, gdy zdobył nagrodę na Paryskim Pokazie Lotniczym; była to zresztą jedyna radość w jej byle jakim samotnym życiu, jeszcze nudniejszym niż życie Elizabeth. A Kate miała przecież zaledwie dwadzieścia pięć lat i urodę, z której sama nie zdawała sobie sprawy.

Nie chodziła na randki, a gdy próbowano się z nią umówić, odpowiadała, że jest zajęta. Tęskniła za Joem i opłakiwała go tak samo jak wtedy, kiedy zestrzelono jego samolot. Tego lata, żeby nie budzić bolesnych wspomnień, nie pojechała nawet na Cape Cod... A jednak o Joem przypominało jej wszystko: rozmowy, spacer, oddychanie, posiłki w restauracjach, gotowanie. Joe, wiedziała to doskonale, wszedł jej w krew. Teraz potrzebowała iluś tam lat, żeby o nim zapomnieć. Wmawiała sobie, że to zupełnie możliwe, tylko nie miała pojęcia, jak się zabrać do rzeczy. Budziła się każdego ranka z uczuciem, że ktoś umarł, i dopiero po jakimś czasie docierało do niej kto. Ona.

Pewnego dnia, mniej więcej rok po przeprowadzce do Nowego Jorku, poszła do sklepu spożywczego kupić karmę dla psów, bo właśnie sprawiła sobie szczeniaka, żeby mieć jakieś towarzystwo. Zresztą sama przed sobą przyznawała z goryczą, że to żalosne. Gdy na chwilę oderwała wzrok od regału pełnego najrozmaitszych puszek i toreb, stwierdziła zdumiona, że tuż obok niej stoi Andy, niezmiernie przystojny i dorosły w ciemnym garniturze i prochowcu. Zapewne, uznała, wyszedł właśnie z pracy i przed powrotem do domu robi zakupy zlecone przez małżonkę. Choć oczywiście nie miała pojęcia, czy się ożenił.

— Jak się miewasz, Kate? — wykrzyknął, uśmiechając się szeroko. Cierpiał długo, ale w końcu zdołał dojść do siebie po ciosie, jaki mu zadała, nawet wyrzucił wszystkie jej zdjęcia.

— Doskonale. Co u ciebie?

— Robota i jeszcze raz robota. Co tu porabiasz? — zapytał, najwyraźniej rad ze spotkania.

— Mieszkam. Pracuję w Metropolitan. Dobrze się bawię.

— To świetnie. Ostatnimi czasy nieustannie słyszę o Joem. Facet buduje niesamowite imperium. Macie już dzieci?

Roześmiała się niewesoło; Andy wyciągał wnioski z pozoru oczywiste, lecz w istocie całkiem błędne.

— Nie, ale ja mam pieska — odparła, wskazując puszkę w swoim wózku. — Poza tym wcale nie wyszłam za Joego.

Zrobił wielkie oczy.

— Nie pobraliście się?

— Nie. Wolał swoje samoloty. Podjął słuszną decyzję. Najlepszą.

— A co z tobą? — zapytał Andy, starym zwyczajem nie owijając niczego w bawełnę. Kate zresztą bardzo go za to ceniła. — To znaczy, jaka była z twojego punktu widzenia ta jego decyzja?

— Nie najszcześniejsza. Odeszłam. Rok temu. Zaczynam się przyzwyczajać. — Nie rok, lecz czternaście miesięcy, trzy tygodnie i trzy dni, ale postanowiła oszczędzić Andy’emu szczegółów. — A co u ciebie? Żona? Dzieci?

— Panienki. Całe mnóstwo. Bezpieczniejsze rozwiązanie. Żadnych złamanych serc. Rozbawiła ją jego odpowiedź — był taki sam jak kiedyś.

— Znakomicie. Może podeślę ci jeszcze kilka. W muzeum pracują tłumy prawdziwych ślicznotek.

— Na przykład ty. Cudownie wyglądasz, Kate.

Ostrzygła ostatnio włosy, była umalowana, przy czym nie wynikało to z próżności, lecz z nudy. Fryzjer, manikiur, makijaż i szczeniaki stały się jedynymi jej rozrywkami.

— Dziękuję — odparła. Tak dawno nie rozmawiała z żadnym rówieśnikiem dłużej niż pięć minut, że błyskawicznie zabrakło jej konceptu na podtrzymanie rozmowy.

— Może któregoś dnia wyskoczmy do kina? — zaproponował.

— Z przyjemnością. — Kiedy sunęli niespiesznie w stronę kasy, Kate zauważyła, że Andy wiezie w swym wózku płatki kukurydziane i wodę sodową, pod pachą zaś trzyma kiipioną wcześniej butelkę szkockiej. Kawalerska dieta. Wskazała zakupy głową i zapytała: — Nie zapomniałeś przypadkiem o mleku? A może po prostu zalewasz płatki szkocką? Muszę tego spróbować.

— Łykam je na sucho i popijam czystą whisky.

— To na co ci woda sodowa?

— Do czyszczenia wykładzin.

Ta krótka szermierka przypomniała im dawne uniwersyteckie czasy a kiedy stanęli przy kasie, Andy dowiódł, że jest jak dawniej rycerski i hojny, uparł się bowiem, żeby zapłacić także za puszkę karmy dla psów.

— Nadal pracujesz u ojca? — zainteresowała się Kate, gdy wychodzili ze sklepu.

— Tak i nieźle się nam układa. Ojciec nie znosi spraw rozwodowych, więc wszystkie zwała na mnie.

— Przyjemne zajęcie. Cóż, mnie przynajmniej taka sprawa została oszczędzona.

— Może los oszczędził ci czegoś więcej, Kate. Mężczyźni pokroju Joego nigdy nie są łatwi. Zbyt błyskotliwi, zbyt twórczy, zbyt egoistyczni. Byłaś w nim tak zakochana, że nie sądzę, byś to dostrzegała.

Dostrzegała to i dlatego kochała Joego jeszcze mocniej. Andy, choć za nim przepadała, nigdy nie ekscytował jej z taką siłą. Joe przypominał gwiazdę na firmamencie, zawsze poza jej zasięgiem, zawsze upragnioną. I może tym bardziej upragnioną, im mniej osiągalną.

— Sugerujesz, żebym rozejrzała się za jakimś tępakiem? — zapytała żartobliwie.

Andy jednak odpowiedział najzupełniej poważnie:

— Może po prostu za kimś bardziej ludzkim. Joe jest facetem pomnikowym i nieprzystępnym. Zaslugujesz na kogoś lepszego.

— Zatrzymali się, żeby ruszyć w przeciwnych kierunkach. — Zadzwoń do ciebie. Tylko pod jaki numer?

— Ten podany w książce albo do muzeum.

Zatelefonował dwa dni później i zabrał ją do kina. Potem na ślizgawkę w Rockefeller Center. Później na kolację. Przez trzy

tygodnie poprzedzające gwiazdkę byli nierozłączni. Kate nie powiedziała rodzicom, że się z nim widuje, nie chciała, żeby matka wpadła w euforię. Uradowała się, gdy zadzwonił z Bostonu w pierwszy dzień świąt; znów było jak kiedyś, tyle że teraz darzyła Andy’ego znacznie większą sympatią — był dla niej miłym, pełnym ciepła, troskliwym towarzyszem, choć nie tak elektryzującym jak Joe. Poza tym nigdy tak do końca nie wyleczył się z uczucia do Kate.

— Tęsknię za tobą — powiedział. — Kiedy wracasz?

— Za parę dni — odparła ogólnikowo.

Była rozczarowana, że Joe nie odezwał się w święta... Mógł dla niej zrobić chociaż tyle. Zachował się tak, jakby zapomniał o niej na śmierć, jakby nigdy nie istniała. Ważyła myśl, czyby do niego nie zadzwonić, w końcu jednak doszła do wniosku, że taki telefon pogłębiłby tylko jej depresję, przypominając o wszystkim, co ich łączyło i co utracili.

— Kiedy znowu zaczęłaś spotykać się z Andym? — zapytała z nieskrywanym zainteresowaniem Elizabeth, gdy Kate odłożyła słuchawkę.

— Kilka tygodni temu wpadliśmy na siebie przypadkiem w sklepie spożywczym.

— Ożenił się?

— Tak. I ma ośmioro dzieci — zażartowała Kate.

— Zawsze uważałam, że jest dla ciebie stworzony.

— Wiem, mamo. Ale jesteśmy tylko przyjaciółmi. To najlepszy układ, bo nikt nikomu nie wyrządzi krzywdy — odparła. Trzy lata temu sama boleśnie go zraniła, teraz ją bolały świeże rany. Sądziła, że będzie z ich powodu cierpieć jeszcze długo, może nawet całe życie. Nie sposób było zapomnieć o Joem, łączyło ich zbyt wiele.

Dwa dni później wróciła do Nowego Jorku; ledwie zdążyła przywitać się z pieskiem, którego zostawiła pod opieką sąsiadki, kiedy zadzwonił Andy.

— Jak ty to robisz? — zapytała. — Masz radar?

— Kazałem cię śledzić.

Tego wieczoru pozwoliła zaprosić się do kina, sylwestra zaś spędzili przy szampanie w El Morocco na imprezie — jak uznała Kate

— ogromnie dystyngowanej i dorosłej.

— Przecież jestem dorosłym facetem — odparł z rozbawieniem Andy, gdy podzieliła się z nim swoimi przemyśleniami. Rzeczywiście, był teraz niezwykle obyty i wyrafinowany, bijąc pod tym względem na głowę Joego, który po prostu nie dbał o pewne rzeczy. Ale Kate uwielbiała jego niezwykłość, dziwactwa, brak poloru.

— Ja odpuściłam sobie dorosłość — wyznała przy trzecim kieliszku szampana — jod razu wkroczyłam w jesień życia. Niekiedy czuję się starsza niż moja matka.

— Dojdiesz do siebie. Trzeba czasu. To najlepszy uzdrowiciel

— stwierdził Andy z przekonaniem.

— A ile czasu ty potrzebowałaś, żeby wyleczyć się ze mnie?

— zapytała Kate, której zaczynał się odrobinę plątać język. Andy jednak chyba nie zwrócił na to uwagi.

— Około dziesięciu minut — skłamał. Potrzebował dwóch lat, a jego kuracji nadal nie uwieńczył pełny sukces. To dlatego na sylwestra zaprosił Kate, nie zaś jedną z pół tuzina swoich, zgodnie teraz na niego wściekłych, dziewczyn. — Sądzisz, że powinno to potrwać dłużej?

— Chyba nie — odpowiedziała ze smutkiem. — Nie zasłużyłam na to. Potraktowałam cię paskudnie.

Wypity szampan wprawiał ją w senny melancholijny nastrój. Nic nie mogła poradzić, że nieustannie się zastanawia, gdzie i z kim jest tej nocy Joe.

— Nie miałaś wyjścia — stwierdził Andy. — Był twoją wielką miłością, szalałaś za nim, powstał z martwych. Trudno z czymś takim walczyć. Cud Boży, żeśmy si nie pobrali.

— To by było okropne — przyznała.

— Masz rację. No więc chyba dopisało nam szczęście. Teraz tylko pozostaje ci raz na zawsze wyrzucić go z serca.

— A jeśli mi się nie uda? — zapytała płaczliwie.

Parsknął śmiechem.

— Uda się, pod warunkiem że nie popadniesz w alkoholizm. Jesteś pijana, Kate.

— Nie jestem — zaproponowała z urazą.

— Jesteś, ale bardzo ci z tym do twarzy. Może zatańczymy, zanim padniesz?

Miły wieczór zaowocował straszliwym kacem następnego dnia. Andy przyniósł do jej mieszkania croissanty, sok pomarańczowy i aspirynę, Kate zaś robiła śniadanie w okularach przeciwsłonecznych na nosie.

— Dlaczego nie przyniosłeś płatków kukurydzianych i szkockiej?

— zapytała swarliwie. — To by mnie lepiej postawiło na nogi.

— Mówisz jak stary ochlapus — odciął się bawiąc ze szczenięciem.

— Tragedie miłosne wpędzają ludzi w pijaństwo. — Spaliła croissanty, rozlała sok pomarańczowy, rozchlapała żółtka w jajkach sadzonych, które usmażyła dla Andy’ego — Beznadziejna ze mnie kucharka — orzekła.

— To dlatego cię porzucił?

— To ja go porzuciłam — sprostowała rada, że nie widać jej oczu ukrytych za ciemnymi okularami. — Nie chciał się ze mną ożenić, nie chciał mieć dzieci. Mówiłam ci przecież, że jest zaślubiony swoim samolotom.

— Stał się bardzo bogatym człowiekiem — stwierdził Andy. O ile jednak podziwiał w Joem jego umiejętności, geniusz i talent organizacyjny, o tyle uważał go za kompletnego głupca, jeśli chodzi o stosunek do kobiet. Przy czym dziękował po cichu Opatrzności, że głupota Joego w tej kwestii nie pozwoliła mu poślubić Kate.

— Dlaczego ty się nie ożeniłeś? — zapytała. Wyciągnęła się na sofie i w końcu zdjęła okulary.

— Nie wiem. Trochę się bałem, trochę byłem za młody, trochę zbyt zapracowany. Po tobie nie spotkałem nikogo naprawdę wyjątkowego. Najpierw gryzłem się jakiś czas, potem rzuciłem w wir zabaw i uciech. Mam czas, tak samo jak ty. Nic nie rób na siłę. W kancelarii mam do czynienia z aż nazbyt wieloma rozwodami.

— W kwestii czasu moja matka jest zupełnie odmiennego zdania. Panikuje.

— Ja też bym panikował na jej miejscu. Niełatwo się pozbyć takiej dziewczyny jak ty. No więc raczej nie gotuj dla swoich facetów, niech brutalną prawdę poznają później. Nawiasem mówiąc, gdybym wiedział, jak kiepsko pichcisz, śniadanie zrobiłbym sobie w domu.

— Przestań narzekać. Wylizałeś talerz do czysta.

— Ale następnym razem jemy płatki ze szkocką.

Po południu wybrali się z psem na spacer do Central Parku. Był rześki zimowy dzień, ziemię okrywała cieniutka kołdra śniegu, mroźne powietrze ostatecznie uleczyło Kate z dręczącego ją od rana bólu głowy. Wieczorem poszli do kina — i oto Kate poczuła nagle, że samotność trochę przestała jej doskwierać. Nie nawiązała gorącego romansu, ale wskrzesiła gorącą przyjaźń.

Przez sześć następnych tygodni spotykali się bardzo często; chodzili na kolacje, przyjęcia, do kina, Andy nader regularnie wpadał do niej do muzeum na lunch, pomagał załatwiać sprawy służbowe, a w soboty wspólnie robili zakupy. Kate doceniła, jak wspaniale mieć przy boku kogoś, kto towarzyszy człowiekowi na co dzień. Joe, zajęty budowaniem firmy, nigdy nie miał na to czasu. Pomagała mu w pracy z przyjemnością, ale teraz z nie mniejszą przebywała w towarzystwie Andy’ego. Był zawsze do dyspozycji i zawsze chętny.

W walentynki przytasiaczył do jej mieszkania bukiet z dwudziestu czterech róż i wielką bombonierę w kształcie serca.

— Boże, czymże sobie na to zasłużyłam? — wykrzyknęła, uśmiechając się szeroko.

Cały dzień to tęskniła za Joem, to powtarzała sobie, że wreszcie musi o nim zapomnieć, chociaż nadal czuła, że stawia przed sobą zadanie niewykonalne. Jednocześnie konstatowała z niedowierzaniem, że ktoś, kogo od tak dawna tak mocno kochała, najwyraźniej zupełnie dobrze daje sobie bez niej radę. Była w tym jakaś straszliwa niesprawiedliwość losu. Ale zbyt

silnie uwikłali się w swoje lęki... Bajki, dochodziła do wniosku przygnębiona Kate, nie zawsze się kończą szczęśliwie.

— Co cię gryzie? — zapytał Andy, którego nie zwiódł uśmiech Kate, a na właściwy trop naprowadził wyraz jej oczu.

— Znów się nad sobą rozczulam.

— Nudzisz. Zjedz czekoladkę. Albo kwiat, co wolisz. I wskakuj w ciuchy, zabieram cię na kolację.

— A co z innymi panienkami? — rzuciła dręczona lekkimi wyrzutami sumienia, że nadal kochając Joego, traktuje Andy'ego tak, jakby był jej własnością. Ale lubiła jego towarzystwo, i to bardziej, niż sama przed sobą przyznawała.

— Dołączą do nas później. Spodobają ci się, cała czternastka.

— Gdzie mnie zabierasz?

— Zobaczysz. To niespodzianka. Nałóż coś eleganckiego i tym razem spróbuj się nie zalać.

— To było w sylwestra, osiołku. Poza tym mam do tego święte prawo.

— Wcale nie masz. Tracisz tylko bezcenny czas na rozpaczanie. Joe bardziej kocha swoje samoloty niż ciebie. Pamiętaj o tym.

— Próbuję.

Ostatnio jednak i ta sprawa traciła dla niej znaczenie. Bez przerwy rozmyślając o Joem, zadawała sobie pytanie, czy podjęła słuszną decyzję. Może po to, żeby z nim być, warto było złożyć w ofierze małżeństwo i dzieci. Ale nie podzieliła się swoimi refleksjami z Andym, sama zresztą nie miała żadnej pewności.

Kiedy wyszli z kamienicy, Kate aż westchnęła na widok czekającej przy krawężniku eleganckiej bryczki, która wnet, przy wtórze miarowo stukających kopyt końskich, odprowadzana uśmiechami przechodniów, powiozła ich w stronę restauracji. Opatulonej ciepłym pledem Kate ta przejażdżka wydawała się niesłychanie romantyczna. Powozik skręcił w Pięćdziesiątą Drugą Ulicę i zatrzymał się przy klubie „21”.

— Rozpieszczasz mnie — powiedziała Kate z uśmiechem.

— Jesteś tego warta — odparł.

Stanowili tak urodziwą parę, że kiedy wchodzili do restauracji, a potem byli prowadzeni w stronę kameralnego stolika na piętrze, przyciągali jak magnes wiele spojrzeń.

Wieczór był cudowny, a posiłek wręcz fantastyczny; na deser Andy zamówił dla Kate miniaturowy torcik w kształcie serca, w którym jednak jej widelec natychmiast natknął się na coś twardego i niepodatnego. Rozkroiła ciastko i zobaczyła -pudełeczko.

— Co to jest? — zapytała stropiona.

— Otwórz i przekonaj się sama. Może znajdziesz coś ciekawego. Wygląda obiecująco — zauważył, a Kate poczuła, że serce zaczyna jej bić w przyspieszonym tempie. Kiedy podniosła głowę, Andy uśmiechnął się do niej i powiedział czule: — Wszystko w porządku, Kate, nie bój się... Będzie dobrze, zobaczysz.

— A jeśli nie będzie?

Bała się naprawdę: Joe boleśnie ją zranił, ona zraniła Andy'ego. Nie chciała kolejnych cierpień, nie chciała popełnić błędu, którego pożałują oboje.

— Ależ będzie. Zatrószyczymy się o to. Wszystko zależy tylko od nas.

Stawało się zatem to, czego pragnęła, tyle że nie z mężczyzną, którego pragnęła. Może jednak, pomyślała Kate, wszystkie życzenia spełniają się najwyżej w połowie, może nie ma całkowicie szczęśliwych zakończeń. To z Andym byłoby przynajmniej szczęśliwsze niż wiele innych.

Zlizała z palców krem, ostrożnie otworzyła pudzderko — i oto zaskrzył się przed jej oczyma pierścienek od Tiffany'ego. Andy wyjął go i wsunął na palec Kate.

— Czy za mnie wyjdiesz, Kate? — zapytał. — Tym razem nie pozwolę ci umknąć. Sądzę, że to dla nas obojga najlepsze rozwiązanie... A tak nawiasem mówiąc, Kocham cię.

— Nawiasem mówiąc? I to mają być oświadczenia?

— Są przynajmniej prawdziwe i szczerze. Zróbmy to, Kate. Wiem, że będziemy szczęśliwi.

— Moja matka zawsze twierdziła, że jesteś dla mnie stworzony.

— A moja, od kiedy dałaś mi kosza, że jesteś dziwką — powiedział ze śmiechem i pocałował ją w usta.

Jego pocałunek smakował lepiej niż te wszystkie, które zachowała w pamięci. I wtedy uświadomiła sobie, że i ona kocha Andy'ego. Nie tak jak Joego, podobna miłość nie może się powtórzyć, ale jednak kocha. Inaczej. W tej miłości jest spokój, luz, zabawa. Będą dobrymi współtowarzyszami podróży w wędrowce przez całe życie. Może człowiek nie ma szans dostać wszystkiego: wielkiej miłości, namiętności, marzeń. Może w ostatecznym rozrachunku bardziej kalkulują się mniejsza miłość i realizm. Tak przynajmniej mówiła sobie Kate, kiedy Andy ją całował.

— Twoja matka oceniła mnie słusznie — rzekła, gdy ich twarze oddaliły się wreszcie od siebie. — Potraktowałam cię strasznie i bardzo przepraszam.

— No, myślę. Będziesz za to płacić przez resztę życia. Jesteś moją dozą dłuźniczką.

— Nie zamierzam się migać. Codziennie rano będę ci zalewać szkocką twoje płatki kukurydziane.

— To jedyne rozwiązanie, jeśli ty zajmiesz się kucharzeniem.

— Uszczęśliwiony popatrzył jej w oczy i zapytał z nadzieją: — Czy to oznacza, że zostaniesz moją żoną?

— Nie mam innego wyjścia — odrzekła rzeczowo. — Przypadł mi do gustu ten pierścionek, a chyba mogę go zatrzymać tylko w taki sposób.

Andy znów ją pocałował.

— Kocham cię, Kate. I chociaż zdaję sobie sprawę, iż to, co powiem, zabrzmi parszywie, jestem cholemię rad, że nie wyszło ci z Joem.

Nie podzielała jego radości, ale musiała pogodzić się z rzeczywistością. I miała nadzieję, że Andy jej w tym pomoże.

— Ja też cię kocham — szepnęła, potem zerknęła nań z figlarnym uśmieszkiem. — Kiedy ślub?

— W czerwcu — oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Roześmiała się i zarzuciła mu ramiona na szyję. Była szczęśliwa. Nie wątpiła, że tym razem podjęła słuszną decyzję.

— Tylko poczekaj, co będzie, kiedy powiemy mojej mamie!

— zachichotała.

— Tylko poczekaj, co będzie, kiedy powiemy mojej! — odparł Andy i uniósł oczy ku niebu.

ROZDZIAŁ XIV

Kate zadzwoniła do rodziców nazajutrz po oświadczeniach Andy'ego; byli zelektryzowani usłyszaną nowiną, a Elizabeth wręcz nie posiadała się z radości, która sięgnęła absolutnych wyżyn, kiedy córka oznajmiła, że zamierzają się pobrać już w czerwcu.

Przez cztery miesiące Kate i jej matka zajmowały się planowaniami organizacją. Dla druhen — Kate chciała mieć tylko trzy: Beyerly i Dianę z Radcliffe oraz dawną koleżankę szkolną — wybrały uroczyste jasnoniebieskie sukienki z organdy, dla panny młodej zaś elegancką

i prostą kreację. Podczas pierwszej przymiarki Elizabeth płakała ze wzruszenia jak bóbr.

Poza tym Kate brała udział w niekończącym się festiwalu lunchów, rautów i bankietów, wydawanych to przez nowojorskich przyjaciół rodziców Andy'ego, to przez bostońskich znajomych Jamisonów. Tak rozchwytywana nie była nigdy w życiu. Ustaliła z Andym, że w podróż poślubną wybiorą się do Paryża i Wenecji, do miejsc zatem, które zgodnie uznali za najbardziej romantyczne.

Powtarzając sobie, że dopisało jej ogromne szczęście, Kate liczyła jednak w głębi duszy, że teraz gdy oświadczyzny zostały ogłoszone, Joe oprzytomnieje nagle i wróci, aby się o nią upomnieć. Ale rozsądek mówił jej coś zupełnie innego: że nie zadzwoni i że tak będzie lepiej, bo jego głos otworzy wszystkie rany, które dopiero co zaczęły się zablizniać. Starła się go wspominać jak najrzadziej, mimo to niczym złodziej wkradał się w jej myśli późną nocą albo wczesnym rankiem, czyli w porze, którą kiedyś lubili najbardziej. Nieobecny ciałem, ciągle błędził po obrzeżach jej życia, przypominając o sobie bolesnymi ukłuciami w sercu.

Nieustannie zadawała sobie pytanie, czy w imię ich ciągle trwającej miłości nie powinna była poświęcić marzeń o małżeństwie i dzieciach, i nieustannie mówiła sobie, że właściwą decyzję podjęła dopiero teraz, bo jedyną prawdziwą miłością Joego były i będą samoloty.

Ślub udał się wspaniale. Kate w atlasowej sukni do kostek z długim koronkowym welonem i pełną woalką wyglądała jak Rita Hayworth. Kiedy jednak przed ołtarzem Andy spojrzał jej w oczy, dostrzegł w nich rozdzierający smutek i dwie małe łzy.

— Wszystko będzie dobrze, Kate... Kocham cię — wyszeptał.

Nie mogła mu wyznać, że cały ranek tęskniła za Joem, że miała przemożne wrażenie, iż porzuca go po raz drugi.

Ale potem znów powiedziała sobie, że z dobrym czułym Andym czeka ją cudowne życie i że się przecież kochają. Bez wielkiej namiętności, lecz z czułością i zrozumieniem. Że wreszcie — uczyni wszystko, aby to małżeństwo okazało się szczęśliwe dla nich obojga.

Po przyjęciu w Plaza spędzili noc poślubną w pięknym apartamencie z widokiem na Central Park, chociaż wyczerpani całodziennymi uroczystościami kochali się dopiero rano. Andy nie ponaglał, mieli do dyspozycji całe życie. Spali ze sobą po raz pierwszy; Andy nie pytał nigdy Kate, czy jest dziewic nie chciał znać szczegółów jej długotrwałego związku z Joem, ona zaś nic dotąd nie mówiła, wychodząc z założenia, że o podobnych sprawach można mówić tylko z mężem, nawet gdyby te sprawy miały okazać się dlań bolesne.

Ale było im ze sobą cudownie. Kate sprawiała wrażenie zakłopotanej, niewinnej i trochę powściągliwej, co Andy kładł na karb braku doświadczenia, w istocie jednak chodziło tylko o to, że Kate czuła się po prostu dziwnie, leżąc u boku mężczyzny, w którym zwykła widzieć tylko przyjaciela. Wystarczyło jednak trochę czasu i wysiłku z jej strony, by ten problem chwilowo zniknął. Chwilowo, bo gdy rankiem wyruszali na lomisko, znów przypominali raczej parę starych kumpli niż młodych kochanków, co zresztą doskonale odzwierciedlało naturę ich związku wolnego od bólu, namiętności i żaru, jakimi naznaczony był romans Kate z Joem. Tu niepodzielnie władał luz, przyjaźń i śmiech. Kate ufała Andy'emu bez zastrzeżeń, mając świadomość, że

jej serce nie jest narażone na takie niebezpieczeństwa, jakie stwarzał Joe.

Te wnioski Kate zawdzięczała w znacznym stopniu matce. Elizabeth, której wcale nie spędzało snu z powiek przecucie, że jej córka nie darzy Andy'ego szaleńczą miłości oświadczyła podczas jednej z przymiarek, że ten rodzaj namiętności, który łączył Kate i Joego, jest czymś niezmiernie groźnym, bo może wymknąć się spod kontroli i zawładnąć człowiekiem bez reszty. Z dwojga złego, podsumowała Elizabeth, lepiej poślubić kogoś takiego jak Andy — dobrego przyjaciela.

Podczas podróży poślubnej działo się wszystko, co powinno było się dziać: jadali romantyczne kolacje u Maxima albo w małych bistrach na lewym brzegu Sekwany, zwiedzali

Luwr, robili duże zakupy, chodzili na długie spacery bulwami nadbrzeżnymi. Panowała prześliczna słoneczna pogoda, Andy dowiedział, że jest czułym i wprawnym kochankiem, Kate więc dochodziła chwilami do wniosku, że tak szczęśliwa nie była nigdy. Kiedy jechali do Wenecji, miała wrażenie, iż są małżeństwem co najmniej od kilku lat. Andy, dla którego problem dziewictwa Kate już dawno przestał stanowić tajemnicę, przyjął zasadę, aby w rozmowach nie podejmować żadnego wątku, który mógłby przypomnieć Kate o Joem; czuł, że jest to temat ciągle bolesny i że bolesny będzie jeszcze długo. Ale teraz Kate należała tylko do niego.

W Wenecji, jeśli to w ogóle możliwe, było jeszcze romantyczniej niż w Paryżu: jadali smakowite posiłki, niespiesznie zwiedzali miasto pływając wynajętą przez Andy'ego gondolą, a pod Mostem Westchnień całowali się na szczęście. W końcu, po jeszcze jednej nocy spędzonej w Paryżu, polecili do Nowego Jorku. Ze swej trzytygodniowej podróży poślubnej wrócili wypoczęci, szczęśliwi i związani ze sobą znacznie mocniej niż na jej początku. Andy widział w tym dobry omen, zapowiedź długiego radosnego życia.

Gdy nazajutrz po powrocie wybierał się do pracy, Kate postanowiła przyrządzić mu śniadanie. Andy ogolił się, wziął prysznic, wszedł do kuchni — i zobaczył na stole talerz płatków kukurydzianych i butelkę szkockiej.

— Najdroższa, jak miło, że pamiętałaś! — wykrzyknął, obejmując Kate w przesadny filmowy sposób, a potem przelknął łyżkę płatków

i splukał je szklaneczką whisky. — Będę teraz cuchnąć gorzałą, więc ojciec na pewno uzna, że wpędziłaś mnie w alkoholizm. Mamy spotkania przez cały dzień.

Kiedy wyszedł, Kate zabrała się do sprzątania. Andy nie chciał, by pracowała, miesiąc przed ślubem zrezygnowała więc z posady w muzeum. Wtedy, zaganiana i podekscytowana, nie odczuwała żadnych ujemnych skutków tej decyzji, teraz — nie mając wiele do roboty — stwierdziła, że oto pojawił się poważny problem. Nuda. W istocie była tak wynudzona, kiedy Andy wrócił z pracy, że chociaż leciał z nóg, praktycznie zaciągnęła go do łóżka, a potem zmusiła do wypadu na kolację.

Niebawem poruszyła w rozmowie wątek swojego ewentualnego powrotu do pracy.

Małżeństwo stawało się dla niej synonimem nieróbstwa i nadmiaru wolnego czasu, z którym nie ma co począć.

— Zwiedzaj muzea, rób zakupy, spotykaj się z przyjaciółkami

— zasugerował Andy.

Łatwo powiedzieć, ale wszystkie jej znajome albo pracowały, albo gdzieś w willach na przedmieściach wychowywały dzieci. Kate czuła się dość dziwnie.

Trzy tygodnie po powrocie z Europy nieco zakłopotana oświadczyła Andy'emu podczas kolacji, że chce mu coś zakomunikować. Spodziewał się jakiejś błahostki — nowiny o stłuczonym wazonie, o rozmowie z matką czy przyjaciółką — zrobił więc wielkie oczy, kiedy usłyszał, że Kate jest w ciąży i że zapewne zaszła już w noc poślubną.

— Byłaś u lekarza? — zapytał z radością, a zarazem z troską, potem zaś starannie zebrał naczynia ze stołu i zapytał żonę, czy nie ma przypadkiem ochoty się położyć.

Parsknęła śmiechem.

— Nie, nie byłam u lekarza, ale jestem zupełnie pewna — odparła. Oczywiście nie mogła powiedzieć Andy'emu, że czuła się tak samo przed pięcioma laty, kiedy zaszła w ciążę z Joem. — A zresztą przestań się wygłupiać, to nie jest śmiertelna choroba, nic mi nie dolega. Tej nocy z obawy, że mógłby uszkodzić płód, kochał się z nią wyjątkowo delikatnie, rankiem zaś stanowczo polecił jak najszybciej iść do lekarza, wreszcie dał wyraz swojemu rozczarowaniu, gdy zabroniła mu chwilowo informować rodziców.

— Dlaczego, Kate? — chciał wiedzieć. Podekscytowany może nawet bardziej niż ona, miał ochotę wykrzyknąć z dachu radosną nowinę. Dla samej Kate dziecko znaczyło bardzo wiele: było nie tylko spełnieniem jej marzeń o normalnym małżeńskim życiu, lecz również szansą

na zacieśnienie więzi z Andym, a przede wszystkim wypełnienie owej bezdennej pustki w jej sercu, tego tajemniczego miejsca, z którego wyszedł Joe i do którego Andy nigdy nie będzie mieć prawa wstępu.

— A jeśli poronię? Byłoby okropnie, gdybym poroniła, kiedy już wszystkim powiemy.

— Dlaczego miałabyś poronić? — zapytał zdumiony, potem nagle dorzucił z niepokojem: — Czujesz, że coś jest nie tak?

— Skądże — odparła pogodnie. — Po prostu chcę mieć pewność, że wszystko jest w porządku. Ponoć pierwsze trzy miesiące ciąży niosą największe ryzyko poronienia. Andy nigdy o tym nie słyszał.

Kate odwiedziła lekarza kilka dni później. Dowiedziała się, że dotąd nie ma żadnych powikłań, a wcześniejsze poronienie — z którego zwierzyła się w zaufaniu — było z niemal całkowitą pewnością skutkiem zderzenia z rowerem, nie zaś jakichkolwiek wrodzonych skłonności Kate. Lekarz zalecił jej spokojny tryb życia, regularne i pożywne posiłki, odpoczynek i unikanie wybryków w rodzaju jazdy konnej czy zjeżdżania po linie. Tę ostatnią poradę skwitowała zresztą śmiechem. Wreszcie wysłał ją do domu z torbą witamin, pisemnymi instrukcjami dla niej i dla męża, a wreszcie zaproszeniem za miesiąc. Poród przewidział na początek marca.

Tego dnia, niespiesznie wracając do domu skrajem Central Parku, ostatecznie doszła do wniosku, że jest szczęściarą: była kochana, miała wspaniałego męża, spodziewała się dziecka. Tak, uznała, ślub z Andym przyniósł spełnienie wszystkich jej marzeń. Przed nimi cudowne życie.

O ciąży powiedziała rodzicom pod koniec sierpnia, kiedy wpadła do nich z tygodniową wizytą na Cape Cod. Szczęśliwi byli oboje, ale Elizabeth wręcz nie posiadała się z radości.

— Mówiłam ci, że jest dla niej stworzony — oświadczyła mężowi, gdy Kate i Andy odjechali już do Nowego Jorku.

— Dlaczego? Bo zmajstrował jej dziecko? — zapytał żartobliwie Ciarke, choć mimo sympatii dla Joego w gruncie rzeczy podzielał przekonanie żony, iż Andy jest dla Kate idealnym mężem.

— Nie, bo jest porządnym człowiekiem. A dziecko to najlepsze, co mogło przydarzyć się Kate. Uspokoi ją, pomoże się ustabilizować, mocniej przywiąże do Andy’ego.

— No i sprawi, że będzie miała pełne ręce roboty — uściślił ze śmiechem Ciarke.

Ale Kate była gotowa, żeby wreszcie mieć prawdziwą rodzinę, poza tym zaś oczekiwała przyścia na świat swojego pierwszego dziecka znacznie później niż większość jej koleżanek, które w tej chwili niejednokrotnie wychowywały już po dwoje lub troje. Było to zresztą zjawisko nader powszechne w całym kraju, mnóstwo bowiem młodych małżeństw, zawartych w czasie wojny czy tuż po niej, miało dzieci rok po roku, jak gdyby pragnąc nadrobić stracone lata.

Przez całą ciążę Kate czuła się świetnie, a w święta Bożego Narodzenia wyglądała jak balon, choć jedyną częścią jej ciała, która znacznie zwiększyła swój rozmiar, był brzuch; cała reszta pozostała po dawnemu smukła i elegancka. Codziennie chodziła na długie spacery, dużo spała, dobrze jadła i w ogóle wygiądała jak pączek w maśle. Przeraziła się trochę tylko podczas sylwestra, który wraz z grupką przyjaciół Andy’ego spędzali w El Morocco. Gdy około drugiej w nocy wrócili do domu, Kate poczuła skurcze. Ogarnęły ją straszne wyrzuty sumienia, bo wiele tańczyła tego wieczoru i wypijała kilka kieliszków szampana. Andy natychmiast zadzwonił do lekarza, ów kazał przywieźć żonę do szpitala, zbadał ją po czym oświadczył, że na wszelki wypadek zatrzyma ją do rana. Była przerażona, Andy zaś postanowił z nią zostać, pielęgniarki więc wstawiły do jej pokoju dodatkowe składane łóżko.

— Jak się czujesz, Kate? — zapytał, kiedy położył się na wąziutkiej leżance.

— Boję się — przyznała szczerze. — A jeśli urodzę wcześniaka?

— E tam, po prostu trochę przeholowałaś. Sądzę, że załatwiło cię to ostatnie mambo.

Zachichotała.

— Ale było fajnie.

— Dziecko najwyraźniej jest innego zdania. A może właśnie je podziela?

— Tak się boję, że możemy je stracić — szepnęła. Przewróciła się na bok, spojrzała na Andy'ego, on zaś wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— Przestań się choć na parę minut zamartwiać, co? — A potem zadał jej pytanie, na które nie była przygotowana: — Dlaczego tak bardzo przejmujesz się utratą dziecka?

Patrzył jej prosto w oczy.

— Chyba wszyscy przejmują się taką możliwością — odparła uciekając spojrzeniem.

— Kate?

Nastąpiła długa pauza.

— Tak?

— Czy byłaś w ciąży już wcześniej?

Nie chciała odpowiadać na to pytanie, ale nie chciała również okłamywać Andy'ego. Tym razem milczenie trwało jeszcze dłużej.

— Tak — odezwała się wreszcie, patrząc nań ze smutkiem. Nie chciała Andy'ego zranić, a obawiała się, że oto zadaje mu ból.

— Domyślałem się — stwierdził, nie sprawiając wrażenia szczególnie zaszokowanego. — Co się stało?

— W Radcliffe wpadł na mnie rowarzysta i poroniłam.

— Przypominam sobie ten wypadek — powiedział z namysłem.

— Miałaś chyba wtedy wstrząśnienie mózgu. Od jak dawna byłaś wtedy w ciąży?

— Od mniej więcej dwóch i pół miesiąca. Miałam zamiar urodzić. Joe jeszcze wtedy nie wiedział, rodzice nie dowiedzieli się nigdy.

— A szkoda, bo byliby wniębówzięci — zażartował. Nie przejął się zanadto, współczuł tylko Kate z powodu cierpień, przez które musiała przejść. Teraz należała do niego, to on sprawił, że miała ten swój olbrzymi brzuch. — Tym razem wszystko pójdzie dobrze, Kate, będziemy mieli piękne dziecko.

Wychylił się ze swojej leżanki i pocałował żonę, ona zaś wdzięczna za jego dobroć i wyrozumiałość podjęła stanowcze postanowienie, że przestanie wreszcie myśleć o Joem. Może nadszedł czas, żeby uwolnić się od niego ostatecznie.

Rano opuścili szpital i przez resztę tygodnia Kate wypoczywała w domu, aż zupełnie doszła do siebie. Skurcze pojawiły się ponownie dopiero znacznie później, pewnego niedzielnego poranka.

Kate nie budząc Andy'ego liczyła je przez dwie godziny, po czym kuksnęła męża w bok.

— Hmm... tak? — mruknął. — Czas na szkocką i płatki?

— Lepiej — odparła z niezwykłym opanowaniem. — Czas na dziecko.

— Już? — Ogarnięty paniką, błyskawicznie zerwał się z łóżka.

— Mam się ubrać?

— W szpitalu uznano by twój strój za trochę ekscentryczny. Choć mnie osobiście bardzo się podoba.

Andy spał nago.

— Okay, okay, ubieram się na jednej nodze. Dzwoniłaś już do lekarza?

— Jeszcze nie.

Wodziła za nim spojrzeniem pełnym ciepła, kiedy chaotycznie miotał się po pokoju zbierając i znów upuszczając sztuki odzieży. Gdy w pewnym momencie zerknął na Kate, uderzyło go jej podobieństwo do Mony Lisy.

Pół godziny później wykąpana, ubrana i uczesana Kate, czując na barku opiekuńcze ramię wciąż nieco zmierzwionego męża, który w wolnej ręce niósł jej walizkę, wyruszyła do szpitala. Na miejscu pielęgniarka oznajmiła, że wszystko idzie dobrze, następnie zaś

skierowała Andy'ego do poczekalni, gdzie mógł palić papierosa za papierosem w towarzystwie innych przyszłych tatusiów.

— Kiedy to nastąpi? — zdążył jeszcze nerwowo zapytać pielęgniarkę.

— Nie od razu, panie Scott — odparła i stanowczym gestem zamknęła za nim drzwi. Trochę już roztrzęsiona Kate wolałaby mieć Andy'ego przy sobie, ale było to sprzeczne z panującymi w szpitalu zasadami. Po chwili zaczęła się bać.

Trzy godziny później Andy był kłębkim nerwów; nie miał żadnych wiadomości, a kiedy usiłował je uzyskać — zbywano go zapewnieniem, że wszystko idzie dobrze, choć dosyć powoli.

*

O czwartej po południu przewieziono zapłakaną i nieszczęśliwą Kate na porodówkę — marzyła w tej chwili tylko o tym, żeby znalazł się przy niej Andy, ten jednak musiał zostać w poczekalni, patrząc, jak wchodzi i wychodzą kolejni ojcowie, w nieskończoność zadając sobie pytanie, dlaczego wszystko trwa tak okropnie długo, zanosząc modły, żeby poród Kate był lekki.

Ale nie był, głównie z powodu znacznych rozmiarów dziecka; o siódmej lekarze rozważali nawet możliwość cesarskiego cięcia, w końcu jednak pozwolili iść sprawom naturalnym biegiem i tak, dwie godziny później, przyszedł na świat dwojga imion — na cześć obu dziadków — Reed Ciarke Scott. Ważył prawie dziesięć funtów i miał tak samo jak ojciec gęstą ciemną czuprynę.

Andy pomyślał, że nigdy w życiu nie widział czegoś równie pięknego jak Kate, która leżąc na łóżku w różowym szpitalnym szlafroku trzymała w ramionach ich nowo narodzonego syna. Jego zdaniem Reed był ładząco podobny do matki.

— Jest prześliczny — wyszeptał Andy. Dwanaście godzin spędzonych w poczekalni omal nie doprowadziło go do szaleństwa, Kate jednak, chociaż wyczerpana, sprawiała wrażenie spokojnej i spełnionej. Bo przecież urzeczywistniły się jej marzenia... Matka miała rację: dokonała słusznego wyboru.

Po pięciu dniach spędzonych w szpitalu Andy — który na cztery tygodnie zatrudnił pielęgniarkę — zabrał Kate i syna do ich tonącego w kwiatkach mieszkania, a potem ostrożnie trzymał Reeda, kiedy Kate, zgodnie z zaleceniem lekarza kładła się do łóżka. Miała odpoczywać trzy tygodnie, jak większość młodych matek. Niemowlę umieszczono w ustawionej obok łóżka kołysce; ilekroć się budziło, Kate brała je do siebie i karmiła piersią. Andy przypatrywał się temu jak zaczarowany.

— Wyglądasz tak pięknie, Kate — powtarzał, utwierdzając się w przekonaniu, że warto było czekać na tych dwoje: prześliczną żonę i różowutkie krągłe dziecko.

Wydając na świat Reeda, Kate miała dwadzieścia siedem lat, była dojrzała, opanowana i gotowa na sprostanie trudom macierzyństwa. I czuła się tak, jakby całe jej dotychczasowe życie zmierzało do tego właśnie punktu. Ani ona, ani Andy nigdy nie byli szczęśliwsi.

ROZDZIAŁ XV

Był maj, Reed miał już dwai pół miesiąca, kiedy pewnego wieczoru Andy wrócił z pracy, zdradzając wyraźne podniecenie. Mianowano go członkiem komisji, która niebawem wyjeżdżała do Niemiec, aby przesłuchiwać świadków w toczących się właśnie procesach zbrodniarzy wojennych. Procesy ciągnęły się długo, co kilka

miesiący więc angażowano kolejną grupę prawników najrozmaitszych specjalności. Andy zyskał wprawdzie w kancelarii ojców bogate i szerokie doświadczenie zawodowe, ze względu jednak na młody wiek musiał swą nominację traktować jako szczególny zaszczyt.

— Czy mogę z tobą pojechać? — zapytała podekscytowana Kair, która miałaby ogromną ochotę zobaczyć męża przy pracy.

— Nie sądzę, kochanie. Umieszczą nas w koszarach wojskowych, warunki będą spartańskie. Ale robota jest niesamowicie pociągająca.

— Jak długo cię nie będzie? — zaniepokoiła się nagle Kate. Wszystko bowiem wskazywało na to, że nie zanoszą się na dwudniową, a nawet dwutygodniową delegację.

— W tym właśnie problem — odparł z zakłopotaniem. Miał niewiele czasu na podjęcie decyzji, starannie jednak zważył wszelkie za i przeciw, by dojść wreszcie do wniosku, że nawet Kate z pewnością uzna, iż powinien skorzystać z okazji tak wyjątkowej, w dodatku zupełnie niespodziewanej. — Będę musiał spędzić w Niemczech trzy do czterech miesięcy. Na Kate ta wiadomość spadła jak grom z jasnego nieba.

— Jezu, to strasznie długo — jęknęła.

— Pytałem, czy możemy liczyć na kilka dni urlopu, może w połowie pobytu, ale powiedziano mi, że to wykluczone. No więc będę uwiązany. Żona nie zabiera nikogo, nie ma dla nich odpowiednich warunków — odparł. W istocie przyjął propozycję również dlatego, że pod pewnymi względami jego pobyt w Niemczech miał przypominać służbę wojskową, która ominęła go podczas wojny. Teraz nadarzyła się okazja zrobić coś dla kraju. — Przykro mi, maleńka. Zafundujemy sobie coś przyjemnego po moim powrocie, na przykład wakacje w Kalifornii.

— Cóż, trudno. Chyba po prostu będę musiała wynajdywać sobie rozmaite zajęcia, żeby nie umrzeć z tęsknoty i nudów.

— Tym już się zajmie mały książę — stwierdził, doskonale zdając sobie sprawę, jakiego zachodu wymaga niemowlę. Czasem odnosił wrażenie, że Kate nieustannie przewija go, karmi, układa do snu i znowu przewija. — Chcesz może pojechać do rodziców? — zapytał. Kate pokręciła głową.

— Matka byłaby szczęśliwa, ale mnie doprowadziłaby do szaleństwa. Nie, zostanę tu i będę strzec domowego ogniska. A ty nie zapomnij zabrać zapasu whisky, żebyś miał czym popijać płatki kukurydziane.

— Dziękuję za wyrozumiałość — powiedział całując Kate.

— A mam jakiś wybór? Mogę się czepiać? — spytała z uśmiechem, chociaż wiedziała, że będzie za nim tęsknić.

— Mogłabyś i cieszyć się, że tego nie robisz. Naprawdę chcę w tym uczestniczyć, to cholernie ważna praca.

— Wiem — odparła. — Kiedy wyjeżdżasz?

— Za cztery tygodnie.

Żartobliwie wykrzywił twarz, gdy cisnęła w niego poduszką.

— Ty łobuzie! Nie będzie cię całe lato.

I jeszcze kawałek jesieni. Prawnicy mieli wylecieć ze Stanów pierwszego lipca, a powrotu — jak ich uprzedzono — mogą spodziewać się najwcześniej pod koniec października. Po zbiórce w Nowym Jorku — pochodzili bowiem z różnych części kraju — przerzucano ich za ocean samolotem wojskowym.

Pomagając Andy'emu w pakowaniu i porządkowaniu papierów, Kate uzmysłowiła sobie, jak bardzo będzie z dzieckiem samotna w ich

mieszkańiu. Przez rok małżeństwa tak przywykła do stałej obecności Andy'ego, że nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez jego powrotów z pracy, wspólnych weekendów i nocy.

Obojgu zresztą te cztery miesiące wydawały się wiecznością.

Dwa diii później, w pierwszą rocznicę ślubu, obdarował ją przepiękną brylantową bransoletą od Cartiera. Jej prezent — zegarek od Tiffany’ego — był znacznie skromniejszy.

— Andy, rozpieszczasz mnie! — wykrzyknęła szczerze uradowana, czym sprawiła mu przyjemność. Lubił obsypywać ją podarkami i w ogóle na wszelkie możliwe sposoby okazywać, jak bardzo ją kocha, jak bardzo dziękuje za to, że jest tak dobrą żoną, wspaniałą matką niezrównaną towarzyszką. Uwielbiał z nią być, sypiać i żartować. Będąc mężem i żoną, pozostawali parą najlepszych przyjaciół.

— To w nagrodę za hart ducha i wyrozumiałość większą, niż miałbym prawo wymagać.

— Może zatem powinieneś wyjeżdżać częściej — stwierdziła z uśmiechem.

Wieczorem poszli do Stork Ciubu i bawili się fantastycznie, gdy jednak żegnali się pierwszego lipca, ich nastroje były zasadniczo odmienne. Andy długo tulił i całował Kate; obiecał, że wykorzysta każdą nadarzącą się okazję, by do niej zadzwonić, chociaż wątpił, czy takie okazje przytrafiać się będą często.

— Ale będę pisać — przyrzekł solennie.

Podejrzewała jednak, że i na listy nie znajdzie zbyt wiele czasu. Czekają ją cztery bardzo długie miesiące samotności. Kiedyś wahała się, czy go poślubić, teraz nie wyobrażała sobie bez niego ani jednego dnia. Raz jeszcze ucałował żonę i synka, potem oddalił się pospiesznie, żeby zdążyć na samolot. Był najmłodszym członkiem odlatującej grupy; kiedy taszcząc dziecko Kate wychodziła z budynku dworca lotniczego, odprowadzały ją uśmiechy żon pozostałych prawników. Reed miał trzy i pół miesiąca... Gdy Andy zobaczy go ponownie, będzie samodzielnie robił mnóstwo rzeczy. Kate obiecała wysłać Andy’emu zdjęcia. Wiele zdjęć.

Święto Niepodległości spędziła w Nowym Jorku. Tak czwartego lipca, jak przez całą resztę miesiąca panował nieznośny upał, tryb życia Kate stał się więc bardzo monotony: rankiem zabierała dziecko do

parku, do domu starała się wrócić przed jedenastą, po południu spędzała w klimatyzowanym mieszkaniu, a przed wieczorem, kiedy skwar nieco folgował, ponownie wychodziła na spacer, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zgodnie ze swoją wcześniejszą deklaracją wyszukiwała sobie najrozmaitsze zajęcia i ze zwykłą troską zajmowała się dzieckiem, mimo to samotność i tęsknota za Andym doskwierały jej nieznośnie.

Pewnego późnego popołudnia była z Reedem w zoo; pchając wózek, minęła hotel Plaza i zagłębiła się w Piątą Aleję, żeby popatrzeć na wystawy. Przechodziła właśnie przez ulicę, gdy jak pocisk wpadł na nią jakiś spieszący przechodzień. W pierwszym momencie odruchowo sprawdziła, czy dziecku nie stało się nic złego, i dopiero po chwili podniosła głowę. Stał przed nią Joe Allbright. Skamieniała na moment, nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczy... No, może tylko na zdjęciu w gazecie albo w jakiejś kronice filmowej. Ale stał tu, w Nowym Jorku, na samym środku Piątej Alei.

— Cześć, Kate — powiedział takim tonem, jakby rozstali się przed kilkoma zaledwie godzinami. I wyglądał tak samo jak kiedyś, miał te same rzeźbione rysy, te same przewiercające na wskroś niebieskie oczy, które zdawały się mówić, że na nią czekał. Lecz Kate wiedziała, że ulega złudzeniu. Mógł do niej zadzwonić, a jednak tego nie zrobił. Potrafił być okrutny, jak tego ostatniego dnia, ale również niewiarygodnie czarujący. Tak właśnie wyglądał dzisiaj.

Zmieniło się światło, zatrąbiły klaksony, Joe więc pospiesznie ujął Kate pod ramię, sprowadził z jezdni i pomógł dźwignąć wózek na krawężnik. Dopiero wtedy z uśmiechem popatrzył na dziecko.

— Kto to jest? — zapytał pogodnie.

— Mój syn Reed — odparła Kate z dumą. — Ma trzy miesiące.

— Przystojny facecik — zauważył Joe. — Skóra zdjęta z ciebie, Kate. Nie wiedziałem, że wyszłaś za męża. A może wcale nie wyszłaś?

To pytanie w ustach kogokolwiek innego zabrzmiałoby obraźliwie, w ustach Joego jednak było zupełnie naturalne. Dla Joego urodzenie dziecka nie miało żadnego związku z zamążpójściem. Był, jak kto woli, albo niezwykle postępowy w swym myśleniu, albo niebywale archaiczny.

— Wysłałam. Niemal dokładnie rok temu.

— A więc nie ociążałaś się z wydaniem małego na świat — stwierdził bez zdziwienia, pamiętając dobrze, o czym najbardziej marzyła Kate. Nie widział jej od trzech lat i uznał teraz, że trochę się zmieniła, ale na korzyść. Ona zresztą miała na jego temat podobne refleksje. Dobiegał czterdziestki, a przecież nikt nie odgadłby jego prawdziwego wieku: zachował chłopięcy wygląd, podkreślany zwłaszcza przez opadające na czoło płowe włosy, które odrzucał co chwila do tyłu tak uwielbianym przez Kate niecierpliwym gestem. Ten właśnie wizerunek Joego jawił się jej podczas wielu przeplakanych nocy. Teraz gdy stał tuż obok, poczuła w żołądku znajomą pustkę, w której nagle zaczyna poruszać się z bolesną ospałością ogromny głaz. Jakże chciałyby powiedzieć, że Joe już jej nie obchodzi, już na nią nie działa, a przecież głaz obracał się nadal. Kiedyś sądziła, że tak właśnie daje o sobie znać miłość — tyle że z Andym nie było żadnej pustki i żadnego głazu. Z Andym był spokój i zupełne rozluźnienie. Przy Joem odczuwała nieznośną nerwowość. Był zaledwie fragmentem jej dawnego życia, mówiła sobie, ale natychmiast jakiś głos w jej duszy uściślał: bardzo wielkim fragmentem. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, oboje doznali wrażenia, że nastąpiło pomiędzy nimi wyładowanie elektryczne. Jak kiedyś.

— Kim jest szczęśliwy wybranek? — zapytał nonszalancko Joe, nie zdradzając zamiaru podążenia w swoją stronę.

— To Andy Scott, stary przyjaciel z Harvardu.

— Twoja matka zawsze twierdziła, że powinnaś się za niego wydać. Pewnie nie posiada się teraz ze szczęścia — powiedział ze szczyptą jadu w głosie, pamiętając, jak nie lubiła go Elizabeth.

— To prawda — potwierdziła Kate. Miała wrażenie, że Joe roztacza jakiś zniewalający ją narkotyczny aromat, powtarzała sobie, że powinna odejść, a jednak usypiana, paraliżowana jego głosem, stała jak posąg. — I uwielbia dziecko.

— Śliczny chłopczyk — przyznał. — A tak nawiasem mówiąc, interesy idą wspaniale. Uśmiechnęła się, było to bowiem niedopowiedzenie stulecia. Firma Joego stała się jedną z największych korporacji w kraju, sam Joe zaś — multimilionerem. Kate czytała ostatnio w prasie, że tworzy linie lotnicze o nazwie AllWorld.

— Śledzę w gazetach twoje poczynania. Wciąż tyle latasz?

— Ile mogę, ale brakuje mi czasu. Nadal oblatuję maszyny swojego projektu, to jednak coś zupełnie innego. Organizujemy teraz transoceaniczne linie lotnicze, więc kilka tygodni temu machnęliśmy się z Charlesem do Paryża. Ale przeważnie tkwię w sali konferencyjnej albo w biurze. Mam już w mieście własny kąt — odparł. Słuchając ich, można było odnieść wrażenie, że są parą starych znajomych, którzy po latach niewidzenia niezobowiązująco i skrótowo informują się wzajemnie o najważniejszych wydarzeniach tego czasu. Ale były to tylko pozory i Kate zdawała sobie sprawę, czy raczej wyczuwała instynktownie, że wypływają na głębokie wody pełne niebezpiecznych prądów i wirów. — No imamy biurowce tu, w Chicago iw Los Angeles. Często bywam na zachodnim wybrzeżu, ale na ogół siedzę w Nowym Jorku.

— Jesteś teraz ważną osobistością, Joe — powiedziała.

Pokochała go w czasach, kiedy nie miał nic. Teraz roztaczał wprawdzie aurę właściwą ludziom znaczącym, lecz gdy podnosiła na niego wzrok, dostrzegała go takim, jakim był dawniej: w jednej chwili onieśmielony i zakłopotany, pełen wahań, czy na nią zerknąć, a już w następnej — patrzący jej w oczy i jak się zdawało, czytający

w myślach. Potęga spojrzenia Joego bywała zniewalająca.

— Gdzieś cię podrzucić, Kate? Nie powinnaś narażać dziecka na taki upał.

— Wysłałam na moment zaczerpnąć świeżego powietrza. Mieszkam parę przecznic stąd, pójdę piechotą.

— Daj spokój — burknął i zanim zdążyła jakoś zareagować, przeholował ją wraz z wózkiem przez ulicę, wsadził do czekającego auta i podał jej dziecko, podczas gdy szofer wkładał wózek do bagażnika. — To znaczy, że jesteśmy sąsiadami, bo mieszkam w pobliżu, w nadbudówce. Daie mi to uczucie, że lecę — powiedział, sadowiąc się obok niej. — A co u ciebie? Co planujesz latem?

— Nie wiem... My... ja...

Emanowała zeń taka moc, że przytłaczał ją jak fala przyływu, unosił, porywał. Czuła się niczym kaskader, który za chwilę stoczy się w beczce z wodospadu Niagara. Zawsze tak na nią oddziaływał i nigdy nie potrafiła się oprzeć ani jemu, ani elektryzującemu podnieceniu, które ogarniało ją, kiedy był obok. Zapierającej dech w piersiach sile jego osobowości. I przekonywała się teraz z uczuciem bezradności

i rozpaczy, że pod tym względem trzy lata rozłąki nie zmieniły niczego.

Po prostu tak na niego reagowała. Bliskość Joego działała jak narkotyk i Kate była o krok od powrotu do dawnego nałogu. Wiedziała, że musi dać mu odpór. Była mężatką.

— W przyszłym tygodniu miałem jechać do Europy, ale właśnie odwołałem wyjazd. Mam mnóstwo roboty z liniami lotniczymi i takie same problemy ze związkami jak na początku w New Jersey — oznajmił. Było to sprytnie posunięcie: odwołując się do spraw, z którymi była kiedyś związana, dawał do zrozumienia, że zanim została żoną Andy’ego, należała do niego. Ale już obehwładniający uśmiech, taki sam jak przy pierwszym spotkaniu, był najzupełniej spontaniczny.

— Powiniście się kiedyś ze mną przelecieć. Myślisz, że Andy miałby ochotę na małą wycieczkę samolotową?

Zapewne, pomyślała. Z każdym pilotem prócz Joego. Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, ile znaczył dla niej Joe. Wiedział — bo uczciwie mu to wyznała — jakim cierpieniem opłacała rozstanie. Wiedział wreszcie, że gdyby nie odeszła od Joego, nigdy nie zostałaby jego żoną, prozaiczny Andy Scott bowiem nie miał żadnych szans w rywalizacji z fascynującym Joem Allbrightem.

Nie mając pojęcia, co powiedzieć, powiedziała prawdę — i natychmiast tego pożałowała. Dostarczanie Joemu nadmiaru informacji nigdy nie było zbyt rozsądne. Świetnie potrafił je wykorzystać.

— Jest teraz w Niemczech. Uczestniczy w procesach komisji do spraw badania zbrodni wojennych.

— Imponujące. Musi być wybitnym prawnikiem — stwierdził. Jego spojrzenie wciąż utkwione było w oczach Kate, wyrażając inne pytania, na które nie miała odpowiedzi. A nawet gdyby je miała, nie udzieliłaby ich Joemu za żadne skarby.

— Jest wybitnym prawnikiem — odparła z dumą.

Auto zatrzymało się pod domem, Kate wysiadła najszybciej, jak mogła, i włożyła dziecko do podanego przez szofera wózka. Joe nie spuszczał z niej oka; obserwował zresztą zawsze i dostrzegał wszystko, nawet rzeczy, które pragnęła przed nim ukryć. Ale i sam ukrywał przed nią niewiele. Przypominali dwie połówki jednej całości, spajane teraz tak przemożną siłą, że żadne z nich nie było w stanie jej pokonać.

Przynajmniej kiedyś. Bo teraz Kate zamierzała zwyciężyć — dla siebie i dla Andy’ego.

Sztywno podała Joemu dłoń, dziękując za podwiezienie. Zachowywała się nieco oziębło, zła na Joego za wszystko, co odczuwała wobec niego dawniej i jeszcze przed chwilą. A przecież

nie ponosił żadnej winy za to, że pociągał ją tak nieodparcie. Ale już nie pociąga, zapewniła się w duchu.

— Wiesz, gdzie mnie znaleźć — powiedział trochę arogancko.

— Zadzwoń któregoś dnia. Polatamy.

— Dzięki, Joe — odrzekła z dziewczęcym zakłopotaniem.

W bluzce, spódnicy i sandałach, ze swą wciąż nienaganną figurą, wyglądała, uznał Joe,

zupełnie tak samo jak kiedyś. Trzy lata nie zdołały wymazać ani wspomnień, ani uczuć.

Odprowadzał ją wzrokiem, gdy pchając wózek szła w stronę domu. Nie odwróciła się, nie pomachała ręką.

Miała nadzieję, że ich ścieżki już nigdy się nie przetną, a przecież gdy otwierała drzwi mieszkania, brakowało jej tchu i odczuwała coś na kształt oszołomienia. Pragnęła znaleźć dla siebie jakiś solidny punkt orientacyjny, wyjaśnić komukolwiek, że już nic do Joego nie czuje, że z nim skończyła, że jest szczęśliwa jako żona Andy’ego i matka Reeda. Wytłumaczyć się, wybronić... Przekonać kogoś, że Joe przestał dla niej istnieć.

A jednocześnie wiedziała, że wszystkie te wyjaśnienia byłyby kłamliwe. Od dziesięciu lat nie zmieniło się nic.

ROZDZIAŁ XVI

Po źle przespanej nocy — miała ciężkie sny i kilkakrotnie wstawała do płaczącego dziecka — obudziła się nazajutrz z nieprzyjemnym uczuciem, że dopuściła się wobec męża zdrady. A przecież — doszła do wniosku, kiedy położywszy Reeda spać, usiadła nad filiżanką kawy

— nie zrobiła nic złego. Nie zachowywała się niestosownie, nie okazała żadnego zainteresowania Joem, nie prowokowała go, nie obiecała, że do niego zadzwoni. Mimo to dręczyły ją wyrzuty sumienia, jakby ona ponosiła odpowiedzialność za ich przypadkowe spotkanie, jakby to ona ukartowała wszystko od początku do końca. Z tego niemiłego uczucia nie mogła się otrząsnąć przez cały dzień; towarzyszyło jej też wieczorem, gdy pisała do Andy’ego list i wkładała go do koperty wraz z najnowszymi zdjęciami Reeda.

Wtedy zadzwonił telefon. Była niemal pewna, że usłyszy głos matki, w słuchawce jednak rozległ się tak boleśnie znany baryton, przywodzący na myśl aksamitny pomruk gromu. Na ułamek sekundy w piersi Kate zamarło serce.

— Cześć, Kate — powiedział Joe. Sprawiał wrażenie zmęczonego, a równocześnie rozluźnionego.

— Cześć, Joe — odparła. Nie dodała nic więcej. Czekwała. Nie miała pojęcia, po co do niej dzwoni.

— Pomyślałem, że może jesteś znudzona, skoro Andy wyjechał.

Był to nieprzypadkowy dobór słów, rzekł bowiem „znudzona”, nie zaś „samotna”. W istocie była i znudzona, i samotna, ale nie miała zamiaru wyznać tego Joemu. — Nie wybrałabyś się ze mną na lunch? Ot, w imię dawnych czasów.

Jego głos brzmiał łagodnie, młodzieńczo, niemal pokornie. I niegroźnie, co było zwodnicze. Jeśli nawet prawdziwie odzwierciedlał nastawienie Joego, sam Joe zawsze był dla Kate niebezpieczny.

— Raczej nie — odmówiła powściągliwie. To nie był dobry pomysł.

— Zawsze chciałem, żebyś zwiedziła nasz nowojorski biurowiec. Jest fantastyczny, jeden z najpiękniejszych w kraju. Byłaś w tym od początku, więc pomyślałem, że chętnie zobaczysz, jak daleko zaszliśmy, odkąd... od kiedy... Po tym jak ty...

— Chętnie bym zobaczyła, ale chyba nie powinnam.

— Dlaczego?

Był wyraźnie rozczarowany, co natychmiast poruszyło Kate. W jej sercu zawyły syreny alarmowe: „Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo!” Ale wołała je zignorować.

— Nie wiem, Joe — westchnęła ze znużeniem. Znajomy głos Joego sprawiał, że miała ochotę cofnąć wskazówki zegara do owej chwili, gdy po dwóch latach niepewności i udreki zobaczyła go na statku. W jej sercu snuło się wiele wystrzępionych nici wspomnień, a jednak nie było ich dość, by mogła z nich upleść mocną linę. — Dużo wody upłynęło, odkąd wyjechałam z New Jersey.

— W tym właśnie rzecz. Chcę, żebyś obejrzała tamę. To prawdziwe cacko.

— Jesteś beznadziejny — powiedziała ze śmiechem. Zaczynała się rozluźniać.

— Naprawdę? Dlaczego nie moglibyśmy pozostać przyjaciółmi, Kate?

Bo wciąż cię kocham, pragnęła odpowiedzieć, chociaż nie miała pojęcia, czy to prawdziwa miłość czy tylko łudząco do niej podobne wspomnienie miłości. Może tamto było złudzeniem, a prawdziwa miłość połączyła ją dopiero z Andym? Tak, zyskała w tej chwili niemal całkowitą pewność. Joe był tylko iluzją, marzeniem, nadzieją, która nie chciała umrzeć, bajką dla dzieci bez szczęśliwego, mimo jej pragnień, zakończenia. Był katastrofą czekającą tylko na okazję, by się wydarzyć. Rozumieli to oboje.

— Zjedz ze mną lunch, bardzo proszę... Będę grzeczny. Masz moje słowo.

— Nie wątpię, że będziemY grzeczni oboje — odparła z przekonaniem — ale dlaczego mainy przez to przechodzić?

— Bo czujemy się dobrze w swoim towarzystwie. A w ogóle czym się zajmujesz? Jesteś mężatką, masz dziecko, własne życie. A ja tylko te swoje sarnolociska.

Rozbawił ją jego kpiarsko_ PłaczliwY ton.

— Mnie na ten numer nie nabierzesz, Allbright. Nie pragnęłam w życiu niczego innego. W rzeczy samej zależało ci na nich bardziej niż na mnie. Dlatego właśnie od ciebie odeszłam.

— Mogliśmy nie rezygnować z niczego — stwierdził melancholijnie i jak się zdawało, szczerze. Miała mu za złe te słowa wypowiedziane zdecydowanie za późno.

— Próbowałam ci to uświadomić, ale byłeś głuchy.

— Byłem iewiarygodtiym głupcem, który bał się zniewolenia. Teraz jestem mądrzejszy i odważniejszy. A także starszy. I wiem, co straciłem, kiedy mnie rzuciłaś. Idiotyczna durna nie pozwoliła mi wtedy powiedzieć tobie i samemu sobie, jak wiele dla mnie znaczysz. Bez ciebie, Kate, moje życie straciło wszelki sens.

Mówił jak wtedy, gdy kochał ją najmocniej; mówił to, co zawsze pragnęła usłyszeć.

Okrutnym zrządzeniem losu mówił dopiero teraz.

— Jestem mężatką, Joe — szepnęła.

— Wiem i nie proszę, żebyś to zmieniała. Rozumiem, że ułożyłaś sobie życie. Po prostu proszę o wspólny lunch. O jedną godzinę... Możesz mi ją chyba poświęcić. Chcę ci tylko pokazać, czego dokonałem. — Z jego głosu przebijała durna, ale również coś jeszcze... Kate domyśliła się, że z własnej winy Joe nie ma nikogo, z kim mógłby tę dumę dzielić. Nie potrafiła odgadnąć, czy po jej odejściu w życiu Joego były jakieś kobiety; może nie, może tak, ale nie miały diań żadnego znaczenia. Dla Joego liczyły się tylko samoloty i interesy. Był geniuszem, w zgodnej opinii całego świata najwybitniejszYm współczesnym konstruktorem samolotów.

— No i jak, Kate? Cholera, przecież pod nieobecność męża nie masz pewnie nic lepszego do roboty. Załatw niankę albo bierz dzieciaka i przychodź.

Nawet by jej przez myśl nie przeszło, żeby zabierać Reeda do gwarne- go biurowca. Miała namiary kilku dobrych opiekunek, z których usług już korzystała, kiedy wychodzili z Andyrn na wieczór.

— Już przestań, przestań — poddała się z głębokim westchnie- niem. Miała wrażenie, że rozmawia z upartym dzieckiem. Jego siła perswazji była zatrważająca. — Zgoda.

— Jesteś cudowna, Kate. Dziękuję. Może jutro?

Zastanawiała się dłuższą chwilę, by potem odpowiedzieć:

— W porządku.

Chciała to jak najszybciej mieć za sobą, udowodnić, że ma dość siły, aby mu się oprzeć, aby nie ulec jego magnetyzmowi, aby go nie zapragnąć. To musiało być możliwe. Czowała się jak uleczony z nałogu alkoholik, który wchodzi do baru tylko po to, aby dowieść samemu sobie, że potrafi wytrzymać bez picia.

— Chcesz, żebym po ciebie podjechał?

Odmówiła, ustalili więc, że spotkają się od razu w restauracji

— zaproponował Gioyanniego — o dwunastej trzydzieści.

Gdy nazajutrz punktualnie przyszła na miejsce spotkania, bardzo szykowna w białym lnianym zakiecie i szerokim słomkowym kapeluszu, Joe już na nią czekał. Poderwał się z krzesła i pocałował ją w policzek. Był bardzo znany, natychmiast więc pobiegły w ich stronę zaciekawione spojrzenia innych gości, z których niejeden zadawał sobie pytanie, kim jest ta towarzysząca wielkiemu przemysłowcowi piękna kobieta w ogromnym kapeluszu.

— Zawsze wypadałem przy tobie dobrze — stwierdził żartobliwie Joe, kiedy siadali w swoim boksie. Wciśnięty w najgłębszy kąt sali, gwarantował im przynajmniej minimum intymności.

— I beze mnie prezentujesz się nie najgorzej — odparła z uśmiechem.

Stwierdziła z zaskoczeniem, że ten wypad na lunch już sprawia jej przyjemność, bo przecież — nie do wiary! — ostatni raz robiła coś takiego jeszcze przed narodzinami syna. Po wyjeździe Andy’ego całe jej życie skupiło się wokół Reeda; kochała go, ale przecież nie był partnerem do rozmów. Wszystkie swoje koleżanki zostawiła w Bostonie, a zresztą kontakty z większością z nich urwały się gwałtownie, kiedy pomagała Joemu organizować firmę, później zaś, skoncentrowana bez reszty na Andym i dziecku, nie miała czasu ani ochoty zawierać nowych przyjaźni.

Podczas lunchu rozmawiali o setkach spraw: o przedsiębiorstwie Joego, jego projektach, problemach, o najnowszym prototypie. Zaangażowany w rozliczne fascynujące przedsięwzięcia, żył na wysokich obrotach, zupełnie inaczej niż Kate, której spokojna codzienność została wyznaczona przez dziecko, męża i dom.

— Zamierzasz teraz podjąć pracę, Kate? — zapytał Joe. Podczas całego lunchu zachowywał się jak stuprocentowy dżentelmen i Kate nie odczuwała w jego towarzystwie żadnego zakłopotania.

— Chyba nie — odparła. — Wolę być w domu z dzieckiem.

W istocie rozważała taką możliwość, lecz — nie odczuwając Bożej woli, by za wszelką cenę robić karierę zawodową — łatwo uległa Andy’emu, który upierał się, że nie powinna pracować w ogóle.

— Śliczny chłopczyk, ale niekiedy jego towarzystwo chyba cię nudzi — zawyrokował Joe. Roześmiała się głośno.

— Niekiedy, ale częściej bawi.

— Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, Kate — powiedział, szukając spojrzeniem jej oczu.

Pochyliła głowę. Nie chciała rozmawiać z Joem o swoim życiu, bo otworzyłoby to siłą rzeczy zbyt wiele furtek do przeszłości. Nie chciała również rozmawiać o Andym, bo podejmując taką rozmowę, dopuszczałaby się wobec niego nieuczciwości. Wiedziała, że Andy nie byłby zachwycony jej spotkaniem z Joem, choć może zrozumiałby jej motyw. Poza tym lunch

przebiegał całkiem nieszkodliwie, rozmawiali przecież głównie o awiacji. To był nadal ulubiony temat Joego, a i Kate nadal wiedziała o nim sporo.

Kiedy po wyjściu z restauracji podjechali limuzyną pod biurowiec Joego, Kate aż westchnęła na widok ogromnego drapacza chmur wypełnionego od parteru po najwyższe piętro ludźmi zatrudnionymi albo w firmie projektowo-produkcyjnej, albo w powstających liniach lotniczych. W ciągu pięciu lat Joe stworzył imperium.

— Mój Boże, Joe, któż by pomyślał, że zajdziesz tak daleko — Kate nie kryła podziwu.

— Zdumiewające, kiedy człowiek pomyśli, że zaczynałem jako szczeniak pałający się w pobliżu lotniska. Ale taki już jest ten kraj. Jestem mu wdzięczny.

Poruszył ją ton pokory w jego głosie.

— Masz powody do wdzięczności.

Imponujące było również biuro Joego na ostatnim piętrze: z jego okien rozpościerał się widok na cały Nowy Jork i człowiek istotnie doznawał tu wrażenia, że leci. Ściany pokrywała boazeria, na wystrój zaś składały się angielskie antyki i doskonałe obrazy, wśród których Kate rozpoznała kilka płócien najwyższej klasy. Joe wykazał się doskonałym gustem. Był zresztą kimś zupełnie wyjątkowym, a wkrótce miał się stać jednym z najbogatszych ludzi świata. Lecz sukces, jaki odniósł, Kate mogłaby z nim dzielić tylko na jego warunkach — bez małżeństwa i bez dzieci. Te warunki były dla niej nie do przyjęcia, obojętne, jak mocno go kochała. Woląca swoje życie z Andym i dzieckiem. Pieniądze zresztą nie imponowały jej nigdy — za coś nieporównanie ważniejszego uważała miłość, oddanie i dzieci. Miała teraz to wszystko. Z Joem nie miałaby nigdy. Już dawno pogodziła się zmysłą, że człowiek może zrealizować zaledwie część swych marzeń.

W sali konferencyjnej Joe przedstawił Kate kilku swoich współpracowników. Jego sekretarka Hazel, która pracowała w firmie od samego początku, natychmiast rozpoznała Kate, uradowała się na jej widok i oświadczyła:

— be powiada, że niedawno urodziłaś dziecko. Wcale tego po tobie nie widać.

Kate podziękowała za komplement.

Pod koniec zwiedzania wrócili jeszcze na kilka minut do biura Joego, ale w tym czasie Kate niecierpliwie zerknęła już na zegarek. Zbliżała się pora karmienia Reeda, poza tym obiecała opiekunce, że wróci najpóźniej o wpół do czwartej; było już kilkanaście minut po trzeciej.

— Dziękuję za wspólny lunch — rzekł Joe, kiedy niedwuznacznie dała mu do zrozumienia, że musi się zbierać.

— Chyba chciałam udowodnić jakoś nam obojgu, że możemy Zostać przyjaciółmi — odparła.

— No i co? Zdałem? Zdaliśmy? — zapytał niewinnie i z nadzieją w głosie.

— Ty nie musiałeś niczego zdawać, Joe — powiedziała bez ogródek. — Chodziło o mnie. I chyba zdałam.

— Myślę, że zdaliśmy oboje, i to na piątkę — stwierdził zadowolony.

— Miejmy nadzieję.

Uznał, że w swym ogromnym słomkowym kapeluszu, spod którego błyskały ku niemu roztańczone oczy, jest najpiękniejszą istotą na świecie. Fascynowało go w niej wszystko, była tak pełna życia, tak młoda, tak śliczna. Nie mógłby od kobiety oczekiwać niczego więcej. Ona jednak oczekiwała od niego więcej, niż mógł jej dać. Znacznie więcej.

Pocałowała go w policzek, a wtedy zamknął oczy, wdychając aromat jej perfum. Bolesnie znajomy. Pamiętali siebie aż za dobrze, wspomnienia wtopiły się w ich ciała, krew, dusze.

— Umówmy się znowu na lunch — zaproponował, kiedy zjeżdżali windą do czekającej już limuzyny.

— Chętnie — odparła cicho.

Zamknął za nią drzwi auta, a kiedy odjechało, długo machał Kate na pożegnanie. Potem wrócił na górę, usiadł przy biurku i gorączkowo zaczął szkicować samoloty.

Tydzień później wieczór był wyjątkowo upalny; ułożywszy dziecko do snu, Kate oglądała telewizję przy włączonej klimatyzacji. Wtedy zadzwonił Joe, czym ją nieco zaskoczył. Lunch przebiegł niespodziewanie dobrze, był sympatyczny, trochę pogodny, trochę melancholijny, a przede wszystkim nie przemienił się w katusze dla żadnego z nich dwojga — lecz przecież z radością wróciła do domu, swojego synka i listu od Andy’ego, dochodząc do wniosku, że Joe już nieodwracalnie stanowi ogniwo przeszłości. Być może odruchowo przypisała Joemu taką samą refleksję.

— Co tam porabiasz? — zapytał leniwie.

— Oglądam telewizję — powiedziała, wciąż nie mogąc się otrząsnąć z zaskoczenia.

— Nie miałabyś ochoty wyskoczyć na hamburgera? Nudzę się jak mops — wyznał. Zachichotała.

— Z największą przyjemnością, ale nie mam z kim zostawić Reeda.

— Weź go ze sobą.

Ten pomysł rozbawił ją jeszcze bardziej.

— To nie wchodzi w grę, Joe. Śpi, a jeśli go obudzę, będzie płakać przez kilka godzin i na pewno zepsuje ci wieczór.

— Racja. Zepsuje bankowo. Jadłaś już coś?

— Powiedzmy. Dokładnie rzecz biorąc, lody. Przy tym upale mam kiepski apetyt.

— A gdybym tak przyniósł hamburgery? — zaproponował.

— Tu?

— A gdzie indziej?

Pomysł, by zapraszać go do domu, który ona, Kate, dzieli z mężem i dzieckiem, wydał się jej nader osobliwy... Z drugiej jednak strony im obojgu doskwierała samotność, nie mieli nic do roboty — i byli przyjaciółmi. Dowiodła tydzień temu, że taki związek pomiędzy nimi jest zupełnie możliwy.

— Naprawdę chcesz? — zapytała.

— Jasne, przecież żadne z nas nie może umrzeć z głodu.

Uznawszy argument za sensowny, wyraziła zgodę. Oświadczył, że będzie za pół godziny.

Pojawił się po kwadransie z dwoma ogromnymi hamburgerami w papierowej torbie. Swego czasu za nimi przepadali, ale Kate już nie pamiętała, kiedy po raz ostatni jadła dawny przysmak, pałaszowała go więc tak łapczywie, że po chwili zarówno jej palce, jak i kuchenny stół pokrywał keczup.

— Jesz jak prosię — zauważył Joe.

— Wiem. Uwielbiam hamburgery — przytaknęła z chichotem, a potem oblizała palce i przy pomocy Joego papierowymi ręcznikami doprowadziła do porządku stół i podłogę. Na deser zaserwowała lody z zamrażarki. Było zupełnie jak za dawnych czasów, kiedy Joe zatrzymywał się u Jamisonów w Bostonie albo Kate jeździła do New Jersey. Trochę zapomniała przy Andym, jak cudownym kompanem jest Joe, który niczym wielki ptak ląduje czasem na ziemi, spędza na niej trochę czasu, a później podrywa się i znika. Zapomniała trochę, jak się lubili i jak bywał dla niej dobry. Ciężko pracowała, żeby zapomnieć.

Potrzebowała na to lat.

Po kolacji usiedli przed telewizorem. Kiedy Joe kopnięciem zrzucił buty, Kate spostrzegła, że jego skarpetki są w kilku miejscach dziurawe.

— Patrzcie, państwo — wykrzyknęła, krztusząc się ze śmiechu.

— Człowiek sukcesu nosi dziurawe skarpetki!

— Nie mam nikogo, kto by mi kupował nowe — odparł Joe, daremnie usiłując wzbudzić w Kate litość.

— Sam tego chciałeś, pamiętasz? Niech ci Hazel kupuje.

— Wcale tego nie chciałem. Po prostu nie chciałem się żenić tylko po to, żeby mieć całe skarpetki. Małżeństwo to wygórowana cena za przyzwoite skarpetki.

— Czyżby? Dlaczego?

— Nie wiem. Znasz mnie zresztą. Boję się uwiązania. Boję się, że coś przegapię albo ktoś zabierze mi zbyt wiele. Nie pieniędzy. Mnie samego. Jakąś część mnie, której nie mam ochoty oddać.

To był prawdziwy powód, dla którego nie poślubił Kate. Ale teraz już się jej nie bał, z przyczyn dla siebie niepojętych wreszcie jej zaufał. Też potrzebował na to wiele czasu.

— Nikt nie może ci zabrać czegoś, czego nie chcesz dać — stwierdziła Kate spokojnie.

— Ale może próbować. I chyba boję się, że podczas takiej próby moja osobowość się rozpadnie albo przestanę być sobą, bo utracę coś, co pozwala mi normalnie funkcjonować. Omal nie doszło do tego za sprawą Kate, gdy odchodząc zabrała Joemu część duszy, bez której było mu coraz trudniej żyć. Podejrzywał, że sama Kate nawet o tym nie wie. Marzył teraz, że odzyska i jedną, i drugą.

— Jesteś zbyt wielki, żeby przestać być sobą, Joe — zauważyła z powagą. — Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak wielki.

— A ja zawsze sądziłem, że raczej przeciętny — wyznał z chłopcym zakłopotaniem. — Czy też chciałem być przeciętny.

— Moim zdaniem tylko nieliczni widzą siebie takimi, jakimi naprawdę są. Jeśli chodzi o ciebie, masz wiele powodów do dumy

— odparła.

— Zrobiłem również wiele rzeczy, z których nie mogę być dumny

— powiedział otwarcie znów z tym swoim chłopcym wyrazem twarzy. Miał, w oczach Kate, stronę jasną i stronę ciemną; tę jasną kochała i zawsze będzie kochać, ta ciemna sprawiła jej kiedyś wielki ból. — Nie jestem na przykład dumny ze sposobu, w jaki cię potraktowałem. Zachowywałem się parszywie, wykorzystywałem cię do własnych celów, myślałem tylko o sobie. Ale budziłaś we mnie cholerny strach tą swoją bezgraniczną miłością. Czulem, że do niej nie dorastam, dręczyły mnie wyrzuty sumienia, wydawało mi się, że tkwię w mami. Więc chciałem umknąć i ukryć się przed tobą. Miałaś prawo ode mnie odejść, Kate. Omal mnie to wtedy nie zabiło, ale nie mam ci za złe. To dlatego nigdy nie zadzwoniłem, chociaż piekielnie mnie korciło. Miałaś prawo odejść. Z naszego związku nie wynikało dla ciebie nic dobrego. Nie mogłem ci dać tego, czego potrzebowałaś. Nie zdawałem sobie sprawy, jakim byłem szczęściarzem. Potrzebowałem wiele czasu, żeby dojść do siebie i jakoś wszystko poukładać.

— Miło mi, że to mówisz — odrzekła — ale z tego nic po prostu nie mogło wyjść. Teraz to pojmuję.

— Dlaczego? — zapytał, marszcząc czoło. Wyzwanie działało na Joego jak płachta na byka.

— Masz przed sobą wszystko, czego pragnęłam. — Szerokim gestem wskazała pokój, uśpione dziecko, zdjęcia Andy'ego. — Męża, dziecko, normalność. Ty od życia oczekujesz znacznie więcej: potęgi, sukcesu, emocji, samolotów. Aby to mieć, jesteś gotów złożyć w ofierze wszystko, nawet ludzi. Ja nie byłabym do tego zdolna.

— Gdybyś poczekała nieco dłużej, mogliśmy mieć wszystko, czego pragniemy oboje, a nawet znacznie więcej.

— Ze słów, które wtedy wypowiedziałeś, trudno było to wywnioskować.

— Bo to był zły moment, Kate. Zakładałem firmę i tylko o niej potrafiłem myśleć.

Wiedziała jednak, że jego awersja do małżeństwa i dzieci ma znacznie głębsze podłoże. Znała go lepiej, niż on znał siebie.

— A teraz? — zapytała sceptycznie. — Umierasz z niecierpliwości, żeby się ożenić i spłodzić gromadkę dzieci? — Uśmiechnęła się lekko.

— Nie sądzę. Uważam, że mówiłeś wtedy prawdę: nienawidzisz dzieci, nie chcesz żony.

— To zależy od kandydatki. Ale masz rację, nie umieram z niecierpliwości. Dawno temu znalazłem idealną kobietę i okazałem się dostatecznie durny, żeby ją utracić. Mówię serio, Kate. Byłem idiotą i chcę, żebyś o tym wiedziała.

Parsknęła śmiechem.

— Och, wiedziałam od początku, ale nie sądzę, żebyś ty wiedział.

— A potem dodała poważniejąc: — Dziękuję, że pozwoliłeś mi poznać swoje odczucia w tej kwestii, Joe. Biegiem wszystkich spraw rządzi przeznaczenie.

— Bzdura — wypalił. — Pewne rzeczy układają się tak a nie inaczej, bo się boimy, partaczymy je, jesteśmy głupi albo najzwyczajniej ślepi. Potrzeba wiele rozumu i odwagi, żeby postępować właściwie, Kate, a nie wszyscy są mądrzy i odważni. Czasem człowiek musi mieć dużo czasu, żeby wykombinować sobie, co i jak, ale kiedy już wykombinuje, jest za późno. Tylko że zawsze musi próbować naprawić to, co schrząnił. Nie może siedzieć na zadku nad spapraną robotą i pocieszać się, że wszystkim rządzi przeznaczenie. Tak postępują tylko durnie.

— Pewnych rzeczy nie da się zmienić — szepnęła. Wiedziała, do czego zmierza Joe, i chyba nie była tym zachwycona. Nie wierzyła w sensowność wskrzeszania przeszłości.

— Nie dałaś mi wtedy dość czasu — powiedział z mocą, wbijając spojrzenie w jej oczy, tej samej barwy co jego. Pod wieloma względami byli swoim zwierciadlanym odbiciem, pod wieloma zaś różnili się jak dzień od nocy, a przecież długo stanowili idealną całość.

— Po naszym rozstaniu czekałam dwa lata, zanim wyszłam za mąż

— rzekła surowo. — Miałaś aż nadto czasu i okazji, żeby zmienić zdanie i wyciągnąć do mnie rękę, a jednak tego nie zrobiłaś.

— Byłem wściekły. Prerażony. Zajęty. Nie doszedłem jeszcze do ładu ze swoimi uczuciami... — zawiesił głos, potem dodał z naciskiem:

— Ale teraz już tak.

Wyraz oczu Joego sprawił, że serce Kate zatańczyło jak oszalałe. Oto teraz, gdy była z innym, chciał, by do niego wróciła. Zawsze pragnął tego, co nieosiągalne.

— Naprawdę, Kate, zrozumiałem — podjął. — Mam wspaniałe życie, solidną firmę, ale bez ciebie to wszystko niewiele dla mnie znaczy.

— Joe, przestańmy rozmawiać na ten temat. Nie ma sensu.

— Ależ jest, Kate. Kocham cię.

I zanim zdołała zaprotestować, objął ją i pocałował. Doznała wrażenia, że przenosi się w inny świat, żeglując w kosmos, gdzieś kochasz?

— Kocham swojego męża — odparła uciekając spojrzeniem.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie—nie dawał za wygraną. W końcu popatrzyła mu w oczy. — Chcę wiedzieć, czy wciąż mnie kochasz.

— Zawsze cię kochałam — wyznała szczerze. — Ale ta miłość jest zła. I teraz niemożliwa. Jestem żoną innego mężczyzny.

Na jej twarzy malowała się udręka; nie chciała, żeby do tego doszło. Wmawiała sobie, że mogą zostać przyjaciółmi.

— Jakim cudem kochając mnie możesz być żoną Andy’ego?

— z niedowierzaniem i złością zapytał Joe.

— Bo nie sądziłam, że mnie kochasz, skoro nie chciałeś się ze mną ożenić...

Przechodziła przez to setki razy. Tysiące. Miliony. Teraz było za późno.

— Więc poślubiłaś pierwszego faceta, który się napatoczył?

— Mówisz obrzydliwie. Czekałam dwa lata.

— W moim wypadku dojście do pewnych wniosków trwało dłużej.

Jego słowa i argumenty nie miały dla Kate żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, co poczuła, kiedy ją pocałował, to, co ujrzała w jego oczach i co odezwało się w jej sercu. Wciąż

go kochała i zawsze miała kochać. Było to jak wyrok skazujący na dożywocie, od którego nie ma żadnego odwołania.

— Nie mogę tego zrobić Andy’emu — oświadczyła wprost. — Jest moim mężem. Mamy dziecko. — Wstała z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. — W tej chwili to, cośmy zrobili czy powiedzieli, nie ma najmniejszego znaczenia. robiliśmy to, powiedzieli. Ja odeszłam, bo chciałeś, żebym odeszła. „Gdyby było inaczej, próbowałbyś mnie zatrzymać albo później poprosił, żebym wróciła. Tylko tego zresztą pragnęłam przez dwa długie lata: żebyś poprosił. Ale ciebie figę to obchodziło, bo bawiłeś się swoimi samolotami. I byłeś zbyt wystraszony, że rozbiję twoją osobowość. Prawda wygięda tak, że cię bardzo, bardzo daleko. Po chwili wyrwała się z jego ramion — i znów pod stopami poczuła Ziemię.

— Joc, musisz już iść.

— Nie pójdę, dopóki mi czegoś nie powiesz. Czy wciąż mnie kocham i zawsze będę kochać. Lecz dla nas dwojga jest już za późno, Joe. Jestem żoną innego mężczyzny i muszę to uszanować, nawet jeśli ty nie masz najmniejszego zamiaru. Idź już, Joe. Nie mogę zrobić tego ani sobie, ani jemu. Bo niczym sobie na to nie zasłużyliśmy.

— Wymierzasz mi karę, bo nie chciałem się z tobą ożenić

—zawyrokował. Również wstał i z wyżyn swojego wzrostu posłał Kate spojrzenie pełne żalu.

— Wymierzam karę sobie, bo poślubiłam mężczyznę, który zasługuje na prawdziwą żonę, nie zaś kobietę zakochaną od lat w kim innym. To nieuczciwe. Musimy o sobie zapomnieć. Nie wiem, do cholery, jak to zrobić, chociaż Bóg mi świadkiem, że miałam się wszelkich sposobów. Ale przysięgam: zapomnę, choćby nawet miało mnie to zabić. Nie mogę być żoną Andyego, a jednocześnie kochać cię po kres moich dni.

— Więc go zostaw.

— Kocham go i nie zrobię tego. Właśnie urodziło się nam dziecko.

— Chcę, żebyś do mnie wróciła, Kate — powiedział nieznoszącym sprzeciwu tonem kogoś, kto zawsze jest w stanie przeforsować swoją wolę.

— Dlaczego? Właśnie dlatego, że jestem żoną innego faceta? Dlaczego akurat teraz? Nie jestem zabawką, samolotem czy spółką, którą chcesz kupić. Czekałam dwa cholerne lata, chociaż wszyscy powtarzali, że już dawno gnijesz gdzieś w Niemczech. Byłam smarkulą, lecz nie chciałam nawet spojrzeć na żadnego chłopaka. Bo czekałam na ciebie. A później, gdy oświadczyłeś, że nie zamierzasz się żenić, przez rok usychałam z tęsknoty za tobą. No więc dlaczego teraz?

— wyrzuciła z siebie zapłakana Kate. Pokręcił głową.

— Nie wiem. Wiem tylko, że jesteś częścią mnie. I nie chcę przez resztę życia męczyć się bez ciebie. Zbyt daleko zawędrowaliśmy razem. Znamy się od dziesięciu lat, kochamy od dziewięciu.

— No i co z tego? — prychnęła. — Powinieneś był zastanawiać się nad tym wcześniej. Teraz jest za późno.

— Bzdura! Nie kochasz go przecież. Czy tego właśnie pragniesz na resztę swojego życia?

— Tak! — powiedziała stanowczo, a potem, słysząc płacz dziecka, dodała: — Idź już, Joe. Muszę nakarmić syna.

— Czy przypadkiem nie powinnaś się przedtem uspokoić?

— Tak, ale nie mam już czasu — odparła.

Postąpił krok w stronę Kate i wytarł jej zapłakane oczy, a gdy zaczęła protestować i rozplakała się jeszcze mocniej, chwycił ją w ramiona. Znalazła się w ślepym zaułku: pragnęła tylko być z Joem, lecz nie mogła... Nie mogła porzucić Andy’ego, zabrać mu ich dziecka

— bez względu na to, jak mocno kochała Joego. Andy’ego również kochała, tylko inaczej.

— Wybacz... źle uczyniłem, przychodząc dzisiaj wieczorem
— odezwał się Joe tonem winowajcy.
— To nie twoja wina — zaproponowała, wycierając oczy. — Ja też cię chciałam zobaczyć. Nasze spotkanie w zeszłym tygodniu było tak cudowne... Och, Joe... co my teraz zrobimy? Przytulił ją i pocałował.
— Nie wiem, coś wymyślimy. — A kiedy poszła po Reeda, przyniosła go i ułożyła pomiędzy nimi na kanapie, popatrzył najpierw na niego, potem zaś na Kate i powiedział: — Wszystko się jakoś ułoży, pewnie zdołamy się spotkać od czasu do czasu.
— I na tym koniec? Będziemy nieustannie żałować, że nie jesteśmy razem. To nie jest żadne życie.
— Jest wszystkim, co mamy. Chwilowo. Może wystarczy.
Wiedziała jednak, że nie wystarczy na długo, że będą chcieli mieć coraz więcej tych wykradanych dla siebie chwil. Że kochając się, nie będą mogli być naprawdę razem. Postrzegala to jak torturę rozciągniętą na całe życie. Chciała być z Joem, gdy więc zorientował się, że musi nakarmić dziecko, i zapytał, czy ma już iść, odparła, żeby został, jeśli ma ochotę — chociaż wiedziała, że powinien wyjść. Nakarmiła Reeda w drugim pokoju, po powrocie zaś do salonu przekonała się, że Joe zasnął na kanapie przed telewizorem. Usiadła obok niego, musnęła jego włosy, delikatnie pogładziła twarz, tak dobrze znajomą. Należeli do siebie wiele lat, dużo wspólnie przeszli, łączyła ich potężna więź. Długo w milczeniu przyglądała się Joemu, aż wreszcie drgnął i otworzył oczy.
— Kocham cię, Kate — wyszeptał.
Uśmiechnęła się.
— Nie, nie kochasz — zaprzeczyła również szeptem. — Nie pozwolę ci na to. — Pocałowali się raz, potem drugi. — Idź już.
Skinął głową, ale nic nie wskazywało na to, że zamierza wstać z sofy. Zamiast tego całował Kate tak długo, że wnet przestała się przejmować, iż jej nie usłuchał. Teraz nie chciała, żeby wychodził. Nie chciała się z nim rozstawać, nie chciała skrzywdzić Andy'ego... Nie chciała żadnej z tych rzeczy, lecz pociągająca ich ku sobie magia była znacznie silniejsza niż oni. Joe wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Nie zdobyła się na protest, gdy rozbierał najpierw ją, potem siebie. Jak tyle razy przedtem.
Kochali się tak, jak tylko mogą się kochać ludzie spragnieni siebie od lat, którym los dopiero teraz pozwala to pragnienie zaspokoić. A potem, objęci i wtuleni w siebie, zapadli w głęboki spokojny sen.

ROZDZIAŁ XVII

Budząc się nazajutrz rano, Kate poczuła, że obok niej leży Andy; zaczęła odwracać się z uśmiechem i... zobaczyła Joego. Był to albo cudowny sen, albo koszmar. Kulminacja wszystkich lat miłości i wszystkich lat rozłąki. Nie miała pojęcia, co robić. Chyba zapomnieć o sobie, uznała, tak, to najlepsze wyjście. Joe obudził się kilka minut później i zareagował identycznie.
— Śnię? — wymruczał uśmiechnięty. — Czy może umarłem i trafiłem do nieba?

Jego sytuacja była prostsza: nie był żonaty, nikomu nie mógł zmarnować życia. Najwyżej sobie i Kate.

— Wyglądasz na obrzydliwie szczęśliwego — rzuciła oskarżycielsko, lecz jednocześnie przytuliła się do niego. Ranki, kiedy przytuleni w taki właśnie sposób, wiedli w łóżku długie rozmowy, były ich ulubioną porą dnia. — Chyba nie masz sumienia.

— Ani trochę—przyznał, całując Kate w czubek głowy. Od lat nie był tak szczęśliwy, w tej chwili świat wydawał mu się naprawdę piękny.

— Jak tam synek? Powinien jeszcze spać o tej porze?

— Wszystko w porządku — zapewniła wzruszona jego troską.

— Reed to straszny śpioch.

Bez zwłoki więc wykorzystali tę okoliczność. To było jak sen, było tak, jakby nigdy się nie rozstawali. Dojrzeli wprawdzie przez ostatnie trzy lata, Kate miała dziecko i męża, tego jednak, czego doznawała z Joem w łóżku czy gdziekolwiek indziej, nie mógł jej dać żaden inny mężczyzna. Sami nie rozumieli prawdziwej głębi swych uczuć, były bowiem czymś na kształt wszechpotężnego pierwotnego instynktu.

Musieli być razem — odmienni, wiodący odrębne życie, byli jednak w części jedną istotą. Nic lub prawie nic nie musieli sobie wyjaśniać, słowa bowiem były zaledwie przykrywką rzeczywistych uczuć. Jakimiś przeprosinami, jakimiś obietnicami, których już nie mogli dotrzymać. Słowa nie miały znaczenia. Wiązało ich ze sobą to, co niewysłowione.

Reed obudził się wreszcie z dziarskim płaczem, Kate nakarmiła go więc, kiedy Joe brał prysznic, potem przyrządziła śniadanie. Joe miał ochotę celebrować je, a nawet spędzić cały dzień z Kate i jej synkiem — do którego robił miny, gdy ten uśmiechał się ze swojego fotelika — w pewnym momencie jednak oznajmił z zalem, że musi już iść, bo ma przed południem ważne spotkanie.

— Może umówimy się na lunch? — zapytał, nakładając marynarkę.

— Co my wyprawiamy, Joe? — odpowiedziała pytaniem. W jej przepastnych oczach czaił się lęk. Wciąż jeszcze mogli powiedzieć „dość”, chociaż za ten jeden moment słabości Kate będzie pokutować całe życie. Ale przynajmniej nie dokonają wokół siebie spustoszeń... Kate do stracenia miała więcej niż Joe, znacznie więcej, to ona więc powinna podjąć decyzję. W głębi duszy jednak wiedziała, że nie zniesie ponownej utraty Joego. Wiedziała, że już jest za późno.

— Sądzę, że postępujemy najlepiej jak można, Kate. Że nie mamy innego wyjścia. Jakoś się wszystko ułoży.

Pułapki czyhające w przyszłości widział tylko wtedy, kiedy projektował i budował samoloty.

— To niebezpieczne — rzekła, wyglądając kłapy jego marynarki. Uwielbiała jego powierzchowność: wzrost, rzeźbione rysy, dołek w brodzie, męskie szerokie bary, długie nogi, oczy, które śledziły każdy jej ruch. Był jej narkotykiem, największym marzeniem, potęgą zbyt wielką, aby mogła się kusić o podjęcie z nią walki. On postrzegał ją tak samo. Oczarowała go od pierwszego momentu i odtąd przyciągała w taki sam sposób, jak płomień wabi ćmę.

— Życie jest niebezpieczne, Kate — odparł spokojnie, całując ją znowu. — Może zresztą bez niebezpieczeństw nie ma żadnej wartości. Dobre rzeczy mają wysoką cenę. Nigdy nie bałem się płacić za to, czego pragnę lub w co wierzę. — Tak, pomyślała Kate, ale tym razem mogli zapłacić nie tylko życiem swoim, lecz życiem innych ludzi. — Zjemy razem lunch?

Po chwili wahania skinęła głową. Pragnęła wykorzystać każdą okazję, aby z nim być.

— Załatwię opiekunkę. Gdzie chcesz się spotkać?

Zaproponował Le Payillon, jedną z jej ulubionych restauracji. Umówili się na dwunastą.

Kiedy wyszedł, nakarmiła dziecko, potem usiadła na sofie. W pokoju oprócz wielkiego zdjęcia ze ślubu było mnóstwo fotografii Andy’ego, który w tej chwili wydawał się Kate

dawno prześnionym snem. Kocham go, powtarzała sobie, jest moim mężem... Ale w porównaniu z Joem sprawiał wrażenie chłopca, dawniej i teraz. Joe działał na nią jak narkotyki uzależniający od pierwszego razu. Kusili niebezpieczeństwo, prawda, lecz w tej właśnie chwili Kate miała całkowitą pewność, że szczęście, którym mogą się obdarować, jest warte każdego ryzyka.

Położyła dziecko do kołyski, umówiła się telefonicznie z opiekunką a w południe ubrana w jasnozieloną jedwabną sukienkę, do której przypięła bladoszmaragdową broszkę podarowaną wiele lat temu przez matkę, spotkała się z Joem w Le Payillon. Wyglądała prześlicznie i zwiewnie, sukienka wspaniale podkreślała ciemnokasztanową barwę włosów. Joe, tak samo jak podczas pierwszego spotkania dziesięć lat wcześniej, wbił w nią cielecy wzrok, kiedy wkroczyła na salę. Umawianie się w miejscach publicznych niosło ze sobą pewne niebezpieczeństwo, uznali jednak zgodnie, że wzbudza znacznie mniejszą podejrzliwość niż ukradkowe randki, na których ktoś mógłby zobaczyć ich przypadkowo.

— Czy mam przyjemność z panem Allbrightem? — zapytała szeptem, siadając obok Joego. Uśmiechnął się szeroko. Uwielbiał jej wygląd, sposób poruszania się, zapach. Stanowili zresztą olśniewającą parę.

— Chcesz polatać w najbliższy weekend? — zaproponował w połowie lunchu. Samoloty Joego budziły w niej szczerzy zachwyt, a ostatni raz leciała samolotem trzy lata temu. Joe dodał, że właśnie wczoraj odebrał z fabryki pierwszy egzemplarz najnowszej awionetki. — Przypadnie ci do gustu, Kate — stwierdził z tym swoim chłopięcym uśmiechem.

— Chętnie.

Miała do dyspozycji trzy i pół miesiąca, nie miała natomiast do roboty nic lepszego. Należało wykorzystać darowany im czas, opieranie się własnym pragnieniom było bez sensu. Kate postanowiła, że da się unieść nurtowi przeznaczenia.

Po długim lunchu, podczas którego zachowywali się z wielką powściągliwością, podążyli każde w swoją stronę: Joe do biura, Kate do domu, żeby zabrać Reeda na spacer. W mieszkaniu znalazła list od Andy'ego, żartobliwy, ale również przepełniony miłością i tęsknotą, bolesną dla Kate jak nóż wbijany w serce. Długo siedziała zapłakana z listem w dłoniach. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, wiedziała, że postępuje źle, lecz nie potrafiła postawić tamy owemu złu. Mimo swych uczuć wobec Andy'ego potrzebowała Joego jak powietrza.

Dziecko spało już od dawna, kiedy wieczorem wrócił Joe, wymęczony ciężkim dniem w biurze. Nalała mu szkockiej z wodą sodową, sobie zaś kieliszek wina, i dopiero wtedy powiedziała:

— Dostałam dziś list od Andy'ego. Czuję się okropnie. Jeśli Andy kiedykolwiek się o nas dowie, pęknie mu serce. Albo zażąda rozwodu.

— I dobrze. Wtedy się z tobą ożenię — odparł. Rozwahał taką możliwość cały dzień, niemal podjął ostateczną decyzję, chociaż początkowo nie miał zamiaru od razu obwieszczać jej Kate.

— Mówisz tak tylko dlatego, że jestem mężatką — stwierdziła z niewesołym uśmiechem. — Gdybym była wolna, umknąłbyś gdzie pieprz rośnie.

— Daj mi szansę.

— Nie mogę.

— Więc nie rozmawiajmy o tym na razie i cieszymy się tym, co mamy.

Dokładnie tak postąpili.

Przez następny miesiąc kilka razy w tygodniu jadali ze sobą lunchy, codziennie w domu lub restauracjach kolacje, w weekendy latali, poza tym chodzili do kina, kochali się, rozmawiali, żartowali i w ogóle budowali wokół siebie własny mały świat. Joe zaczął się nawet bawić z Reedem i był szalenie podekscytowany, gdy odkrył, że rośnie mu pierwszy ząbek. Było tak,

jak gdyby stanowili idealną rodzinę, a Andy w ogóle nie istniał. Wszelako o tym, że istnieje, przypominały Kate

cotygodniowe wizyty teściowej; przed każdą z nich — matka Andy'ego zawsze przychodziła we wtorki — Kate z wielką starannością usuwała z mieszkania wszelkie ślady obecności Joego. Wychodząc na miasto zawsze zachowywali się dyskretnie i powściągliwie, aby postrzegano ich wyłącznie jako parę dobrych przyjaciół. Byli nierozłączni.

Kate pisywała do Andy'ego niemal codziennie, były to jednak listy, jak sama dobrze czuła, drętwe: o sobie nie wspominała prawie wcale, całą uwagę koncentrując na Reedzie. Miała nadzieję, że Andy się w niczym nie zorientuje. Andy z kolei fascynująco opisywał w swoich listach toczące się procesy, ale również podkreślał, jak bardzo ją kocha, jak bardzo tęskni i jak bardzo pragnie już wrócić do niej i do dziecka. Każde jego słowo przyprawiało Kate o dojmujący ból serca. Nie miała pojęcia, co robić, w końcu więc postanowiła, że — zgodnie z sugestią Joego — podjęcie jakichkolwiek ostatecznych decyzji zostawi na jesień.

Obiecała rodzicom, że w sierpniu spędzi z nimi tydzień na Cape Cod. Najchętniej nie pojechałaby w ogóle, bo myśl o pozostawieniu Joego na kilka dni napawała ją przerażeniem, zdawała sobie jednak sprawę, że jeśli zawiedzie i nie pojawi się z dzieckiem, pomyśli, iż stało się coś złego, przyjadą do Nowego Jorku i zastaną w jej mieszkaniu Joego, który wprowadził się pod koniec lipca. Uznała więc, że nie ma wyjścia. Uzgodnili, że to ona będzie dzwonić do niego, gdyby bowiem jego telefon odebrała Elizabeth, rozpętałoby się piekło. Kate czuła się osobliwie z tymi wszystkimi kombinacjami i knowaniami, wcale nie była z nich dumna, ale skoro zdecydowali się na potajemny romans, musieli zaakceptować ograniczenia, jakie narzucał.

Piątego dnia jej pobytu na Cape sąsiedzi urządzili tradycyjne doroczne barbecue. Kate poszła na nie z rodzicami, pozostawiwszy Reeda pod opieką niani. Była w doskonałym nastroju, bo już tylko dwa dni dzieliły ją od spotkania z Joem. Nie mogła się doczekać.

Piła drinka na tarasie tuż za wydmami, kiedy go zobaczyła. Szczęśliwie nie musiała okazywać zaskoczenia, bo była w tym momencie wręcz zaszokowana. Joe, jak okazało się później, wpadł do swoich znajomych z Cape i razem z nimi przyszedł na imprezę. Gospodarze ucieszyli się z jego wizyty, zapamiętali go bowiem z barbecue sprzed kilku lat. Joe Allbright nie był zresztą człowiekiem, którego zapominało się łatwo, a w tej chwili znał go cały kraj. Przemierzał wolniutko taras, ściskając ręce i wymieniając pozdrowienia, kiedy spostrzegła go Elizabeth.

— Co on tu robi? — oskarżycielskim tonem rzuciła do Kate.

Kate odwróciła głowę, żeby matka nie mogła widzieć jej twarzy.

— Nie mam pojęcia — odparła. Przyjście Joego na barbecue uznała za głupotę. Było kuszeniem losu.

— Wiedziałaś, że przyjdzie?

Kate zobaczyła, że do Joego podchodzi Ciarke i kordialnie go wita. Zapewne uznał, że skoro Kate jest teraz żoną innego mężczyzny, najwyższy czas puścić przeszłość w niepamięć i wznowić serdeczne stosunki.

— Skąd mogłam wiedzieć, mamó? Ma tu przyjaciół, bywał już wcześniej.

— Dziwne jednak, nie było go przez ostatnie trzy lata. Może chce się z tobą spotkać?

— Wątpię.

Stała odwrócona do niego plecami, ale czuła, że się zbliża. Czuła również na sobie przenikliwe spojrzenie matki. Miała nadzieję, że się niczym nie zdradzą, choć nie ufała zbytnio ani swoim, ani Joego zdolnościom aktorskim. Zwłaszcza swoim. Poza tym Elizabeth znała ją aż za dobrze.

Joe dotarł w końcu do miejsca, gdzie stały, uprzejmie skłonił głowę, Elizabeth zaś niechętnie podała mu dłoń, świdrując go przy tym lodowatym spojrzeniem.

— Witam, Joe — powiedziała oziębło.

Jego spojrzenie natomiast było ciepłe jak promienie lipcowego słońca.

— Witam, pani Jamison. Jakże miło panią widzieć. — Potem zwrócił się w stronę Kate, która tylko dzięki żelaznej samodyscyplinie zdołała zachować spokojną twarz. — I ciebie, Kate. Słyszałem, że masz dziecko. Gratulacje.

— Dziękuję — rzuciła obojętnie, wykręciła się na pięcie i odeszła, mając nadzieję, że tym sposobem zamydli matce oczy i uśpi jej czujność.

Tak przynajmniej wytłumaczyła Joemu swoje postępowanie później, kiedy stojąc obok siebie na plaży piekli kielbaski nad

ogniskiem. Ściśle rzecz biorąc, starym zwyczajem Kate przemieniała je w węgiel.

— Twoje przyjście to czyste szaleństwo — wyszeptła. — Jeśli się czegoś domyślą, dostaną apopleksji.

— Tęskniłem za tobą. Musiałem cię zobaczyć — odparł z chłopcą żarliwością.

— Przecież za dwa dni będę w domu — stwierdziła. Doznawała nieprzeparanej pokusy, żeby go objąć i pocałować, a jednak nawet nań nie patrzyła.

— Uważaj, przypalasz kielbaskę — ostrzegł, a Kate parsknęła śmiechem. W tej samej chwili zorientowali się, że obserwuje ich Elizabeth.

— Nienawidzi mnie jak zarazy — zauważył Joe.

To, że ze sobą rozmawiali, nie było jeszcze niczym nagannym, ale nie ulegało wątpliwości, że dezaprobata Elizabeth jest bezgraniczna. Gdyby wzrok mógł zabijać, Joe leżałby już martwy, gdyby mógł przenosić z miejsca na miejsce, Joe byłby na drugim końcu kuli ziemskiej.

Być może właśnie irytacja i gniew przyprawiły Elizabeth o okrutną migrenę; tak czy inaczej Jamisonowie dość wcześnie musieli wrócić do domu, dzięki czemu, tak samo jak wiele lat temu, Kate i Joe mieli okazję wymknąć się ukradkiem na spacer plażą.

Wiele wspólnie przeżyli, dziesięć lat to mnóstwo czasu, to coś, czego nie można zbagatelizować. Ponieważ jednak nie byli małżeństwem, matka Kate lekce sobie ważyła ich uczucia. Z jej punktu widzenia były to lata zmarnowane. Nigdy zresztą nie ukrywała przed Kate swej opinii. Kate postrzegała te lata zupełnie inaczej: były najlepszymi w jej życiu. Były czymś równie cudownym jak ten spacer po plaży, kiedy szli niespiesznie w świetle księżycy, leżeli na piasku, tulili się i całowali.

Przez całą drogę powrotną trzymali się za ręce i puścili je dopiero wtedy, kiedy na tle ogniska zamajaczyły przed nimi sylwetki innych gości. Od tego momentu znów zachowywali się powściągliwie. Kate wyszła z imprezy wcześniej niż Joe; kiedy wróciła do domu rodziców, Reed już spał i nawet nie dopominał się pokarmu, położyła się więc do łóżka i rozmyślała długo w noc — ° sobie, Joem i o paradoksach życia.

Mieli wszystko, czego kiedyś pragnęli: ona dziecko, Joe zaś sukces

— a przecież nie sposób było złożyć z tego wszystkiego jakiejś spójnej całości. Chyba że kosztem cudzej krzywdy. Miała wrażenie, że błądzą w labiryncie bez wyjścia.

Wstała wcześniej rano i z synkiem na rękach cichutko zeszła do kuchni, starając się nikogo nie obudzić. Nie było to łatwe, Reed bowiem nieustannie pisał, gaworzył, śmiał się i wydawał dziesiątki innych odgłosów. Wysiłki Kate okazały się jednak niepotrzebne, w kuchni bowiem nad filiżanką herbaty i lokalną gazetą siedziała już Elizabeth. Nie podnosząc znad niej głowy zapytała tak dla siebie typowym oskarżycielskim tonem:

— Wiedziałaś, że się wczoraj pojawi, czyż nie? — i dopiero wtedy spojrzała córce w oczy.

— Nie, nie wiedziałam — odparła zgodnie z prawdą Kate. — Daję słowo, nie miałam najmniejszego pojęcia.

— Coś się między wami dzieje, Kate. Czuję pismo nosem. Nigdy nie spotkałam dwojga ludzi zauroczonych sobą do tego stopnia. Czuję to nawet wtedy, kiedy stoicie w dwóch przeciwległych kątach pokoju. Przyciąga was ku sobie jakiś zwierzęcy instynkt. Po prostu jedno nie może zostawić drugiego w spokoju.

— Prawie z nim wczoraj nie rozmawiałam — zaproponowała Kate, podając dziecku małe kawałki banana, który Reed natychmiast wepchnął do buzi.

— Wcale nie musisz z nim rozmawiać, Kate. On cię czuje wszystkimi zmysłami tak samo, jak ty czujesz jego. To niebezpieczny człowiek. Nie dopuszczaj go blisko siebie, bo zmarnuje ci życie. Przychodząc tu, popełnił gruby nietakt, przyszedł zaś, bo wiedział, że cię spotka. Jestem zdumiona, że miał czel... Chociaż nic mnie już nie jest w stanie zadziwić — zakończyła gniewnie swoją perorę.

— Ani mnie — stwierdził pogodnie Clarke, wkracząc do kuchni. Pocałował wnuka, potem spojrzał na żonę i córkę. Domyślił się, że doszło pomiędzy nimi do jakiegoś spięcia, ale nie próbował ani odgadywać powodu, ani tym bardziej się wtrącać. Wolał trzymać się na dystans od ich kłótni. — Cieszę się ze spotkania z Joem. Czytałem o tych jego liniach lotniczych. To będzie... już zresztą jest, olbrzymi sukces. Mówił mi, że zamierza pootwierać biura w całej Europie. Któż by pomyślał pięć lat temu, że zajdzie tak daleko? Elizabeth włożyła swą filiżankę do zlewu i zmierzyła męża zimnym wzrokiem.

— Sądzę, że zachował się bezczelnie, przychodząc na wczorajszą imprezę — powtórzyła na użytek Clarke'a swą wcześniej wyrażoną opinię.

— A to dlaczego?

— Wiedział, że spotka Kate. A Kate jest teraz mężatką, Ciarke, nie powinien więc się za nią uganiać po całych Stanach. — Ani z nią mieszkać, dodała w myślach Kate. — Wie o tym, a jednak się narzuca.

— Nie wygłupiaj się, Liz, ich związek to już historia. Kate wyszła za męża, Joe ma zapewne inną kobietę. Czy się ożenił, Kate?

— Nie sądzę, tato. Zresztą nie wiem.

— Ale widziałam wczoraj, jak rozmawialiście ze sobą na plaży

— z naciskiem powiedziała Liz.

— Cóż w tym złego? — zdziwił się Clarke. — Joe to przyzwoity gość.

— Gdyby był przyzwoity, poślubiłby naszą córkę, zamiast kazać jej na siebie czekać podczas wojny, a potem wykorzystywać przez dwa lata po powrocie do kraju — syknęła Liz. — Dzięki Bogu, że Kate odzyskała zdrowe zmysły i wyszła za innego. Szkoda, że wczoraj nie było tu Andy'ego.

— Szkoda — zgodziła się Kate, ale w jej oczach matka dostrzegła coś niepokojącego, coś, w czym domyślała się zasłony narzuconej na głęboko skrywaną tajemnicę. Tą tajemnicą, uznała, mógł być tylko Joe.

— Okażesz się idiotką, jeśli wdasz się z nim w coś, Kate. Wykorzysta cię, nigdy nie poślubi, ty złamiesz Andy'emu serce. Zapamiętaj moje słowa. Powtarzała je wiele razy i jak dotąd miała rację. Ale przecież teraz, pomyślała Kate, Joe naprawdę zaproponował jej małżeństwo... Chociaż nietrudno złożyć taką propozycję kobiecie zamężnej.

Chwilę później wyszła z dzieckiem na ganek i zobaczyła, że wysoko nad jej głową mały samolot wykonuje karkołomne ewolucje. Uśmiechnęła się nieznacznie. Po kilku sekundach na ganku zjawił się Clarke, podążył wzrokiem za spojrzeniem córki i stwierdził:

— Śliczna awionetka.

— Jego najnowszy projekt — wyjaśniła Kate, zanim zdążyła ugryźć się w język. Ciarke popatrzył na nią spod uniesionych brwi.

— Skąd to wiesz, Kate? — zapytał, lecz z jego głosu nie przebijało nic poza zwykłym zainteresowaniem.

— Powiedział mi wczoraj wieczorem. Usiadł obok niej i poklepał ją po dłoni.

— Przykro mi, że się wam nie udało, Kate. Czasem już tak bywa. Ale twoja matka ma rację, byłoby bardzo źle, gdybyś znów zaczęła z nim kręcić.

— Nie zrobię tego, tato.

Wstydziła się, że musi go okłamywać, ale nie miała wyboru.

I wiedziała, że to, co robią z Joem, jest złe, lecz całkowite zerwanie z nim było po prostu niemożliwe. Każde z nich, aby naprawdę być sobą potrzebowało tego drugiego; bez siebie byli niepełni i kalecy. Na podjęcie decyzji o tym, co zrobią po powrocie Andy’ego, miała jeszcze dwa miesiące. Mieli dwa miesiące.

Wciąż wykonywał akrobacje powietrzne, a kiedy wszedł w śmiertelnie niebezpieczny korkociąg, Kate poderwała dłoń do ust, pewna, że za chwilę rozbije się o ziemię. Clarke cały czas obserwował jej oczy. Było gorzej, niż sądził. Chyba Liz miała rację. Jednakże nie zadawał żadnych pytań.

Wróciła do domu następnego dnia, a Joe zadzwonił, ledwie przestąpiła próg mieszkania.

Złajała go za wczorajsze popisy, ale tylko się roześmiała.

— Przechodzenie przez nowojorską ulicę jest znacznie ryzykowniejsze, Kate — oświadczył z rozbawieniem. — Rodzice bardzo dali ci w kość?

— Tylko mama. Czegoś się domyśla.

— Jest nad podziw spozregawcza — stwierdził z uznaniem.

— Coś wypaplałaś?

— Oczywiście, że nie. Byliby przerażeni. A kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że ja już jestem.

Nie podobał mu się ton jej głosu. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, bo przecież Bogu ducha winny Andy stawał się ofiarą przekonania Joego,

że skoro był w życiu Kate pierwszy i skoro łączył ją z nim długoletni związek, ma do niej wszelkie prawa. Ale to Andy poślubił ją rok temu i za jego sprawą urodziła dziecko.

Tylko że nie miał jej serca, bo ono od zawsze i na zawsze należało do Joego.

— Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli przyjdę i dzisiaj? — zapytał ze wzruszającą pokorą.

Mimo wyrzutów sumienia nie potrafiła odmówić.

Kiedy zjawił się pół godziny później, natychmiast poszli do łóżka. Ich wzajemne pożądanie było jak zmiatająca wszystko na swej drodze fala przyływu. Gdy przechodziła, mogli tylko wyczerpani leżeć na brzegu, gorączkowo chwytając powietrze w unoszone przyspieszonym oddechem piersi. Tydzień bez siebie wydawał się im wiecznością.

Nadszedł wrzesień; Joe musiał kilka dni spędzić w Kalifornii, a nieco później parę następnych w Newadzie, gdzie oblatywano nowy prototyp. Namawiał Kate, aby mu towarzyszyła, wolała jednak nie jechać, obawiając się, że pod jej nieobecność mógłby zadzwonić Andy. Robił to wprawdzie rzadko, najwyżej raz w miesiącu, ale nigdy nic nie wiadomo.

W końcu września minęły dwa miesiące, odkąd Joe zamieszkał u Kate. Ich życie stało się tak unormowane i spokojne, że zachowywali się i czuli jak małżeństwo. Pewnego razu niewiele brakowało, żeby kompletnie zrelaksowany Joe odruchowo odebrał telefon; Kate wyrwała mu słuchawkę w ostatniej chwili i był to prawdziwy cud, bo okazało się, że dzwoni Elizabeth.

Podczas weekendu sporo latali, w tygodniu Kate często chodziła z Joem do pracy, a on zupełnie serio prosił ją o rady i w wielu przypadkach brał je pod uwagę. Pracownicy biura traktowali ją tak, jakby była jego żoną. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności — po części zaś za sprawą wakacji, które wyludniły miasto — nie spotkali żadnych znajomych ani w restauracjach, ani w kinach, ani na spacerach. Nawet po Święcie Pracy wciąż dopisywało im szczęście. Żyli w rytmie, jaki idealnie odpowiadał obojgu.

W połowie października Kate poczuła się tak, jakby ziemia zaczęła się jej usuwać spod nóg: Andy oznajmił telefonicznie, że wkrótce wraca do kraju. Dziękował żonie, że była wyrozumiała, że tak świetnie dawała sobie radę, że nie poskarżyła się na swój los ani razu. Że słała doń cudowne listy ze wspaniałymi zdjęciami Reeda, który z dnia na dzień staje się coraz

bardziej podobny do matki. Przebieg procesów, w których uczestniczył, uznał za wysoce zadowolający, na koniec zaś wyraził nadzieję, że zobaczą się za dwa tygodnie.

Wieczorem tego samego dnia Kate i Joe dyskutowali w kuchni przez wiele godzin.

— No i co zrobimy? — zapytała płaczliwie Kate. W chwili kiedy odezwała się skrzecząca rzeczywistość, cierpiała jak nigdy dotąd. Ktoś miał zostać skrzywdzony. Może nawet wszyscy... Może nawet jej syn. Nie było dobrych rozwiązań, ale w ciągu kilku dni należało podjąć jakąś decyzję.

— Chcę, żebyś za mnie wyszła — odrzekł cicho Joe. — Musisz się rozwieść. Możesz pojechać do Reno i zostać tam na trzy tygodnie. Pobierzemy się pod koniec roku.

Tylko tego zawsze od niego oczekiwała, ale żeby osiąść to teraz, musiała zmarnować Andy'emu życie. Zadać cios okrutny dla każdego, w przypadku Andy'ego zaś na domiar utrapień niezasłużony. Przecież nie ponosił żadnej winy za to, że znów padła ofiarą uroku Joego.

— Nie mam nawet pojęcia, co mu powiedzieć — stwierdziła, patrząc na Joego bezradnie. Wiedziała, że jej i jego rodzice przeżyją szok, ale Andyego czekała prawdziwa tragedia. Straszna, tym bardziej że niespodziewana.

— Powiedz mu prawdę — zasugerował trzeźwo Joe, który miał szansę być jedynym wygranym w tej sprawie, wymierzenie bowiem śmiertelności ciosu było zadaniem Kate.

— Bo jaki mamy wybór, Kate? Rozstać się znowu? Czy tego właśnie chcesz? — Już wcześniej doszli do wniosku, że to jedno z dwóch, poza rozwodem, możliwych rozwiązań: drugim był potajemny romans. Ale Kate nie wątpiła, że nieustanne napięcie, podstępny i kłamstwa wcześniej czy później doprowadziłyby ją do szaleństwa. Joe również odrzucał tę możliwość, chociaż z zupełnie innych względów: chciał być mężem Kate, a nawet ojczymem Reeda. — Współczuję mu, ale ma prawo wiedzieć.

— Czy poważnie myślisz o małżeństwie, Joe? — zapytała Kate. Dobrze pamiętała ostrzeżenia matki i dobrze знаła Joego, a także jego umiłowanie wolności i samolotów. Z drugiej strony kochał ją, poza tym dobiegał czterdziestki, być może więc dojrzał w końcu do stabilizacji. Musiała jednak zyskać w tej sprawie całkowitą pewność, jeśli miała prosić Andy'ego o rozwód. Będzie zrozpaczony tracąc i ją, i syna.

— Jak najpoważniej — odparł z mocą. — Najwyższy czas.

Dla niej najwyższy czas był trzy albo cztery lata temu. Może nawet pięć. Joe do swej decyzji dochodził długo, ale przecież w końcu ją podjął i nieważne, ile to trwało czy też jakie opory wewnętrzne musiał pokonać. Teraz wszystko zależało od niej; on na tym etapie mógł ją tylko zapewnić o stanowczości powziętych postanowień.

— Powiem mu, kiedy wróci do kraju — oznajmiła wreszcie Kate. Sama myśl, że musi to zrobić, przejmowała ją dreszczem, tylko nie miała innego wyjścia.

Zatrudniła opiekunkę i na cały weekend wyjechała z Joem do Connecticut, gdzie zatrzymali się w gospodzie na uboczu, w której Joe kiedyś nocował i udało mu się zachować incognito. Była to dla nich idealna kryjówka, Joego bowiem rozpoznawano nader często. Kate nie zareagowała zrazu, kiedy recepcjonistka zwróciła się do niej per „pani Allbright”; wtedy uświadomiła sobie, że kolejna zmiana nazwiska będzie doświadczeniem jeszcze dziwniejszym niż poprzednia, kiedy to po dwudziestu sześciu latach z Kate Jamison zmieniła się w Kate Scott. Miała wrażenie, iż jest na karuzeli. Tyle że sama chciała się na niej znaleźć. W przeddzień powrotu Andy'ego Joe zabrał z mieszkania wszystkie swoje rzeczy, ale i tak noc spędził z Kate. Ciężką noc. Reed, któremu wyrzynały się ząbki, nieustannie płakał, Kate była roztrzęsiona. Chciała już mieć wszystko za sobą, podjęła stanowczą decyzję, że rozmówi się z Andym natychmiast po jego przyjeździe do domu. Wyobrażała sobie, jak dramatyczny i rozziewający przebieg będzie miała ta rozmowa.

Przez ostatnie cztery miesiące żyła z Joem w sztucznym zamkniętym świecie, który dla siebie stworzyli, a z obawy przed dekonspiracją unikała jak ognia dawnych i nowych znajomych, nikt zatem nie odkrył dotąd prawdy. Za kilka tygodni jednak będą wiedzieli wszyscy. Po rozmowie z Andym zamierzała powiadomić rodziców i to również nie miało być przyjemnym doświadczeniem, chociaż wszystko przećwiczyła już w myślach. Przeznaczenie pchało ją ku Joemu i szkoda tylko, że będzie musiała zadać Andy’emu tyle bólu. Uświadomiła sobie, że nie powinna była za niego wychodzić, że robiąc to, dopuściła się wobec niego nieuczciwości. Lecz z drugiej strony nie śniła nawet, że Joe znowu pojawi się w jej życiu, i miała niemal całkowite przekonanie, iż jej i Andy’emu jakoś się ułoży. No i przynajmniej zawdzięczała temu małżeństwu Reeda. Joe godził się wprawdzie z myślą że będzie ojcował synkowi Kate, ale wcale nie był pewien, czy ma ochotę na własne potomstwo. Kilkakrotnie podkreślał w rozmowach z Kate, że jest wysoce wątpliwe, czy gromada dzieciaków podniesie jakość ich wspólnego życia, ona zaś chwilowo nie podejmowała dyskusji.

Gdy rozstawali się rankiem, Kate — która miała wyjechać po Andy’ego w południe — obiecała Joemu, że zadzwoni do niego jak najszybciej. Nie była pewna, czy jeszcze tego samego dnia, ale najpóźniej nazajutrz.

Tego ranka przed wyjściem Joego do pracy kochali się jeszcze raz; stojąc prawie w drzwiach Joe mocno pocałował Kate i posłał całusa Reedowi.

— Nie zadrećzaj się tak strasznie, najdroższa — powiedział.

— Wiem, że dasz sobie radę. Lepiej zrobić to teraz niż za pięć lat. Jeszcze kiedyś ci podziękuję, bo będzie miał wiele czasu, żeby ożenić się ponownie i ułożyć sobie życie. Irytowało ją praktyczne czy raczej cyniczne nastawienie Joego, który w tej rozgrywce miał zgarnąć całą pulę. Sytuacja Andy’ego była diametralnie różna.

O jedenastej w prostej czarnej sukni i takimże kapeluszu —kreacji, jak uznała, nieco żałobnej, lecz odpowiedniej na dzisiejszą okazję

— wsiadła z Reedem do taksówki i kazała się zawieźć na lotnisko Idlewild. Spojrzała na tablicę przylotów, a kiedy stwierdziła, że samolot Andy’ego oczekiwany jest o czasie, stanęła przy wyjściu dla pasażerów.

Andy ukazał się jako jeden z pierwszych. Zmęczony lotem i czterema miesiącami harówki, uśmiechnął się jednak szeroko na widok żony i synka, potem ucałował Kate tak ognście, że aż zrzucił jej kapelusz.

— Ależ się za tobą stęskniłem, Kate! — wykrzyknął, chwytając na ręce Reeda. Ich synek jednak (miał już osiem miesięcy, tyleż ząbków, poza tym prawie umiał samodzielnie stać) — natychmiast zaczął płakać i wyrwać się do matki. — Przestał mnie poznawać — stwierdził zdruzgotany Andy.

Odnosił wrażenie, że jego nieobecność trwała wiele lat: nie tylko z powodu reakcji Reeda, lecz również dlatego, że Kate wyglądała na zakłopotaną i nieswoją. Podczas jazdy taksówką powtarzała wprawdzie, że cieszy się z jego powrotu, ale wyglądała tak, jakby właśnie ktoś jej umarł. Z zainteresowaniem wypytywała go o Niemcy i procesy zbrodniarzy wojennych, a jednak pod pretekstem, że musi czegoś poszukać w torebce, wyrwała mu dłoń, kiedy próbował ją ująć.

Po przyjeździe do domu zrobiła lunch i ułożyła Reeda do snu. Chciała już mieć to za sobą. Nie mogła czekać. Nie miała zamiaru dłużej zwodzić Andy’ego; zasługiwał z jej strony na znacznie większy szacunek.

— Kate, dobrze się czujesz? — zatroskał się, kiedy uśpiwszy dziecko, wróciła do salonu. W surowej czarnej sukni sprawiała wrażenie starszej i poważniejszej niż w rzeczywistości. Andy wyczuwał, że pod jego nieobecność coś się stało — atmosfera wokół nich była ciężka jak ołów, Kate zaś unikała jego bliskości, dotyku i spojrzenia.

— Czy moglibyśmy usiąść i porozmawiać? — zapytała, sadowiąc się na sofie. Andy zajął miejsce naprzeciwko niej, w fotelu.

Miała zrobić coś najstraszniejszego w życiu: porzucić mężczyznę, który ją kocha, a na dodatek zabrać jego dziecko. Kiedy trzy lata temu odchodziła od Joego, sytuacja była zasadniczo inna. Nie miała jednak wyjścia, oboje — ona i Andy — musieli spojrzeć prawdzie w oczy. Kierując się dobrymi intencjami, była na tyle głupia, że poślubiła go w przekonaniu, iż kiedyś naprawdę go pokocha. Była do niego przywiązana, przeżyli wspólnie wiele szczęśliwych chwil, lecz zupełnie przestał się liczyć, kiedy tylko ujrzała Joego.

— Co się stało, Kate? — odezwał się z niepokojem, nad którym jednak doskonale panował. Wyraźnie dojrzał w ciągu czterech minionych miesięcy: słyszał o okropnościach mrozących krew w żyłach, ponosił wielką odpowiedzialność. Teraz oczu Kate wyczytał, że czeka go kolejny koszmar.

— Andy, popełniłam straszny błąd... — zaczęła, ale gwałtownie uniósł dłoń, nakazując jej milczenie.

— Sądzę, że nie powinniśmy o tym mówić — oświadczył stanowczo.

— Wręcz przeciwnie — zaproponowała. — Musimy. Coś się stało pod twoją nieobecność. Znow uniósł dłoń, tym razem obronnym gestem, a Kate dostrzegła w jego oczach coś, czego nigdy nie widziała — godność i siłę. Wystarczyła chwila jej wahania, by z miejsca przejął inicjatywę.

— Cokolwiek się stało, Kate, nie chcę o tym słyszeć, a skoro tak, nic mi nie powiesz. To całkowicie nieważne. Ważni natomiast jesteśmy my i nasz syn. Więc nie mów, bo i tak nie będę słuchać. Zatrzaśniemy za sobą drzwi i będziemy żyli jak dotąd.

Oszołomiona, przez dłuższą chwilę nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

— Ale Andy, nie możemy... — wyjąkała wreszcie, czując, jak do oczu napływają jej łzy. Musiał wysłuchać! Zamierzała rozwieść się z nim i wyjść za Joego. Nie chciała dłużej być jego żoną. Joe powiedział, że ją poślubi. Nie mogła dopuścić do ponownej jego utraty. Aby jednak się rozwieść, potrzebowała zgody Andy'ego, ten zaś najwyraźniej wyczuł, o jaką stawkę toczy się gra, i nie miał najmniejszego zamiaru skapitulować bez walki. Więcej: miał zamiar wygrać.

— Możemy, Kate, możemy — odparł tonem, który ją przeraził.

— Cokolwiek zamierzałaś powiedzieć, zatrzymasz dla siebie. Jesteśmy małżeństwem, wychowujemy syna. Niebawem, main nadzieję, pojawią się następne dzieci. I nasze życie będzie udane. Tylko coś takiego chcę usłyszeć z twoich ust. Czy wyraziłem się jasno? Zapewne nie powinienem był pozostawać poza domem tak długo, ale sądzą, że to, cośmy robili w Niemczech, było ważne, i jestem rad, iż miałem w tym swój udział. Jesteś moją żoną jod tej chwili zachowujemy się jak gdyby nigdy nic.

Siła jego słów i stalowa potęga spojrzenia zupełnie Kate ogłuszyły.

— Andy, proszę... — wychlipała — . . . ja nie mogę... nie mogę...

— Tkwiła w matni; wiedziała już, że Andy nie wypuści jej z rąk, obojętne, co mu teraz powie. Mogłaby wprawdzie po prostu odejść i zamieszkać z Joem, ale bez rozwodu i sądownie przyznanej opieki nad dzieckiem utraciłaby Reeda. Nie zasięgała dotąd porady prawnej, chciała najpierw rozmówić się z Andym, było jednak zupełnie oczywiste, że nie mając żadnych solidnych podstaw, nigdy nie uzyska rozwodu, o ile Andy się na niego nie zgodzi. Praktycznie stawała się jego więźniem. — Musisz mnie wysłuchać — podjęła błagalnym tonem. — Kiedy się dowiesz wszystkiego, nie będziesz chciał, żebym... Spiorunował ją wzrokiem.

— Jesteśmy małżeństwem. Kropka. Wkrótce odzyskasz rozsądek i wtedy mi podziękujesz. Zamierzałaś popełnić straszny błąd, a ja nie mogę do tego dopuścić. Teraz wezmę prysznic i zdrzemnę się trochę. Wyskoczmy później na kolację?

Podniosła na niego martwe spojrzenie. Nigdzie nie chciała z nim iść. Nie chciała być jego żoną. Zresztą już nią nie była. Była zakładniczką.

Nie odpowiedziała, czy pójdzie z nim na kolację, on zaś nie czekał na odpowiedź. Wyszedł z pokoju, a kiedy zamykał za sobą drzwi łazienki, trząśnięcie jak w febrze. Ale Kate o tym nie wiedziała; wiedziała tylko, że po raz pierwszy odkąd się znają, nienawidzi go całym sercem. Chciała być z Joem, lecz jednocześnie nie mogła zostawić dziecka, pod żadnym pozorem. Andy miał ją w garści: jeśli nie wyrazi zgody na rozwód, Kate znajdzie się w pułapce bez wyjścia.

Kiedy usłyszała, że puścił prysznic, zadzwoniła do Joego. Uczestniczył wprawdzie w naradzie, ale na prośbę Kate Hazel poszła go wywołać — podniósł słuchawkę po niespełna minucie.

— No i co? Było bardzo źle? — zapytał z niepokojem.

— Gorzej, nie chciał mnie nawet wysłuchać. Nie da mi rozwodu i jeśli nie zmieni zdania, nie będę mogła zatrzymać Reeda.

— Po prostu blefuje, Kate. Boi się. Bądź stanowcza.

— Nic nie rozumiesz. Nigdy nie widziałam go takim jak dzisiaj. Powiada, że sprawa została zamknięta i nie ma o czym mówić. Nie życzy sobie żadnej rozmowy — odparła z rozpaczą. Była pewna, że gdyby tylko zdołała powiedzieć Andy’emu o Joem, dałby się przekonać. Ale nie miała żadnej możliwości... Otoczył się kamiennym murem i udawał głuchego.

— Więc zabierz dziecko i wyjdź — zasugerował poważnie Joe.

— Nie może cię zmusić do pozostania.

— Ale może uzyskać wyrok sądowy zmuszający mnie do oddania Reeda — powiedziała Kate głosem, który zdradzał, jak bardzo się boi. Reakcja i wygląd męża przejęły ją głębokim lękiem; zdała sobie sprawę, że Andy nie ma zamiaru zrezygnować ani z niej, ani z synka.

— Nie odwoła się do sądu — stwierdził z przekonaniem Joe, zdając sobie sprawę, że wybuchłby wtedy skandal bolesny dla wszystkich w niego uwikłanych. — Możecie zamieszkać ze mną.

— Porozmawiam z nim jeszcze dziś — westchnęła Kate.

W nadziei, że zdoła przekonać Andy’ego podczas kolacji, pospiesznie zadzwoniła do opiekunki do dziecka, umawiając ją na wieczór.

Jej nadzieja jednak okazała się płonna. Przy stole panowała lodowata i nieprzyjemna atmosfera, Andy ani o krok nie wycofał się z wcześniej zajętych pozycji.

— Andy, proszę, wysłuchaj mnie... — błagała Kate. — Musisz. Na pewno nie zechcesz zostać z kobietą, która...

Przerwał jej, zanim zdążyła chociaż słowem wspomnieć o Joem.

— Kate, kiedy wyjeżdżałem, wszystko było w porządku. Było wspaniale. I znowu będzie.

Zaufaj mi. Histeryzujesz, nie wiesz, co robisz... a ja nie pozwolę, żebyś zniszczyła nasze życie — powiedział z zimną stanowczością.

Miała tak ściśnięte gardło, jakby ją dusił.

— Wiele się zmieniło. Nie było cię cztery miesiące — wykrztusiła z trudem.

Odnosiła wrażenie, że Andy nie chce słuchać jej wyjaśnień, bo domyślił się prawdy, ale że ta prawda zupełnie go nie obchodzi. Kolację skończyli w milczeniu i również w milczeniu wrócili taksówką do domu. Kate czuła się tak, jakby nagle opuściły ją wszystkie siły.

Nazajutrz wezwała opiekunkę i gnana paniką, odwiedziła Joego w biurze. Potrzebowała jego wsparcia i rady, bo z tym odmienionym Andym, Andym niewzruszonym i twardym jak stal, sama nie miała szans.

— Nie może cię zatrzymać, Kate. Nie jesteś dzieckiem, na rany boskie — oświadczył Joe. — Pakuj się i przenoś do mnie.

— I mam zostawić synka?

— Upomnisz się o niego później. Wystąp przeciwko Andy’emu do sądu.

— I co wtedy powiem? Że go zdradzałam? Nie mam żadnych podstaw, żeby wystąpić o rozwód, a on łatwo dowiedzie, że porzuciłam dziecko i już nigdy nie odzyskam Reeda. Są uznani za wyrodną matkę, Joe... Nie mogę odejść.

— Chcesz więc powiedzieć, że zamierzasz z nim zostać?

— A cóż innego mogę zrobić? — zapytała z bezbrzeżnym bólem w głosie. — Nie mam wyboru. Przynajmniej chwilowo. Może w końcu da za wygraną, ale na razie nie chce nawet podejmować dyskusji.

— To czysty obłąd.

Kate podzielała jego zdanie. Jednakże Andy, dochodziła do wniosku z uczuciem bliskim podziwu, walcząc o nią jak lew, okazywał zarazem lisi spryt. Tyle tylko że jej podziw dla męża w niczym nie zmieniał faktu, iż nadal kochała Joego. Zarzuciła mu teraz ręce na szyję i wybuchnęła nieopanowanym płaczem.

— Nie powinnam była odchodzić od ciebie trzy lata temu — wychlipała z rozpaczą, zdając sobie sprawę, że być może straciła wtedy jedyną szansę, aby z nim być. Bo Andy nigdy nie da jej rozwodu, a ona nawet dla Joego nie zrezygnuje z dziecka.

— Postawiłem cię w sytuacji bez wyjścia. Byłem dumny, że pozwoliłem ci wtedy odejść, utrzymując na dodatek, że moje samoloty są ważniejsze niż ty — wyrzucał sobie, mając w pamięci każde słowo tamtej fatalnej rozmowy. — Chcesz, żebym z nim pogadał, Kate? Mógłbym go albo postraszyć, albo kupić.

Kate pokręciła głową.

— Nie potrzebuje twoich pieniędzy, Joe. Ma własne. Tu nie chodzi o pieniądze, lecz o miłość.

— Traktowanie cię, jakbyś stanowiła jego własność, nie ma z miłością nic wspólnego. A może traktować cię jak swoją własność tylko dlatego, że boisz się utraty syna. To jedyne narzędzie władzy Andy'ego nad tobą.

Narzędzie jednak bardzo potężne. Joe z rana konsultował się z adwokatem, ten zaś w całej rozciółności potwierdził obawy Kate: jeśli porzuci dziecko, sąd może nie przyznać jej nad nim opieki, jeśli je

zabierze — Andy bez trudu zdoła ją zmusić, by oddała Reeda. Kidnapping natomiast i życie w ukryciu — zwłaszcza z kimś takim jak Joe — po prostu nie wchodziły w grę.

— Jestem w mami, Joe, i nie widzę wyjścia — powiedziała żałośnie. Przez cztery miesiące litowała się nad Andym, który teraz wyciskał z niej życie i przyszłość rozbijał w proch.

— Okaż cierpliwość. Nie da się tak żyć na dłuższą metę, i dotyczy to w równej mierze ciebie i jego. W końcu da za wygraną, dojdzie do wniosku, że zasługuje na lepszy los.

Ale w oczach Andy'ego synonimem najlepszego losu było ocalenie rodziny, zatrzymanie przy sobie Reeda i Kate.

Wieczorem, kiedy mąż wrócił z pracy, Kate podjęła kolejną

— i znów zakończoną fiaskiem — próbę rozmowy. Tym razem Andy wpadł w szal i w pewnym momencie rozbiło ścianę porcelanową paterę na słodycze, prezent ślubny od jednej z przyjaciółek Kate. Zaszokowana jego zachowaniem Kate wybuchnęła płaczem.

— Dlaczego mi to robisz? — zapytała bezradnie.

— Skoro ty nie jesteś w stanie ocalić naszej rodziny, ja się muszę tym zająć. Za kilka lat będziesz mi bezbrzeżnie wdzięczna — odparł z rozpaczliwą zaciętością.

Tymczasem jednak zmieniał jej życie w koszmar.

Zorientował się natychmiast, że tym, który wszedł mu w paradę, jest Joe: powiedział mu to wyraz twarzy Kate już podczas pierwszej wymiany zdań. Tak samo wyglądała owego dnia, gdy dowiedziała się, że Joe żyje i zerwała ich związek. Znał ten wyraz twarzy na pamięć, nie potrzebował żadnych wyznań, żeby się zorientować, iż oto Joe znowu zmartwychwstał i znowu krzyżuje mu szyki.

Był tego tak pewien, że nazajutrz po ostatniej rozmowie z Kate wkroczył bez uprzedzenia do biurowca firmy Joego i poprosił sekretarkę, aby go zaanonsowała. Kiedy spytała, czy jest umówiony, odparł, że nie, ale pan Allbright bez wątpienia go przyjmie.

Istotnie, już niespełna dwie minuty później wprowadziła go do imponującego gabinetu pełnego antyków, obrazów i pamiątek zgromadzonych przez Joego od chwili, gdy odniósł sukces. Joe nie wstał z za biurka, aby się z nim przywitać, lecz obserwował go czujnym wzrokiem zwierzęcia, do którego podkrada się drapieżnik.

— Witam, be — powiedział spokojnie Andy, zachowując wyniosłą twarz pokerzysty, któremu nic nie jest w stanie odebrać wygranej. Joe — starszy, bardziej męski, nieporównanie zamożniejszy

— byłby groźnym przeciwnikiem dla każdego, ale tym razem to Andy miał w rękę mocniejszą kartę: Reeda, a w efekcie — Kate.

— Interesujące posunięcie, Andy — stwierdził Joe, uśmiechając się kącikiem ust. I on, i Andy byli wściekli. Obaj czuli się oszukani. Najchętniej skoczyliby sobie do gardeł. Ale Joe poprosił Andy'ego, żeby usiadł, następnie zaś zaproponował drinka. Po chwili wahania Andy zdecydował się na szkocką; rzadko pijał w ciągu dnia, ale dziś musiał dodać sobie kurażu. Joe podał mu whisky z lodem, potem rzucił nonszalancko: — Chyba nie muszę pytać, co cię do mnie sprowadza?

— Chyba nie. Obaj dobrze wiemy co. Twoje nieeleganckie, najłagodniej mówiąc, postępowanie — odrzekł Andy zuchwale, usiłując nie pokazać po sobie, że w gabinecie Joego czuje się jak chłopczyk w pałacu maharadży. W innych okolicznościach chętnie rozejrzałby się dokładniej, zwłaszcza że widok rozpościerający się z okien był naprawdę imponujący. — Ona jest mężatką, Joe. Mamy dziecko. Tym razem zostanie.

— Ależ w ten sposób nic nie zwojujesz, Andy. Nie możesz zmusić kobiety, by cię pokochała, czyniąc z niej zakładniczkę. Po co w ogóle zawracasz sobie głowę tymi kombinacjami? Czyż nie byłoby lepiej najzwyczajniej przykuć ją do ściany? O ileż to prostsze, a przy tym równie skuteczne. — Joe nie bał się tej konfrontacji i nawet nie odczuwał wobec Andy'ego nienawiści, wiedząc, że mógłby go kupić i sprzedać tysiąc razy. Kate należała do niego, chociaż klucze do jej celi trzymał Andy. Jeśli w ogóle Andy budził w nim jakieś uczucie, to w najlepszym wypadku litość. — Ale przejdźmy do rzeczy, Andy. Czego chcesz? — zapytał, trwając w przekonaniu, że przy odrobinie nacisku z jego i Kate strony Andy wkrótce zmięknie i zaprzestanie walki.

Mylił się; przeciwnik zamierzał walczyć do upadłego i zwyciężyć.

— Chcę, byś zrozumiał, jaka rzeczywistość jest kobieta, za którą tak niestrudzenie się uganiaasz. Bo nie sądzę, że tak naprawdę znasz obiekt swej namiętności — odparł Andy, pociągając łyk szkockiej.

Dobór słów wprowadził Joego w rozbawienie.

— A więc uważasz, że nie zdołałem jej poznać przez dziesięć lat? Nie zaszokuję cię, bo zapewne wiesz o tym od Kate, ale żyliśmy ze sobą przez dwa lata.

— Wspomniała mi coś na ten temat, choć skłonny byłbym sądzić, że mieszkała wtedy w hotelu.

— Jeśli tak twierdzi... — wzruszył ramionami Joe.

Kate jednak powiedziała Andy'emu całą prawdę i ten nie był po prostu zachwycony, słysząc jej tak nieeleganckie potwierdzenie z ust Joego.

— I jakie były twoje wnioski po owych dwóch latach życia z Kate? Rozumiem, że nie paliłeś się wtedy do ożenku. Skąd twój dzisiejszy zapal?

— Bo byłem głupcem, jak każde z nas trojga doskonale zdaje sobie sprawę. Rozwijałem interesy, miałem na głowie mnóstwo spraw, nie czułem się gotowy do małżeństwa. Wtedy nie miałem na nie czasu. Teraz mam.

— Czy tylko dlatego wówczas jej nie poślubiłeś? A może coś cię w Kate niepokoiło? Może miała zbyt wielkie potrzeby, wymagania, może czułeś się przyparty do muru? — zapytał Andy, czyniąc oręż z wszystkiego, co w zaufaniu wyznała mu żona. Jego słowa obudziły w Joem nieprzyjemne wspomnienia: doznawał takich właśnie uczuć, jakie teraz nazywał po imieniu Andy. O ile wszakże miał zastrzeżenia do tamtej Kate, o tyle w pełni akceptował tę nową. Tę Kate, która rozumiała, co wtedy zawiodło. — Jest tą samą kobietą, Joe. Panikuje, ilekroć wychodzę z domu, sprawdza telefonicznie, gdzie w każdej chwili jestem. Kiedy wychodzę na lunch, wysyła za mną sekretarkę. Podczas ciąży niemal doprowadziła mnie do szaleństwa, bo czasem musiałem wpadać do domu w środku dnia. Czy tego właśnie pragniesz? Czy możesz sobie pozwolić na takie marnotrawstwo czasu? Bo jeśli tak, to jesteś ustawiony jeszcze lepiej, niż się wszystkim zdaje, i będziesz mógł jej towarzyszyć dniem i nocą. A to oznacza rezygnację z wszelkich podróży, jako że Kate nie zechce ani na moment zostawić Reeda. Poza tym chce znowu zajść w ciążę, mieć całą gromadkę dzieci i bez wątpienia chwyci się każdego sposobu, byle dopiąć swego. Znam ją jak zły szeląg. Użyła podstępu w przypadku Reeda. Janie miałem nic przeciwko temu, ale ty zapewne będziesz miał.

Kłamał jak najęty, lecz zaopatrzonej przez Kate w precyzyjną mapę lęków Joego, wygrywał je kolejno i zyskiwał przewagę. Widział to w oczach Joego, który wprawdzie czuł się zobowiązany bronić Kate, ulegając wszakże narastającej panice, czynił to z coraz mniejszym przekonaniem.

— Nie kocha cię — zareplikował. — Wobec mnie będzie zachowywać się inaczej.

— Czyżby? — zdziwił się Andy, dopijając szkocką. Wiedział wszystko o ich kłótniach, o jej lęku, że zostanie porzucona, o jego przerażeniu, że straci wolność. — A jak zachowywała się w New Jersey?

— Dawno i nieprawda. Była wtedy prawie dzieckiem — zaoponował słabo Joe, w którym stopniowo narastało paraliżujące przypuszczenie, że Andy może jednak mieć rację.

— Wciąż jest — z satysfakcją stwierdził Andy. Miał piekielną ochotę na jeszcze jedną szklaneczkę whisky, doszedł jednak do wniosku, że alkohol, który dotąd dodawał mu odwagi, mógłby przytępić w tej chwili jego refleks. A należało iść za ciosem, bo widział w oczach Joego isierki niepokoju. Dawne demony przebudziły się ze snu. — I zawsze nim będzie. Przecież obaj wiemy, co spotkało ją w dzieciństwie.

Po raz pierwszy Joe okazał prawdziwe zaskoczenie. Był lepszym zawodnikiem z nich dwóch, ale Andy, który niczym szybki jak błyskawica młody pretendent skutecznie punktuje mistrza, zapędził go do narożnika. Był w uderzeniu, zdawał sobie bowiem sprawę, że jeśli rozegra tę partię właściwie, Joe nigdy nie opowie Kate o ich rozmowie. Miał szansę popełnić zbrodnię doskonałą.

— Mówiła ci o ojcu? — zapytał Joe lekko urażonym tonem. Znał całą historię tylko z ust Clarke'a, sama Kate nie wspomniała o niej ani razu w czasie ich dziesięcioletniego związku. Tyle że Andy znowu kłamał, bo i w jego przypadku jedynym źródłem informacji był Clarke, który tuż przed ślubem wtajemniczył go w dramat samobójczej śmierci Johna Barretta.

— Jeszcze w college'u. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi — przytaknął. — Wiesz, jakie to musiało być dla niej piekło? Jak jest od tamtego czasu przerażona możliwością utraty ludzi, których kocha?

Jesteśmy jej potrzebni jak powietrze, o własnych siłach nie przeżyłaby jednego dnia. To kobieta bluszcz. Uwierzysz, że kiedy byłem w Europie, pisywała do mnie dwa razy dziennie? — skłamał po raz kolejny. Istotnie, pisywała dość często, lecz jej listy były zaledwie pospiesznie kreślonymi biuletynami na temat Reeda, które niepokoiły Andy'ego i kazały mu się domyślać, że coś jest nie w porządku. Ale sprawdzić to mógł dopiero po powrocie. — Czy masz pojęcie, jak czuje się niepewnie, jak jest wystraszona, niezrównoważona? Nie sądzę, by ci wyznała, że po waszym rozstaniu usiłowała popełnić samobójstwo.

Jego słowa wisiały jeszcze w powietrzu, kiedy Andy pojął, że ten cios jest najcelniejszy ze wszystkich dotychczasowych. Wymierzył go zresztą z premedytacją, bo wiedział z ust Kate, jak wprost fizycznie bolesne są dla Joego wyrzuty sumienia. Kate użyła wręcz określenia „niežnośnie bolesne”. Joe osuwał się na kolana.

— Co zrobiła? — zapytał oszołomiony.

— A więc nic ci nie powiedziała. To było w Boże Narodzenie. Długo leżała potem w szpitalu

— oświadczył bezwstydnie.

Ale jego wiara, że jeśli tym razem, nawet nie przebijając w środkach, zdoła wyrwać Joemu Kate, zatrzyma ją już na zawsze, była bezzasadna. Aby osiągnąć swój cel, musiałby zabić albo jego, albo ją.

— To nie do wiary — wykrztusił zdjęty zgrozą Joe. — W szpitalu psychiatrycznym?

Andy przyoblekł twarz w wyraz grobowej powagi i skinął głową. Zatruta strzała, którą wypuścił, zrobiła swoje: w żyłach Joego krążył już śmiertelny jad, świadomość, że niegrzeszny dzieciak wyrósł na występного mężczyznę, obezwładniała go i przepelniała straszliwym bólem.

— No a co myślisz o jej pragnieniu posiadania większej liczby dzieci? Nie dalej jak wczoraj mówiła mi, że chce mieć dwójkę następnych — powiedział Andy, kontynuując śmiertelny atak.

— Wczoraj? — Joe był wyraźnie zaszokowany. — Musiałeś opacznie ją zrozumieć. Zająłem w tej kwestii jednoznaczne stanowisko.

— Kate też. Potrafi forsować swą wolę nie gorzej niż jej matka, chociaż czyni to znacznie subtelniej — stwierdził Andy, odwołując się tym razem do niechęci Joego wobec Liz. — No i nie poruszyliśmy dotąd sprawy dla mnie najważniejszej: mojego syna. Czy naprawdę jesteś przygotowany, żeby go wychowywać, grać z nim w piłkę, niańczyć po całych nocach, kiedy boli go głowa, ucho czy brzusek? Jakoś nie bardzo mogę w to uwierzyć.

Joe wyglądał tak, jakby nagle ogarnęły go mdłości. Andy mówił o rzeczach, jakich on sam ani razu nie omawiał z Kare. Przeciwnie, Kate stwierdziła, że poprzestanie na jednym dziecku, a nawet zatrudni niańkę, żeby od czasu do czasu móc towarzyszyć Joemu w jego podróżach. Andy kreślił obraz zasadniczo odmienny.

A zatem na czym stoimy, Joe? — zapytał Andy. — Nie chcę stracić żony i matki mojego syna. Nie chcę, żeby czuła się porzucona, kiedy będziesz podróżować po świecie, nie chcę, żeby znów próbowała zrobić jakieś głupstwo. Jest bardzo słaba psychicznie, znacznie słabsza, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. To u niej rodzinne... W końcu jej ojciec popełnił samobójstwo i nietrudno sobie wyobrazić, że pewnego dnia Kate zechce pójść w jego ślady. Joe przypomniał sobie w tym momencie Clarke'a, porównującego Kate do ptaka ze złamanym skrzydłem. Nie mógł wiedzieć, że nawet nie rozważała myśli o samobójstwie, że cała ta historia jest jeszcze jedną okrutną zagrywką Andy'ego. Andy'ego, który osiągnął swój cel, utwierdził bowiem w Joem przekonanie, że małżeństwo to dla niego zbyt wielka odpowiedzialność.

— A więc na czym stoimy, Joe? — powtórzył Andy owym szczególnym tonem zupełnej otwartości, jaki mężczyzna rezerwuje dla rozmowy z innym mężczyzną. Tyle że to, co robił, było nie tylko poniżej męskiej, lecz w ogóle ludzkiej godności. Joe jednak, przytłoczony lękami i kompleksami, nie przejrzał Andy'ego, postępek zaś zdesperowanego męża wziął za prawdę. Chciało mu się płakać.

— Chyba masz rację — odrzekł zrozpaczony. — Chyba przy moim stylu życia, przy mojej pracy mógłbym wbrew woli narobić wiele złego. Strach pomyśleć, że pod moją nieobecność zechciałaby się targnąć na życie!

— To całkiem możliwe — stwierdził Andy z niewesołą zadumą, patrząc Joemu w oczy. Dostrzegał w nich tylko strach.

— Nie mogę jej tego zrobić. Ty przynajmniej masz szansę jej pilnować. Czy nie bałeś się zostawić jej samej na te cztery miesiące, które spędziłaś w Europie? — zapytał tknięty nagłym podejrzeniem.

Andy jednak zareagował błyskawicznie.

— Jej i moi rodzice obiecali na nią uważać, poza tym dwa razy tygodniowo widuje się z psychiatrą.

— Z psychiatrą? — Joe doznał kolejnego podczas tej rozmowy potężnego szoku. — Widuje się z psychiatrą?

Andy skinął głową.

— O tym więc również ci nie powiedziała. To jedna z tych jej mrocznych tajemnic.

— Najwyraźniej ma ich niemało.

I to tajemnic z punktu widzenia Joego wstydliwych: samobójstwo było czymś, czego nie akceptował w żadnych okolicznościach.

— Nie wiem, co jej powiedzieć — westchnął przygnębiony. Kochał Kate, i to z wzajemnością, ale był w tej chwili pewien, że ich wspólne życie zakończyłoby się dla niej okrutnym dramatem albo nawet śmiercią. Nie chciał podejmować takiego ryzyka, nie chciał stanąć w obliczu wyrzutów sumienia, z którymi nie dałby sobie rady.

Teraz pragnął tylko pozbyć się Andy'ego jak najszybciej i zostać w samotności. Nigdy, nawet po odejściu Kate, nie był tak bezgranicznie nieszczęśliwy. Jego niedawna pewność, że poślubi Kate, bo Andy wkrótce skapitułuje, przerodziła się nagle w przeświadczenie, iż to on powinien ustąpić, zostawiając Kate Andy'emu, z którym będzie ją czekać lepsza i bezpieczniejsza przyszłość. Na znak, że potyczka skończona, wstał i z kwaśną miną wyciągnął do Andy'ego dłoń.

— Dziękuję, że przyszedłeś — powiedział ponuro. — Sądzę, że oddałeś Kate przysługę.

— Ty również — odparł Andy, kierując się do wyjścia.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Joe usiadł za biurkiem, wbił niewidzące spojrzenie w pejzaż za oknem i uświadomił sobie, że znowu utracił Kate. Po jego policzkach spłynęły łzy.

Kate nie dowiedziała się o tej rozmowie, bo wróciwszy do domu Andy jej nic nie powiedział, miał jednak tak triumfalny wyraz twarzy, że niemal poczuła mdłości. Jeszcze bardziej znienawidziła za to samozadowolenie swojego strażnika więziennego, który kiedyś był jej mężem. Zdusiła w sobie ostatnią iskrę miłości do tego mężczyzny.

Dwa dni później Joe zaprosił ją na lunch do małej, skąpanej w mroku restauracyjki, w której bywali wcześniej, i oznajmił, że przemyślawszy sprawę doszedł do wniosku, iż nie powinien rozbijać jej małżeństwa i narażać na utratę syna.

Widziała przy tym w jego oczach poczucie winy i wielki ból.

W istocie jednak było to coś więcej niż ból — to była nieznośna rozdzierająca udręka. Od spotkania z Andym Joe potrafił tylko myśleć o samobójczej próbie Kate i o tym, że doszło do niej z jego powodu. Nie był w stanie się z tym uporać, powiedział więc tylko, że muszą się rozstać, zapomnieć o sobie i przestać wreszcie zadawać sobie cierpienia.

Kate płakała przez całą drogę do domu, a potem w łóżku niemal do rana. Wolałaby nie żyć, niż żyć bez Joego, żadna jednak samobójcza myśl nawet nie postąpiła jej w głowie.

Joe natomiast zrobił to, co umiał robić najlepiej: umknął. Jeszcze tego samego wieczoru poleciał do Kalifornii.

Po powrocie z pracy Andy'emu wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Kate, by zrozumieć, że odniósł zwycięstwo. Wygrał i cena, jaką zapłacili wszyscy, nie miała dlań w tym wypadku większego znaczenia.

ROZDZIAŁ XVIII

Niezdolne napięcie panowało pomiędzy Andym a Kate całymi miesiącami. Prawie nie odzywali się do siebie, a od powrotu Andy'ego nie kochali się ani razu. Kate popadła w głęboką depresję i strasznie schudła. Unikała męża jak ognia, a chociaż kilkakrotnie rozmawiała z Joem, doznawała wrażenia, że bez względu na to, co nadal do siebie czują, czas i przestrzeń zaczynają rozdzielać ich coraz większą przepaścią. Andy mistrzowsko zrealizował swój plan, nieodwracalne szkody zostały poczynione. Tylko że Kate była przeświadczona, iż obojętne, jak długo będzie ją niewolił, w najmniejszym stopniu nie odmieni jej uczuć. Stracił ją na zawsze w chwili, gdy posługując się ich synem jako narzędziem szantażu, zmusił ją do pozostania. Znienawidziła go, a nienawidziłaby zapewne jeszcze mocniej, gdyby wiedziała, co naopowiadał Joemu. Niewielka poprawa sytuacji nastąpiła w marcu, po pierwszych urodzinach Reeda, kiedy od powrotu Andy'ego z Niemiec minęło osiem miesięcy — osiem miesięcy okropnych dla nich dwojga.

Rodzice Kate dostrzegali, że dzieje się coś złego, chociaż jednak dawali wyraz swojemu niepokojowi, nie stawiali pytań.

Kiedy tego lata starym zwyczajem pojechali na Cape Cod, Kate i Andy spali w oddzielnych pokojach, Kate bowiem wychodziła z założenia, że jeśli nawet Andy skłonił ją, by pozostała jego żoną, w żaden sposób nie zdoła jej zmusić, by poszła z nim do łóżka. Ich życie przemieniło się w koszmar, małżeństwo — w pustą lupinę bez żadnego owocu.

Tego roku Kate nie poszła na tradycyjne barbecue u sąsiadów, od ojca zaś dowiedziała się, że nie przyszedł również Joe Allbright. Clarke byłby ślepy, gdyby nie dostrzegł pełnych nienawiści spojrzeń, jakie na dźwięk nazwiska Joego wymienili Kate i Andy. Jamisonowie zresztą zorientowali się natychmiast, w jak opłakanym stanie jest małżeństwo ich córki, i byli tym mocno przejęci.

Wróciwszy do domu Kate zadzwoniła do Joego — czyniła to od czasu do czasu, żeby zorientować się, co porabia — ale usłyszała od Hazel, że oblatuje nowy samolot w Kalifornii. Poprosiła więc sekretarkę o przekazanie pozdrowień; dawno nie rozmawiała z Joem, który nigdy nie telefonował do niej z własnej inicjatywy, poprzestając na sporadycznym wysyłaniu pocztówek o zdawkowej treści.

Małżeński koszmar Kate trwał od niemal roku, kiedy pewnego wieczora tuż przed Świętem Dziękczynienia Andy popatrzył na nią z zadumą.

— Czy jest jakaś szansa, byśmy znów mogli zostać chociaż przyjaciółmi? — zapytał. — Brak mi rozmów z tobą.

Na tym etapie zdawał sobie sprawę, że odniósł pyrrusowe zwycięstwo, a teraz wyczytał z oczu Kate, iż nie ma dla nich żadnej nadziei. Od zbyt dawna byli wrogami.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odparła.

Przez miniony rok nawet nie umiała myśleć o Andym ciepło; jedynym mężczyzną bliskim jej sercu był nadal Joe, ale ten zniknął z jej życia i wrócił do swej drugiej wielkiej miłości — samolotów. Przez krótką chwilę wierzył, że te dwie miłości zdoła ze sobą pogodzić... Teraz została mu tylko jedna, ta najstarsza.

Po wakacjach — spędzonych tego roku u rodziców Andy'ego

— Kair, której poczucie osamotnienia okrutnie dawało się we znaki, wreszcie zaczęła rozmawiać z mężem, chociaż nadal z nim nie sypiała, na sylwestra jednak, po wypiciu zdecydowanie zbyt wielu lampek szampana, dała się Andyemu zaprosić do tańca, a w drodze do domu zachowywała się wręcz zalotnie. Andy nie widział jej takiej od półtora roku, uległ złudzeniu, że wróciły stare dobre czasy...

Miary dopełniło niesforne ramiączko sukni Kate, które zsunęło się z barku, kiedy również nieźle podchmielony Andy w holu pomagał żonie zdjąć płaszcz. Nie wytrzymał; zaczął całować ją i pieścić, ona zaś — ku jego bezgranicznemu zaskoczeniu — zareagowała podobnie.

— Kate? — zapytał niepewnie. Nie chciał wykorzystywać jej oszołomienia alkoholem, ale pokusa okazała się zbyt silna, i to dla obojga. Byli w końcu małżeństwem, ona miała dwadzieścia osiem, on trzydzieści lat, a od półtora roku żyli w celibacie.

Poszli razem do sypialni, która od dawna nie była ich małżeńską sypialnią, Kate bowiem już na początku kryzysu przeniosła się do pokoju dwudziestojednomiesięcznego teraz Reeda.

— Chcesz tego, Kate? — upewnił się wciąż ogarnięty niedowierzaniem Andy.

Bez słowa zdjęła sukienkę i wsunęła się do łóżka. Andy nie miał złudzeń, że go znów pokochała, byli po prostu parą rozbitków na otwartym morzu, zdanych wyłącznie na siebie. Z całego zajścia Kate zapamiętała tylko tyle, że obudziła się w łóżku Andyego i natychmiast uciekła do swojego pokoju. On jeszcze wtedy spał.

Przez cały Nowy Rok byli oboje potężnie skacowani i odzywali się do siebie z rzadka, Kate nękały w dodatku nieznośne wyrzuty sumienia, że ulegając nadmiarowi alkoholu i tłumionym od tak dawna instyktom, złamała przysięgę, iż już nigdy nie będzie się kochać z Andym.

Potem praktycznie znów przestali ze sobą rozmawiać i dopiero pod koniec stycznia zrozpaczona Kate przerwała milczenie, żeby oznajmić mężowi nowinę. Nie dość, że więził ją wbrew jej woli, traktując jak swoją dożywotnią własność; teraz będzie uzależniona od niego jeszcze bardziej. Spodziewała się drugiego dziecka.

Andy miał nadzieję, że przybliży ich to do siebie, w istocie jednak tylko pogłębiło rozciągającą się pomiędzy nimi przepaść. Dręczona nieustannymi mdłościami Kate przeleżała w łóżku całą resztę zimy i wiosnę, wstając tylko po południu na krótkie spacerunki z Reedem.

Swą słabość zresztą traktowała po części jako pretekst, by trzymać Andyego na jak największy dystans. Wieczorami, gdy wracał z pracy, jadali kolacje w całkowitym milczeniu, a nieznośną ciszę panującą w ich domu zakłócało tylko gaworzenie Reeda.

W czerwcu Kate przeczytała w gazecie, że Joe się zaręczył. Kiedy zadzwoniła z gratulacjami, dowiedziała się, że jest w Paryżu. On sam zerwał z nią ostatnio wszelkie kontakty.

Dobiegając trzydziestki, Kate czuła się jak staruszka u kresu swych dni. Była żoną człowieka, do

którego nic nie czuła, spodziewała się niechcianego dziecka, straciła jedynego mężczyznę, którego w życiu naprawdę kochała. Radości dostarczał jej tylko syn i wspomnienia o Joem. Rozwiązania spodziewała się we wrześniu; na krótko przed przewidywanym terminem czytała w łóżku do późnej nocy, spoglądając od czasu do czasu na uśpionego Reeda — który w marcu skończył dwa latka i był naprawdę rozkosznym dzieciakiem — kiedy nagle do jej pokoju wszedł Andy. Ostatnio patrzyła nań jak na kogoś zupełnie obcego i nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogli się kiedyś kochać czy chociaż przyjaźnić.

— Jak się czujesz? — zapytał, siadając na skraju łóżka.

— Jak bardzo grube babsko — odparła ze słabym uśmiechem. Miała wrażenie, że rozmawia z dalekim znajomym, którego w dodatku nie widziała od lat.

— Uznałem, że powinnaś wiedzieć. Wyprowadzam się po narodzinach dziecka — oznajmił. Decyzję podjął już kilka tygodni temu, a dziś po południu wynajął mieszkanie. Nie potrafił dłużej żyć pod jednym dachem z Kate, umarło bowiem wszystko, co kiedykolwiek ich łączyło. I zrozumiał wreszcie, że dalsze niewolenie żony nie ma sensu, bo za kratami klatki

tkwi tylko jej ciało, ponieważ duch uleciał na wolność już dawno, dawno temu. Zwycięstwo nad Joem nie przyniosło nic: Andy nie obronił się przed utratą Kate, gdyż nigdy jej nie miał.

— Dlaczego to robisz? — Spokojnie odłożyła książkę.

— Po co miałbym zostawać? To ty miałaś rację, popełniłem błąd. Wybacz, że za moją sprawą urodzisz dziecko, bardzo skomplikuje ci życie.

— Ręka Opatrzności. Znowu — rzekła. Coś, co każe ludziom odchodzić albo zostawać, podejmować decyzje słuszne lub błędne, cieszyć się z tych decyzji lub ich żałować.

Przypadek. — Reed nie będzie przynajmniej jedynakiem. Gdzie zamieszkaż? — zapytała ze zdawkowym zainteresowaniem kogoś, kto niezobowiązująco gawędzi z przypadkowym towarzyszem podróży, nie zaś kobiety zatroskanej losem kochanego niegdyś mężczyzny. Zresztą straciła już pewność, czy rzeczywiście kiedykolwiek Andy'ego kochała. Raczej nie. Oboje zapłacili wysoką cenę za jej samotność i rozpacz po rozstaniu z Joem. Szkoda, że nie pozostali tylko przyjaciółmi.

— Powinienem był posłuchać cię dwa lata temu — stwierdził.

Skinęła głową. Te dwa lata kosztowały ją Joego... Ciekawe, czy już się ożenił, pomyślała.

Gazety wspominały tylko o zaręczynach. Musiała je uszanować, było za późno. Andy zmarnował jej życie i zniszczył marzenia. Wszystko co dobre i piękne padało łupem owej nie znanej Kate wybranki Joego. Dla samej Kate nie zostawało nic.

— Zapewne miałeś prawo spróbować — przyznała uczciwie, zdając sobie sprawę, że z jej punktu widzenia taka próba nie miałaby najmniejszego sensu. Andy przestał się liczyć, kiedy tylko ponownie zobaczyła Joego.

— Wróć do niego, Kate — poradził cicho takim tonem, jakiego używał w czasach, kiedy się prawdziwie przyjaźnili. — Nigdy nie pojmowałem, co i z jakiego powodu was łączy, skoro jednak jest to więź tak potężna, nie możecie jej zrywać. Masz prawo do tego uczucia, zasługujesz na nie. Powiedz mu, że jesteś już wolna. Powinien się o tym dowiedzieć. Przez dwa lata Andy'ego dręczyło poczucie winy z powodu kłamstw, które zaserwował Joemu, ale w tej chwili nie miał ani odwagi wypowiedzieć się z nich przed Kate, ani pomysłu, jak w inny sposób naprawić wyrządzoną jej krzywdę. Pocieszał się myślą, że siła ich wzajemnej miłości okaże się dostatecznym lekarstwem.

— Właśnie się zaręczył — odrzekła, patrząc nań ze smutkiem.

— No i co z tego? Byliśmy małżeństwem, kiedy pojawił się ponownie. Jeśli cię kocha, wróci, nie oglądając się na wszystkie kobiety świata.

— Tak sądzisz? — Uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy od wielu miesięcy. Długo był wyłącznie strażnikiem jej więzienia; może teraz, obdarowując ją wolnością, stwarzał szansę na odrodzenie ich przyjaźni. Na to zresztą liczył, obojętność mu nie wystarczała.

— Tylko że dla mnie i Joego to najgorszy moment z możliwych. Przecież on zamierza ożenić się z inną.

— A pamiętasz, jak wierzyłaś, że żyje, chociaż wszyscy uważali go za poległego? Teraz ty byłaś martwa przez dwa lata, Kate. Teraz tobie należy się zmartwychwstanie. Zawsze pragnęłaś tylko jednego: być z Joem.

— Wiem — wyszeptała. — Wariactwo, prawda? Zawsze. Od pierwszego spotkania.

Niesamowite uczucie, jakbym była rybą, w której brzuch wbił się wielki ostry hak. Ani ja, ani Joe nigdy nie zdołaliśmy zerwać żyłki.

— Więc nie próbuj tego zrobić i teraz. Płyn do niego. Rób, co chcesz, ale nie rezygnuj z marzeń.

On zrezygnował ze swoich, gdy pojął w końcu, że w żaden sposób nie mogą się ziścić. Nigdy nie miał Kate; zawsze — i bez reszty

— należała do Joego.

— Dziękuję — powiedziała.

Nachyliwszy się, pocałował ją w policzek.

— Prześpij się — rzucił na pożegnanie, wychodząc z pokoju.

Ale rozmyślała jeszcze długo w noc, stwierdzając ze zdumieniem, że nie odczuwa prawie nic, ani smutku, ani ulgi. Tylko odrętwienie, jak przez całe minione dwa lata. Powtarzała w duchu słowa Andy’ego i zastanawiała się w nieskończoność, czy ma jeszcze szansę postąpić wmyśl jego rad. Nie rezygnuj z marzeń... płyn... wracaj do niego. Trudno było uwierzyć, że jej marzenia jeszcze mogłyby się spełnić, zawsze przecież czegoś do tego brakowało. Jak w tej chwili: Joe był zaręczony, a może się już ożenił. Czowała, że nie ma prawa wywracać jego życia do góry nogami, krzyżować mu sztyki. Doznawała dziwnego wrażenia, gdy uświadomiła sobie, że oto utraciła ich obu, zarówno Joego, jaki Andy’ego. Bo cokolwiek jej radził powodowany poczuciem winy Andy, było już za późno. Mogła w tej chwili dać Joemu tylko jedno: święty spokój.

Kiedy zaczął się poród, Andy zawiózł Kate do szpitala, gdzie przyszło na świat ich drugie dziecko — tym razem dziewczynka, której dali na imię Stephanie. Dwa tygodnie później, bez emocji, urazy czy gniewu, Andy wyprowadził się ze wspólnego mieszkania. Kiedy Stephanie liczyła sobie miesiąc, Kate wraz z dwójką dzieci i opiekunką pojechała do Reno, by po sześciu tygodniach, 15 grudnia, wrócić do Nowego Jorku jako rozwódka. Dowiedziała się od przyjaciółki, że w tym czasie sercem Andy’ego zafundowała bez reszty inna kobieta. Miała nadzieję, że to prawda, był samotny zdecydowanie zbyt długo, zasługiwał na los lepszy niż ten, który ona mogła mu zaoferować. Niemniej jednak w każde środowe popołudnie i w co drugi weekend pilnie odwiedzał Reeda i Stephanie.

Ich małżeństwo, trwające oficjalnie trzy i pół roku, w rzeczywistości jednak tylko rok, wydawało się obojgu dawno prześnionym snem.

Tak naprawdę rozpaczali z powodu jego rozpadu tylko rodzice Kate, bo mimo wszystko nie potrafili zrozumieć i przyjąć do wiadomości, dlaczego umarło.

Tydzień po powrocie z Reno Kate — która po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuła się panią własnego losu — poszła z Reedem kupić choinkę. Nucąc kolędy, dotarli do punktu sprzedaży drzewek na rogu ulicy, podskakujący z uciechy Reed wybrał ogromną jodłę, a Kate podawała właśnie sprzedawcy adres, pod który miała być dostarczona, gdy dostrzegła kątem oka, że z wielkiego auta wysiada jakiś mężczyzna w kapeluszu i ciemnym palcie. Miał pochyloną głowę, ale poznała go natychmiast: to był Joe. Też ją dostrzegł, stanął jak wryty, potem się uśmiechnął. Nie rozmawiali ze sobą od miesiący, nie widzieli się od dwóch lat. Gdy ruszył w jej stronę, też uśmiechnęła się mimo woli. Przeznaczenie. Joe znów się pojawiał. Ich ścieżki krzyżowały się, rozchodziły, biegły daleko od siebie, później przecinały znowu. Na barbecue, na statku, na balu przed dwunastu laty. Wystarczył jego widok, by marzenia ożyły z dawną mocą.

— Cześć, Kate — powiedział.

Straciła z nim wszelki kontakt, nie miała pojęcia, gdzie się podziewa, czy jest w Nowym Jorku, Kalifornii czy może gdzie indziej. Przestała do niego dzwonić i pisać, ale jej niezłomne postanowienie, by raz na zawsze zniknąć z jego życia, okazało się niczym wobec kaprysów losu.

— Cześć, Joe — odparła, doznając na jego widok znajomego ukłucia w sercu.

Miał ochotę zadać milion pytań, lecz skrzepowany przelewającym się wokół nich tłumem i obecnością Reeda, który przecież niejedno mógł już zrozumieć, poprzestał na najbardziej ogólnikowym:

— Co nowego?

Roześmiała się, przypominając sobie rady Andy’ego: „Powiedz mu”, „Odszukaj go”...

Tymczasem to on ją odnalazł. Chociaż przyjechał tylko po choinkę.

Postanowiła rzucić się na głęboką wodę.

— Rozwiódłam się — oznajmiła.

Był zaskoczony wiadomością, lecz zarazem wyraźnie rad, że ją słyszy.

— Kiedy to się stało? — zapytał.

— W zeszłym tygodniu wróciliśmy z Reno. Pojechałam tam z dziećmi.

— Z dziećmi?

— Oprócz Reeda mam teraz Stephanie. Urodziła się trzy miesiące temu. Upiłam się w sylwestra i... — urwała zakłopotana. — A co u ciebie?

— Też doprawiłem się w sylwestra, ale w moim wypadku jedynym skutkiem był kac — odparł z rozbawieniem. — Zaręczyłem się w czerwcu, ale ostatnio zaczęły się schody. Ona nienawidzi samolotów.

— A więc nic z tego nie wyjdzie — stwierdziła trzeźwo Kate.

Rozkoszowała się jego bliskością, pojmowała tak samo jak Joe, że nic pomiędzy nimi się nie zmieniło. Ich więź, jedyna w swoim rodzaju, wyjątkowa, nie została zerwana.

— A z nas? — zapytał, przysuwając się bliżej.

Może było dla nich za późno, a może wciąż istniała szansa, że jeśli tylko zbiorą się na odwagę, tym razem dopisze im szczęście. Kiedy Joe patrzył na Kaw, wszystkie te straszne rzeczy, które opowiedział o niej Andy, nagle straciły wszelkie znaczenie.

— Trudno powiedzieć. Co ty sądzisz?

Wiele wody upłynęło, całe oceany. Były wojny, stworzona przez Joego olbrzymia korporacja, było małżeństwo Kate, ich krótkotrwały związek sprzed dwóch lat, teraz jej rozwód.

Schodzili się i rozchodzili, ale uczucie trwało. Trwała magia, płonął ogień. Stojąc przy sobie, czuli jego ciepło w mroźnym powietrzu grudniowego dnia.

— Do domu, mamusiu — niecierpliwiał się Reed, ciągnąc Kate za ramię.

— Za chwilę, kochanie — odparła, dotykając dłonią policzka malca.

— No i co powiesz? — spytał Joe. Jego niebieskie oczy świdrowały Kate spod runda zaśnieżonego kapelusza.

Chcesz wiedzieć już t e r a z? — nie dowierzała.

— Czekaliśmy dwanaście lat, Kate — odrzekł spokojnie.

— Co prawda, to prawda. A więc gdybym miała ci udzielić odpowiedzi w tej chwili, to zaryzykowałabym stwierdzenie, że warto spróbować.

Wstrzymała oddech zdjeta obawą, że spłoszy Joego swoją determinacją i znów skłoni go do ucieczki. Ale tym razem nie zamierzał uciekać.

— A ja zaryzykowałbym stwierdzenie, że masz rację. Przypuszczalnie zachowuję się jak wariaci. Bóg świadkiem, że dotąd trafialiśmy jak kulą w płot, ale może wreszcie nadszedł nasz czas.

Istotnie: dotąd mogło się zdawać, że wszystko sprzysięgło się przeciw nim, że jedno zawsze oczekiwało czegoś innego, niż mogło dać to drugie... Może tym razem wreszcie dopisze im szczęście.

— A co z twoją narzeczoną? — zapytała niepewnie Kate. Myśl, że tym razem to ona zerwie czyjś związek, przejmowała ją wstrętem. Nie chciała iść śladem Andy'ego.

— Daj mi godzinę. Powiem jej, że prototyp nie zostanie skierowany do produkcji, bo nie sprawdził się podczas lotów próbnych

— uśmiechnął się.

— Kolejny punkt: dzieci. Co z nimi? — drążyła Kate, bo przyszło jej do głowy, iż Joe mógł dojrzeć wreszcie do posiadania własnego potomstwa.

— Masz, jeśli dobrze rozumiem) dwójkę. Czy musimy zresztą wszystkie problemy rozstrzygać już teraz? Gdybym wiedział, że się spotkamy, odrobiłbym starannie pracę domową. Sądzisz, że istnieje szansa na kolejną rundę negocjacji? — zażartował, a ona wyczytała z jego oczu, że jest szczęśliwy i nie odczuwa lęku.

— Da się to chyba załatwić.

Jakże dziwne wolty i zwroty zdarzają się w życiu, pomyślała, jak nieoczekiwanie spełniają się najskrytsze marzenia, a człowiek trafia do miejsc, których już nigdy nie spodziewał się zobaczyć.

— Ten sam adres? — Skinęła głową. — Zadzwoń wieczorem. Tylko nie wydaj się za męża, nie wróć do Andy’ego i nie zniknij. Przesiedź spokojnie tych parę godzin i spróbuj nie wpakować się w tarapaty, dobra?

— Spróbuję odparła z uśmiechem.

— Grzeczna dziewczynka. — Kiedy obejmował Kate, Reed przypatrywał się im zaokrąglonymi ze zdziwienia oczkami. — Witaj w domu, Kate.

Odkąd się rozstali, jej życie przypominało pustynię; w jego życiu były jak zawsze samoloty i praca, ostatnio zaś również kobieta, która dostawała mdłości w windzie i nienawidziła latania. Wciąż nie mogli uwierzyć, że wreszcie nadszedł ich czas; wątpili jeszcze, choć wszystko na to wskazywało. I nagle oboje uświadomili sobie z ogromną mocą, że nie powinni tracić ani chwili więcej. Zwłaszcza Joe. Nie miał zamiaru czekać następnych dwunastu lat, nie miał zamiaru uciekać i nie zamierzał dopuścić, by uciekła przed nim Kate.

— Zadzwoń za dwie godziny, a wieczorem przyjdę do ciebie. Najpierw muszę coś załatwić. Zerwać zaręczyny. Kate przestała się przejmować, jaką ceną będzie opłacony jego powrót. Pragnęła Joego. Przebrnęli Himalaje, żeby się odnaleźć, nie miała zamiaru dzielić się Joem z nikim. Był jej. Zdobyła do niego prawa w uczciwej walce.

Zadzwoił zgodnie z zapowiedzią, a o ósmej, kiedy dzieci już spały, zjawił się osobiście, lecz natychmiast zniknęli w sypialni... Pościli tak długo, że teraz zaspokajali swój głód z łapczywością właściwą zwierzętom. Potrzebowali wieczności, żeby znaleźć to bezpieczne schronienie w swoich ramionach. Żywili przynajmniej nadzieję, że je znaleźli. Nie mieli żadnych gwarancji, wyłącznie swoje marzenia. Gdy zasypiali wreszcie przytuleni, wiedzieli tylko, że są w punkcie, do którego zawsze pragnęli dotrzeć.

Nazajutrz rano Joe bawił się z Reedem, kiedy Kate karmiła Stephanie, a potem w trójkę ubrali drzewko. Po spędzonych wspólnie świętach Joe i Kate — bez świadków, przyjaciół i złudnych nadziei — trzymając się za ręce poszli do magistratu. Potem zadzwonili do rodziców Kate. Zaszokowana Liz przyznała uczciwie, że oto wreszcie przegrała zakład z Clarkiem, iż Joe nigdy nie poślubi Kate.

— Nie sądziłam, że dożyję tego dnia — stwierdziła odkładając słuchawkę.

Kate i Joe też nie sądzili. Musieli przejść bardzo długą i bardzo krętą drogę.

— Szczęśliwa? — zapytał wieczorem Joe, kiedy zwinęła się przy nim w kłębek.

— Bezgranicznie — odparła z szerokim uśmiechem. Była w końcu panią Allbright.

Kiedy zasnęła, wpatrywał się w nią jeszcze przez wiele minut. Należała wreszcie do niego, nic już nie mogło się zdarzyć. Byli dla siebie stworzeni: jego namiętność spotkała się z jej marzeniami. Nareszcie nastąpił happy end. Ich wspólny happy end.

ROZDZIAŁ XIX

Pierwsze dni małżeństwa Joego i Kate były wręcz cudowne, poza tym niosły to wszystko, czego oczekiwali po wspólnym życiu: szczęście i mnóstwo zajęć. Kate na stałe zatrudniła opiekunkę do dzieci, żeby móc jak najczęściej towarzyszyć Joemu, odwiedzała go w biurze, skrzyła radami, w weekendy latała z nim samolotem. W styczniu byli razem w Kalifornii — tamtejsza gałąź firmy Joego wywarła

na Kate olbrzymie wrażenie — później zaś w Newadzie, gdzie Joe oblatywał prototyp nowej maszyny, a na zakończenie zabrał ze sobą Kate na wycieczkę powietrzną, która zmieniła się w krótki popis akrobacji lotniczych.

— Dzięki Bogu, że nie ożeniłem się z Mary — oświadczył po serii szczególnie karkołomnych beczek i pętli.

Kate uwielbiała z nim latać, nigdy nie dostawała mdłości, powietrzne ewolucje zaś uważała za rozrywkę lepszą niż diabelski młyn.

— Ale bez wątpienia potrafiłaby należycie zadbać o twój żołądek

— stwierdziła pogodnie Kaw, która nie miała złudzeń co do swoich talentów kulinarnych.

— To pewne jak w banku. Podczas takiego lotu jak ten wymiotowałaby na mnie bez chwili przerwy.

Eksnarzeczona Joego kategorycznie odmówiła latania samolotem i nie wykazywała najmniejszego zainteresowania pracą przyszłego męża. Joe zdawał sobie sprawę, że zaręczając się z ni postępuje głupio, ale kiedy Kate została z Andym, nie umiał uporać się z samotności poza tym chciał dowieść samemu sobie, że życie z inną kobietą jest zupełnie możliwe. Był w błędzie.

Kate, dochodził teraz do wniosku, ocaliła go przed losem gorszym niż śmierć i co więcej, była dla niego stworzona. Kochała go, uwielbiała latać, interesowała się jego samolotami. Wniosła w jego życie luz, wesołość, dziecięcą bez troskę. Ufała mu, była poważna, kiedy tego po niej oczekiwał, rozsądna i mądra, kiedy wymagały tego okoliczności. No i — z wzajemnością — kochała go nad życie. Stanowili na dodatek uderzająco przystojną parę, a emanujące z Joego spokój, poczucie siły i władzy stanowiły kontrapunkt dla dowcipu, wdzięku i dystynkcji Kate. Gdziekolwiek byli razem — zwracali na siebie powszechną uwagę.

Miesiąc po ślubie Kate wraz z dziećmi i psem wprowadziła się do mieszkania Joego, które było tak przestronne, że bez trudu zmieściła się w nim jeszcze opiekunka. Stosując metodę drobnych kroków, Kate ociepliła jego nieco surową elegancję, tak że stało się znacznie przytulniejsze i bardziej rodzinne. Zastanawiali się jednak nad zakupem domu.

Wiele ze sobą rozmawiali i nie było dla nich tematów tabu.

Pewnego dnia Joe poruszył nawet sprawę nieudanego samobójstwa

Kate, która nie dawała mu spokoju, odkąd usłyszał o niej od Andy'ego.

Kiedy o tym wspomniał, Kate była zupełnie zbita z tropu.

— O czym ty mówisz? — zapytała ze zdumieniem.

— Wszystko w porządku, Kate. Wiem—odparł spokojnie. Ale nie dodał, skąd wie; dotąd nie mówił jej o swojej rozmowie z Andym. Uznał, że to niepotrzebne.

— Co wiesz? — dopytywała się, wciąż stropiona. Przypuszczał, że udaje.

— Wiem, że kiedyśmy zerwali ze sobą w New Jersey, próbowałam się targnąć na życie — wyjaśnił. Ta historia ciągle stanowiła dlań źródło bolesnych wyrzutów sumienia. Robił wszystko, żeby wynagrodzić Kate doznane przez nią cierpienia.

— Odbiło ci? Miałam kręćka na twoim punkcie, ale nie byłam pełną wariatką. Skąd, na Boga, pomyśl, że usiłowałam popełnić samobójstwo?

Wyraz jej twarzy sprawił, że Joego ogarnęły wątpliwości.

— Mówisz mi, że nigdy nie próbowałam się zabić, Kate? — zapytał tonem, który w równym stopniu mógł być gniewny co przepelniony uczuciem ulgi.

— To ci właśnie mówię. Nigdy nie słyszałam czegoś tak niesmacznego. Jak mogłeś pomyśleć, że mogłabym zrobić coś podobnego? Kocham cię, Joe, ale przecież nie zwariowałam z miłości.

Joe wyglądał jak chmura gradowa, kiedy popatrzył jej w oczy i spytał z naciskiem:

— Odwiedzasz psychiatrę?

— Nie — odparła zdziwiona. — A sądzisz, że powinnam?

— Sukinsyn! — warknął Joe, jak pchnięty sprężyną zerwał się z krzesła i zaczął wściekle przemierzać pokój od ściany do ściany.

— Kogo masz na myśli? — zapytała oszołomiona jego wybuchem.

— Tego parszywego gnojka, który był twoim mężem — odrzekł.

— Nie wiem nawet, jak ci powiedzieć, co zrobił, ani też jakim okazałem się idiotą. Gromił się w duchu, że dał wiarę usłyszonym rewelacjom, chociaż rozumiał doskonale, co, dlaczego i w jaki sposób uczynił Andy: chcąc zatrzymać Kate, mistrzowsko wygrał wszelkie jego lęki i uprzedzenia, on zaś jak głupek połknął przynętę i haczyk. Marnując przy tym kolejne dwa lata życia swojego i Kate.

— Andy ci powiedział, że próbowałam popełnić samobójstwo?

— zapytała bezgranicznie zdumiona. — I ty dałeś temu wiarę?

— Chyba wszyscy zachowywaliśmy się wtedy trochę irracjonalnie. To było dzień po tym, jak przyszedł do mnie do biura i oznajmił, że nie chce ci dać rozwodu. Nazajutrz sam Andy złożył mi wizytę i wstyd przyznać, zrobił ze mną, co chciał. Opowiedział, jak jesteś neurotyczna, niepewna i niezrównoważona... A kiedy oświadczył, że próbowałaś popełnić samobójstwo, gdyśmy ze sobą zerwali, wpadłem po prostu w panikę, przeraziłem się, że mógłbym ci ponownie pchnąć do takiego kroku jakimś nierozważnym postępkim lub mimowolnie wyrządzonej ci krzywdą. Dodał jeszcze, że kilka razy w tygodniu widzisz się z psychiatrą... Nie byłem gotów podjąć ryzyka, którego stawką mogłoby być twoje zdrowie lub życie.

— Dlaczego mnie o to nie zapytałeś?

— Nie chciałem pogłębiać twojego rozstroju, bo to mogłoby przepchnąć czarę. Teraz widzę, jaki numer wykręcił mi ten sukinsyn, jak sprytnie wykorzystał moje poczucie winy z powodu twojego rzekomego samobójstwa. — Kate również zrozumiała grę Andy’ego i znenawidziła go jeszcze bardziej. Walczył wprawdzie o swoje życie, o ocalenie rodziny, ale przepędził Joego i omal nie odebrał jej szansy na szczęście. Istny cud, że się jednak z Joem odnaleźli. — To wszystko brzmiało tak cholernie przekonująco, a ja byłem zbyt zdenerwowany, żeby zadać parę sensownych pytań albo obudzić w sobie podejrzliwość. Opisał mi coś, z czym jak wiedziałem, nie potrafię się uporać. Na samą myśl o tym przez wiele miesięcy dręczyły mnie koszarne wyrzuty sumienia.

— Jak mógł zrobić coś takiego! — westchnęła Kate i w tym samym momencie przyszło jej do głowy, że Andy musiał powiedzieć coś jeszcze, musiał odwołać się chociaż do jednej prawdy, żeby uprawdopodobnić wszystkie swoje kłamstwa. Prawdy, której nigdy sama nie zdradziła Joemu. Spojrzała mu w oczy, ale zobaczyła w nich tylko bezmierną miłość. — Czy opowiedział ci również o moim ojcu?

— zapytała.

— Opowiedział mi o nim Ciarke. Na Cape Cod, kiedy namawiał mnie do ożenku z tobą. Uznał, że powinienem o tym wiedzieć

— odparł miękko Joe, ujmując Kate za rękę i przyciągając ją do siebie.

— Współczuję ci, Kate. To musiało być dla ciebie straszne.

— Było — odrzekła ze łzami w oczach. — Doskonale pamiętam ten dzień, w najdrobniejszych szczegółach... Osobliwe jednak, że tak słabo pamiętam ojca. Powinnam pamiętać, ale nie pamiętam. W chwili jego śmierci miałam osiem lat, lecz z mojego życia usunął się dwa lata wcześniej. Jego śmierć również dla mamy była strasznym przeżyciem, tylko że ona nigdy o nim nie mówi. Czasem wolałabym, żeby było inaczej. Tak niewiele o nim wiem... chyba tylko to, że zdaniem Clarke’a był porządnym człowiekiem.

— Nie wątpię.

Czytał z oczu Kate, jak wciąż bolesne są dla niej te wspomnienia. Stanowiły podłoże wszystkich jej lęków — obawy przed utratą i porzuceniem. Ojciec mimowolnie przysporzył jej mnóstwa cierpień, ale teraz znalazła wreszcie spokojną przystań. Z Joem.

— Ciesz się, że o tym wiesz — powiedziała cicho. W tej chwili nie miała już przed nim żadnych tajemnic.

Wieczorem, w łóżku, wrócili do tej rozmowy, dochodząc do zgodnego wniosku, że Andy postąpił obrzydliwie, choć jego plan był na swój sposób genialny. Kate nie przypuszczała, by był zdolny do takich krętaństw, które teraz zdradziły jej niejedno o jego prawdziwej naturze; zamierzała uporządkować swoje przemyślenia w tej kwestii, a w odpowiednim momencie wywołać Andy'ego do tablicy. Andy'ego, który wykorzystał każdy podstęp w swoim repertuarze, a jednak przegrał, bo Kate w końcu i tak odnalazła drogę do Joego. Codziennie będzie za to dziękować Opatrzności. Z nadejściem wiosny Joe zaczął coraz częściej bywać w Kalifornii, gdzie rozbudowywał tamtejszą bazę swoich linii lotniczych, latem zaś spędzał w Los Angeles dwa tygodnie w miesiącu, nic więc dziwnego, że w końcu ściągnął Kate, która w rezultacie z dwójką dzieci i opiekunką zamieszkała w hotelu Beyerly Hills. Z początku bawiła się dobrze, dzieląc czas pomiędzy zakupy, zabawy z dziećmi i leniuchowanie nad basenem połączone z oglądaniem pojawiających się i znikających gwiazd filmowych. Joe większość czasu przesiadywał w biurze:

wychodził z hotelu o szóstej rano, wracał po północy. Zamierzał stworzyć sieć połączeń transpacyficznych, co było gigantycznym przedsięwzięciem logistycznym i organizacyjnym, jego linie lotnicze zaś miało wynieść do światowej czołówki.

We wrześniu wyjechał na dłuższy czas do Hongkongu i Japonii; wspólnie z żoną doszedł do wniosku, że to dla małych dzieci zdecydowanie zbyt daleka podróż, Kate zatem wróciła do Nowego Jorku, mając już dość mieszkania w hotelu. Joe dzwonił do niej co wieczór i meldował na bieżąco o wszystkich sprawach. A wydawało się, że robi milion rzeczy jednocześnie: kierował zarówno nowojorską, jak i kalifornijską gałęzią firmy, podbijał Daleki Wschód, projektował samoloty, a w wolnych chwilach dodatkowo je oblatywał. Nic dziwnego, że był wiecznie zaaferowany i spięty. Zatrudniając setki kompetentnych pracowników, zachowywał się jak człowiek orkiestra; nieustannie narzekał, że brak mu czasu tak dla samolotów, jak dla żony.

Kiedy wrócił w październiku po czterech tygodniach nieobecności, Kate zauważyła z przekąsem, że praktycznie przestali się widywać.

— Nic na to nie poradzę — odparł. — Nie mogę być w stu miejscach równocześnie.

W ciągu minionego miesiąca dwa tygodnie spędził w Tokio, tydzień w Hongkongu i pięć dni w Los Angeles. A kiedy zginął jeden z jego najlepszych oblatywaczy — i tow samolocie, który przedtem Joe przetestował osobiście — pojechał na dobę do Reno, żeby zbadać szczątki i odwiedzić wdowę. Po powrocie do Nowego Jorku ledwie trzymał się na nogach.

— Czy nie możesz całą firmą kierować stąd? — zasugerowała Kate.

— Jak to sobie wyobrażasz? — spytał z rozdrażnieniem człowieka wiecznie zaganianego, któremu w dodatku nie okazuje zrozumienia znudzona małżonka. A Kate rzeczywiście zaczynała mieć po uszy wiecznych rozstań. — Jak mogę siedzieć w biurze, skoro mam pracowników na połowie kuli ziemskiej? Zajmij się czymś, Kate. Zacznij się udzielać w Czerwonym Krzyżu albo gdzie indziej. Baw się z dziećmi.

W Kate jego rady nie budziły najmniejszego entuzjazmu: miała trzydzieści lat i męża, którego kochała do szaleństwa, a jednak przeważnie wiodła życie samotne. Chodziła bez niego na przyjęcia, weekendy spędzała tylko z dziećmi, spała sama i nieustannie musiała thimaczyć ludziom, dlaczego jej mąż nie może przyjść tu czy tam. Nieustannie, bo Allbrightów pragnęła widzieć u siebie całą nowojorską socjeta. W wieku czterdziestu dwóch lat Joe — wyłącznie dzięki swoim talentom — stał się jednym z największych rekirow w branży lomiczej i

wszystko, czego dotykał, zamieniało się w złoto. Tylko że pieniądze nie mogły dotrzymać Kate towarzystwa ani przytulić jej w nocy. Tęskniła za Joem, a jego częsta nieobecność wywoływała z jej duszy widma przeszłości. Joe wszakże był zbyt zajęty, żeby dostrzec i prawidłowo odczytać symptomy. Widział jedynie irytację Kate, słyszał jedynie narzekania. — A może następnym razem polecisz ze mną? próbował zaradzić problemowi. — Pochodzisz na zakupy, będziesz zwiedzać muzea, świątynie i tak dalej.

Ale proponowany przez niego kompromis był pozorny, oboje bowiem zdawali sobie sprawę, że wspólna podróż nie jest tożsama ze wspólnym życiem. Czy w Nowym Jorku, czy w Hongkongu Joe pracował jednakowo intensywnie.

— Ależ nie mogę zostawiać dzieci na długie tygodnie. Przecież Reed ma dopiero trzy lata, a Stephanie roczek.

— Zabierz je ze sobą — poradził zwięźle.

— Do Tokio? — zapytała ze zgrozą.

W Japonii też są dzieci, Kate. Przysięgam, kiedyś jedno widziałem. Możesz mi wierzyć.

Uznała jednak, że taka wyprawa niesie ze sobą zbyt wielkie ryzyko

— przecież dzieci mogłyby zachorować! — poza tym perspektywa wyczekiwania na Joego w hotelowym apartamencie zupełnie jej nie pociągała. Woląca już czekać we własnym domu.

W Święto Dziękczynienia, które spędziła u rodziców, był w Europie; zadzwonił z Londynu, porozmawiał chwilę z Liz, potem — znacznie dłużej — z Ciarkiem, który szczegółowo wypytywał go o najrozmaitsze przedsięwzięcia. Wieczorem tego dnia Liz wygłosiła uwagę

z punktu widzenia Kate wysoce irytującą.

— Czy on kiedykolwiek bywa w domu?

Liz nadal nie akceptowała Joego, podejrzewając, że to on przyczynił się w głównej mierze do rozpadu małżeństwa Kate, a chociaż w końcu się z nią ożenił, jest ciągle nieobecny.

— Czasem, chociaż rzadko. Ale tworzy coś niebywałego. Za rok czy dwa wszystko się ułoży - przekonywała Kate.

— Skąd możesz wiedzieć? Kiedyś miał te swoje samoloty. Teraz ma interesy i samoloty.

Gdzie w tym wszystkim miejsce dla ciebie?

W godzinach i dniach pomiędzy jedną podróżą a drugą, pomyślała Kate. Kiedy jest zbyt wyczerpany, żeby rozmawiać, żeby zasnąć, żeby się kochać. Wstaje więc o czwartej rano i pędzi do biura.

W Święto Dziękczynienia minęły dwa miesiące, odkąd kochali się po raz ostatni. Pragnął tego, chciał z nią być, chciał namiętych nocy i leniwych poranków, ale brakowało mu na to wszystko czasu i sił.

— Lepiej przyjrzyj się dokładniej temu, w co wdepnęłaś — podjęła matka. — Masz faceta, który właściwie nic ci nie daje. Bo nie może. A jak sądzisz, co on wyrabia podczas tych swoich podróży? Na pewno ma jakieś kochanice, jest w końcu mężczyzną.

Kate uporczywie odrzucała od siebie taką możliwość: Joe nie był człowiekiem tego rodzaju, nigdy. Miał obsesję na punkcie latania i pracy, budował imperium, które oszałamiało go i uzależniało jak narkotyk. Żywiła niemal całkowitą pewnością, że w ciągu ich rocznego małżeństwa nie zdradził jej ani razu. Jej też taka myśl nigdy nie przyszłaby do głowy.

Ale poza tym matka trafiła w sedno: nigdy nie miała Joego dla siebie. Z najrozmaitszych powodów. Nawet kiedy wracał do domu, były dokumenty, problemy, pogroźki związkowców, telefony do i z Kalifornii, Europy, Tokio, Białego Domu, narady z Charlesem Lindberghiem. Zawsze ktoś pożerał czas Joego, zawsze ktoś był ważniejszy niż Kate. Musiała stać w kolejce jak wszyscy jego petenci, i to z reguły na szarym końcu. Taki był układ i pragnąc być z Joem

— a pragnęła tego najbardziej w świecie — musiała akceptować jego warunki. Joe nie mógł jej dać większej części siebie, co więcej:

oczekiwał, że to zrozumie. Na ogół rozumiała. Kochała go, podziwiała, cieszyła się jego sukcesami — ale czasem również cierpiała. Nie miał pojęcia, jak bardzo za nim tęskni. Nie miał pojęcia, że wbrew wszystkim podejmowanym przez nią próbom wytłumaczenia sobie, iż jest inaczej, czuje się porzucona.

Usiłowała mu to spokojnie wyłożyć tydzień po Święcie Dziękczynienia, kiedy po nieprzespanej nocy wyjątkowo wcześniej wrócił z pracy, wziął z lodówki piwo i zasiadł przed telewizorem, żeby obejrzeć mecz piłkarski.

— Chryste, błagam cię, Kate, nie zaczynaj od nowa — jęknął.

— Wiem, że byłem poza domem przez trzy tygodnie i nie wyrobiłem się na Święto Dziękczynienia u twoich rodziców, ale Brytyjczycy zgłosili akurat zastrzeżenia co do moich tras powietrznych.

Wyglądał jak zbity pies, rozpaczliwie potrzebował chociaż krótkiej chwili relaksu, paru godzin bez żadnych napięć i nacisków. Zwłaszcza ze strony Kate.

— Czy od czasu do czasu ktoś inny nie mógłby prowadzić negocjacji w twoim imieniu? — zapytała świadoma, że Joe staje się perfekcjonistą, który wszystkiego musi dopilnować sam. Prawda jednak wyglądała tak, że sprawy istotnie szły najlepiej, kiedy zajmował się nimi osobiście. Nie zamierzał zresztą dopuścić, by ktokolwiek zmarnował to, co on w takim trudzie stworzył.

— Kate, taki się urodziłem i taki też umrę. Jeśli chcesz, żeby ktoś leżał ci u stóp, weź sobie następnego psa — oświadczył gniewnie, z taką mocą stawiając butelkę na stole, że piwo trysnęło aż na podłogę.

Bliska łez Kate nie myślała o ścieraniu.

— Czy nie rozumiesz, Joe? Kocham cię, chcę być z tobą. Wszystko rozumiem, zdaję sobie sprawę, jakie masz obowiązki, lecz nie jest mi łatwo.

Ale on nie rozumiał. Im bardziej usiłowała się do niego zbliżyć, tym bardziej się odsuwał; znów budziła w nim wyrzuty sumienia, to największe z jego przekleństw. Coś, z czym nie potrafił dać sobie rady.

— Dlaczego nie przyjmujesz do wiadomości, że robię z moim życiem coś znaczącego? Robię nie tylko dla siebie, lecz również dla ciebie. Kocham to, co tworzę, bo jest potrzebne światu. Nie chcę wracać do domu tylko po to, żeby wysłuchiwać twojego gderania. To nie w porządku. Mogłabyś przynajmniej cieszyć się z mojej obecności.

Na swój sposób błagał ją o litość, zadawała mu bowiem straszny ból. Ale o tym nie wiedziała, podobnie jak on nie rozumiał, dlaczego aż tak bardzo czuje się opuszczona. Znów, jak w pierwszym okresie ich związku, rozpoczynali chocholi taniec.

Trudno było z nim dyskutować, nie mogła samą siłą swych pragnień i miłości pokonać tego wszystkiego, co przynosiło mu prowadzenie i rozwijanie interesów. Jedno z nich musiało ustąpić pola i Kate pojmowała, że tym kimś będzie ona. Godziła się z nieuchronnością takiej sytuacji, ale wcale nie cierpiała przez to mniej. Zwłaszcza że widziała, jak Joe odsuwa się od niej, zamyka w sobie.

W grudniu znów był gościem w domu, i to jeszcze rzadszym niż poprzednio. Poleciał do Hongkongu na trudne negocjacje z tamtejszymi bankierami, w drodze powrotnej musiał zatrzymać się w Kalifornii — wystąpiły poważne problemy techniczne w fabryce, zawiódł silnik jednego z najnowszych prototypów, znów zginał oblatywacz, a Joe przeświadczony, że do katastrofy doszło z powodu błędów konstrukcyjnych, całą odpowiedzialność wziął na siebie. Przysiągł jednak Kate, że nawet koniec świata nie powstrzyma go od przyjazdu do domu na Boże Narodzenie — najpóźniej miał się zjawić w Wigilię, nawet gdyby oznaczało to konieczność zaniechania wizyty w kalifornijskim oddziale firmy.

Telefon zadzwonił rankiem, kiedy Kate z popiskującym radośnie Reedem ubierała choinkę. Tuż po śniadaniu rozmawiała z sekretarką Joego, Hazel, która była prawie pewna, że Joe leci już do domu.

Podniosła słuchawkę i usłyszała głos męża; natychmiast zorientowała się, że nie dzwoni z lotniska, lecz skądś z daleka. Ledwie go słyszała, chociaż krzyczał.

— Co? Gdzie jesteś? — odkrzyknęła.

— Wciąż w Japonii — usłyszała mimo szumów i trzasków. Ręce jej opadły.

— Dlaczego?

— Nie zdążyłem na samolot. — Tym razem głos Joego był nieco wyraźniejszy. Kate zbierało się na płacz. — Spotkania... musiałem odbyć ich więcej, niż zamierzałem... bardzo trudna sytuacja... — Kate czuła, że musi coś powiedzieć, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa. Pochlipywała. — Przykro mi, maleńka... Wróć za kilka dni... Kate?... Kate?... Jesteś tam? Słyszysz mnie?

— Słyszę — odparła, wycierając oczy. — Tęsknię za tobą... Kiedy wrócisz?

— Może za dwa dni.

A więc prawdopodobnie za cztery lub pięć. Zawsze tak było, choć niekoniecznie z winy Joego. Po prostu brał na siebie zbyt wiele obowiązków.

— Do zobaczenia po twoim powrocie! — zawołała, usiłując nie dopuścić, aby w jej głosie zabrzmiała gorycz. Wiedziała, jak na nią reaguje. A podejmowanie jakiegokolwiek dyskusji nie miałyby żadnego sensu, najwyżej Joe cofnąłby się jeszcze głębiej na pozycje defensywne. Kate pragnęła być dobrą żoną bez wglądu na cenę, jaką przyjdzie jej za to płacić.

— Wesółych świąt... Ucałuj dzieci...

Jego głos zamierał wśród szumów, Kate więc wykrzyknęła do słuchawki z nadzieją, że Joe ją usłyszy, zanim połączenie zostanie przerwane:

— Wesółych świąt! Kocham cię, Joe!

Odpowiedziała jej martwa cisza. Kate usiadła na krześle i zaniosła się płaczem.

— Nie bądź smutna, mamusiu — poprosił Reed, wdrapując się na jej kolana.

Nie złościła się, była tylko potwornie rozczarowana. Joe nie przyjedzie na święta, trudno, nic nie można na to poradzić. Sięgnęła

pamięcią do czasów wojny, kiedy został zestrzelony i powszechnie sądzono, że zginął... Ona też w końcu w to uwierzyła i straciła wszelką nadzieję. Teraz przynajmniej wiedziała, że wróci. Postawiła Reeda na podłodze i wysiąkała nos. Cóż, zrobią sobie prawdziwe święta dopiero po przyjeździe Joego.

Te kalendarzowe były bardzo ciche. Kate z dziećmi otworzyła prezenty — od rodziców i przyjaciół, bo Joe, zgodnie z jej przypuszczeniami, nie miał czasu na żadne zakupy — wkrótce potem zjawiał się Andy, żeby zabrać do siebie Reeda na kilka godzin. Miał się niebawem ożenić i Kate liczyła, że tym razem dokonał właściwego wyboru. Ona nie była mu pisana. I jeśli nawet jej i Joemu nie układało się najlepiej, to przecież wszelkie problemy traciły znaczenie wobec łączącej ich miłości.

— Cześć, Kate — pozdrowił ją z niejakim zakłopotaniem, stając w drzwiach. Od rozwodu zachowywali się poprawnie, a kiedy Kate wreszcie wyciągnęła sprawę kłamstw zaserwowanych Joemu, Andy ją przeprosił i przyznał, że postąpił wstrętne. Twierdził, że wciąż się tym gryzie.

Kate wiedziała, że podczas każdej bytności w Bostonie odwiedza jej rodziców. Nie miała nic przeciwko temu: zawsze go lubili, poza tym był ojcem ich wnuków. To właśnie Elizabeth poinformowała córkę o planowanym ożenku Andy'ego. Z nową wybranką spotykał się od roku, zapewne więc — sądziła Kate — starannie przemyślał swą decyzję.

— Wesółych świąt — odparła i zaprosiła go do środka. Kiedy zaś się zawahał, dodała pospiesznie: — Nic ci nie grozi, Joego nie ma. Wyjechał.

— W święta? — zdziwił się Andy, wchodząc do holu. — Współczuję, Kate. To musi być dla ciebie bolesne.

— Nie jest najprzyjemniejsze, ale nic nie mógł poradzić. Utknął w Japonii — wyjaśniła, siląc się na nonszalancję.

— Jest strasznie zapracowanym facetem — stwierdził Andy i pomachał na powitanie Reedowi, który z radosnym okrzykiem wpadł do sieni. Jego śladem wtoczyła się w chodzik Stephanie.

— Słyszałam, że się żenisz — powiedziała Kate, kiedy Reed poszedł po swój paltocik; nie miała pojęcia, czy Andy zwierzył się chłopcu ze swych zamiarów.

— Dopiero w czerwcu. Nie spieszę się zanadto.

Uśmiechnęli się oboje, bo Kate odgadła, iż dodał w myślach: „Żeby nie popełnić kolejnego błędu”.

— Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy. Zaslugujesz na to.

W tym momencie wrócił Reed ubrany w ciepłe palto, wełnianą czapkę i rękawiczki.

Natychmiast wziął ojca za rękę.

— Ty też. Wesołych świąt, Kate — odparł Andy, otwierając drzwi. Zapowiedział, że przyprowadzi Reeda o ósmej.

Kate jednak czuła się w święta bardzo samotna. Próbowwała zadzwonić do Joego, ale nie doczekała się połączenia. Joe miał zapewne takie same problemy, bo też nie zatelefonował. A może tkwił na tych swoich spotkaniach. Kate powtarzała sobie z uporem godnym lepszej sprawy, że to nie ma znaczenia, że za rok święta już na pewno spędzą wspólnie. Ze po prostu tak właśnie i.2kłada się życie. Lecz była bliska płaczu, kiedy zadzwonili rodzice, a ona musiała ich zapewniać, że czuje się świetnie.

Joe odezwał się dopiero po dwóch dniach, oznajmiając, że nazajutrz wylatuje z Tokio, ale zatrzyma się jeszcze w Los Angeles.

— Sądziłam, że wybierzesz się tam dopiero później — rzekła najbardziej neutralnym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć, Joe jednak bezbłędnie odgadł, co czuje.

— Muszę to załatwić już teraz. Związki znowu się burzą, ale przede wszystkim jest tam kobieta, która została wdową po jednym z oblatywaczy moich samolotów. Uważam, że należą się jej ode mnie przynajmniej słowa kondolencji.

Kate podzielała jego zdanie, lecz musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby nie krzyknąć: „A co ze mną?”

— Kiedy wrócisz? — zapytała ze znużeniem.

— Będę w sylwestra.

Może. Jeśli żadne nieprzewidziane okoliczności nie zatrzymają go w Los Angeles. Już przestała na niego liczyć. Mieli iść z przyjaciółmi na kolację i dancing i Kate bardzo cieszyła się na ten wieczór; teraz uznała, że jeśli Joe nie wróci, zostanie w domu z dziećmi. Nie chciała być dla nikogo piątym kołem u wozu.

Wrócił zgodnie z obietnicą 31 grudnia, akurat wtedy, kiedy w Nowym Jorku zaczął sypać gęsty śnieg. Przyjechał wykończony, bo osobiście pilotował firmowy samolot, nie wierząc, by ktokolwiek prócz niego mógł w takich warunkach atmosferycznych dolecieć i wylądować cało. Kate leżała w łóżku z książką i nawet nie słyszała, jak wchodzi

— po prostu nagle ujrzała, że stoi w drzwiach i uśmiecha się z zakłopotaniem. W jednej chwili stopniało w niej serce, Joemu nigdy nie umiała się oprzeć.

— Czy jeszcze m mieszkam? — zapytał niepewnie.

— Możliwe — odparła wesoło, pokazując gestem, żeby przy niej usiadł. — Wyglądasz całkiem, całkiem.

Tak mi przykro, maleńka. Zepsułem ci całe święta. Naprawdę chciałem wrócić. Straszny ze mnie palant, przepraszam. Chcesz gdzieś iść?

Ona miała lepszy pomysł. Wstała z łóżka, zamknęła drzwi sypialni, podeszła do Joego, a kiedy zdejmowała mu marynarkę, krawat i rozpinając guziki koszuli, zapytał gorliwie:

— Mam się przebrać?

— Nie — powiedziała, zabierając się do spodni.

— To mi wygląda poważnie — stwierdził i pocałował Kate.
— To jest poważne... To cena za to, że wyrolowałaś mnie w święta.
— Gdybym wiedział z góry, że będę musiał ją zapłacić, wróciłbym do domu wcześniej — wyszeptał, wślizgując się wraz z Kate do łóżka.
— Możesz ją płacić, kiedy tylko zapragniesz, Joe — odparła i zaczęła całować go wszędzie tam, gdzie lubił najbardziej.
— Przypomnij mi o tym następnym razem...
Spędzili cudownego sylwestra.

ROZDZIAŁ XX

Po roku ich małżeństwa, w 1954, życie Joego i Kate biegło ustalonym trybem: on rzadko bywał w domu, ona tkwiła w nim nieustannie z dziećmi. Aby zabić jakiś czas, zaangażowała się w działalność charytatywną, Joe zaś znalazł dla niej jeszcze jedno zajęcie: wychodząc z założenia, że spędza w Kalifornii niemal tyle czasu, ile w Nowym Jorku, postanowił kupić w Los Angeles dom, którego urządzenie, jak sądził, dostarczy Kate rozrywki. Znaleźli w Bel Air piękną rezydencję i zatrudnili architekta wnętrz, a kiedy tylko wraz z Kate zabrał się do dzieła, Joe znowu wyruszył na szlak, tym razem do Europy. Organizował teraz połączenia z Włochami i Hiszpanią, najczęściej więc przebywał w Rzymie i Madrycie, choć nie omijał również Londynu i Paryża; co najmniej raz w miesiącu wpadał do Los Angeles, ale na szczęście nie musiał już latać nieustannie do Azji. Kate żyła w przekonaniu, iż w każdej chwili są na dwóch przeciwnych krańcach globu. Raz czy dwa razy spotkała się z nim w Londynie, odwiedziła go w Rzymie i Madrycie, spędziła z nim cudowny tydzień w Paryżu, przy okazji jednak każdej z tych wypraw nękały ją wyrzuty sumienia, że zostawia dzieci. Tak jak Joe miotał się samolotami pomiędzy najrozmaitszymi punktami kuli ziemskiej, tak Kate miotła się pomiędzy nim a dziećmi. Będąc przy nich, zadręczała się, że jest daleko od Joego; będąc z Joem — cierpiała z powodu rozłąki z Reedem i Stephanie. Urządzenie domu w Bel Air istomie dawało jej wiele radości, ilekroć jednak zjawiała się w Kalifornii, Joe akurat przebywał w Europie. Wpadał do Los Angeles z reguły wtedy, kiedy Kate wracała do Nowego Jorku. Przypominało to zabawę w ciuciubabkę. Dom — przytulny, wygodny i elegancki — był gotowy we wrześniu. Zachwycony nim Joe rozgłaszał wszem wobec, jak wspaniale spisała się Kate, a nawet zachęcał ją, by w wolnych chwilach zajęła się dekoracją wnętrz na większą skalę, nie chciała jednak podejmować żadnych zobowiązań, które mogłyby ograniczyć jej możliwość spotkań z Joem przy każdej nadarzającej się okazji. Wierzyła, że tylko w ten sposób zdoła sprawić, by ich małżeństwo nie stało się fikcją. Prawie cały październik, co należało do rzadkości, Joe spędził w domu. Nie musiał gasić żadnych pożarów, musiał natomiast odbyć serię ważnych spotkań w Nowym Jorku i New Jersey. Kate rozkoszowała się jego codziennymi powrotami, choć nie umknęło jej uwadze, że mąż szybko zaczął zdradzać oznaki zniecierpliwienia, a nawet irytacji. W weekendy wiele czasu spędzał w powietrzu, którejs niedzieli zaś polecili nawet samolotem do Bostonu, żeby odwiedzić rodziców Kate. W drodze powrotnej Joe pozwolił jej przejąć na chwilę stery; cieszyła się jak dziecko.

Kiedy znów zajął się pilotowaniem, Kate postanowiła dotknąć sprawy, która chodziła jej po głowie już od dawna. Joe z reguły przebywał w domu tak krótko, że poruszanie drażliwych tematów miało się z celem, teraz jednak dopisywało mu wyśmienite samopoczucie i Kate uznała, że może zaryzykować wypłynięcie na szerokie wody. Chciała mieć następne dziecko — z Joem.

— Teraz? — wykrzyknął ze zgrozą.

— Może spróbuj, z łaski swojej, nie rozbić samolotu podczas tej rozmowy, dobra?

— Masz już dwoje dzieci, Kate, i aż nazbyt wielkie urwanie głowy z ich wychowywaniem — stwierdził.

Istotnie, miała pełne ręce roboty z dwuletnią Stephanie i czteroletnim Reedem, który w dodatku nieustannie się dąsał, bo Andy ożenił się w czerwcu i wkrótce potem oznajmił synkowi, że będzie mieć nowego braciszka albo siostrzyczkę. Reed wcale nie był tym zachwycony.

— Jesteśmy małżeństwem od półtora roku, Joe. Nie sądzisz, że najwyższy czas, aby mieć także nasze dziecko?

Wyraz twarzy Joego był aż nadto wymowny: nigdy nie marzył o dzieciach, chociaż uwielbiał zarówno Reeda, jak i malenką Stephanie. Reed ze swej strony był przekonany, iż Joe potrafi czynić cuda.

— Nie potrzebujemy więcej dzieci, Kate. I tak prowadzimy bardzo aktywne życie.

— Ale nigdy nie miałaś własnego — powiedziała błagalnie. Od poronienia w Radcliffe marzyła nieustannie, żeby znów zająć z Joem w ciążę.

— I nie chcę mieć — odrzekł brutalnie. — Wystarczą mi Reed i Stephanie.

— To nie to samo — zaoponowała ze smutkiem. Zaczynała wątpić, czy zdoła przekonać męża.

— Dla mnie to samo. Nie potrafiłbym kochać ich bardziej, nawet gdyby były moje — stwierdził. To dlatego zresztą doszła do wniosku, że jest doskonałym materiałem na ojca. Poza tym posiadanie potomstwa było w jej przekonaniu logicznym następstwem miłości, jaką się darzyli. — I wreszcie jestem za stary na płodzenie dzieci, Kate. Mani czterdzieści trzy lata, będę po sześćdziesiątce, kiedy pójdą na studia.

— Gdy się urodziłam, mój ojciec był starszy niż ty teraz. No i popatrz na Clarke'a... Czy twoim zdaniem zachowuje się jak stetryczwały staruszek?

— Nigdy nie harował tak ciężko jak ja. Moje dzieci nie znałyby ojca

— odparł, wykorzystując na swoją obronę fakt, który zazwyczaj stanowił źródło czynionych mu przez Kate wymówek. — Dlaczego nie znajdziesz sobie jakiegoś sensownego zajęcia? Zawsze coś ci nie pasuje:

albo uskarżasz się na moje wyjazdy, albo dochodzisz do wniosku, że pragniesz mieć następne dziecko. Dlaczego nie poprzestajesz na tym, co masz? Dlaczego zawsze chcesz więcej? Co jest z tobą nie tak, Kate?

— zapytał poirytowany rysującym się na jej twarzy wyrazem rozczarowania.

Podchodził do lądowania, zaniechała więc dalszej dyskusji, chociaż nie przypadł jej do gustu sposób, w jaki prowadził ją Joe. To ona, Kate, musiała zawsze się dostosowywać, to jej pragnienia były zawsze na drugim miejscu. Joe był rozpuszczony jak dziadowski bicz, po części z jej winy, bo kiedy wpadał do domu, wszystko kręciło się wokół niego. Świat wynosił pod niebiosa jego sukcesy lotnicze, wojenny heroizm i geniusz w interesach, a Kate ochoczo dołączała swój głos do chóru pochwał.

Milczała w drodze powrotnej, nie odzywał się również Joe. W samolocie potwierdził tylko złożoną już wiele lat temu deklarację, że nie chce mieć dzieci, bo na świecie w wyniku powojennego wyżu demograficznego jest ich aż nazbyt wiele. Kiedy w holu Reed zarzucił mu ręce na szyję, posłał Kate nad głowę chłopca znaczące spojrzenie, jakby oto uzyskał argument ostatecznie ucinający całą dyskusję. Istotnie, w następnych dniach nie wrócili do tematu.

Kate nie pozwoliła Joemu zapomnieć, że w zeszłym roku wystawił ją do wiatru tak w Święto Dziękczynienia, jak i podczas gwiazdki, w tym więc tak ułożył sobie plany, aby Boże Narodzenie spędzić w domu. Bawili się fantastycznie: chodzili na przyjęcia, wzięli udział w balu debutantek, zabierali dzieci na ślizgawkę i lepili z nimi bałwany w Central Parku. W sylwestra tańczyli, pili szampana i całowali się o północy. Nigdy w życiu nie byli szczęśliwsi. W Nowy Rok po południu Kate ułożyła dzieci do drzemki i zabrała się za rozbieranie choinki, Joe zaś — lekko skacowany, lecz ogólnie w dobrym humorze — zasiadł przed telewizorem, żeby obejrzeć transmisję meczu piłkarskiego. Za dwa dni wyruszał w czterotygodniową podróż do Europy, w lutym natomiast leciał do Azji. Pogodzona już z losem wiecznej słomianej wdowy, Kate zamierzała spotkać się z nim w Kalifornii.

Kiedy w trakcie meczu przyniosła mu kanapkę, spostrzegł z przerażeniem, że żona blednie jak płótno, a jej oczy nabierają dziwnego wyrazu.

— Dobrze się czujesz? — zaniepokoił się.

Kate zieleniała teraz na twarzy, sprawiając wrażenie chorej.

— Doskonale — odparła, siadając koło niego, żeby złapać oddech. Swą nagłą słabość kładła na karb zatrucia pokarmowego, którego doznała kilka dni temu, żołądek zresztą ciągle jej dokuczał.

— Odpocznij parę minut, uwijasz się od samego rana.

Rzeczywiście, dzieci były tego dnia niezwykle aktywne, a zdejmując ozdoby choinkowe Kate kilkanaście razy musiała wdrapywać się na drabinę.

— Już wszystko dobrze — oświadczyła stanowczo minutę później, ale w tym samym momencie jej oczy uciekły pod czaszkę i nieprzytomna osunęła się na Ziemię.

Joe natychmiast przyklęknął obok niej, zbadał puls, przyłożył ucho do warg, żeby sprawdzić, czy oddycha. Wtedy powoli otworzyła oczy i cichutko jęknęła. Nie miała pojęcia, co się zdarzyło — jeszcze przed chwilą stała o własnych siłach, a oto teraz leży na podłodze i widzi nad sobą rozgorączkowaną twarz męża.

— Kate, co ci jest? Jak się czujesz? — zapytał przerażony. Nagle przyszło mu do głowy, że jego trzydziestojednoletnia żona umiera.

— Nie wiem — odrzekła. Wyglądała na przestraszoną i trochę oszołomioną. — Po prostu dostałam zawrotu głowy.

Pomagając jej wstać, Joe potrafił myśleć tylko o żonie jednego ze swoich pilotów, która umarła niedawno na raka mózgu.

Ułożył Kate na sofie i oświadczył stanowczo:

— Zabieram cię do szpitala. Natychmiast.

Nie usiłowała wstać, ale zaprotestowała słabo:

— Nic mi nie jest. Poza tym nie możemy zostawić dzieci samych. Zadzwoń po lekarza.

Leż spokojnie — rozkazał.

Usłuchała i chwilę później zapadła w sen. Siedział obok niej i z niepokojem odchodził od zmysłów, odkąd się bowiem znali, nie zemdląca ani razu.

Po przebudzeniu wyglądała znacznie lepiej, a nawet mimo protestów Joego przyrzędną kolację, chociaż sama jadła bardzo mało. Przyrzekła solennie, że nazajutrz pójdzie do lekarza, Joe zaś — na wypadek gdyby miały się potwierdzić jego najgorsze obawy — zamierzał zadzwonić do swojego starego kumpla, fanatyka lotnictwa będącego zarazem dyrektorem szpitala, i uzyskać od niego namiary najwybitniejszych specjalistów w Nowym Jorku. Sprawiał wrażenie tak zatroskanego, że kiedy poszli do łóżka, Kate postanowiła ulitować się nad nim i wyznać prawdę. Zrazu zamierzała wprawdzie poczekać z tym do końca stycznia, ale widząc, że jest bliski płaczu, pocałowała go i szepnęła:

— Nie martw się, najdroższy, nic mi nie jest... Nie chciałam tylko, żebyś się na mnie złościł.

— Dlaczego miałbym się złościć? To przecież nie twoja wina, że zachorowałam — odparł z tkiwością.

— Nie zachorowałam... Jestem w ciąży.

Czuł się oszołomiony bardziej, niż gdyby dostał obuchem w głowę.

— W czym jesteś?! — wykrzyknął.

— Będziemy mieli dziecko — wyjaśniła spokojnie. Sprawiała przy tym wrażenie wyjątkowo szczęśliwej.

— Od jak dawna wiesz? — zapytał tonem człowieka, którego oszukano.

— Zorientowałam się tuż przed świętami. Urodzę w sierpniu.

— Podeszłaś mnie! — wrzasnął i ogarnięty wściekłością wyskoczył z łóżka, kilkakrotnie przemierzył pokój krokiem rannego tygrysa, zrzucając przy tym na podłogę wszystko, co nawinęło mu się pod rękę, wreszcie gniewnie trzasnął drzwiami łazienki. Nie takiej, oj, nie takiej reakcji spodziewała się Kate.

— Wcale cię nie podeszłam — zaoponowała cicho.

— Diabła tam nie podeszłaś. Sama mówiłaś, że czegoś używasz.

— Używam krążka, ale musiał się wysunąć. Joo, takie rzeczy się zdarzają.

— Dlaczego akurat teraz? Powtórzyłem ci kilka miesięcy temu, że nie chcę mieć dzieci, a ty pewnie tuż po powrocie do domu wrzuciłaś krążek do sedesu. Czy moja wola nic dla ciebie nie znaczy? — zapytał z taką złością, że Kate zaczęły drżeć wargi.

— Oczywiście, że znaczy, to był przypadek, Joe. Nic nie mogłam poradzić. Zdarzają się gorsze rzeczy.

Joe był innego zdania.

— Ale tylko niewiele gorsze. Cholera, Kate, usuń tę ciążę. Nie chcę żadnego dziecka!

— Joe, ty mówisz serio? — nie dowierzała zaszokowana.

— Najzupełniej serio. Nie zamierzam zostać ojcem w moim wieku. Zrób sobie skrobankę.

Padł w końcu na łóżko i prześwidrował Kate wściekłym spojrzeniem. Była przerażona jego słowami.

— Joe, jesteśmy małżeństwem... To nasze dziecko... i nic nie zmieni w naszym życiu.

Zatrudnię jeszcze jedną opiekunkę, będę mogła towarzyszyć ci w podróżach.

— Rób, co chcesz, ale nie chcę dziecka — powtórzył ze szczeniackim uporem.

— Nie zrobię skrobanki — oświadczyła stanowczo i spokojnie.

— Straciłam już jedno nasze dziecko i nie zamierzam zabić następnego. Wciąż miała w pamięci każdą straszną sekundę tamtego poronienia, swój bezgraniczny ból i rozpacz.

Potrzebowała wielu miesięcy, żeby dojść do siebie.

Zabijesz mnie, jeśli urodzisz to dziecko, Kate. Narazisz na szwank nasze małżeństwo, które i tak nie jest idealne, bo nieustannie narzekasz na moją nieobecność. Teraz jeszcze zaczniesz gderać, że zaniedbuję dziecko. Chryste, chyba powinnaś wyjść za innego faceta albo zostać z Andym. Ten płodzi dzieci, ledwie spojrzy na kobietę.

— Chciałam poślubić ciebie, Joe. Od zawsze. Grasz nie fair, to stało się bez mojej winy.

Ale żadne argumenty nie przemawiały mu do przekonania: wbił sobie do głowy, że Kate użyła wobec niego podstępu.

Kilka minut później zgasił światło i odwrócił się do niej plecami; kiedy obudziła się nazajutrz rano, już go nie było w domu. Dostawała mdłości na samo wspomnienie jego reakcji, a zwłaszcza pomysłu, by usunęła ciążę. Najwyraźniej jednak mówił zupełnie serio, bo wieczorem wrócił do niego w rozmowie. Dziękował Bogu, że Kate nie jest śmiertelnie chora, choć w hierarchii jego wartości ciąża była czymś niewiele lepszym niż guz mózgu.

Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś mi wczoraj o swojej... o swoim, no wiesz, Kate, stanie — zaczął, wbijając wzrok w talerz. Miała nadzieję, że zamierza ją przeprosić, lecz natychmiast doznała rozczarowania. — A im więcej się zastanawiałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że to nam nie posłuży. Wiem, Kate, że to dla ciebie przykre, ale naprawdę uważam, że musisz przerwać ciążę. To najlepsze rozwiązanie tak dla nas dwojga, jak z punktu widzenia dzieci... Zobacz, jak są poruszone wiadomości że Andy i jego żona

będą mieli dziecko. Jeśli i od nas usłyszą coś takiego, pomyślą, że nikt ich nie kocha, wskutek czego wyrosną na zazdrosnych neurotyków.

Ten wydumany argument byłby rozśmieszył Kate do łez, gdyby cała sprawa nie przedstawiała się tak dramatycznie. Joe nadal chciał, by poddała się aborcji.

— Inne dzieci jakoś dają sobie radę z przyrodnim rodzeństwem

— stwierdziła trzeźwo. Nie zamierzała zmieniać decyzji, ale nie chciała też doprowadzić do rozpadu ich małżeństwa. Joe był teraz znacznie spokojniejszy niż podczas wczorajszej rozmowy, choć tak samo niezadowolony.

— Tylko że ich rodzice nie są rozwiedzeni.

— Joe, nie zamierzam przerywać ciąży — oświadczyła twardo i wyraźnie. — Po prostu tego nie zrobię. Kocham cię i pragnę mieć z tobą dziecko.

Nie odezwał się już do niej ani słowem i aż do późnego wieczora siedział w swoim gabinecie, nazajutrz zaś wyruszył w miesięczną podróż do Europy. Bez pożegnania. Wybiegł z domu i odjechał na lotnisko.

Zadzwoił do niej z Madrytu dopiero po tygodniu; z reguły podczas swoich podróży telefonował zaraz po przylocie, aby dać jej znać, że szczęśliwie dotarł na miejsce, tym razem jednak potrzebował kilku dni, żeby wyparskać z siebie złość. Był ściszony i rzeczowy, pytał o samopoczucie Kate i dzieci, mówił o swoich poczynaniach. Po kilku minutach zakończył rozmowę, obiecując, że odezwie się niebawem.

W sumie w ciągu czterech tygodni zadzwonił trzy razy. Zaraz po powrocie do Stanów miał rozpocząć kolejną, tym razem trzytygodniową podróż do Hongkongu i Japonii. Znow na całego wprzęgał się w kołowrót.

Przyleciał do Nowego Jorku pierwszego lutego; kiedy dotarł do domu, dzieci już spały, a Kate oglądała telewizję w salonie. Na dźwięk jego kroków zaskoczona uniosła głowę. Joe nie uprzedził o swoim powrocie.

— Jak się miewasz, Kate?

Było to powitanie po tak długiej nieobecności nader oziębłe, Kate więc doszła do wniosku, że Joe wciąż się na nią gniewa. Pomna cichych dni, kiedy była z Andym, przeraziła się nagle, że Joe może z powodu dziecka zechcieć doprowadzić do rozpadu małżeństwa.

— Dobrze. A ty? — odparła powściągliwie, kiedy usiadł w fotelu naprzeciwko niej.

— Jestem zmęczony. Lot był piekielnie długi.

— Wszystko poszło dobrze? — zapytała, walcząc z pokusą, by rzucić mu się na szyję.

— Mniej więcej. Co u ciebie?

Domyśliła się bez trudu, co chciałby usłyszeć.

— Nie zrobiłam skrobanki, jeśli do tego zmyślasz — odrzekła, odwracając wzrok. Toczyli walkę charakterów, której stawką było jedno maleńkie życie. Kate przygnębiał taki stan rzeczy. — Mówiłam ci zresztą, że jej nie zrobię.

— Wiem — westchnął, podszedł do żony, usiadł obok niej i otoczył ją ramieniem. — Nie wiem, dlaczego tak bardzo się upierasz przy tym dziecku, Kate — powiedział ze znużeniem, ale ku jej bezmiernej uldze, bez gniewu.

— Bo cię kocham, głuptasie — odparła przez zaciśnięte gardło i przytuliła się do niego.

— Ja też cię kocham i chociaż nadal sądzę, że pakujemy się w kłopoty, niech już będzie, jak ma być. Jakoś przeżyję. Tylko nie oczekuj po mnie, że będę zmieniać dzieciakowi pieluchy czy całymi nocami nosić go na rękach, kiedy zacznie wyć. Jestem starym człowiekiem, Kate, potrzebuję snu — powiedział, uśmiechając się kącikiem warg.

Patrzyła nań z niedowierzaniem. Kochała go nad życie... Nawet kiedy pieklił się i sarkał, zawsze w końcu postępował właściwie.

— Nie jesteś staruszką, Joe.

— Ależ jestem, jestem. — Nie był człowiekiem głęboko religijnym, lecz mimo to podczas pobytu w Rzymie wstał do pustego kościoła i długo tam rozmyślał, a kiedy wreszcie z niego wyszedł, podjął decyzję, że pozwoli Kate urodzić dziecko, którego tak bardzo pragnie. — Tylko nie zacznij znowu mdleć. Ostatnim razem omal nie przyprawiłaś mnie o atak serca. Dobrze się czujesz? — zapytał z troską.

— Znakomicie.

Ogarnięta bezbrzeżnym poczuciem ulgi nie zwierzyła się Joemu z sugestii lekarza, że skoro jej ciąża powiększa się w takim tempie, w grę mogą wchodzić bliźnięta. Joemu tak ciężko przyszło się pogodzić z myślą o jednym dziecku, że trudno było sobie wyobrazić, jak zareagowałby na wieść, że będzie miał ich dwoje.

Przeszli potem do kuchni, gdzie Kate zrelacjonowała z ożywieniem, co robiła, gdzie bywała i z kim spotykała się w ciągu ostatniego miesiąca. Joe uwielbiał jej słuchać — nawet wtedy gdy był śmiertelnie zmęczony. Uwielbiał jej wygląd, energię, uwielbiał uczucia, które w nim budziła. Była jak ożywczy, świeży powiew. To ta szczególna właściwość Kate już podczas pierwszego spotkania okazała się diań nieodparcie pociągająca.

Gdy po długiej rozmowie szli do łóżka, byli znów parą najlepszych przyjaciół na świecie.

Tęsknili za sobą i pragnęli się wzajem z jednakową mocą.

A dziecko? Cóż, Joe uznał, że jeśli jest mu pisane dziecko, to stanie się najlepiej, jeśli będzie je mieć z Kate. Przed zaśnięciem objął ją i sunąc dłonią po jedwabistej skórze wyczuł nagle małą krągłą wypukłość. Odwrócona do niego tyłem żona nie mogła widzieć, że zapadając w sen, ma na wargach uśmiech.

ROZDZIAŁ XXI

Przez większą część lutego Joe przebywał na Dalekim Wschodzie, a ponieważ w drodze powrotnej miał kilka dni spędzić w Kalifornii, Kate przyleciała do Los Angeles, żeby się z nim spotkać. Kiedy wysiadał z samolotu, był w doskonałym humorze: podróż udała się znakomicie i zdołał załatwić wiele ważnych spraw. Natychmiast zwrócił uwagę na zmiany w powierzchowności Kate.

— Jesteś gruba jak beczka — oświadczył żartobliwie.

— Dzięki za komplement — odparła z łagodną ironi szczęśliwa, że go widzi. Wciąż nie powiedziała mu o przypuszczeniu lekarza, iż jej ciąża jest mnoga.

Joe nigdy dotąd nie widział Kate w stanie błogosławionym, chwilami więc czuł się przy niej zakłopotany, ponadto przejmowała go nieustanna obawa, że znowu zemdleje, zachoruje czy upadnie. Zabraniał jej prowadzić samochód, tańczyć, a nawet pływać, kwestia seksu zaś napawała go takim niepokojem, że aż budziło to wesołość Kate.

— Wszystko w porządku, Joe, czuję się świetnie — zapewniała.

— I nie mam zamiaru spędzić w łóżku sześciu następnych miesięcy.

— Spędzisz, jeśli ci każe.

Lecz mimo jego lęków kochali się teraz znacznie częściej niż kiedyś, a wspólny pobyt w Los Angeles przywodził obojgu na myśl miesiąc miodowy. Mimo dziecka, a może właśnie za jego sprawą, Joe czuł się związany z Kate mocniej niż kiedykolwiek dotąd. Po przyjeździe do Nowego Jorku spędził z nią jeszcze dwa tygodnie, potem znowu wyruszył w drogę. Kate zaczynała do tego przywykać, potrafiła już

wypełnić czas spotkaniami z przyjaciółmi i wychowywaniem dzieci, poza tym była w ciąży, co nadawało jej życiu zupełnie nowy sens. Rozwiązanie przewidywano na sierpień, choć mogło również nastąpić wcześniej, jeśli istotnie Kate nosiła w swym łonie bliźnięta. Lekarz uprzedził ją, iż podczas dwóch ostatnich miesięcy ciąży hospitalizacja może okazać się konieczna; na razie jednak, mimo ogromnego brzucha Kate, wyczuwał w nim bicie tylko jednego serca.

Dziecko Andy'ego urodziło się w marcu, Kate więc wysłała swojemu eksmężowi i jego nowej żonie liścik gratulacyjny, załączając prezent dla najmłodszego przedstawiciela rodu Scottów. Andy, przychodząc po Reeda i Stephanie, sprawiał wrażenie człowieka prawdziwie szczęśliwego, Kate zaś czuła się w jego obecności tak, jakby nie przeżyli wspólnie ani chwili, jakby ich małżeństwo nigdy nie istniało, jakby po prostu był znajomym z bardzo dawnych czasów. Wolą, by pozostał w jej pamięci jako przyjaciel.

Joe był w Paryżu, kiedy pewnego piątkowego popołudnia w kwietniu do Kate zadzwonił Andy. Miał wpaść po Reeda i zabrać go na cały weekend do swojego domu w Connecticut, ale utknął w biurze, jego żona zaś chorowała i nie mogła wychodzić z domu na dłużej niż kilka minut.

— Może po prostu wsadzisz Reeda do pociągu, a Julie odbierze go w Greenwich — zasugerował Andy. — Bo ja będę wolny dopiero późnym wieczorem.

Kate nie pochwałała tego pomysłu, kiedy jednak przekonała się, jak strasznie rozczarowany jest Reed, który przepadał za wizytami u ojca, zadzwoniła do Andy'ego i zaproponowała, że sama przywiezie synka. Dzień był ciepły, droga niedaleka, ona zaś pod nieobecność męża nie miała do roboty nic lepszego.

— Jesteś pewna? Nie chciałbym cię fatygować — powiedział Andy świadom, że Kate jest w piątym miesiącu ciąży.

Ale czuła się doskonale.

— Nie ma sprawy, przynajmniej nie będę się nudzić.

O szóstej po południu, pozostawiwszy Stephanie pod opieką niańki, wyruszyła z uszczęśliwionym Reedem w drogę do Greenwich. Zapowiedziała, że wróci o ósmej, choć wcale nie musiała się spieszyć, bo Joe zadzwonił już z Paryża, gdzie dochodziła północ.

Nie utknęła w żadnych większych korkach, piętnaście po siódmej więc dotarła do domu Andy'ego, gdzie powitała ją przeziębiona Julie z również przeziębionym — ponadto cierpiącym z powodu kolki — niemowlęciem w ramionach. Dziecko wyglądało jak skóra zdjeta z Andy'ego i było trochę podobne do Reeda. Kate roześmiała się, gdy Julie, dołączając swój głos do opinii ogółu, uznała jej ciążę za monstrialną.

— Może urodzę słońiatko — stwierdziła pogodnie, po czym rezygnując z herbaty, wsiadła do samochodu, opuściła szybę i włączyła radio. Wieczór był ciepły, jazda sprawiała Kate dużą frajdę. Za kwadrans ósma była już niedaleko swojego domu, ale o północy, kiedy do Greenwich zatelefonowała zdenerwowana opiekunka, jeszcze do niego nie dotarła. Opiekunka sądziła zrazu, że w drodze powrotnej Kate wpadła do jakichś znajomych, gdy jednak nieobecność chlebodawczyni przedłużała się coraz bardziej, postanowiła zadzwonić do Scottów, bo przyszło jej do głowy, że zmęczona Kate mogła zostać u nich na noc.

Zaskoczona Julie nie wiedziała nic o ewentualnych planach Kate, obudziła więc Andy'ego, który jednak również nie miał o nich pojęcia.

— Może poszła z przyjaciółmi na kolację — zasugerował, przecierając oczy. — Mówiła mi, że Joe wyjechał.

— Nie była odpowiednio ubrana — zaproponowała Julie, przypominając sobie, że Kate nosiła bawełnianą spódnicę, luźną bluzkę i sandały, jej włosy zaś były związane w kucyk.

— To może do kina — rzucił Andy i zapadł w sen.

Julie jednak poprosiła opiekunkę, by zadzwoniła, kiedy Kate wróci do domu. Lubiła Kate i nie chowała do niej urazy za krzywdę wyrządzoną Andy’emu, który zresztą po ponownym ożenku odnosił się do całej historii z filozoficznym spokojem. No i w końcu zawdzięczała jej Andy’ego. Była z nim bezgranicznie szczęśliwa.

Opiekunka zadzwoniła nazajutrz o siódmej rano, a jej informacja, że Kate ciągle nie ma, bardzo tym razem zaniepokoiła również Andy’ego.

To nie w jej stylu — powiedział do Julie, odkładając słuchawkę.

— Skontaktuję się z drogówką i zapytam o wypadki na trasie, którą przejeżdżała.

Po godzinach, jak mu się zdawało, oczekiwania na połączenie, usłyszał wreszcie zgłoszenie oficera dyżurnego, któremu opisał Kate i jej samochód: wożąc dzieci, zawsze używała solidnego i bezpiecznego chevroleta kombi. Po następnych niekończących się chwilach oczekiwania policjant oddzwonił:

— Mieliśmy wczoraj wieczorem zderzenie czołowe w Norwalk. Chevrolet kombi i czterodrzwiowy buick. Kierowca buicka zginął na miejscu, kierowcę chevroleta — kobietę, wiek około trzydziestu kilku lat — o dziesiątej w stanie nieprzytomnym odwieziono do szpitala. Potrzebowaliśmy dwóch godzin, żeby wydostać ją z wraku.

Andy odwrócił się do żony i przekazując jej wieści, wykręcał jednocześnie podany przez policjanta numer szpitala. Dłoń, w której trzymał słuchawkę, drżała.

Informacji o Kate udzieliła mu pielęgniarka z ostrego dyżuru: Kate była wciąż nieprzytomna, jej stan określano jako krytyczny. Kiedy w nocy zadzwoniono ze szpitala pod jej numer, nikt nie odebrał telefonu: opiekunka zapewne zasnęła.

— Jest w stanie krytycznym, ma uraz czaszki i złamaną nogę

— posępnie powtórzył Andy żonie.

— A dziecko? — wyszeptała Julie.

— Nie wiem. Nic mi nie powiedzieli.

Ubrał się pospiesznie i oświadczył, że jedzie do szpitala, co w zaistniałych okolicznościach było najbardziej sensownym posunięciem.

— Czy nie powinnam zadzwonić do Joego? — spytała.

— Zaczekajmy, czego się dowiem.

Andy potrzebował pół godziny, żeby dotrzeć do szpitala, w którym leżała Kate. Skamieniał na jej widok: miała zabandażowaną głowę, nogę w gipsie, a prześcieradło — spostrzegł to natychmiast — okrywało zupełnie płaski brzuch. Wskutek wypadku Kate straciła dziecko. Podeszedł do niej ze łzami w oczach, delikatnie ujął jej dłoń — i nagle opłynęły go wspomnienia szczęśliwych dni, które kiedyś, w pierwszym roku małżeństwa, razem przeżyli. Gdy wychodził z sali, Kate nadal trwała w śpiączce; zagadnięty lekarz odparł, że wciąż nie jest pewne, czy da się ją odratować. O wszystkim miały zdecydować najbliższe godziny. Andy spędził je w poczekalni i znów pozwolił się unieść wspomnieniom — tym razem przed jego oczyma przebiegły sceny towarzyszące narodzinom Reeda, takim samym jak teraz godzinom nerwowego oczekiwania. Ale dzisiejsza sytuacja była znacznie gorsza. Zaraz po wyjściu od Kate Andy zadzwonił do opiekunki i kategorycznie polecił jej skontaktować się z Joem.

— Ale nie wiem jak, panie Scott — wybuchnęła płaczem. — Pani Allbright ma gdzieś numer hotelu męża, tylko jak go znaleźć? Zwykle to pan Joe dzwoni do pani Kat; tak jest wygodniej.

— Czy wie pani, w jakim jest teraz mieście? — nie dawał za wygraną Andy, dochodząc do wniosku, iż życie Kate z wiecznie nieobecny Joem przypomina koszmar... Choć z drugiej strony Kate była gotowa zapłacić za to życie każdą cenę. Co więcej, płaciła ją każdego dnia.

— Nnie, nie wiem — wychlipała opiekunka. — Może w Paryżu? Chyba tak właśnie mówiła pani. Pan Allbright wczoraj do niej dzwonił.

— Czy zadzwoni również dzisiaj?

— Może. Ale nie dzwoni codziennie. Czasem nie odzywa się przez dłuższy czas. Słuchając jej wyjaśnień, Andy odczuwał wobec Joego coraz większą nienawiść. Kate zasługiwała na kogoś, kto by się nią zajął, nie zaś komiwojżera, który miotając się po świecie, handluje swoimi samolotami i liniami lotniczymi. Surowo polecił opiekunce czuwać przy telefonie, a gdyby zadzwonił Joe — przekazać mu, co się stało, w jakim stanie jest Kate i w którym leży w szpitalu. Był weekend, nie mógł więc skontaktować się z biurem; przepelniała go coraz większa obawa, że jeśli Joe nie odezwie się niebawem, usłyszy tylko wiadomość o śmierci Kate.

— Czy... czy z dzieckiem wszystko w porządku? — zapytała niepewnie opiekunka.

— Nie wiem — odparł Andy po chwili, dochodząc do wniosku, że smutną prawdę pierwszy powinien poznać Joe.

W następnej kolejności zadzwonił do rodziców Kate; zaszokowani i zrozpaczeni, oznajmili, że jak najszybciej przyjadą do Nowego Jorku, on zaś obiecał, że tymczasem będzie informować ich na bieżąco o rozwoju sytuacji.

W końcu wykręcił swój domowy numer i polecił Julie, by pojechała z dziećmi do miasta po Stephanie, ale zostawiła w mieszkaniu Kate opiekunkę na wypadek, gdyby zadzwonił Joe.

— W jakim jest stanie? — niepokoiła się Julie. Czuła, że łączy ją z Kate szczególna więź.

— Kiepskim — odparł Andy i wrócił do pokoju Kate, gdzie pozostał do szóstej. Wtedy ponownie zatelefonował do Nowego Jorku: Joe ciągle milczał.

Przez całą noc na zmianę z Julie dzwonił do szpitala. Chociaż nie powiedzieli dzieciom prawdy, Reed wyczuwał, że dzieje się coś dziwnego, ale podekscytowany kilkugodzinną zabawą na dworze, przyjął do wiadomości wyjaśnienie, iż jego mama wyjechała na weekend. W dodatku Andy obiecał mu, że zatrzyma go w Greenwich przez cały tydzień, a to oznaczało, że nie będzie musiał chodzić do szkoły.

W weekend — podczas którego przyjechali z Bostonu niepokieszeni Jamisonowie — Kate nie odzyskała przytomności; jej stan nie uległ poprawie ani pogorszeniu, po prostu trwała ciągle zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią. Nie zadzwonił również Joe. Elizabeth wybuchała płaczem, ilekroć ktokolwiek wymienił jego imię.

Andy zatelefonował do jego biura w poniedziałek z samego rana i usłyszał od sekretarki, że pan Allbright leci właśnie z Francji do Hiszpanii i bez wątpienia zadzwoni do Nowego Jorku po południu. Poinformował ją o wypadku Kate, a wtedy Hazel obiecała, że stanie na głowie, żeby skontaktować się z Joem w ciągu najbliższych kilku godzin.

Odezwała się dopiero o piątej: Joe zostawił w Madrycie wiadomość, że zmienił plany, nikt jednak nie miał pojęcia, na czym owa zmiana polega. Hazel sądziła, że mógł się udać do Londynu, ale było to tylko przypuszczenie, obdzwoniła więc wszystkie europejskie hotele, w których zwykł się zatrzymywać, pozostawiając w każdym wiadomość, by jak najszybciej skontaktował się z biurem.

Uczył to dopiero we wtorek po południu, tuż po przylocie do Londynu. Oświadczył Hazel, że postanowił zafundować sobie parę dni wypoczynku, wobec czego cały weekend spędził na jachcie, żeglując wzdłuż wybrzeży południowej Francji. Zrozumiałe, że nie miał sposobności zadzwonić do Kate.

— Co się stało? — zapytał ze zniecierpliwieniem. Był w doskonałym nastroju i nie życzył sobie, by zepsuły go jakiegokolwiek złe wieści. Nawet nie podejrzewał, że Hazel zostawiła mu pilną wiadomość w związku z Kate, niniemając raczej, iż chodzi o jakieś sprawy firmowe.

— Twoja żona miała wypadek — odparła bez wstępów Hazel, a następnie dodała, że Kate jest w stanie krytycznym i leży w szpitalu w Connecticut.

— Co ona robiła w Connecticut?

Jeszcze nie dotarł do niego sens słów Hazel i dlatego przyszło mu do głowy tylko to idiotyczne pytanie.

— Sądzę, że w piątek wieczorem odwoziła Reeda. Do wypadku doszło później, kiedy sama wracała do domu.

Zaczynał rozumieć.

— Muszę wracać powiedział gorączkowo, uświadamiając sobie jednocześnie, że o tej porze nie może już liczyć na żadne połączenie lotnicze. Tym razem, co nie zdarzało mu się często, podróżował nie własnym samolotem, lecz liniami pasażerskimi. — Zrobię, co będę mógł.

Przypuszczalnie wrócę jutro po południu. Masz numer szpitala?

Przerwał rozmowę, ledwie zdążyła go podyktować, i bezzwłocznie połączył się z lekarzem dyżurnym.

Potem długo siedział w swoim pokoju, wpatrując się w ścianę. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Kate dryfowała na granicy między życiem a śmiercią, utraciła bliźnięta, które nosiła w swym łonie...

Ale potrafił myśleć tylko o tym, co zrobi, jeśli ona umrze.

ROZDZIAŁ XXII

Joe wkroczył do szpitala w Greenwich w środę wieczorem, dokładnie pięć dni po wypadku. Kate leżała pod respiratorem i była karmiona przez rurkę; nie odzyskała przytomności, chociaż lekarze twierdzili, że jej stan uległ niewielkiej poprawie, a opuchlizna głowy nieco zmalała. Upatrywano w tym dobry omen. W chwili przybycia Joego przy jej łóżku stał Andy — kiedy spotkali się wzrokiem, Joe wyczytał w jego spojrzeniu, co pierwszy mąż Kate o nim sądzi.

— Jak się miewa? — zapytał Joe, dotykając dłoni żony.

Była błada jak trup, chociaż Andy dostrzegł tego popołudnia nieznaczne polepszenie. Przez cały tydzień nie chodził do pracy, bo nie chciał zostawiać Kate samej, a Julie musiała zajmować się dziećmi, chociaż miała do pomocy ściągniętą z Nowego Jorku stałą opiekunkę Reeda i Stephanie.

— Mniej więcej tak samo — syknął Andy przez zaciśnięte zęby.

Joe natychmiast zwrócił uwagę na płaski brzuch żony i poczuł bolesne ukłucie w sercu, wiedząc, co to dla niej oznacza. Był ostatnimi czasy nader podniecony perspektywą posiadania własnego dziecka, ale w obliczu tego, co spotkało Kate, zupełnie przestał się tym przejmować.

— Dzięki, że byłeś przy niej — powiedział Andy’emu, kiedy ten brał marynarkę i szykował się do wyjścia z pokoju. Siedząca przy łóżku Kate pielęgniarka uważnie obserwowała obydwu mężczyzn: nie miała pojęcia, jaka jest natura ich związków z pacjentką, na pierwszy rzut oka było jednak oczywiste, że za sobą nie przepadają.

Andy przystanął w drzwiach i odparł cicho, lecz z naciskiem:

— Gdzie ty się, do cholery, podziewałeś, człowieku? Przez cztery dni nie dałeś znaku życia. On sam miał liczne obowiązki, chorą żonę, trójkę dzieci z pierwszego i drugiego małżeństwa, nawet więc nie potrafił sobie wyobrazić, że ot, tak znika bez słowa na długie dni. Przyszło mu do głowy, że Joe zdradza Kate. Nie znał go jednak, Joe po prostu już taki był; Kate w znacznym stopniu przywykła do jego szczególnego trybu życia, mimo to miewała trudne chwile. Czasem, odczuwając wewnętrzną potrzebę, Joe z własnej inicjatywy szukał kontaktu

z żoną, czasem nie dzwonił do niej całymi tygodniami. W dodatku — rzecz dla Andy’ego nie do pomyślenia — zacierając za sobą wszelkie ślady.

— Byłem na jachcie — odparł Joe oziębło. Uznał to za wyjaśnienie w pełni zadowalające. — Wróciłem od razu, gdy się dowiedziałem.

Nie czuł się jednak dobrze ze świadomości iż pojawił się w szpitalu dopiero po pięciu dniach, i tylko nie chciał tłumaczyć się przed Andym Scottem, którego nic nie powinno obchodzić życie jego i Kate.

Po chwili tknięty nagłą myślą zapytał jeszcze:

— Czy jej rodzice wiedzą?

— Już tu są — rzekł Andy. — Mieszkają w hotelu.

— Dzięki za pomoc — odetchnął Joe, mając nadzieję, że Andy wreszcie sobie pójdzie.

— Dzwon, jeśli będę mógł coś dla was zrobić — powiedział Andy i zamknął za sobą drzwi.

Pielęgniarka dyskretnie usunęła się w kąt pokoju, Joe zaś usiadł przy łóżku Kate i spojrzał na żonę z rozpaczą. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie, że mógłby ją utracić. Ich związek, dziwny może dla osób trzecich, był przecież zbudowany na głębokiej, trwającej już piętnaście lat wzajemnej miłości. Kate grała w życiu Joego wiele ról

— najlepszej przyjaciółki, cichej przystani, nauczycielki, źródła radości, czasem sumienia.

Lecz przede wszystkim jedynej kobiety, którą kiedykolwiek naprawdę kochał.

— Kate, nie opuszczaj mnie... — wyszeptał. — Błagam, maleńka... wróć...

Siedział przy niej wiele godzin i gładził jej dłoń, a po jego policzkach spływały łzy.

O północy, po wizycie lekarza, który zbadał Kate i sprawdził opatrunek na głowie, do pokoju wstawiono dla Joego dodatkowe łóżko. Zdjęty obawą, że mogłaby umrzeć pod jego nieobecność, postanowił zostać w szpitalu na noc. Ale nie zasnął ani na chwilę, bo co kilka sekund zerkał na żonę. O czwartej nad ranem zaczęły mu opadać powieki, lecz nagle usiadł jak pchnięty sprężyną, wyczuwając jakiś ruch i słysząc cichy jęk. Pielęgniarka badała oczy Kate.

— Co się stało? — zapytał.

Nie usłyszała, bo miała założony stetoskop. Po chwili Kate jęknęła znowu i nie otwierając oczu odwróciła głowę w stronę Joego — jakby nawet w mrocznych otchłaniach śpiączki wyczuwała, że jest przy niej.

— Maleńka, to ja... Jestem tutaj... Otwórz oczy — wyrzucił gorączkowo. Ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Położył się znowu, lecz doznawał osobliwego wrażenia, iż jest obserwowany ze wszystkich stron jednocześnie, i przyszła mu do głowy przerażająca myśl, że Kate umiera. Wtedy uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha — równie mocno jak ona jego. Tyle tylko że różniły ich marzenia: gdy ona chciała być ciągle przy nim, on pragnął przemierzać świat w swoich samolotach. Nie kochał jej przez to słabiej, miał tylko inną optykę. Sądził, że Kate zdążyła się z tym pogodzić. Teraz z całkowicie niepojętych powodów poczuł się odpowiedzialny za jej wypadek, uważał, że powinien z nią być, choć nikomu nie zwierzyłby się z tego przeświadczenia. Osobliwe, żaden wewnętrzny głos nie podszepnął mu, że Kate spotkało coś złego; przeciwnie — bawił się doskonale na jachcie przyjaciela, angielskiego pilota, u którego boku walczył podczas wojny. A przecież wiele rozmyślał o niej i ich nienarodzonym dziecku. Czy też dzieciach, jak się okazało. Ta sprawa jednak straciła w tej chwili wszelkie znaczenie. Już nie zdołał zasnąć, o szóstej więc wstał, umył zęby i twarz. Podchodził właśnie do łóżka Kate, kiedy poruszyła się lekko i otworzyła oczy. Zaskoczenie zaparło mu dech w piersiach.

— Tak już lepiej — uśmiechnął się, czując, jak opływa go fala bezgranicznej ulgi. — Witamy w świecie żywych.

Dźwięk, który wyrwał się z jej ust, mógł być westchnieniem. Potem znowu zamknęła oczy, a długą chwilę później otworzyła je ponownie i wcale nie sprawiając wrażenia zaskoczonej widokiem Joego, wyszep- tała z ogromnym trudem:

— Co się stało?

Jej głos był tak słaby, że Joe musiał pochylić głowę, żeby nie uronić żadnego słowa.

— Miałaś wypadek — wyjaśnił również szeptem. Być może instynktownie czuł, że przerazi ją, mówiąc zbyt głośno.

— Co z Reedem? — zapytała. Wiedziała, że Reed jechał z nią samochodem, nie pamiętała jednak, iż wypadek zdarzył się w drodze powrotnej.

— Nic mu nie jest — odparł, zanosząc w duchu modły, by w następnej kolejności nie zapytała o płód. Nie chciał, by usłyszała, że umarł, że nosiła w swym łonie bliźnięta. — Spokojnie, najdroższa, jestem przy tobie. Wyjdiesz z tego na pewno.

Zmarszczyła czoło, jakby usiłując zrozumieć, co powiedział.

— Dlaczego tu jesteś?... Wyjechałeś...

— Ale wróciłem.

— Dlaczego?

Nie miała pojęcia, jak ciężkich doznała urazów, instynktownie jednak jej dłoń zaczęła wędrować w stronę brzucha. Joe doskoczył do niej, próbując ją powstrzymać, ale było za późno... Kate popatrzyła nań szeroko otwartymi oczyma, po jej policzkach popłynęły łzy.

— Kate, nie... — zdołał wykrztusić, potem przycisnął do warg jej sino bladą dłoń. — Błagam, najdroższa...

— Gdzie nasze dziecko? — spytała z ogromnym wysiłkiem. Potem z jej płuc wyrwał się przeciągły zwierzęcy skowyt i Kate rozpaczliwie wczepiła się w Joego, który przygarnął ją do piersi, usiłując przy tym nie urazić jej kontuzjowanej głowy. Kate zrozumiała, co się stało, ogarnęła ją nieutulona rozpacz.

Joe dziękował Bogu, że zachował ją przy życiu.

Ale — jak oznajmił lekarz, który wkrótce potem zjawił się w towarzystwie pielęgniarki — kryzys nie został jeszcze do końca zażegnany. Kate doznała poważnego wstrząśnienia mózgu, przez kilka dni trwała w śpiączce, miała skomplikowane złamanie nogi, a podczas poronienia straciła bardzo dużo krwi. Przewidywał długą rekonwalescencję i konieczność wielomiesięcznej rehabilitacji, ponadto zaś wyrażał obawę, czy będzie jeszcze kiedykolwiek mogła zająć w ciążę, jeśli bowiem chodzi o urazy wewnętrzne, poronienie nie było jedynym ich skutkiem. Joe uważał to za najmniej istotny z problemów; nie chciał mieć dzieci, zwłaszcza gdyby kolejna ciąża miała się okazać dla Kate niebezpieczna.

Była tak zrozpaczona utratą bliźnięt, że podano jej środki uspokajające. Kiedy usnęła, Joe pojechał do Nowego Jorku po rzeczy dla niej i dla siebie, ale wrócił już o piątej. W drzwiach minął się z wychodzącymi od Kate Jamisonami; Elizabeth nie odezwała się doń ani słowem, Clarke natomiast obrócił nań zażawione oczy i powiedział:

— Powinieneś tu być, Joe.

Nie podjął dyskusji, lecz słowa ojca Kate zabolowały go jak nóż wbity w serce. Rozumiał uczucia Jamisonów, choć nie czuł się niczemu winien. Wypadek i poronienie — cóż, to był po prostu pech, on zaś miał prawo kontynuować podróże w interesach. Inna sprawa z kilkudniowym rejssem, w który wyruszył beztrąsko, pozostawiając w domu brzemienną żonę. Ale sądził, że Kate czuje się doskonale... Jego obecność w Stanach nic by nie zmieniła. Nie mógł być dniem i nocą aniołem stróżem swojej żony. Kierowca, który spowodował wypadek, był pijany, jak wykazała sekcja. Taka historia mogła się wydarzyć zawsze i wszędzie, nawet gdyby to on prowadził samochód. Wykorzystywano jego nieobecność — sądził — aby uczynić zeń kozła ofiarnego, a przecież nic nie stało się z jego winy, na nic nie miał wpływu. Był mężem Kate, nie zaś Bogiem.

Pod koniec tygodnia Joe przeniósł żonę do szpitala w Nowym Jorku, gdzie mógł ją częściej odwiedzać i gdzie wizyty przyjaciół, jak uważał, podniosą Kate na duchu. Ale nie chciała żadnych odwiedzin, powtarzała tylko, że pragnie umrzeć.

Cały weekend spędził z nią w szpitalu, porozmawiali z Reedem przez telefon, ale poza tym Kate nieustannie płakała. Była w tak strasznym stanie psychicznym, że Joe, bezradny wobec jej rozpacz, z poczuciem ulgi wyjechał w następnym tygodniu na trzy dni do Los Angeles. Tym razem jednak dzwonił do Kate co kilka godzin.

Wypisano ją ze szpitala pod koniec kwietnia: rany jej głowy były wygojone, opatrunek gipsowy na nodze zastąpiono mniejszym, mogła poruszać się o kulach. Przez jakiś czas miewała migreny, gips zdjęto jej w maju. Znowu wyglądała jak dawna Kate, tylko znacznie szczuplejsza, kobieta jednak, do której wieczorami wracał Joe, nie była tą samą, którą poślubił. Miał wrażenie, że jasne światło, bijące z niej kiedyś nieustannie, nagle zgasło: była ciągle znużona, przygnębiona, nie chciała nigdzie wychodzić. Wołała całymi dniami przesiadywać w domu i płakać. Joe nie miał pojęcia, jak jej pomóc, odzywała się do niego z rzadka i nie wykazywała najmniejszego zainteresowania tym, co miałby jej do powiedzenia. Widząc ją w takim stanie, dostawał szału.

W czerwcu dzieci pojechały na miesiąc do Andy’ego, Kate zaś popadła w jeszcze głębszą depresję na wieść, że Julie znowu jest w ciąży, i z jeszcze większą mocą zaczęła oplakiwać to, co utraciła i co już nigdy nie będzie jej dane.

— Może stało się lepiej, w naszym wieku jest już trochę za późno na dzieci — nieudolnie pocieszał ją Joe, ale jego wywody wywoływały skutek odwrotny do zamierzonego. — Będziemy mieli dla siebie więcej czasu, także na wspólne podróże.

Nie chciała jednak nigdzie z nim jechać, chociaż proponował, że zabierze ją do Europy i na Zachodnie Wybrzeże.

Próbował wszelkich sposobów przez dwa miesiące, potem zrobił to, co potrafił najlepiej: ucieki. Już z nią nie wytrzymał, już miał dość jej gniewu i depresji, a przede wszystkim niemych oskarżeń, że to on z racji swej nieobecności ponosi odpowiedzialność za wypadek i utratę bliźniąt. Stary, dobrze znany demon wyrzutów sumienia znowu deptał mu po piętach. Joe więc zaczął wyruszać w podróże potrzebne i niepotrzebne. Był rozdrażniony jak szerszeń, ale nawet coraz dłuższe i częstsze pobyty poza domem nie przynosiły mu uspokojenia, bo każda rozmowa telefoniczna z Kate kończyła się kłótnią. Koszmar nie miał końca. Joe nie potrafił odnaleźć prawdziwej Kate, a kobieta, która zajęła jej miejsce, coraz bardziej go odpychała.

Podróżował bez przerwy przez trzy miesiące, kiedy zaś na krótkie chwile wpadał do domu, on i Kate czuli się jak para zupełnie obcych sobie ludzi. Nie odwiedził jej na Cape Cod, dokąd pojechała z dziećmi; został w Los Angeles. Nie wątpił, że dostarczył tym sposobem Liz pretekstu do wielu kąśliwych uwag. Nie znosiła go od lat, ale czuł, że niczego już nie musi jej udowadniać. Niczego nie musi udowadniać również Kate. Wracał do domu, mieszkał w nim czasem, robił wszystko, co mógł, a jednak z jej punktu widzenia robił za mało.

We wrześniu spędził z nią całe dwa tygodnie, licząc, że to poprawi nastrój, kiedy jednak pewnego dnia zakomunikował, że musi lecieć do Japonii, wpadła we wściekłość.

— Znowu? Czy ty w ogóle kiedykolwiek bywasz w domu?

Raptownie zmieniła się w jędzę, praktycznie już się nią stała. Joe żałował, że w ogóle bywa w domu.

— Jestem zawsze, kiedy mnie potrzebujesz, Kate. I zostaję najdłużej, jak mogę. Muszę jednak prowadzić interesy. W każdej chwili możesz mi towarzyszyć.

— Ale nie chcę — odparła swarliwie. — Kiedy wracasz?

To pytanie zabrzmiało w jej ustach tak jadowniczo, że po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl, iż mógłby ją znienawidzić. Nie chciał tego, ale nie dawała mu innego wyboru. Dawna Kate umarła wraz z bliźniętami, nowa chciała zapędzić do grobu również jego. Beznadziejnie

zagubiona w otchłaniach własnej rozpacz, na oślep wy- ciągała ku niemu rękę, lecz odpychała go tylko, miast przywoływać. Nie potrafili się odnaleźć, chociaż Kate kochała Joego jak zawsze.

Ale zarazem znienawidziła samą siebie. Po tysiakkroć odtwarzała w pamięci wydarzenia tamtego wieczoru — jazdę samochodem, wypadek, poronienie — i po tysiakkroć zadawała sobie pytanie, dlaczego w ogóle wtedy zaproponowała, że odwiezie Reeda do Greenwich. Bo gdyby tego nie zrobiła, miałyby w tej chwili z Joem dwójkę dzieci. Teraz nie będzie mieć żadnego, Joe oznajmił stanowczo, że nie życzy sobie kolejnych prób. Nienawidziła go za to, a kiedy nie znajdowała słów, aby wyrazić swą udrękę, spadał na niego huragan jej złości. Joe pojął, że nie ma już żony. Byli parą nieprzyjaciół mieszkających pod jednym dachem. Tylko że Joe przebywał pod owym dachem coraz rzadziej. W październiku w sumie cztery dni, im jednak dłużej trwały jego podróże, tym gorzej zachowywała się Kate. Poczucie osamotnienia, rozpacz, bezsilność człowieka zdradzonego wciąż powiększały jej gniew, a ciągle dogadywanie Liz, która utrzymywała z uporem, że Joemu zależało tylko na żonie figurantce, jeszcze pogarszało sytuację. Kate zaczynała dochodzić do wniosku, iż Joe już jej nie kocha, zamiast więc szukać porozumienia, zatrzaśkiwała mu drzwi przed nosem. Po jakimś czasie uznał pojednanie za niemożliwe i dał za wygraną. Kiedy w październiku minęły cztery miesiące, odkąd kochali się po raz ostatni, uznał, że ma dość.

— Kate, wykańczasz mnie — powiedział podczas jednego z weekendów, który akurat spędzał w domu. — Nie mogę wracać do tego piekła. Wiem, jak jest ci źle, jak strasznie się czujesz po stracie dzieci, ale japo prostu nie chcę, żebyśmy utracili również siebie. Masz dwójkę cudownych dzieciaków, dlaczego więc nie potrafisz się nimi cieszyć? Dlaczego nie jeździsz ze mną do Los Angeles? Mamy tam dom, w którym nie byłaś od miesiący.

— Nie chcę nigdzie jeździć — warknęła, lecz tym razem, mimo nakazywanej sobie cierpliwości, zareagował w taki sam sposób.

— Otóż to, Kate. Nie chcesz jeździć, prawda? Wolisz tkwić w domu i rozczulać się nad sobą. Na rany boskie, Kaw, wydorósłej wreszcie. Nie mogę przecież nieustannie siedzieć przy tobie i trzymać cię za rękę. Nie przywrócę życia naszym dzieciom... Może zresztą nie były nam pisane, a decyzję podjął za nas Bóg.

— Ale decyzję, która jest ci bardzo na rękę, nieprawdaż? Chciałeś przecież, żebym zrobiła skrobankę, bo wówczas nie musiałbyś bywać w domu więcej niż dziesięć minut miesięcznie. Nie mów mi z łaski swojej, co dla mnie zrobiłeś, jakie szczęście mi dopisało czy też w wyniku czyjej decyzji umarli moje dzieci... Nie mów mi nic, do cholery, Joe, bo praktycznie nie istniejesz w moim życiu. Potrzebowałeś pięciu pieprzonych dni, żeby do mnie dotrzeć, kiedy wszyscy byli pewni, że umrę. Gdzie byłeś, że masz teraz czelność nakazywać mi, abym wydorósła? Latałeś swoimi zafajdanymi samolotami, balowałeś po całym cholernym świecie, a ja sterczałam tu z dziećmi. Może to ty powinieneś wreszcie wydorósć! Nic nie odrzekł, wyszedł tylko z domu, zatrzaśnął za sobą drzwi i udał się na noc do hotelu Płaza.

Kate zaś padła na łóżko i wybuchnęła płaczem. Powiedziała mu wszystko, co chciała powiedzieć, ale tylko pogorszyła sytuację. Pragnęła Joego najbardziej na świecie, pragnęła, by wszystko naprawił,

i nienawidziła go, że nie potrafi tego zrobić. Nie mógł przywrócić życia jej dzieciom, nie mógł być z nią na co dzień, nie mógł cofnąć wskazówek zegara. A ponieważ znowu zmusiła go do uciezki, nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o swoich cierpieniach i rozterkach. Czuła się tak, jakby pół roku temu wpadła w bezdenną ciemną otchłań i nie potrafiła się wydostać na światło dzienne. Nie mogła również liczyć, iż ktokolwiek pospieszy jej na ratunek. Była zdana wyłącznie na własne siły i nie miała pojęcia, co robić.

Joe wrócił do mieszkania nazajutrz rano, tylko po to jednak, żeby przed wyjazdem do Los Angeles zabrać najpotrzebniejsze rzeczy.

Ogarnięta paniką patrzyła, jak się pakuje. Był oziębły i nienaturalnie opanowany.

— Zadzwoń, Kate — powiedział spokojnie. Żadne inne słowa nie przychodziły mu do głowy. Sądził, że Kate go znienawidziła, ona zaś nie wiedziała, jak go przekonać, że choć wylewa nań lawinę jadu i ognia, kocha go nadal, nienawidzi natomiast siebie. Nie przysłoby jej to zresztą łatwo. Mówiła mu tyle strasznych rzeczy, okazywała taką wrogość, że po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy w ogóle zdołają się odnaleźć. Obudziła w nim straszliwe poczucie winy, coś zatem, co zawsze skłaniało go do ucieczki na oślep. Joe czuł się przytłoczony i nieszczęśliwy jak nigdy w życiu.

Został w Los Angeles przez miesiąc, kierując stamtąd całą firmą, ściągnął nawet Hazel, żeby uniknąć konieczności wyjazdów do Nowego Jorku. Wrócił tuż przed Świętem

Dziękczynienia. Ostrożnie otworzył drzwi i aż podskoczył z wrażenia, gdy niespodziewanie padł mu w ramiona Reed.

— Joe, wróciłeś! — wykrzyknął radośnie.

Joe przepadał za dziećmi Kate, podczas wszystkich swoich wyjazdów bardzo odczuwał ich brak.

— Tęskniłem za tobą, kapitanie — odparł z szerokim uśmiechem. Ale tęsknił również za Kate, i to bardziej, niż z początku przypuszczał.

— Gdzie jest twoja mamusia?

— Wyszła. Do kina, ze znajomymi. Ostatnio często to robi.

Pięcioletni Reed uważał Joego za półboga, też nie znosił jego wyjazdów, bo mama ciągle wtedy płakała.

Wróciwszy z kina Kate wydawała się zaskoczona przyjazdem Joego. Sprawiała wrażenie znacznie spokojniejszej niż przed miesiącem, ale biorąc ją w ramiona, zachowywał daleko posuniętą ostrożność, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy zaatakuje.

— Tęskniłem za tobą — wyznał szczerze.

— Ja też tęskniłam — odparła, potem przytuliła się do niego i wybuchnęła płaczem. Sądził, że wraca powoli z tego straszego miejsca, w którym kryła się tak długo.

— Tęskniłem, jeszcze zanim zdążyłem wyjechać — powiedział, a ona nie miała żadnych podstaw, żeby mu nie wierzyć.

— Nie wiem, co mnie napadło... Pewnie uderzyłam się w głowę mocniej, niż mi się z początku zdawało.

Tym razem, kiedy wreszcie otrząsnęła się nieco z szoku powypadkowego, kiedy minęła pierwsza fala rozpaczy z powodu utraty bliźniąt, Kate czuła się i zachowywała nieco lepiej i Joe ubolewał tylko, że nie może jej zabronić rozmów z matką, która judziła bez ustanku.

Odetchnął z ulgą, gdy Kate przyjęła jego propozycję, żeby w tym roku nie jechać do Bostonu na Święto Dziękczynienia, lecz spędzić je w domu.

Ale pech chciał, że trzy dni przed świętem dostał telegram z Japonii, gdzie wystąpiły poważne problemy, które — dla dobra przyszłej współpracy z japońskimi kontrahentami — należało zażegnać jak najszybciej. Joe wzdragał się na myśl, że będzie musiał powiadomić Kate.

Była wstrząśnięta, kiedy to uczynił.

— Nie możesz im powiedzieć, że mamy tu najważniejsze święto w roku, Joe? — zapytała bliska łez.

— Moje interesy są również ważne, Kate — odparł spokojnie, starając się ze wszystkich sił nie wywołać kłótni.

— Potrzebuję cię w tym roku, Joe. Jest mi bardzo ciężko. Nie zostawiaj mnie samej.

Było to błaganie zrozpaczonego dziecka, które utraciło ojca, a zarazem kobiety, która utraciła nie jedno, lecz dwoje tak upragnionych dzieci. Joe wiedział, że nie może tego odmienić, i oczekiwał, iż Kate sama jakoś uładzi się ze swoją tragedią.

— A nie miałabyś ochoty pojechać ze mną? — zapytał. Zaden lepszy pomysł nie przyszedł mu do głowy.

— Nie mogę zostawić dzieci na Święto Dziękczynienia, Joe

— odparła. — Co by sobie pomyślały?

— Że musisz towarzyszyć mi w podróży. Wyślij je do Scottów. Ale nie zamierzała tego robić. Chciała święto spędzić w domu

— z nimi i z nim. Użyła wszelkich możliwych argumentów, aby wyperswadować mu wyjazd, był jednak nieustępliwy.

— Wrócę za tydzień — oświadczył. — Nawet gdyby wszystko miało walić się i palić.

Z jej punktu widzenia jednak nie była to żadna pociecha: czuła, że znów Joe daje swoim sprawom zawodowym pierwszeństwo przed nią. W dzień jego wyjazdu siedząc na łóżku zanosiła się płaczem jak dziecko.

— Kate, nie rób mi tego — westchnął. — Nie chcę wyjeżdżać, ale jak ci już mówiłem, nie mam innego wyboru. Postępujesz nie fair usiłując wywołać we mnie poczucie winy. Spróbuj wziąć pod uwagę również moje reakcje.

Skinęła głową, wysiakała nos i pocałowała męża na pożegnanie. Chciała zrozumieć, lecz czuła się porzucona mimo sugestii Joego, by pojechała z nim.

W końcu razem z dziećmi wybrała się do Bostonu.

Joe wrócił nie po tygodniu, jak zapowiadał, tylko po dwóch, chociaż po drodze nawet nie zatrzymał się w Kalifornii. Kate była lodowato oziębła, kiedy przestąpił próg domu; dwutygodniowe wysiłki matki, która stała na głowie, żeby przekonać ją, iż Joe odnosi się do niej parszywie, nie poszły na marne. Liz nigdy nie przepadała za Joem, nie potrafiła mu wybaczyć, że rozbił małżeństwo Kate z Andym, którego uwielbiała, a zwłaszcza że potrzebował aż pięciu dni, żeby wrócić do kraju, kiedy Kate miała wypadek i poroniła. Teraz trzymała się dniem i nocą, żeby ostatecznie skłócić córkę z jej mężem.

Nie przeprosił Kate za spóźnienie, niczego nie usiłował tłumaczyć

— robił to od miesięcy i miał serdecznie dość. Wieczorem bawił się z dziećmi, potem poszedł do łóżka, gdzie zabrał się do czytania książki, licząc, że tymczasem Kate ochłonie trochę i odzyska równowagę. Kilkakrotnie stosował już taką strategię i czasem okazywała się skuteczna. Kiedy Kate położyła się obok niego, przystąpił do realizacji drugiego elementu owej strategii, czyli jak gdyby nigdy nic zaczął opowiadać jej o swej podróży. Kosztowało go to wiele wysiłku, bo był kompletnie wyczerpany, trwał jednak w niezłomnym postanowieniu, by nie zaprzepaścić rozpoczętego jeszcze przed jego wyjazdem procesu naprawy ich stosunków. Rychło wszakże zorientował się, że utracił zdobyte wcześniej pozycje. Dla Jamisonów święta spędzane w gronie rodzinnym były czymś bez mała ważniejszym niż dla Joego podróże w interesach, Kate więc odebrała wyjazd męża jako policzek, a może nawet, co sugerowała matka, dowód, że już jej nie kocha.

Po kilku dniach atmosfera zaczęła się ocieplać, a Joe zdołał spędzić w domu aż dwa tygodnie. Całą gromadką poszli kupić choinkę, potem zaś wspólnie ją ubrali i oto w Kate znowu zabłysła iskierka życia. Miała koszmarne rok, wreszcie jednak przez czarne chmury przebiły się pierwsze promienie słońca. Joe odetchnął z ulgą; jemu też nie było lekko.

Kiedy trzy dni przed Bożym Narodzeniem wezwano go do Los Angeles, był pewien, że ze wszystkimi sprawami zdoła się uporać w jeden dzień i wrócić do domu najpóźniej w Wigilię. Nawet Kate nieszczęśliwie się przejęła: tak przywykła do znacznie dalszych i dłuższych wypraw Joego, że wypadek do Kalifornii wydawał się jej małą wycieczką za miasto. Pożegnała go serdecznie, on zaś po raz pierwszy nie miał w związku ze swym wyjazdem żadnych wyrzutów sumienia. Nawet kochali się rankiem w dzień jego wylotu.

W Los Angeles wszystko poszło jak po maśle, przykrą niespodzianką natomiast sprawił Nowy Jork. Śnieg zaczął sypać tuż po wyjeździe Joego, a w wigilię Bożego Narodzenia miasto sparaliżowały największe śnieżyce w jego dziejach. Joe nie wątpił, że zdoła dotrzeć do domu,

ale gdy siedział już w samolocie, nadeszła wiadomość, że zamknięto lotnisko Idlewild; Joe utknął w Los Angeles.

Wrócił do domu i zadzwonił do Kate — okazała zrozumienie, bo widziała na własne oczy, że Nowy Jork zamarł pod przeszło półmetrową pierzyną śniegu. Joe westchnął z ulgą.

— W porządku, najdroższy. Jasne, że nic nie możesz zrobić

— powiedziała świadoma, że nawet Joe jest bezsilny w takiej sytuacji. Musiałby lecieć do Chicago albo Minneapolis, stamtąd zaś jechać pociągiem do Nowego Jorku, co nie miało najmniejszego sensu. Obiecała, że wytłumaczy go przed dziećmi.

Święta mimo nieobecności Joego były zupełnie udane i dopiero potem do Kate dotarło, że w ciągu trzech lat ich małżeństwa Joe zaledwie jedno Boże Narodzenie spędził w domu. Gdy zaś telefonicznie wyjaśniała rodzicom, że utknął w Los Angeles i nie zdołał dolecieć do Nowego Jorku, Liz powiedziała tylko: „Oczywiście”.

Kate ogarnęło rozgoryczenie: ileż już razy tłumaczyła go i usprawiedliwiała, ileż razy szukała argumentów na wyjaśnienie jego nieobecności w ważnych momentach. Czasem przychodziło jej do głowy, że z powodu urazów doznanych w dzieciństwie z premedytacją unika wszelkich świąt, bez względu jednak na jego motywy każdorazowo czuła się zraniona. Nie przejmował się tylko Reed — z jego punktu widzenia każdy uczynek Joego był poza wszelką krytyką. Przy okazji przedłużonego z konieczności pobytu w Los Angeles Joe postanowił załatwić trochę spraw i w rezultacie wrócił dopiero tydzień później, w sylwestra. Początkowo mieli iść ze znajomymi do restauracji, kiedy jednak Kate zorientowała się, jak wyczerpany jest Joe, zrezygnowała z imprezy, bo wbijanie go w smokingi zmuszanie do tańca wydawało się jej nieludzkie. Zamiast tego poszli do łóżka. Takie już było ich życie: nadawały mu kształt podróże Joego i jego organiczna niezdolność do dotrzymywania przyrzeczeń.

Po rocznicy ślubu wszystko zaczęło się od nowa. Joe był nieobecny przez prawie cały styczeń, połowę lutego, calutki marzec, trzy tygodnie kwietnia i przeszło trzy maja. Gdy Kate w czerwcu sporządziła bilans, ustaliła ponad wszelką wątpliwość, że przez pół roku spędzili ze sobą w sumie trzy tygodnie. Wreszcie nie owijając w bawełnę podzieliła się z nim swoją refleksją, iż zapewne trudno byłoby znaleźć w całych Stanach męża, który tak mało czasu poświęca żonie, jak również dała wyraz podejrzeniu, iż czyni to z pełną świadomością. Po części miała rację, uciekał bowiem przed nieustannymi zarzutami i wynikającym z nich poczuciem winy, ale też uparcie nie przyjmowała do wiadomości, że taka jest natura pracy, którą uwielbia. Musiał bywać w Tokio, Hongkongu, Madrycie, Paryżu, Londynie, Rzymie, Mediolanie i Los Angeles, nie miał innego wyjścia. Kate parokrotnie towarzyszyła mu w wyjazdach, ale w rezultacie czekając na niego całymi dniami przesiadywała w hotelach i samotnie jadła posiłki przynieszone do pokoju.

Pozostawanie w domu z dziećmi miało dla niej zdecydowanie większy sens.

Nadal próbowała perswazji, Joe wszakże miał już serdecznie dość podobnych rozmów.

Kochała go równie mocno jak zawsze, ale dwa minione lata wycisnęły na obojgu bolesne piętno. Po rozłamie spowodowanym przez wypadek sprzed dwóch lat odnaleźli do siebie drogę, wygasło jednak pomiędzy nimi dawne iskrzenie. Miała trzydzieści trzy lata i żyła z mężczyzną, którego nie widywała prawie wcale. Joe w wieku czterdziestu pięciu lat był u szczytu kariery i Kate zdawała sobie sprawę, że czeka ją co najmniej dwadzieścia lat takiej żalosnej egzystencji. Może nawet gorszej, bo kierując awiację na nowe tory, uruchamiając nowe połączenia i projektując nowe samoloty, Joe miał dla niej coraz mniej czasu.

— Chcę, żebyś przy mnie był, Joe — powiedziała ze smutkiem w czerwcu, kiedy wpadł do domu na kilka chwil. Te słowa były dla obojga aż nadto znajomym refrenem. Kate pragnęła znaleźć kompromis, który pozwoliłby im spędzać ze sobą więcej czasu, ale Joe miał na głowie zbyt wiele, żeby podejmować dyskusję na ten temat. Zupełnie odpowiadał mu obecny styl życia i w gruncie rzeczy nie miał najmniejszej ochoty go zmieniać. Nazajutrz wylatywał do Londynu, całą resztę roku zaś — o czym nie wspomniał Kate — miał spędzić w

nieustających praktycznie podróżach. Tak samo jak Kate nie widział ich wspólnej przyszłości w różowych barwach. Dopóki dzieci nie dorosną, a więc przez mniej więcej piętnaście najbliższych lat, Kate znajdzie niewiele sposobności, aby mu towarzyszyć, ich szlaki więc będą rozchodzić się coraz bardziej — bez względu na to, ile oboje dołożą starań, aby uzdrowić ich związek, czy też jak mocno nadal się kochają.

W lipcu wzięła dzieci i odwiedziła Joego w Kalifornii: zabrała je do Disneylandu, potem zaś całą czwórką wybrali się na wycieczkę powietrzną najnowszym samolotem produkowanym w fabryce Joego. Dzień później awaryjna sytuacja wezwała Joego do Hongkongu, skąd jednak nie wrócił do kraju, lecz poleciał prosto do Londynu. Kate uznała, że wakacje w Kalifornii tracą w tej sytuacji sens, wraz z dziećmi zatem pojechała na Cape Cod. Joc po swym powrocie nie dołączył do

nich, bo jak bez ogródek oznajmił Kate, nie ma zamiaru spotykać się z jej matką jako że ma już jej po uszy.

Ale również pobyt na Cape nie trwał długo, Clarke bowiem potrzebował dużo spokoju złożony ciężką chorobą.

Ścieżki Joego i Kate przecięły się ponownie dopiero w połowie września, kiedy Joe osiadł w Nowym Jorku aż na trzy tygodnie. Kate dostrzegła natychmiast, że się zmienił: zrazu podejrzewała, iż chodzi o inną kobietę, wystarczyło jednak kilka dni, by pojęła, że sprawa jest znacznie poważniejsza. Joe już nie wytrzymał, nie mógł dłużej godzić umiłowanej pracy zawodowej z troską o potrzeby Kate. Za miłość do niej płacił wygórowaną cenę, znów podrywał się do ucieczki.

Produkowane przez niego samoloty podbiły świat, jego linie lotnicze należały do największych i najlepiej prosperujących; stworzył potwora, który teraz pożerał ich oboje. Stracił możliwość wyboru.

Przeszedł ją lodowaty chłód, gdy wyczytała to w jego oczach. Wiedziała, że nadal ją kocha — to było bodaj najgorsze — i że ona wciąż kocha jego, ale odleciał tak daleko, że nie mogła go już dosięgnąć. On zaś nie potrafił znaleźć rozwiązania, które pozwoliłoby mu ją zabrać ze sobą. Mimo całej swojej miłości. Zadręczał się poczuciem winy, że ciągle ją zostawia, że tak rzadko widuje dzieci... To zapewne dlatego, zrozumiał wreszcie, nigdy nie chciał mieć własnych, a nawet doznał ulgi, kiedy stracili bliźnięta. Nie mógł mieć wszystkiego naraz, nie mógł dać Kate tego, czego potrzebowała i na co zasługiwała.

Rozmyślał o tym przez całe lato, a kiedy powróciwszy do Nowego Jorku zobaczył się z Kate, zyskał pewność. Długo trwało, zanim udzielił sobie odpowiedzi, ale też pytanie było wyjątkowo trudne, bo zagadnięty, czy wciąż kocha Kate, odrzekłby, że tak. Jej matka jednak trafiła w sedno już na samym początku: pierwszą miłością Joego były samoloty, to zaś, czego pragnął od Kate i z Kate — niemożliwym do spełnienia marzeniem.

Potrzebował kilku dni, żeby zebrać się na odwagę, ale wreszcie wyrzucił to z siebie. W przeddzień wyjazdu do Londynu, gdzie miał sfinalizować zakup niewielkich linii lotniczych, popatrzył na leżącą obok Kate i pojął, że już do niej nie wróci. Wolałby strzelić sobie w skroń, niż wypowiedzieć fatalne słowa, musiał to jednak zrobić. Choćby po to, żeby w imię ich miłości dać wolność jej i sobie.

— Kate?

Odwróciła ku niemu głowę. Wydawało się, że już wie. Od trzech tygodni niepokoił ją i przerażał dziwny wyraz jego oczu, wychodziła więc ze skóry, żeby go nie sprowokować. Kładła po sobie uszy, trzymała się na bezpieczny dystans, unikała rozmów, które mogłyby przerodzić się w kłótnię. Nie kłócili się zresztą od miesięcy. Ale tym razem nie chodziło o to, czy się kłócą czy nie. Ani nawet o to, czy Joe nadal ją kocha. Chodziło o samego Joego, o to wszystko, czego oczekuje od życia i czym nie chce się z nią podzielić. Dał już wszystko, co mógł; resztę zamierzał zatrzymać dla siebie. Teraz zostawiał za sobą etap przeprosin,

wyjaśnień, wyrzutów sumienia, przestał martwić się jej rozpaczą, która będzie oczywistym następstwem jego odejścia. Mógł zadbać tylko o potrzeby jednego z nich dwojga: swoje. Milczała, patrząc nań wzrokiem samy, która widzi przed sobą złowieszcze wloty dwururki. Zaczerpnął powietrza w płuca i skoczył na głęboką wodę. Wiedział, że nie jest to dobry moment, ale przecież wszystkie inne będą jeszcze gorsze. Przyjdą następne Święta Dziękczynienia i gwiazdki, następne rocznice ślubu i wakacje na Cape Cod... Byli małżeństwem od trzech i pół roku i tylko te trzy i pół roku mógł jej poświęcić. Miał od początku rację, że nie chciał się żenić, nie chciał mieć dzieci własnych ani cudzych. Pokochał wprawdzie synka i córeczkę Kate, nie pokochał jednak dostatecznie mocno, by z nimi pozostać. Tak naprawdę potrzebował w swym życiu tylko samolotów, były mniej kłopotliwe i bezpieczniejsze. Gdyby na nich poprzestał, nigdy by nie cierpiał. Miłość do Kate okazała się słabsza niż lęki Joego.

— Odchodzę, Kate — rzekł tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze go usłyszała. Od dawna czuła, że nadciąga kataklizm, przypuszczała jednak, że jego natura będzie inna, że Joe zakomunikuje jej po prostu o jakiejś wyjątkowo długiej podróży albo czymś w tym rodzaju.

— Co powiedziałaś? — zapytała, mając wrażenie, że świat wokół niej zaczyna nieopanowanie wirować.

— Powiedziałem, że odchodzę — odparł, uciekając wzrokiem.

— Już nie wytrzymuję, Kate.

Spojrzał na nią dopiero po dłuższej chwili i poczuł bolesny skurcz serca na widok wyrazu jej oczu. Był taki sam jak wtedy, w szpitalu, gdy dowiedziała się, że poroniła. Był prawdopodobnie taki sam jak po samobójczej śmierci ojca. Wyraz bezgranicznej rozpacz, wyraz oczu kogoś, kto nagle został na świecie zupełnie sam. Joe nie doświadczył w tym momencie zwykłych wyrzutów sumienia, ale czegoś, co było nieznośną rozdzierającą udręką, przed którą trzeba natychmiast poszukać ucieczki.

— Dlaczego? — wykrztusiła, mając uczucie, że oto Joe wyszarpnął jej serce i cisnął je na podłogę. — Dlaczego mi to mówisz? Masz kogoś innego?

Zadała to pytanie odruchowo, bo wiedziała, że powód jest znacznie głębszy, dotyczy czegoś, czego Joe nie chce i nigdy naprawdę nie chciał. W tej chwili miał wszystko, czego w życiu pragnął; ona to wszystko miała tylko wtedy, kiedy wychodziła za niego za męża. Zaledwie jedno z nich mogło zatrzymać dar od losu i tym kimś nie była ona. Jasne jak słońce.

— Nie ma nikogo innego, Kate. Ale nie ma już również nas dwojga. Masz słuszość: nigdy nie jestem z tobą i nie mogę być, a ty, choć z innych powodów, nie możesz być ze mną.

— A więc o to ci chodzi? Czy gdybym mogła z tobą być, pozostalibyśmy małżeństwem? — zapytała z nadzieją, gorączkowo

szukając w myślach rozwiązania, które by to umożliwiło. Na przykład podzielenie się opieką nad dziećmi z Andym... Posunęłyby się nawet do tego, byle go tylko zatrzymać.

Ale powoli kręcił głową.

— To nie tak, Kate. Tu chodzi o mnie, chodzi o to, kim chciałem być, odkąd dojrzałem.

Twoja matka miała rację, dla mnie zawsze najważniejsze były samoloty. Dlatego zresztą, jak myślę, od pierwszej chwili odczuwała wobec mnie niechęć i nieufność. Bo rozgryzła, jaki jestem naprawdę. Ukrywałem tę prawdę przed tobą, a co ważniejsze, przed samym sobą. Nie mogę ci dać tego, czego pragniesz, a jesteś dość młoda, by znaleźć sobie kogoś innego. Ja wypadam z gry.

— Mówisz serio? Mam ot, tak poszukać sobie kogoś innego? Kocham cię, Joe, kocham od 57edemnastego roku życia. Taka miłość nie jest przeczytaną gazet którą wyrzuca się do kosza na śmieci.

Zaczęła płakać, lecz nie zareagował, bo uznał, iż tylko pogorszyłyby w ten sposób sytuację.

— Czasem się wyrzuca, Kate. Czasem człowiek musi dobrze się przyjrzeć, kim jest, czego pragnie i czego mu brakuje. Mnie brak tego wszystkiego, co z mężczyzny czyni materiał na

męża, twojego albo czyjegokolwiek. I mam dość poczucia winy, które w związku z tym mnie prześladuje.

— Twoja ciągła nieobecność nie ma dla mnie żadnego znaczenia

— powiedziała żarliwie. Potrafię wypełnić sobie czas wychowywaniem dzieci. Joe, nie możesz spisywać nas na straty... Dzieci cię uwielbiają... Jesteś jedynym mężczyzną na świecie, którego pragnę mieć za męża, niezależnie od tego, czy jesteś dobrym materiałem czy nie.

On jednak był zupełnie innego zdania. Najbardziej na świecie pragnął wolności — wolności, która pozwoli mu rozbudowywać jego imperium, konstruować niezwykle samoloty, wolności, która pozwoli mu przestać kochać Kate. Dał jej wszystko, co miał do zaoferowania, i to już dawno. Tego lata uświadomił sobie, że przez cały miniony rok stwarzał tylko pozory. Teraz chciał oszczędzić tego sobie i jej. Nic mu nie zostało, spalił ostatnią kropelkę benzyny. Nie cierpiał do niej dzwonić, nie cierpiał wracać do domu, nie cierpiał jeździć na wakacje czy też przeproszać, ilekroć zawiódł w sprawach, które ona uważała za istotne. Dał jej prawie cztery lata. Sądził, że to niemal za wiele.

Kate znów wybuchnęła płaczem, bo wreszcie do niej dotarło, że go naprawdę traci czy raczej że straciła go dawno temu, kiedy pewnego dnia po prostu cichaczem wymknął się z jej życia. Teraz jedynie wrócił po swoje rzeczy. Zostawił tylko ją.

Nie wiedziała, co będzie dalej, miała nadzieję, że umrze. Po wspólnych latach, po owych chwilach, gdy patrzyła, jak spełniają się jej marzenia — to nic, że czasem kosztem cierpień — nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez Joego. Ale wiedziała, że także ona nie ma wyboru. Było tak, jakby nagle umarł.

— Możesz z dziećmi zostać w mieszkaniu, jak długo zechcesz

— oświadczył. — Przez resztę roku będę korzystał z domu w Kalifornii. Rankiem tego dnia poprosił Hazel, by przeniosła się na kilka miesięcy do Los Angeles; chociaż miała wnuki w Nowym Jorku, ochoczo wyraziła zgodę. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że Joe na dobre zamierza odejść od Kate.

— Już wszystko sobie ułożyłeś? Kiedy podjąłeś ostateczną decyzję? — zapytała Kate ze zgrozą.

— Chyba dość dawno temu. Latem byłem jej pewien, a po przyjeździe do Nowego Jorku uznałem, że najwyższy czas, by ją wyjawić. Nie ma sensu dłużej udawać... Odszedłem dawno, dawno temu.

Co się stało? — zastanawiała się z rozpaczą Kate. Cóż takiego zrobiła? W czym go zawiodła? Prawda wyglądała tak, że jedynym jej grzechem i błędem było małżeństwo z Joem, małżeństwo, którego tak naprawdę nigdy nie chciał, chociaż przez chwilę uległ złudzeniu, że jest inaczej. Kate fascynowała go, intrygowała — ale to wszystko. Ciągnął do niej jak ćma do płomyka świecy, lecz w końcu miast ciepła wybrał otwarte niebo i odleciał.

Popłakując cicho, bezsennie leżała przy Joem przez całą noc, patrzyła na niego i delikatnie gładziła go po głowie. Kogoś innego z miejsca uznałaby za szaleńca, w tym jednak, co jej powiedział, był namysł i zimna kalkulacja. Tylko w taki sposób mógł poszukać ocalenia; podobnie zerwał z nią przed laty w New Jersey — zamknął się na uczucia i zbiegł. Odprawił ją jak zbędną pracownicę. Nigdy w życiu z niczyjej strony nie doświadczyła takiego okrucieństwa, nawet śmierć ojca nie była aż tak straszna. Może dlatego, że podane przez Joego powody wydawały się jej mało przekonujące, może dlatego, że obojętny na cierpienia jej i swoje, usunął ją z serca niczym dokuczliwą drzazgę.

O świcie wstała, umyła twarz i wróciła do łóżka; nieco później Joe obudził się, przewrócił na bok i bez słowa wstał.

Wyruszając na lotnisko, żegnał się z nią bardzo powściągliwie: nie chciał obudzić w Kate złudnej nadziei, że zmienił zdanie. Odchodził na zawsze i powinna zdawać sobie z tego sprawę.

— Kocham cię, Joe — powiedziała, a on przez moment ujrzał przed sobą kasztanowoWłosą dziewczynę W jasnoniebieskiej sukni z atlasu. Jej oczy wtedy i dziś były równie wielkiej piękne, teraz jednak, inaczej niż tamtego wieczoru, wyrażały bezgraniczny ból. — I zawsze będę cię kochać.

Zdawała sobie sprawę, że widzi go po raz ostatni, że coś kończy się nieodwracalnie, bezpowrotnie. Joe celowo nie kochał się z nią ani razu podczas obecnego pobytu w Nowym Jorku; pojęła, że nie chciał jej zawodzić. Oddawał Kate jej życie, aby móc odzyskać swoje. Uważaj na siebie — powiedział z troską, uświadamiając sobie, że rozstanie wcale nie przychodzi mu lekko. Kochał ją na swój sposób, choć zapewne nie tak mocno jak ona jego, lecz jednak kochał najmocniej, jak umiał. Kate jego miłość zupełnie wystarczała, Joe, paradoksalnie, nie dawał sobie rady z nadmiarem jej miłości. — Wiesz, miałem rację — dodał, kiedy wpatrywała się weń tak uporczywie, jakby pragnęła wyryć w pamięci jego twarz, oczy, policzki, dołek w brodzie.

To był sen, który nie mógł się ziścić.

— Mógł — zaproponowała z ogniem w oczach. Nawet ogarnięta bólem była piękniejsza, niżby chciał ją widzieć. — Mógł i nadal może, Joe. Możemy jeszcze mieć wszystko.

— Ale ja już nie chcę — odrzekł brutalnie, chcąc, by wreszcie pozbyła się złudzeń. Nie mógł jej dłużej ranić, nie mógł zdręzczać się dłużej poczuciem winy.

W milczeniu odprowadzała go wzrokiem, kiedy wychodził z mieszkania i zamykał za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ XXIII

Po odejściu od Kate Joe sześć miesięcy spędził w Kalifornii, a następnych pięć w Londynie. Kiedy zaproponował jej ogromną odprawę małżeńską, odmówiła z godnością: miała własne pieniądze, nic od niego nie potrzebowała. Przez szesnaście lat pragnęła jedynie być jego żoną i była nią przez cztery — tylko tyle miał jej do zaoferowania Joe Allbright.

Kate sprawiała mu tyle bólu i budziła w nim takie wyrzuty sumienia, że potrafił zareagować wyłącznie ucieczką. Pragnął jej naj— bardziej na świecie, kochał mocniej, niż mógłby pokochać kogokolwiek innego, dał jej więcej, niż w swoim przekonaniu mógł dać. I mimo wszystko to jej nie wystarczało. Przez wszystkie lata małżeństwa stawiała coraz to nowe żądania, co przejmowało go lękiem i otwierało w jego sercu dawno zabliźnione rany. Ilekroć z nią rozmawiał, słyszał głos krewnej powtarzającej mu, jakim jest paskudnym bachorem i jak bardzo ją rozczarował. Wystarczyło, by po powrocie do domu spojrzął na Kate, a przypominał sobie, za jakiego wyrodka uważał się w dzieciństwie i za jakiego nieudacznika później, gdy wszedł w lata męskie. Demon tych urojeń prześladował go przez całe życie, nie znajdował przed nim schronienia nawet w murach stworzonego przez siebie olbrzymiego imperium. Ból, który dostrzegał w oczach Kate, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przenosił go w świat koszmarów dzieciństwa, przywoływał z niebytu wszystkie postęпки — te, do których się przyznawał, i te, które mu zarzucano. Koniec końców wolał skazać się na samomość, aniżeli dalej przysparzać Kate cierpienie bądź znosić zadawane przez nią tortury. Bo czuł się jak męczony skazaniec, gdy zranił Kate albo jakoś ją zawiódł...

Ale u podstaw jego decyzji leżał również egoizm: Joemu przy— chodziło najłatwiej zaspokajanie własnych potrzeb.

Wiele miesięcy upłynęło, zanim Kate zrozumiała, co między nimi zaszło. Po rocznej separacji wystąpili już wtedy o rozwód. Joe odmawiał w tym czasie osobistych spotkań, dzwonił tylko od czasu do czasu. Oszołomiona Kate jak widmo krążyła po wynajętym domu, uświadamiając sobie, że najtrudniej będzie nauczyć się bez niego żyć. Równie trudno byłoby nauczyć się żyć bez powietrza.

I nieustannie rozmyślała o swym życiu i rozstaniu z Joem, usiłując zrozumieć swoją rolę w tym wszystkim, aż wreszcie po miesiącach rozpacz zaczęła jej świtać, że własnym oddaniem, własną zachłannością na wspólne chwile, coraz więcej wspólnych chwil, przepłoszyła go, strwożyła i wreszcie skłoniła do ucieczki. Bo ucieczka była jedynym rozwiązaniem, jakie przychodziło mu do głowy. Nie chciał uciekać, a jednak nie miał wyboru; zdawał sobie sprawę, iż pozostając sprawi jej kolejne cierpienie.

Z początku uświadamiając sobie, co straciła, popadała w coraz większą panikę, przypominała sobie znowu śmierć ojca... Potem spadł na nią kolejny cios, bo wiosną umarł Clarke, a Liz, jak wiele lat wcześniej, zamknęła się w sobie i praktycznie przestała istnieć dla świata. Beznadziejnie samotna Kate każdego dnia godzinami płakała przed zaśnięciem.

Lecz z upływem czasu zaczęła odnajdywać grunt pod nogami.

Joe sugerował, by dla przyspieszenia rozwodu pojechała do Reno, ona jednak złożyła pozew w Nowym Jorku, bo chciała — odwrotnie niż on — jak najbardziej odwlec moment nieodwołalnego rozstania, jak najdłużej chronić tę ostatnią łączącą ich ze sobą nitkę: wspólne nazwisko.

Trudno orzec, kiedy dokonała się w niej przemiana. Nie nadeszła raptownie, nie była nagłym przebudzeniem. Przypominała raczej długą krętą ścieżynę wiodącą pod górę, na której szczycie czeka wędrowca nagroda w postaci dojrzałości. W miarę pokonywania owej ścieżki Kate nabierała odwagi; sprawy, które niegdyś budziły w niej lęk, teraz wydawały się mniej złowieszcze. Wreszcie mogła o własnych

siłach stawić czoło bestii swej samotności. Kiedyś największy lęk budziła w niej możliwość, że Joe odejdzie. Teraz odszedł, a jednak ona żyła dalej.

Pierwsze, jeszcze przed samą Kate, dostrzegały ową przemianę jej dzieci. Śmiała się znacznie częściej, była mniej skłonna do płaczu, zabrała je na wycieczkę do Paryża. Kiedy po ich powrocie zadzwonił Joe, również zauważył, że głos Kate brzmi jakoś inaczej — nie potrafili by wprawdzie nazwać po imieniu tych nowych tonów, zbyt nieuchwytnych, zbyt ulotnych, nie ulegało jednak wątpliwości, iż Kate przestała się bać samotności, wydostała się z bagna rozpacz.

— Sprawiasz wrażenie szczęśliwej — powiedział cicho. Wbrew woli zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem w życiu Kate nie pojawił się jakiś mężczyzna. Życzył jej tego, a równocześnie miał nadzieję, że jednak nie. Sam przez ostatni rok unikał kobiet jak ognia, nie chciał się wikłać w nowy związek, był nawet bliski postanowienia, że nie uwikła się już nigdy. Jak zawsze najbardziej odpowiadała mu samotność, Długo jednak tęsknił za Kate i odczuwał brak ciepła, które wносиła w jego życie, choć uważał, że cena, jaką płacił za to ciepło, była zdecydowanie wygórowana.

— Bo chyba jestem szczęśliwa — odparła Kate ze śmiechem chociaż Bóg jeden wie dlaczego. Matka tak strasznie przeżywa śmierć Clarke'a, że doprowadza mnie do szału, Stephanie w zeszłym tygodniu wystrzygła sobie trzy czwarte włosów, a Reed, grając w bejsbol z kolegą, stracił dwa przednie zęby.

— A więc normalka — stwierdził wesoło Joe. Już niemal zapomniał, jak wyglądało ich wspólne życie, choć wciąż miał w pamięci to wszystko, co czuł, kiedy budził się rankami u boku Kate. Nie tknął kobiety przez rok; Kate od czasu do czasu umawiała się na kolacje z różnymi mężczyznami, nigdy jednak nie posunęła się dalej. Wszyscy przy Joem wypadali

blado, a zresztą po prostu nie potrafiłaby związać się z nikim innym. Po powrocie do domu z ulgą kładła się samotnie do łóżka, bo życie w pojedynkę przestało być dla niej groźne. Miała zresztą dzieci i przyjaciół. Stała oko w oko z utratą i wcale od tego nie umarła. Stopniowo rozumiała, że już nigdy podobne sprawy nie wzbudzą w niej lęku. A postrzegała je teraz znacznie wyraźniej... Widziała jasno strach, jaki budziło w Joem małżeństwo i związane z nim powinności. Miała ochotę go przeprosić, lecz zdawała sobie sprawę, że wobec wszystkiego tego, co jej powiedział, jest już za późno i nic się nie odmieni.

Miesiąc później pisała w swoim dzienniku, kiedy zadzwonił Joe. Chodziło mu o pewien drobiazg związany z rozwodem — ponieważ Kate, której Ciarke zapisał połowę swojej fortuny, nadal nie chciała przyjąć od Joego żadnych pieniędzy, prosił, by parafowała dokument, w którym zrezygnuje z roszczeń do kwoty uzyskanej przez niego ze sprzedaży jednej z nieruchomości. Odparła, że chętnie podpisze zrzeczenie, kiedy tylko otrzyma je od prawnika Joego, następnie zaś spytała głosem, w którym wychwyił nutkę tęsknoty:

— Czy jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę?

Pogodziła się z faktem, że już na zawsze odszedł z jej życia, mimo to często brakowało jej bliskości Joego, jego dotyku, zapachu. Wiedziała, że jakoś bez niego przeżyje, lecz wciąż czuła się tak, jakby amputowano jej nogę czy rękę albo wyjęto serce.

— A uważasz, że powinniśmy się spotykać? — zawahał się. Przez rok sądził, że byłoby to kuszeniem losu, wywoływaniem wilka z lasu. Bał się, że znowu ją pokocha i taniec śmierci zacznie się od nowa. Nie chciał podejmować tak wielkiego ryzyka, aż za dobrze wiedział, jak działa na niego Kate. — Bo moim zdaniem to nie jest najlepszy pomysł.

— Zapewne masz rację—odparła tonem zupełnie obojętnym. Nie wyrażał smutku, rozpaczy, subtelnej przygany, która mogłaby obudzić w nim wyrzuty sumienia. Emanował spokojem i opanowaniem. Wyrażał doskonałą równowagę duchową.

Joe zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy zakończyli rozmowę. Kate nigdy nie mówiła w taki sposób, miał wrażenie, że nagle wydorosła, rozwinęła się o wiele bardziej niż on, odnalazła w końcu wolność i spokój. Stawiła czoło wszystkim swoim lękom, spojrzała w oczy bestiom, pogodziła się ze sobą, z nim i całym swoim życiem. Zrezygnowała z marzeń. Rozmyślał o niej długo w noc, a raniem doszedł do wniosku, że unikając spotkań z dziećmi zachowuje się grubiańsko. W końcu nie ponosiły żadnej winy za to, że małżeństwo ich matki zakończyło się fiaskiem. Przy czym — uświadomił sobie — Kate nie uczyniła mu z tego zarzutu, więcej: przez cały miniony rok nie miała wobec niego żadnych pretensji czy żądań. Runęła w otchłań, której zawsze obawiała się najbardziej, zamiast jednak wczepiać się weń kurczowo i dławić go swoją bezradnością, zwolniła uchwyt i zostawiła go w spokoju. To było zastanawiające i po całym dniu rozmyślań Joe doszedł do wniosku, że odpowiedzią może być tylko inny mężczyzna. Późnym popołudniem, mając przed sobą na biurku akt zrzeczenia, o którym zapomniał na śmierć, znów zadzwonił do Kate. Zawsze czynił to z obawą, że w którymś momencie usłyszysz męski głos. Odebrała Kate, trochę roztargniona i rozleniwiona.

— Halo?... O, cześć... Przepraszam, brałam kąpiel.

Jej słowa natychmiast wyczarowały obrazy, które odpychał od siebie miesiącami. Nie chciał pamiętać takiej Kate. Nie miał powodów, żeby ją pamiętać w taki sposób. Kate już nie było. Tak się musiało stać. Postąpił słusznie, ocalił swoje życie. Gdyby nie odszedł, zdławiłaby go, doprowadziła do szaleństwa. Jej zarzuty i oskarżenia raniły go boleśniej niż kule czy noże. W końcu utraciłby własną tożsamość.

Ale teraz jej słowa brzmiały tak niewinnie... Trudno uwierzyć, że zaledwie rok temu stanowiła diań śmiertelne zagrożenie. Ból i poczucie winy w pamięci Joego zasnuły się mgłą.

— Zapomniałem ci wysłać ten dokument, o którym mówiliśmy,

— powiedział, a chociaż mobilizował w sobie całą siłę woli, by tego nie robić, zastanawiał się nieustannie, czy stoi przy telefonie naga, owinięta ręcznikiem czy też w szlafroku. —
Podrzucę go.

Oboje zdawali sobie sprawę, że równie dobrze mógłby skorzystać z usług posłańca albo poczty.

— Czy przy okazji wpadniesz na chwilę? — zapytała Kate obojętnie.

Nastąpiła długa przerwa. Instynkt podpowiadał Joemu, by się wycofał, umknął, stawił opór jej tak dawno nie odczuwanemu magnetyzmowi. Nie chciał jej w swym życiu, a jednak wciąż w nim tkwiła. Ba, z formalnego punktu widzenia wciąż była jego żoną.

— Ja... mhm... sądzisz, że to dobry pomysł? Znaczy, żebyśmy się spotkali?

Cichutki głosik w głowie Joego uporczywie namawiał go do ucieczki.

lecz za każdym razem boleśnie go raniła. Teraz taka szansa już się nie powtórzy. Mogła go kochać wyłącznie z daleka i w milczeniu.

Wyszedł o ósmej z podpisanymi dokumentami, ale ku bezbrzeżnemu zdumieniu Kate zadzwonił nazajutrz. Jak zwykle zdradzał ogromne napięcie, rozluźnił się jednak dosyć szybko, potem wykrztusił, że zaprasza ją na lunch. Była kompletnie zaskoczona.

Nie mogła wiedzieć, że rozmyślał o niej przez całą noc, że podczas wczorajszego spotkania zobaczył w niej to wszystko, co tak bardzo kochał, że nie przestraszyła go ani żadnym swoim słowem, ani gestem. Nie miał stuprocentowej pewności, czy ta nowa niezależna Kate jest wynikiem sprytniej autokreacji czy też projekcją jego pragnień, wyczuwał jednak, że dokonała się w niej głęboka przemiana, w wyniku której zachłanność i wieczne zarzuty ustąpiły miejsca ciepłu i spokojowi ducha.

Po chwili namysłu doszła do wniosku, że propozycja Joego jest w zasadzie do przyjęcia.

Trochę się obawiała, że pokocha Joego jeszcze mocniej, lecz skoro już go kocha...? Nie miała wiele do stracenia, ryzykowała najwyżej jeszcze odrobinę cierpień. Ale ufała Joemu bardziej niż kiedykolwiek przedtem może dlatego, że wreszcie zaufała sobie. Upora się ze wszystkim, co przyniesie życie.

Również tę pewność be w niej wyczuł.

Dwa dni po jego telefonie zjedli lunch w Płaza, podczas najbliższego weekendu poszli na spacer po parku. Rozmawiali o zgliszczach, które po sobie zostawili, o tym, co mogło być, a jednak się nie zdarzyło. Kate wykorzystała tę okazję, żeby przeprosić Joego za ból, jaki mu sprawiła; w ciągu minionego roku wyrzucała sobie setki razy, że nie umiała go zrozumieć, a jej dobre intencje owocowały cierpieniami ich obojga.

— Wiem, Joe, że byłam idiotką. Niczego nie pojmowałam. Chwytałam cię gorączkowo, a im bardziej pragnęłam zatrzymać, tym większą ochotę miałeś uciec. Potrzebowałam wiele czasu, żeby to zobaczyć. Szkoda, że nie miałam wtedy więcej oleju w głowie.

— Ja też popełniałem błędy — wyznał. — Ale kochałem cię naprawdę.

Poczuła ukłucie w sercu, kiedy zorientowała się, że użył czasu przeszłego. Ale miał do tego prawo, nie powinna być zaskoczona. To jej trwająca ciągle miłość była czymś nienormalnym, chorem.

Po spacerze poszli do domu Kate, gdzie na widok Joego Stephanie i Reed krzyknęli radośnie. We czwórkę spędzili bardzo przyjemne popołudnie.

Wieczorem Kate znowu rozmyślała o Joem: za wszelką cenę pragnęła uwierzyć, że mogą zostać przyjaciółmi. Nie miała podstaw, by liczyć na coś więcej. Musiała się tym zadowolić.

Wracając do domu, Joe wmawiał sobie to samo. Inne rozwiązanie nie wchodziło w grę.

Wiedział, że nie powinien podejmować kolejnej niebezpiecznej — i przypuszczalnie aż nadto dlań bolesnej

— próby.

Ich przyjaźń rozwijała się przez następne dwa miesiące. Od czasu do czasu chodzili na kolacje, w soboty wspólnie jadal lunch, w niedziele natomiast przyrządzone przez Kate

obiady rodzinne. Kiedy zaś Joe wyjeżdżał, Kate myślała o nim, ale w zdecydowanie innych kategoriach niż kiedyś. Bez żadnego dramatyizmu. Nie wiedziała, co tak naprawdę ich łączy, co kryje się pod męską maską przyjaźni, był to jednak związek sympatyczny i nie powodujący komplikacji.

Pewnego niedzielnego popołudnia, kiedy dzieci były u Andy'ego w Connecticut, Joe wpadł do Kate niespodziewanie, żeby pożyczyć jej książkę, o której rozmawiali tydzień wcześniej. Podziękowała i zaproponowała herbatę. Nie przyszedł na herbatę, lecz nie wiedział, jak pokonać most wiodący od przyjaźni do czegoś zupełnie nowego. Bo oboje zdawali sobie sprawę, że nie mogą wrócić do punktu, w którym byli kiedyś, że jeśli w ogóle chcą, by ich związek miał jakiś dalszy ciąg, muszą wyznaczyć sobie nowy cel. Joe nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

Wszystko przebiegło w zdumiewająco naturalny sposób. Kate nalewała właśnie herbatę, gdy zorientowała się, że Joe stoi tuż obok niej. Poczekał, aż odstawi imbryk, potem delikatnie przyciągnął ją do siebie.

— Czy uznasz mnie za wariata, Kate, jeśli powiem, że nadal cię kocham? — zapytał.

Na długą chwilę wstrzymała oddech.

— Za straszego — szepnęła i przytuliła się do niego mocniej, usiłując nie myśleć o tym wszystkim, czego już nie mogą sobie dać.

— Traktowałam cię okropnie — dodała ze skruchą.

— Byłem durniem, zachowywałem się jak dzieciak. Bałem się, Kate.

— Ja też — wyznała cicho i otoczyła go ramionami. — Szkoda, że byliśmy tacy niemądrzy... Szkoda, że nie wiedziałam wtedy tego wszystkiego, co wiem teraz. Zawsze cię kochałam.

— I ja cię kochałem—odparł, czując na policzku jedwabisty dotyk jej włosów. — Po prostu nie miałem pojęcia, jak się z tym uporać. Nieustannie dręczyły mnie wyrzuty sumienia. To one pchały mnie do uciezki. — Urnikł, ale po chwili podjął: — Czy naprawdę sądzisz, że nauczyliśmy się czegoś, Kate?

Nie musiał zadawać tego pytania, oboje zdawali sobie sprawę, że odpowiedź jest twierdząca. Joe widział to w Kate i wyczuwał w sobie. Przestali się bać.

— Jesteś cudowny, będąc sob i takim właśnie mogę cię kochać

—uśmiechnęła się. — Czy jesteś przymnie, czy gdzieś daleko. Twoja ciągła nieobecność już nie przejmuję mnie lękiem. Szkoda, że nie było tak od początku.

Pocałował ją w odpowiedzi. Czuł się przy niej bezpiecznie, zapewne po raz pierwszy, odkąd się poznali. Zawsze ją kochał, lecz takiego poczucia bezpieczeństwa nie dawała mu nigdy. Długo całowali się w kuchni, potem bez słowa przeszli do sypialni. Wtedy Joe się zawahał.

— Nie wiem, co tu robię — powiedział. — Zwariowaliśmy do reszty... Nie przeżyję, jeśli znowu schrzaniemy sprawę... Chociaż myślę, że raczej nie schrzaniemy.

— Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek mi zaufasz — wyznała Kate, patrząc nań swymi ogromnymi oczyma.

— Ja też nie sądziłem — odparł i pocałował ją znowu.

Ale w tej chwili ufał jej bezgranicznie, bo znała go lepiej, znacznie lepiej niż kiedyś. Byli ze sobą bezpieczni, nigdy nie przestali się kochać. W tej chwili przerażała ich tylko świadomość, jak niewiele brakowało, by utracili się bezpowrotnie. Dotarli na sam skraj przepaści i zatrzymali się w ostatniej chwili. Ręka Opatrzności była dla nich łaskawa.

Spędził z nią cały weekend, a dzieci, kiedy wróciły, uradowały się na jego widok. Potem wszystko bezboleśnie wskoczyło na swoje

miejsca i mogło się zdawać, że Joe nie odchodził ani na chwilę. Przez jakiś czas mieszkali wspólnie w domu Kate, później kupili okazałą rezydencję. Joe nie zaniechał swoich podróży, ale Kate zupełnie się tym nie przejmowała, podczas jego nieobecności wystarczały jej rozmowy telefoniczne. Oboje byli szczęśliwi: tym razem — co zakrawało na cud — wszystko układało się idealnie. Ich nieczęste kłótnie przypominały burze z piorunami, lecz tak samo jak

prawdziwe burze mijały szybko i jeszcze szybciej odchodziły w zapomnienie. Oczywiście pierwszym wspólnym posunięciem było wycofanie pozwów rozwodowych. Przez siedemnaście lat, jakie upłynęły od ostatniego kryzysu, wiedli cudowne życie — życie, które świadczyło, że okazując sobie zaufanie jeszcze raz, postąpili właściwie. Kiedy dzieci wyfrunęły z domu, mieli dla siebie znacznie więcej czasu, Kate często towarzyszyła Joemu w podróżach, ale czuła się równie dobrze, czekając na niego w Nowym Jorku czy Kalifornii. W jej życiu nie było już żadnych demonów, wszystkie smoki zostały zglądzone, choć oboje zapłacili za te zwycięstwa wysoką cenę, zwłaszcza w pierwszym okresie ich związku. Lecz niczego nie żalowali. Kate nauczyła się, że nie powinna wywierać na niego presji, osaczać go, wywoływać widm przeszłości, zarzucać oskarżeniami. Był dumnym ptakiem, z wdzięczności jednak spływał czasem z niebios i podlatywał do Kate najbliżej, jak mógł. To jej wystarczało, to zaspokajało wszystkie jej potrzeby. Rany się wreszcie zagoiły.

Otrzymali od losu dar wyjątkowej miłości, więzi tak mocnej, że nawet oni sami w swej głupocie nie zdołali jej zerwać. Szalały burze, a jednak dom, który wzniesli, trwał niczym opoka. Joc i Kate rozumieli się tak, jak potrafią rozumieć się tylko wybrani; znaleźli bezcenny klejnot, na którego poszukiwanie — często daremne — inni poświęcają całe życie. Odnajdywali się, gubili, odnajdywali znowu — dziesiątki razy, na dziesiątki rozmaitych sposobów. Cud polegał na tym, że została im dana jeszcze jedna szansa. Szansa, której nie zmarnowali, chociaż brakowało tak niewiele, by utracili wszystko. Znaleźli nie tylko miłość, lecz również spokój. Ich cud nie okazał się ułudą.

EPILOG

Pogrzeb Joego,

zaplanowany i zorganizowany przez Kate w najdrobniejszych szczegółach, był ceremonią poruszającą i podniosłą. Jadąc ze Stephanie i Reedem limuzyną do kościoła, Kate spoglądała przez szybę na zaśnieżony świat, rozmyślając o Joem i miejscu, jakie zajmował w jej życiu; sięgała pamięcią do spotkania na Cape Cod, wojny, do okresu wreszcie, który spędziła w New Jersey, kiedy wspólnie budowali jego firmę. Wtedy nie rozumiała go jeszcze zbyt dobrze, teraz potrafiłaby namalować jego portret w najsubtelniejszych odcieniach. Nie było na świecie człowieka, którego znałaby lepiej. Wciąż wydawało się jej nieprawdopodobne, że ten człowiek odszedł.

Gdy wysiadała z auta, czuła, że w jej sercu narasta uczucie paniki. Co zrobi z całą resztą życia? Jak sobie poradzi bez Joego? Siedemnaście lat temu, w połowie ich wspólnej drogi, omal go nie straciła... Jakże niewiele brakowało, by losy dwojga ludzi potoczyły się zupełnie inaczej. Gorzej, mniej barwnie — co do tego ani ona, ani Joe nie mieli żadnych wątpliwości. Kościół wypełniali dygnitarze, biznesmeni i w ogóle ludzie z pierwszych stron gazet. W imieniu władz zęgnął Joego gubernator; podróżującego po Bliskim Wschodzie prezydenta — który już wcześniej wysłał Kate telegram kondolencyjny — reprezentował wiceprezydent. Kate była pewna, że gdzieś w tłumie są Andy i Julie, dostrzegła również ubraną na czarno wdowę po Lindberghu, Amie. Zaledwie cztery miesiące temu Joe przemawiał na pogrzebie Charlesa; dziwnym zrządzeniem losu dwaj najwięksi lotnicy wszech czasów zmarli prawie równocześnie.

Słuchając wypowiedzianych podczas nabożeństwa pochwalnych i wzniosłych słów, zapłakana Kate ścisnęła dłonie dzieci i wspominała pogrzeb swojego ojca, kiedy to ona była osieroconą małą dziewczynką, a jej matka zrozpaczoną wdową. Matce uzdrowienie przyniósł Clarke, jej

zaś — ostatecznie dopiero Joe. To on otworzył jej oczy, to on nauczył ją siebie i świata; wspólnie dotarli na szczyty, wspólnie pokonali drogę cudowną na tysiąc rozmaitych sposobów.

W ciężkim aromacie róż podążyła za trumną środkiem kościoła, nie spuszczała z niej oczu, gdy wstawiano ją do karawanu, potem, pochyliwszy głowę, wsiadła do limuzyny, która miała ją zawieźć na cmentarz. Z kościoła w ciszy wylewał się milczący tłum uczestników ceremonii. Słowa przemówień przypominały im tylko to wszystko, co wiedzieli o Joem — o jego wyczynach lotniczych, karcie wojennej, osiągnięciach w czasie pokoju, o jego geniuszu i roli, jaką odegrał w rozwoju awiacji. Wiedzieli więc to wszystko, lecz tak naprawdę znała Joego tylko Kate. Był jedynym mężczyzną, którego w życiu kochała. Zadali sobie wiele cierpień, ale również obdarzyli się bezmiernym szczęściem. To niesło Kate pewną pociechę, choć życie bez Joego wciąż było czymś niewyobrażalnym. Wspólne — przypominało barwny przebogaty gobelin. Wyhaftowane na nim sceny jedna za drugą przesuwały się przed oczyma Kare, kiedy limuzyna sunęła zaśnieżoną szosą.

Na cmentarz Kate pojechała tylko z dziećmi i pustą trumną, pogrzeb bowiem, biorąc pod uwagę ogrom eksplozji, mógł być wyłącznie symboliczny. Kate nie chciała kolejnych przemówień

— pragnęła pozostać jedynie z Joem i swoimi wspomnieniami.

Kiedy duchowny odszedł po odmówieniu krótkiej modlitwy, również Stephanie i Reed uszanowali wolę matki i dyskretnie oddalili się w stronę limuzyny. Wtedy Kate pochyliła się nad trumną i wyszeptała:

— No i co ja teraz pocznę, Joe?

Znów czuła się tak jak na pogrzebie ojca, znów bólem przypomniały o sobie dawne rany. I znów miała wrażenie, iż Joe stoi obok.

Był mężczyzną, o jakim zawsze marzyła, bohaterem, w którym zakochała się jako podłotek, żołnierzem, na którego powrót z wojny czekała tak długo, kimś, kogo siedemnaście lat temu najpierw straciła,

a później cudem odzyskała. W ich życiu zresztą było wiele cudów, Joe jednak zawsze był największym z nich. Teraz w swą ostamią podróż zabierał jej serce... Już nigdy nie spotka kogoś takiego jak on. To on nauczył ją wszystkich ważnych rzeczy, to on przyniósł jej uzdrowienie

— tak samo jak ona jemu. Wniknął w najgłębsze zakamarki jej duszy, dał nie tylko miłość, lecz również wolność czy może raczej umiejętność obdarowywania wolnością. Dała mu tę wolność, kiedy kochała go najmocniej; on jednak wrócił. Jak zawsze.

Kiedy tak pogrążona w myślach stała nad trumną, uświadomiła sobie, że w tej chwili Joe wybiera wolność po raz ostami, że to jego ostatnia ucieczka. I że ona musi mu na tę ucieczkę pozwolić, bo chociaż Joe odejdzie, to jednak na zawsze pozostanie przy niej. Żadna z jego poprzednich ucieczek nie była ostateczna: Joe odchodził, a potem wracał, żeby odejść raz jeszcze. Ale kochał ją zawsze, przy niej czy będąc gdzieś daleko. Ich miłość stanowiła pewnik, nie potrzebowała słów czy obietnic. Po prostu była.

Kate opanowała wreszcie wszystkie kroki ich tańca, zrozumiała, kiedy usunąć się na bok, kiedy zostawić Joego w spokoju, jak go kochać, jak pozwalać mu na ucieczki i powroty, jak go akceptować.

— Leć, najdroższy — wyszeptała. — Leć... Kocham cię...

Na pustej trumnie z imieniem i nazwiskiem położyła samotną białą różę. I wtedy opuściły ją wszystkie lęki. Wiedziała, że Joe pozostanie w pobliżu. Będzie jak zawsze latać po własnych niebiosach, ale nigdy nie odejdzie daleko, obojętne, czy widoczny dla niej, czy też nie. Ona zaś nigdy nie zapomni tego wszystkiego, czego ją nauczył. A nauczył ją tego co niezbędne, aby żyć z nim i żyć bez niego. Nauczył dobrze.

Kochali się w sposób najlepszy dla obojga; każde z nich wzięło na własność jakąś część drugiego, co więcej: najważniejszą część. Kate nie wątpiła nawet w najmniejszym stopniu, że ich miłość istniałaby wiecznie. Muzyka umikła, ale taniec będzie trwał.

KONIEC.